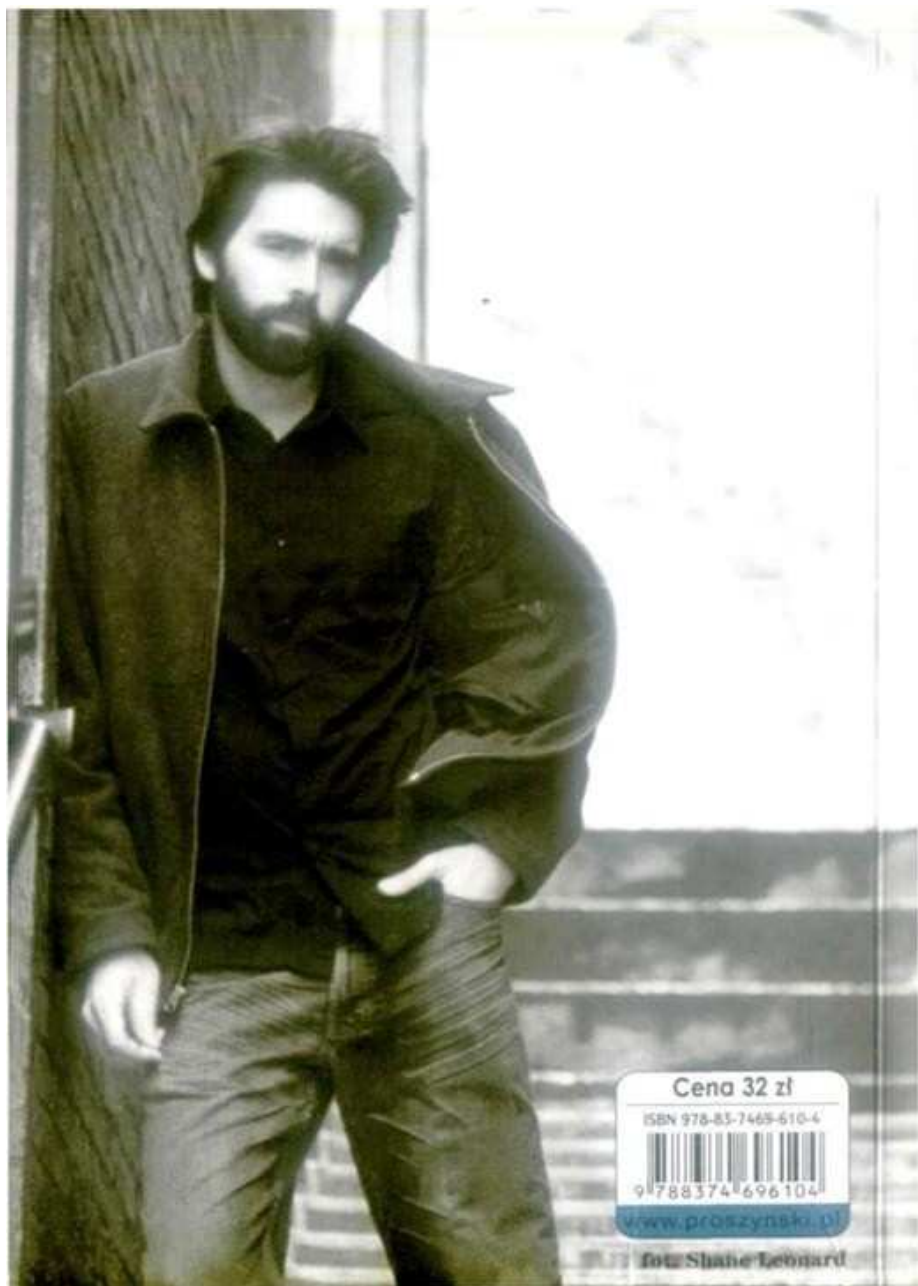




JOE HILL

PUDEŁKO
W KSZTAŁCIE SERCA

Prószyński i S-ka



Cena 32 zł

ISBN 978-83-7465-610-4



9 788374 696104

www.proszynski.pl

foto: Shane Leonard

JOE HILL
PUDEŁKO
W KSZTAŁCIE SERCA

Przełożyła Paulina Braiter

Prószyński i *S-ka*

Tytuł oryginału HE-
ART-SHAPED BOX

Copyright © 2007 by Joe Hill
Published by arrangement with HarperCollins Publishers
All Rights Reserved

Cytat z Voice of the Fire
copyright © by Alan Moore
został użyty za zgodą Top Shelf Productions

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Ilustracja na okładce
Vincent Chong

Redaktor serii Re-
nata Smolińska

Redakcja Łucja
Grudzińska

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Katarzyna Kaźmierska

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-610-4

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnicza W.L. Anczyca S.A.
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Tacie
jednemu z tych dobrych

Jak martwi mogą wciąż dokądś zmierzać?

Alan Moore, *Voice of the Fire*

CZARNY PIES

1

Jude miał prywatną kolekcję.

Na ścianie studia, pomiędzy platynowymi płytami, wisiały oprawione w ramki szkice Siedmiu Krasnoludków. Narysował je John Wayne Gacy, już w więzieniu, i wysłał Jude'owi. Gacy lubił klasycznego Disneya niemal tak bardzo, jak molestowanie dzieci; niemal tak bardzo, jak albumy Jude'a.

Jude miał w swych zbiorach czaszkę chłopca, któremu w szesnastym wieku przeprowadzono trepanację, by wypuścić z głowy demony. W wybitym w kości otworze przechowywał długopisy.

Miał trzystuletnie wyznanie podpisane przez czarownicę. Mówiłażem z czarnym piesem, któreń rzecze, że struje dla mnie krowy, poda koniom szalej i ześle chorobę na dzieci, jeśli oddam mu swoją duszę. Ja na to, tak, potem zasię dałam mu ssać z własnej piersi. Spalono ją na stosie.

Miał sztywny, wytarty strychezek, na którym w Anglii na przełomie wieków powieszono skazańca, szachownicę, której używał w dzieciństwie Aleister Crowley, i film *snuff*. Ze wszystkich przedmiotów w kolekcji ten ostatni, nagranie prawdziwego morderstwa, budził największy niepokój. Trafił do Jude'a dzięki policjantowi dorabiającemu przy ochronie koncertów w LA. Gliniarz twierdził, że film jest chory. Powiedział to ze sporym entuzjazmem. Obejrzawszy go, Jude uznał, że gość miał rację. Film był chory i, w sposób pośredni, pomógł przyspieszyć koniec małżeństwa Jude'a. A jednak został w kolekcji.

Wiele eksponatów stanowiły prezenty od fanów. Rzadko coś kupował. Kiedy jednak Danny Wooten, jego osobisty asystent,

powiedział mu, że w Internecie można kupić ducha, i spytał, czy ma to zrobić. Jude nawet się nie zastanawiał. Zupełnie jakby wybrał się do knajpy, usłyszał, jaki jest specjał dnia, i zdecydował, że ma na niego ochotę, nie zaglądając nawet do karty. Niektóre odruchy nie wymagały zastanowienia.

Biuro Danny'ego znajdowało się we względnie nowej przybudówce przytulonej do północno-wschodniego końca wielkiego, studziesięcioletniego domu na farmie. Wyposażone w klimatyzację, meble biurowe i kawową wykładzinę przemysłową, było chłodne i bezosobowe, zupełnie niepodobne do reszty domu. Gdyby nie plakaty koncertów oprawione w stalowe ramy, można by je wziąć za poczekalnię dentystyczną. Na jednym z plakatów widniał słój pełen wpatrzonych w widza gałek ocznych, z których dyndały krwawe sploty nerwów. Reklamował trasę *All Eyes On You*.

Gdy tylko ukończono budowę, Jude pożałował decyzji wzniesienia przybudówki. Nie miał ochoty jeździć czterdzieści pięć minut z Piecliff do wynajętego biura w Poughkeepsie, by pilnować bieżących spraw, ale chyba wolałby to niż obecność Danny'ego Wootena w domu. Tu bowiem Danny i jego praca były zbyt blisko. Krzątając się w kuchni, Jude słyszał dzwoniące telefony, czasami obie linie jednocześnie, i dźwięk ten doprowadzał go do szału. Od śmierci Jerome'a i Dizzy'ego (a wraz z nimi zespołu) prawie nie pracował, lecz telefony nadal dzwoniły i dzwoniły. Dość już miał ludzi próbujących wyszarpać choć trochę jego czasu i dość nieustannego deszczu dokumentów prawniczych i zawodowych, próśb, umów i kontraktów, materiałów promocyjnych i propozycji występów trafiających do firmy Judas Coyne Incorporated, której praca nigdy się nie kończyła, trwała cały czas. W domu chciał być sobą, nie znakiem handlowym.

Zazwyczaj Danny nie pojawiał się w pozostałej części mieszkania. Owszem, miał swoje wady, ale potrafił uszanować prywatność pracodawcy. Kiedy jednak Jude zajrzał do jego biura, asystent natychmiast go zaczepiał - a Jude wpadał tam zwykle cztery, pięć razy dziennie, bo przez przybudówkę wiodła najkrótsza droga do stodoły i psów. Mógł wychodzić frontowymi

drzwiami i okrążyć cały dom, nie zamierzał jednak skradać się po własnej posiadłości tylko po to, by uniknąć asystenta.

Poza tym nie wydawało się możliwe, by Danny zawsze miał pod ręką coś, czym mógłby zawrócić mu głowę. A jednak tak było. Nawet jeśli nie dysponował niczym, co wymagałoby natychmiastowej uwagi, i tak chciał rozmawiać. Pochodził z południowej Kalifornii i gadał bez przerwy. Zupełnie obcym ludziom zachwalał zalety specjalnej odmiany perzu, do których zaliczało się nadawanie gazom woni świeżo skoszonego trawnika. Miał trzydzieści lat, lecz potrafił dyskutować z dostarczycielem pizzy o jeździe na desce i grach na PlayStation niczym czternastolatek. Był gotów zwierzać się robotnikom naprawiającym klimatyzację, opowiadać, jak jego nastoletnia siostra przedawkowała heroinę, a on jako młody człowiek znalazł zwłoki matki, która popełniła samobójstwo. Nie znał pojęcia wstydu. Nie wiedział, co to nieśmiałość.

Jude wracał właśnie po karmieniu Angusa i Bon i w połowie pokonał już pole rażenia Danny'ego. Zaczynał sądzić, że uda mu się bez szwanku przejść przez biuro, kiedy asystent zawołał:

- Hej, szefie, zobacz to!

Danny niemal każdą odzywkę zaczynał w ten sposób i Jude już dawno znienawidził te słowa. Czekał na nie z lękiem, stanowiły bowiem prelude do wypełnianych formularzy, przeglądanych faksów. Jednak Danny poinformował go, że ktoś sprzedaje ducha, i Jude zapomniał o swej niechęci. Obszedł biurko, by spojrzeć na monitor ponad ramieniem asystenta.

Danny odkrył ducha w sieciowym serwisie aukcyjnym, nie na eBayu, lecz jednym z konkurentów. Jude powędrował wzrokiem do opisu przedmiotu, tymczasem Danny czytał głośno. Gdyby Jude dał mu szansę asystent dla niego pokroiłby nawet jedzenie. Miał w sobie skłonność do służalczości, którą Jude uważał za coś obrzydliwego u mężczyzny.

- Kup ducha mojego ojczyma - czytał Danny. - Sześć ty godni temu mój starszy już ojczym zmarł nagle. Mieszkał wtedy u nas. Nie miał własnego domu, podróżował od krewnych do krewnych, zostawał miesiąc czy dwa i znów ruszał w drogę. Jego

odejście wstrząsnęło wszystkimi, zwłaszcza moją córką, której był bardzo bliski. Nikt niczego nie podejrzewał. Był aktywny do samego końca. Nigdy nie siedział przed telewizorem. Co dzień wypijał szklankę soku pomarańczowego. Miał wszystkie zęby.

- To jakiś pierdzielony żart - mruknął Jude.

- Nie przypuszczam - odparł Danny i czytał dalej. - Dwa dni po pogrzebie moja córeczka go zobaczyła. Siedział w pokoju gościnnym naprzeciwko jej sypialni. Potem nie chciała już zostawać sama w swoim pokoju ani nawet wchodzić na górę. Powiedziała jej, że dziadek by jej nie skrzywdził, ale odparła, że boi się jego oczu. Mówiła, że są zamazane na czarno i nie służą już do patrzenia. Od tej pory sypia ze mną.

Z początku sądziłam, że to tylko straszna historia, którą sobie wmówiła, ale kryje się w tym coś więcej. W pokoju gościnnym cały czas jest zimno. Zajrzałam tu i ówdzie i stwierdziłam, że najgorzej jest w szafie, w której wisi jego odświętny garnitur. Ojczym chciał zostać w nim pochowany, kiedy jednak przymierzaliśmy go w zakładzie pogrzebowym, nie wyglądał dobrze. Ludzie po śmierci odrobinę się kurczą, woda w ich ciałach wysycha. Najlepszy garnitur był na niego za duży, pozwoliliśmy zatem, by zakład pogrzebowy wcisnął nam jeden ze swoich garniturów. Nie wiem, czemu ich posłuchałam.

Parę dni temu obudziłam się i usłyszałam nad głową kroki. Coś porusza pościel na łóżku w pokoju ojczyma, a drzwi otwierają się i trzaskają o najróżniejszych porach. Kotka także nie chce pójść na górę. Czasami siedzi na dole przy schodach, obserwując coś, czego ja nie widzę. Patrzy na to jakiś czas, a potem miauczy rozdzierająco, jakby ktoś nadepnął jej na ogon, i ucieka.

Mój ojczym całe życie zajmował się spirytyzmem i pewnie został po to, by nauczyć moją córkę, że śmierć to jeszcze nie koniec. Ona jednak ma dopiero jedenaście lat, musi żyć normalnie, spać we własnym łóżku, nie w moim. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to spróbować znaleźć tacie inny dom. A na świecie nie brakuje ludzi, którzy pragną uwierzyć w życie po śmierci. Bardzo proszę, dowód mam tutaj. Sprzedam ducha mojego ojczyma temu, kto zaproponuje najwięcej. Oczywiście tak naprawdę duszy nie

da się sprzedać, wierzę jednak, że jeśli zechcesz go przyjąć, przybędzie do twego domu i zamieszka z tobą. Jak mówiłam, kiedy umarł, mieszkał u nas tymczasowo, nie miał własnego domu. Zapewne pójdzie tam, gdzie zostanie mile przyjęty. Nie sądzę, że to oszustwo czy dowcip, że wezmę twoje pieniądze i nie wyślę ci niczego. Zwycięzca otrzyma także coś namacalnego. Przyślę ci jego odświętny garnitur. Wierzę, że jeśli duch ojczyma jest z czymkolwiek związany, to właśnie z tym ubraniem.

To bardzo ładny, staroświecki garnitur, uszyty przez Great Western Tailoring, w drobny srebrny prążek, bla, bla, satynowa podszewka, bla, bla. - Danny przestał czytać i wskazał palcem ekran. - Zobacz wymiary, szefie. Jak na ciebie. Najwyższa oferta to osiemdziesiąt dolców. Jeśli chciałbyś kupić ducha, wygląda na to, że możesz go dostać za stówę.

- Kupmy go - odparł Jude.

- Poważnie? Zalicytować sto dolarów?

Jude zmrużył oczy. Tuż pod opisem przedmiotu zobaczył przycisk z napisem: Może być twój: \$1000, a niżej: kliknij, by kupić i natychmiast zakończyć aukcję. Postukał palcem w szklany monitor.

- Dajmy tysiąc i załatwmy sprawę.

Danny obrócił się na krześle, uśmiechnął i uniósł brwi. Miał wysokie, wygięte brwi jak Jack Nicholson i potrafił znakomicie ich używać. Może oczekiwał wyjaśnienia, lecz Jude nie miał pewności, czy potrafiłby wytłumaczyć nawet samemu sobie, czemu uznał za stosowne zapłacić tysiąc dolarów za stary garnitur, pewnie niewart jednej piątej tej sumy. Później pomyślał, że to mogłaby być dobra reklama: Judas Coyne kupuje poltergeista. Fani uwielbiali podobne historie. Ale to było później. Wtedy, w tamtym momencie, wiedział tylko, że chce być tym, kto kupił ducha.

Ruszył do drzwi. Zamierzał wejść na górę i sprawdzić, czy Georgia już się ubrała. Pół godziny temu powiedział, by coś na siebie włożyła, przypuszczał jednak, że nadal leży w łóżku. Miał przecucie, że zamierza tam zostać, póki nie doczeka się kłótni, na którą miała ochotę. Będzie siedziała w bieliźnie, starannie malując czarnym lakierem paznokcie u nóg. Albo może otworzy

laptopa i zacznie surfować po sklepach z gotyckimi akcesoriami w poszukiwaniu idealnego świeca do języka, jakby i tak nie miała już dosyć, do cholery... I nagle na myśl o surfowaniu po sieci Jude zatrzymał się, bo coś przyszło mu do głowy. Obejrzał się na Danny'ego.

- Skąd w ogóle się o tym dowiedziałeś? - Skinieniem głowy wskazał komputer.

- Dostaliśmy e-maila.

- Od kogo?

- Od domu aukcyjnego. Przysłali nam typowego maila: Za-uważaliśmy, że kupowałeś wcześniej podobne przedmioty, i pomyśleliśmy, że to cię może zainteresować.

- Kupowałeś wcześniej podobne przedmioty?

- Pewnie coś okultystycznego.

- Nigdy w życiu nie kupiłem niczego z tej strony.

- Może kupiłeś i nie pamiętasz? Może ja kupiłem coś dla ciebie?

- Pieprzony kwas - mruknął Jude. - Kiedyś miałem dobrą pamięć. W liceum należałem nawet do kółka szachowego.

- Poważnie? To dopiero wizja.

- Co? To, że mógłbym należeć do kółka szachowego?

- Chyba tak. To takie... grzecznutki.

- Tak, ale zamiast figur używałem obciętych palców.

Danny roześmiał się - nieco zbyt głośno, zginając się wpół i ocierając z kącików oczu nieistniejące łzy. Co za przymilny wazeliniarz.

2

Garnitur dostarczono w sobotę, wczesnym rankiem. Jude był właśnie z psami na dworze.

Angus skoczył, gdy tylko furgonetka UPS zatrzymała się przed domem. Wyrwał Jude'owi z ręki smycz i rzucił się na zaparkowany samochód, bryzgając śliną i wściekle drapiąc drzwi od strony kierowcy. Kierowca pozostał w wozie, przyglądając się wielkiemu owczarkowi niemieckiemu ze spokojną czujnością lekarza badającego pod mikroskopem nowy szczep eboli. Jude złapał koniec smyczy i szarpnął mocniej, niż zamierzał. Pies poleciał na bok, przekreślił się i natychmiast zerwał z ziemi, warcząc. Do zabawy włączyła się Bon, naciągając smycz, którą Jude trzymał w drugiej ręce, i ujadając tak przenikliwie, że rozboleła go głowa.

Uznawszy, że do stodoły i do ich kojca jest za daleko, Jude, cały czas walcząc z dwoma rozjuszonymi psami, zawlókł je przez podwórko na frontową werandę, wepchnął do domu i zatrzasnął drzwi. Psy natychmiast zaczęły rzucać się na niego, ujadając histerycznie. Drzwi dygotały przy każdym uderzeniu. Pieprzone kundle.

Wrócił na podjazd i dotarł do furgonetki UPS akurat w chwili, gdy tylne drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem. W środku stał doręczyciel. Zeskoczył na ziemię, trzymając pod pachą długie, płaskie pudło.

- Ozzy Osbourne hoduje szpice pomeraniany - rzekł. - Widziałem je w telewizji, urocze pieski, potulne jak koty. Myślał pan kiedyś, żeby kupić sobie takie?

Jude bez słowa odebrał od niego pudło i wrócił do domu.

Zaniósł je aż do kuchni, położył na blacie i nalał sobie kawy. Z natury i wychowania należał do ludzi wcześniej wstających z łóżka. Kiedy był w trasie albo nagrywał, przywykł do kładzenia się o piątej nad ranem, lecz siedzenia po nocach nigdy nie lubił. W trasie budził się o czwartej po południu, wkurzony i skacowany, nie mając pojęcia, gdzie się podział czas. Wszyscy znajomi wydawali mu się sprytnymi oszustami, pozbawionymi uczuć. Obcymi w gumowych kombinezonach i maskach jego przyjaciół. Trzeba było sporej dawki alkoholu, by znów stali się sobą.

Tyle że od ostatniej trasy koncertowej minęły już trzy lata. W domu nie pociągało go picie i zazwyczaj o dziewiątej zaczynał już przysypiać. W wieku pięćdziesięciu czterech lat znów poddał się rytmowi, który kierował nim jeszcze w czasach, gdy nazywał się Justin Cowzynski i jako paroletni chłopiec mieszkał na świńskiej farmie. Gdyby wówczas spał jeszcze po wschodzie słońca, ojciec, sukinsyn i analfabeta, wywłókłby go z łóżka za włosy. To było dzieciństwo w błocie, wśród szczekających psów, drutu kolczastego, rozpadających się budynków gospodarskich, kwiczących świń o zadartych ryjach i łuszczącej się skórze. Ludzi prawie nie widywał - poza matką, większość czasu spędzającą przy kuchennym stole z obojętną, nieobecną miną kogoś poddanego lobotomii, oraz ojcem, który żelazną ręką i gniewnym śmiechem rządził królestwem świńskiego łajna i ruin.

Zatem Jude wstał już kilka godzin wcześniej, ale nie jadł jeszcze śniadania i smażył właśnie bekon, gdy w kuchni zjawiła się Georgia. Miała na sobie jedynie czarne majteczki, ręce splotła na małych, białych, zakolczykowanych piersiach. Jej czarne włosy tworzyły miękką, splątana sieć wokół głowy. Tak naprawdę nie miała na imię Georgia ani Morfina, choć przez dwa lata rozbiegała się pod tym pseudonimem. Nazywała się Marybeth Kimball, tak przyziemnie i banalnie, że zaśmiała się, po raz pierwszy podając mu swe prawdziwe nazwisko, jakby się go wstydziła.

Jude zaliczył wiele gotyckich panienek, które zarabiała na życie striptizem, przepowiadaniem przyszłości albo striptizem

i przepowiadaniem przyszłości, ładnych dziewczyn noszących ankhy i malujących paznokcie czarnym lakierem. Zawsze nazywał je od stanu, z którego pochodziły. Zazwyczaj nie przepadały za tym, bo nie lubiły, by przypominać im o osobie, którą starały się wymazać z powierzchni ziemi za pomocą makijażu żywych trupów. Miała dwadzieścia trzy lata.

- Cholerne, durne psy - mruknęła, odpychając jednego z nich na bok piętą. Oba kręciły się Jude'owi wokół nóg, podniecone zapachem bekonu. - Obudziły mnie, kurwa.

- Może już czas wstać, kurwa? Pomyślałaś o tym?

Jeśli mogła, nigdy nie wstawiała przed dziesiątą.

Schyliła się i sięgnęła do lodówki po sok pomarańczowy. Jude patrzył z przyjemnością, jak paski bielizny wcinają się w niemal białe półkule pośladków, kiedy jednak zaczęła pić z kartonu, odwrócił wzrok. W dodatku zostawiła karton na blacie. Gdyby sam go nie schował, sok by się zepsuł.

Cieszyło go uwielbienie gotek. Jeszcze bardziej lubił seks, ich gibkie, umięśnione, tatuowane ciała i gotowość do wszelkich eksperymentów. Był jednak kiedyś żonaty z kobietą, która używała szklanki i sama wszystko chowała, a rano czytała gazetę, i tęsknił za rozmowami. To były rozmowy dorosłych. Nie zarabiała na życie striptizem. Nie wierzyła w przepowiadanie przyszłości. Ich związek był związkiem dorosłych ludzi.

Georgia nożem do steków rozcięła pudełko UPS, po czym odłożyła nóż na ladę. Do ostrza przylepił się kawałek taśmy.

- Co to? - spytała.

W pierwszym pudle tkwiło drugie, mocno wciśnięte, i musiała przez chwilę ciągnąć, by je wydobyć. Było duże, błyszczące i czarne, miało kształt serca. W podobnych pudełkach sprzedawano czekoladki, choć to było stanowczo za duże. A poza tym producenci czekoladek woleli kolor różowy albo żółty. Zatem to pudełko z bielizną - tyle że nic takiego dla niej nie zamawiał. Zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, co może być w środku, a jednocześnie czuł, że pudełko w kształcie serca zawiera coś, czego się spodziewał.

- To dla mnie? - spytała.

Otworzyła przykrywkę i wyjęła garnitur. Ktoś przysłał mu garnitur - czarny, staromodny, niewyraźny pod workiem z pralni chemicznej. Georgia trzymała go za ramiona, przed sobą, niemal jak sukienkę, którą zamierza kupić, lecz najpierw chce usłyszeć czyjąś opinię. Patrzyła pytająco, między jej brwiami zarysowała się uroczą zmarszczka. Przez moment Jude nie pamiętał, nie wiedział, co to za przesyłka.

Otworzył usta, by powiedzieć, że nie ma pojęcia, i nagle sobie przypomniał.

- Garnitur nieboszczyka.

- Słucham?

- Duch. Kupiłem ducha. Jakaś kobieta wierzyła święcie, że jej dom nawiedza duch ojczyma. Wystawiła zatem niespokojną duszę na sprzedaż w Internecie, a ja kupiłem ją za tysiąc dolców. To garnitur tego ojczyma. Może być źródłem nawiedzenia.

- Super - rzuciła Georgia. - To co, będziesz go nosił?

Jude'a zaskoczyła własna reakcja. Wstrząsnął się, zdrtwił, poczuł gęsią skórę. W pierwszym, instynktownym odruchu sam pomysł wydał mu się nieprzyzwoity.

- Nie - rzekł, a ona spojrzała na niego zaskoczona. Uświadomił sobie, że w jego głosie brzmiał... no, nie strach, ale chwilowa słabość. - Nie pasowałby - dodał szybko, choć po prawdzie wyglądało na to, że poltergeist za życia był jego wzrostu i budowy.

- Może ja przymierzę? - zaproponowała Georgia. - Sama jestem niespokojnym duchem i wyglądam ekstra w męskich ciuchach.

I znów fala nagłego wstępu, mrowienie skóry. Nie powinna go wkładać. Był poruszony do głębi jej pomysłem, choć nie miał pojęcia dlaczego. Nie pozwoli Georgii włożyć garnituru. W tej jednej sekundzie nie potrafił sobie wyobrazić niczego bardziej ohydneho.

A to już nie przelewki. Na świecie istniało mało rzeczy zbyt wstępnych, by Jude brzydził się o nich myśleć. Nie przywykł do niesmaku. Nie przeszkadzały mu żadne profanacje - dzięki nim od trzydziestu lat całkiem nieźle zarabiał na życie.

- Zabiorę go na górę i zastanowię się, co z nim zrobić. - Starał się, by zabrzmiało to lekceważąco. Nie do końca mu się udało.

Georgia wpatrywała się w niego zafascynowana nieoczekiwanym zachwianiem jego pewności siebie. Szybkim gestem ściągnęła worek z garnituru. Srebrne guziki rozbłysły w słońcu. Garnitur był ponury, czarny jak krucze pióra, lecz te guziki rozmiaru ćwierćdolarówek nadawały mu lekko rustykalny wygląd. Wystarczy dodać sznurkowy krawat i Johnny Cash mógłby włożyć go na scenę.

Angus zaczął wysoko, przenikliwie, panicznie szczekać. Przystał na tylnych łapach i podkulił ogon, cofając się, byle dalej od garnituru. Georgia wybuchnęła śmiechem.

- Faktycznie jest nawiedzony.

Uniosła go przed sobą i pomachała w przód i w tył, niczym matador muletą, w stronę psa. Zbliżając się, zajęczała gardłowo, przeciągle jak zbłąkany upiór. Oczy jej błyszczały radośnie.

Angus odskoczył, uderzył w stółek stojący przy kuchennym blacie i wyrzucił go z donośnym łoskotem. Bon wyrzwała spod starej, zakrwawionej deski do krojenia. Uszy miała stulone ciasno przy głowie. Georgia znów się zaśmiała.

- Przestań, kurwa! - warknął Jude.

Posłała mu bezczelne, perwersyjnie rozradowane spojrzenie - spojrzenie dziecka przypalającego mrówki szkłem powiększającym - a potem skrzywiła się boleśnie, krzyknęła i klnęła, złapała się za prawą rękę. Odrzuciła garnitur na blat.

Na czubku kciuka wezbrała kropla krwi i kapnęła na wykładaną kaflami podłogę.

- Cholera - rzuciła Georgia. - Pieprzona szpilka.

- Trzeba się było słuchać.

Spojrzała na niego gniewnie, uniosła palec w obelżywym geście i wyszła. Kiedy zniknęła, Jude wstał i schował sok do lodówki. Potem wrzucił nóż do zlewu, sięgnął po ścierkę, żeby zetrzeć krew z podłogi - wtedy jego wzrok padł na garnitur i zapomniał, co zamierzał zrobić.

Przyglądził go, złożył rękawy na piersi, pomacał starannie, lecz nie znalazł żadnej szpilki. Nie mógł zrozumieć, czym skaleczyła się Georgia. Delikatnie ułożył garnitur w pudełku.

Nagle nozdrza wypełniła mu gryząca woń. Spojrzał na patelnię i zaklął. Bekon się przypalił.

3

Schował pudełko głęboko w szafie i postanowił więcej o nim nie myśleć.

4

Przechodził właśnie przez kuchnię, parę minut przed szóstą, po kiełbaski na grill, gdy usłyszał, jak ktoś szepcze w biurze Danny'ego.

Zamarł. Danny pojechał do domu ponad godzinę wcześniej. Biuro powinno być puste. Jude przekrzywił głowę, nasłuchując, skupiając się na cichym, syczącym głosie... po chwili zorientował się, co słyszy, i bijące gwałtownie serce zaczęło zwalniać.

W środku nie było nikogo, gadało radio. Niskie tony nie były dość niskie, głos odrobinę spłaszczony. Dźwięki mogą sugerować kształty, kreślić obraz kieszeni powietrznej, w której powstają. Grłos w studni ma głębokie, krągłe echo, głos w szafie wydaje się ściśnięty, pozbawiony pełni. Muzyka to także geometria. Teraz Jude słyszał głos wciśnięty do pudełka. Otworzył drzwi biura i wsadził do środka głowę. Światło się nie paliło, słońce świeciło z drugiej strony budynku i całe pomieszczenie nurzało się w niebieskim cieniu. Wieża w biurze była trzecią i najgorszą w całym domu, ale i tak lepszą niż większość amatorskiego sprzętu - zestaw Onkyo w szklanej szafce obok baniaka z wodą. Wyświetlacze płonęły jaskrawą, nienaturalną zielenią koloru przedmiotów oglądanych przez noktowizor. Wyjątek stanowiła samotna, lśniąca, pionowa czerwona kreska, rubinowy znacznik częstotliwości, na którą nastrojono odbiornik. Wąska szczelina kształtu kociej źrenicy zdawała się obserwować biuro z niewzruszoną, obcą fascynacją.

- Jak zimno ma być jutro? - spytał mężczyzna w radiu niskim, niemal szorstkim głosem. Sądząc z poświstywania towa-

rzyszającego jego oddechom, miał sporą nadwagę. - Czy musimy się martwić tym, że rano znajdziemy włóczęgów poprzymarzanych do ziemi?

- Twoja troska o los bezdomnych niezwykle mnie wzrusza - odparł drugi mężczyzna o nieco zbyt wysokim, piskliwym głosie.

To była stacja WFUM, puszczająca zespoły o nazwach śmiertelnych chorób (Anthrax) bądź stadiów rozkładu (Rancid), w której didżeje uwielbiali zajmować się tematami takimi jak wszy tonowe, striptizerki i zabawne upokorzenia spotykające ludzi biednych, kalekich i starszych. Praktycznie bez przerwy puszczali muzykę Jude'a i dlatego Danny nastawiał radio na ich stację, w akcie lojalności i pochlebstwa. Zapewne nie miał żadnych wyraźnych upodobań muzycznych, sympatii bądź antypatii, i radio stanowiło dla niego jedynie szum w tle, dźwiękowy odpowiednik tapety. Gdyby pracował dla Enyi, z radością nuciłby do wtóru celtyckich zaśpiewów, odpowiadając na jej e-maile i wysyłając faksy.

Jude ruszył naprzód, by wyłączyć radio, lecz po paru krokach zamarł, bo naszło go nowe wspomnienie. Godzinę wcześniej wyprowadzał psy. Stał na skraju zwirowego podjazdu, napawając się ostrością powietrza, ukłuciem chłodu na policzkach i słabą wonią gryzącego dymu. Ktoś z sąsiadów palił stos chwastów i jesiennych liści.

Danny wyszedł właśnie z biura i narzucił kurtkę. Wybierał się do domu. Przez chwilę stali i rozmawiali - czy też, ściślej biorąc, Danny kłapał jadaczką, a Jude obserwował psy, próbując się wyłączyć. Cały Danny Wooten, jak zawsze gotów zakłócić doskonałą ciszę.

Ciszę. W biurze Danny'ego panowała cisza. Jude pamiętał krakanie gawronów i strumień pogodnych słów wylewających się z ust Danny'ego, ale nie było dźwięku z radia. Z pewnością by usłyszał. Uszy nadal dobrze mu służyły. Wbrew logice przetrwały wszystko, na co je narażał przez trzydzieści lat. Jedyne poza nim żyjący członek pierwotnego składu zespołu, Kenny Morlix, perkusista, cierpiał na nieustanne szумы w uszach, tak głośne, że nie słyszał nawet własnej żony, gdy krzyczała mu prosto w twarz.

Jude znowu ruszył naprzód, lecz wcześniejszy niepokój powrócił. Nie wzbudziła go jedna rzecz, tylko ogólna sytuacja: mrok panujący w biurze i ognistoczerwone oko, świadomość, że godzinę temu, gdy Danny stał w otwartych drzwiach, zapinając kurtkę, radio nie było włączone, myśl, że ktoś niedawno znalazł się w biurze i może wciąż jest w pobliżu, obserwuje go z mroku łazienki, której drzwi zawsze pozostawały uchylone - paranoiczny pomysł zupełnie niepodobny do niego, lecz wciąż niedający mu spokoju. Jude sięgnął do wyłącznika radia. Tak naprawdę już nie słuchał - wpatrywał się w drzwi, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby zaczęły się otwierać.

- Zimny i suchy front przesuwa się na południe - powiedział spiker. - Martwi ściągają żywych w dół. W dół i w chłód. Do dziury, w dół. Umrz...

Jude zgasił radio w tej chwili i zaraz znowu je włączył, by znów usłyszeć ów głos, domyślić się, o co chodziło spikerowi czytającemu prognozę pogody.

Tyle że on już skończył i do mikrofonu powrócił didżej.

- ...odmrozi nam tyłki, ale Kurt Cobain grzeje się w piekle. Jazda.

Zajęczała gitara, wydając z siebie długi, drżący, piskliwy dźwięk, który ciągnął się i ciągnął, pozbawiony wyraźnej melodii czy celu, prócz może jednego: doprowadzenia słuchaczy do obłędu. Początek I Hate Myself and I Want to Die Nirvany. Czy o tym mówił spiker? Wspominał coś o śmierci. Jude raz jeszcze pstryknął wyłącznikiem i w pokoju zapanowała cisza.

Nie przetrwała długo. Tuż za jego plecami zabrzączał telefon. Jude'owi tętno znów podskoczyło gwałtownie. Spojrzał na biurko Danny'ego, zastanawiając się, kto może dzwonić na linię biurową o tej porze. Okrzyknął blat, żeby sprawdzić identyfikator numeru. Zaczynał się od 985, a więc wschodnia Luizjana. Towarzyszyło mu nazwisko: Cowzinsky, M.

Nie musiał podnosić słuchawki, by wiedzieć, że tak naprawdę to nie Cowzinsky, M. do niego dzwoni. No, chyba że wydarzył się medyczny cud. Miał nie odbierać, nagle jednak przyszło mu do głowy, że może to Arlene Wade dzwoni z informacją, że Mar-

tin umarł. A w takim razie i tak będzie z nią musiał porozmawiać, wcześniej czy później, czy tego chce, czy nie.

- Halo?

- Witaj, Justinie. - Arlene była jego ciotką, żoną wuja, szwagierką jego matki i licencjonowaną asystentką medyczną, choć przez ostatnich trzynaście miesięcy miała tylko jednego pacjenta: ojca Jude'a. Skończyła już sześćdziesiąt dziewięć lat i mówiła załamującym się, jęklwym głosem. Dla niej na zawsze miał pozostać Justinem Cowzyskim.

- Jak się miewasz, Arlene?

- Tak samo jak zawsze. I ja, i pies jakoś ciągniemy. Choć on prawie już nie wstaje, jest za gruby i boli go kręgosłup. Ale nie dzwonię, żeby rozmawiać o mnie i o psie. Dzwonię w sprawie twojego ojca.

Jakby mógł istnieć inny powód do telefonu. W słuchawce zażumiało. Kiedyś Jude udzielał telefonicznego wywiadu gwiazdzie radiowej z Pekinu i odbierał telefony od Briana Johnsona z Australii. Połączenie zawsze było czyste i wyraźne, jakby dzwonił z drugiej strony ulicy. Nie wiadomo czemu telefony z Moore's Corner w Luizjanie brzmiały słabo i niewyraźnie, jak daleka stacja nadająca na długich falach. Głosy z innych rozmów przedstawiały się na linię, ledwie słyszalne przez kilka chwil, po czym rozplywały się pośród szumów. Owszem, w Baton Rouge mieli już szerokopasmowe łącza internetowe, lecz w małych miasteczkach na bagnach na północ od jeziora Pontchartrain jeśli ktoś chciał się łączyć siecią z resztą świata, musiał naprawić samochód i wynieść się stamtąd do diabła.

- Przez ostatnich kilka miesięcy karmiłam go łyżeczką, miękkimi potrawami, których nie musiał gryźć. Bardzo lubił makaron gwiazdki, pastinę. I budyń waniliowy. Nigdy nie spotkałam umierającego, który na odchodnym nie przepadałby za budyniem.

- Dziwne, nigdy nie lubił słodczy. Jesteś pewna?

- Kto się nim opiekuje?

- Ty.

- W takim razie owszem, jestem pewna.

- W porządku.

- Dlatego dzwonię. Nie chce już jeść budyniu ani gwiazdek, ani niczego innego. Kiedy wkładam mu coś do ust, po prostu się dławi. Nie może połykać. Wczoraj zbadał go doktor Newland. Sądzi, że twój tato miał kolejny atak.

- Udar. - To nie było pytanie.

- Nie z rodzaju tych, które powalają człowieka. Gdyby do tego doszło, już by nie żył. To był jeden z tych mniejszych. Nie zawsze widać, kiedy się zdarzają, zwłaszcza gdy pacjent osiągnie taki stan jak on. Po prostu patrzy. Od dwóch miesięcy nie odezwał się do nikogo ani słowem i nigdy już nic nie powie.

- Jest w szpitalu?

- Nie, tutaj możemy zająć się nim równie dobrze, jeśli nie lepiej. Ja z nim mieszkam, a doktor Newland przychodzi co dzień. Ale możemy posłać go do szpitala. Tak będzie taniej, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

- Nie ma. Zostawmy szpitalne łóżka dla ludzi, którzy mogą jeszcze wyzdrowieć.

- Nie będę się spierać. Zbyt wielu ludzi umiera w szpitalach.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić z tym niejedzeniem?

Długo milczała, zupełnie jakby pytanie ją zaskoczyło. Kiedy znów się odezwała, mówiła tonem łagodnie rozsądnym i przepraszającym, jak kobieta wyjaśniająca dziecku bolesną prawdę.

- No cóż, to zależy od ciebie, nie ode mnie, Justinie. Doktor Newland może wprowadzić mu sondę i tato pożyje jeszcze jakiś czas, jeśli tego chcesz. Do następnego ataku, kiedy na przykład zapomni, jak się oddycha. Albo możemy po prostu pozwolić mu odejść. Nigdy już nie wyzdrowieje. Ma osiemdziesiąt pięć lat. Jest gotów. A ty?

Jude pomyślał, że jest gotów od ponad czterdziestu lat, ale tego nie powiedział. Od czasu do czasu wyobrażał sobie tę chwilę, słusznie byłoby stwierdzić, że nawet o niej marzył - lecz teraz, kiedy nadeszła, ze zdumieniem odkrył, że boli go brzuch.

- W porządku, Arlene. Żadnej sondy. Skoro mówisz, że już czas, to mi wystarczy. Informuj mnie, dobrze?

Ale ona jeszcze nie skończyła. Parsknęła niecierpliwie, głośno wypuszczając powietrze.

- Przyjedziesz? - spytała.

Nadal stał przy biurku Danny'ego. Zmarszczył brwi zaskoczony. Rozmowa bez ostrzeżenia przeskoczyła na zupełnie inny temat, niczym igła gramofonu z jednej ścieżki na drugą.

- Niby po co?

- Nie chcesz go zobaczyć, nim odejdzie?

Nie. Od trzech dziesięcioleci nie widział ojca, nie przebywał z nim w tym samym pomieszczeniu. Nie chciał widzieć starego przed śmiercią. Ani po niej. Nie zamierzał brać udziału w pogrzebie, choć to on za niego zapłaci. Bał się tego, co mógłby poczuć - albo czego nie poczuć. Zapłaci tyle, ile trzeba, byle nigdy więcej nie spotkać się z ojcem. Oto najlepsza rzecz, jaką może kupić za pieniądze: odległość.

Nie mógł jednak powiedzieć tego Arlene Wade, tak samo jak nie mógł przyznać, że czeka na śmierć starego, odkąd skończył czternaście lat.

- Czy w ogóle by wiedział, że tam jestem?

- Trudno stwierdzić. Jest świadom obecności ludzi w jego pokoju, porusza oczami, wodzi za nimi wzrokiem. Ostatnio jednak słabiej reaguje. Tak to już bywa u chorych, u których powoli przepalają się obwody.

- Nie dam rady dotrzeć, ten tydzień nie jest najlepszy. - Jude sięgnął po najłatwiejsze kłamstwo. Uznał, że rozmowa dobiegła końca, i już miał powiedzieć do widzenia, kiedy, zaskakując samego siebie, zadał pytanie. Sam nie wiedział, że o tym myśli, dopóki nie wypowiedział go głośno. - Czy będzie ciężko?

- Mu umrzeć? Nie. Kiedy stary człowiek osiąga ten etap, bez podłączenia do sondy umiera bardzo szybko. Wcale nie cierpi.

- Jesteś pewna?

- A czemu? - spytała. - Zawiedziony?

5

Czterdzieści minut później Jude poszedł do łazienki, by namoczyć stopy - rozmiar trzynaście, płaskostopie, stałe źródło bólu - i zastał Georgię pochyloną nad umywalką, ssącą kciuk. Miała na sobie koszulkę i spodenki od piżamy z uroczym czerwonym wzorkiem przypominającym serduszka. Dopiero gdy człowiek się zbliżył, widział, że małe czerwone serca to w rzeczywistości skurczone, martwe szczury.

Wyciągnął jej dłoń z ust i obejrzał palec. Koniuszek był spuchnięty, pośrodku widniała biała, rozmiękczona ranka. Odwrócił się obojętnie. Z podgrzewanego wieszaka ściągnął ręcznik i zarzucił sobie na ramię.

- Powinnaś czymś to posmarować, zanim zaczniesz ropieć. Okaleczone striptizerki tańczące przy rurze mają problemy ze znalezieniem pracy.

- Ile współczucia! Nieżył z ciebie sukinsyn.

- Jeśli chcesz współczucia, idź się dupczyć z Jamesem Taylorem.

Obejrzał się przez ramię, patrząc, jak wychodzi. Gdy tylko to rzekł, chciał cofnąć te słowa. Ale dziewczyny takie jak Georgia, noszące nabijane metalowymi ćwiekami bransoletki i malujące usta błyszczącą, czarną, trupią szminką, pragnęły ostrego traktowania. Chciały dowieść same sobie, jak wiele potrafią znieść, pokazać, że są twarde. Dlatego do niego przychodziły. On zaś nie chciał, by któraś odeszła zawiedziona. Bo było zrozumiałe, że wcześniej czy później każda z nich odejdzie.

Przynajmniej on to rozumiał. A jeśli one z początku nie chwyciły, w końcu każda się domyśliła.

6

Jeden z psów był w domu.

Jude obudził się tuż po trzeciej nad ranem i usłyszał go w korytarzu - cichy szmer towarzyszący niespokojnym ruchom, lekkie uderzenie o ściany.

Jeszcze przed zmierzchem zamknął je w psiarni, pamiętał to doskonale. Ale w tych pierwszych kilku minutach po przebudzeniu nie przejmował się tym. Po prostu któryś musiał jakoś dostać się do domu, i tyle.

Przez moment siedział bez ruchu, wciąż oszołomiony i senny. Błękitna plama księżycowego światła padała na Georgię śpiącą na brzuchu. We śnie jej twarz, odprężona, ze zmytym makijażem, wyglądała niemal dziewczęco i Jude'a ogarnęła nagła czułość - a także osobliwy wstyd i zakłopotanie tym, że znalazł się z nią w łóżku.

- Angus? - wymamrotał. - Bon?

Georgia się nie poruszyła. Teraz w korytarzu zrobiło się cicho. Jude wysliznął się spod kołdry. Poprzedni dzień był najzimniejszy od miesiący, pierwszy prawdziwy dzień jesieni i w powietrzu czuło się surowy, lepki chłód. Na zewnątrz temperatura spadła jeszcze bardziej. Może dlatego psy dostały się do domu. Może przekopały się pod ścianką psiarni i w jakiś sposób dostały do środka, rozpaczliwie złaknione ciepła. Ale to przecież bez sensu. Część psiarni mieściła się pod dachem. Gdyby zrobiło im się zimno, mogły ukryć się w ogrzewanej stodole. Ruszył w stronę drzwi, by to sprawdzić, przy oknie jednak przystanął i uchylił zasłonę, wyglądając na zewnątrz.

Psy były w otwartej części psiarni. Oba, wyraźnie widoczne na tle ściany stodoły. Angus niespokojnie krążył tam i z powrotem. Bon siedziała sztywno w kącie. Głowę miała podniesioną i wpatrywała się wprost w okno Jude'a - w niego. Jej oczy w ciemności zalśniły jasną, nienaturalną zielenią. Była zbyt nieruchoma, zbyt niewzruszona, niczym posąg psa, a nie prawdziwe zwierzę.

Jude przeżył wstrząs, gdy ujrzał ją patrzącą wprost na niego, jakby obserwowała szybę nie wiadomo jak długo, czekając aż się zjawi. Lecz jeszcze bardziej wstrząsnęła nim świadomość, że w domu jest ktoś inny, ktoś, kto chodzi po pokojach, wpada na ściany w korytarzu.

Zerknął na panel systemu alarmowego przy drzwiach sypialni. Domu na zewnątrz i wewnątrz strzegły dziesiątki czujników ruchu. Psy były za małe, by je uruchomić, lecz natychmiast wyłapałyby dorosłego człowieka i panel zarejestrowałby poruszenie w którejś części domu.

Jednak na wyświetlaczu cały czas płonęło zielone światełko i napis SYSTEM GOTOWY. Jude zastanawiał się, czy procesor jest dość cwany, by rozróżnić psa od nagiego psychopaty biegającego na czworakach z nożem w zębach.

Miał pistolet, ale trzymał go w prywatnym studiu nagraniowym, w sejfie. Sięgnął zatem po stojącą przy ścianie gitarę Dobro. Nigdy nie rozbijał gitar na pokaz. Ojciec rozwalił mu pierwszy instrument, próbując zdusić w zarodku muzyczne ambicje syna, i Jude nie był w stanie powtórzyć tego wyczynu, nawet na scenie, choć mógł sobie pozwolić na wszystkie gitary tego świata. Nie miał jednak oporów przed użyciem jednej z nich w samoobronie. Przepuszczał, że w pewnym sensie zawsze stanowiły dla niego broń.

Usłyszał skrzypienie jednej deski w holu, potem drugiej, a potem westchnienie, jakby ktoś znalazł sobie miejsce. Serce zabiło mu mocniej. Otworzył drzwi.

Ale korytarz był pusty. Jude zaczął brnąć przez długie prostokąty lodowatego światła wnikającego przez świetliki. Zatrzymywał się w przy każdym zamkniętych drzwiach, chwilę nasłuchi-

wał i zaglądał do środka. Koc rzucony na krzesło przez moment wyglądał jak kaleki karzeł patrzący na niego gniewnie. W innym pokoju tuż za drzwiami ujrzał wysoką chudą postać i serce załomotało mu w piersi. Już miał zamachnąć się gitarą, gdy uświadomił sobie, że to wieszak, i z płuc uleciało mu całe powietrze.

Dotarł do studia na końcu korytarza. Zastanowił się, czy zabrać broń, ale tego nie zrobił. Nie chciał jej mieć przy sobie - nie dlatego że bał się jej użyć, lecz ponieważ nie dość się bał. Był tak nakręcony, że mógł zareagować na nagłe poruszenie w ciemności, naciskając spust i rozwalając głowę Danny'emu Wootenowi bądź gospodyni, choć nie potrafił sobie wyobrazić, czemu mieliby się skradać po domu o tej porze. Wrócił na korytarz i zszedł na dół.

Przeszukał parter, wszędzie zastał jednak tylko ciszę i bezruch. Powinno to go uspokoić, ale nie, był to bowiem osobliwy bezruch, niecodzienna, szokowana cisza, która nastaje po wybuchu petardy. W uszach czuł tętnienie wywołane naciskiem tej ciężkiej, strasznej ciszy.

Nie mógł się odprężyć, lecz u stóp schodów udał, że to robi, grając sam przed sobą. Oparł gitarę o ścianę i głośno wypuścił powietrze.

- Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy? - rzekł. Był jednak tak podenerwowany, że zirytował go nawet dźwięk własnego głosu. Na przedramionach wystąpiła mu zimna, kłująca gęsia skórka. Nie należał do ludzi, którzy mówią do siebie.

Wspiął się po schodach i w korytarzu zobaczył starego mężczyznę siedzącego na drewnianym krześle pod ścianą. Puls przyspieszył mu gwałtownie. Odwrócił wzrok, wbijając spojrzenie w drzwi sypialni, tak że widział starego jedynie kątem oka. Przez następnych kilka chwil czuł, że unikanie kontaktu wzrokowego to kwestia życia i śmierci. Nie mógł dać po sobie poznać, że go zobaczył. Nie widzę go, powtarzał sobie w duchu. Nikogo tam nie ma.

Stary siedział z pochyloną głową, kapelusz położył sobie na kolanie. Włosy miał ścięte krótko, najeża, jaśniały bielą świeżego

szronu. Guziki marynarki połyskiwały w mroku, posrebrzone promieniami księżyca. Jude natychmiast rozpoznał garnitur. Gdy go ostatnio widział, leżał w czarnym pudełku w kształcie serca, które trafiło w sam kąt szafy. Stary człowiek miał zamknięte oczy.

Jude'owi serce tłukło się w piersi, oddychał z trudem. Cały czas szedł w stronę drzwi sypialni mieszczącej się na samym końcu korytarza. Gdy mijał ustawione pod lewą ścianą krzesło, nogą otarł się o kolano starego i duch uniósł głowę. Lecz do tego czasu Jude zdążył go minąć, dotarł już niemal do drzwi. Bardzo uważał, by nie biec. Nie miało znaczenia, czy ten stary wpatruje mu się w plecy. Byle nie spojrzeli sobie w oczy. A poza tym nie było przecież żadnego starego człowieka.

Zamknął drzwi sypialni. Poszedł wprost do łóżka, położył się i natychmiast zaczął się trząść. Chciał przysunąć się do Georgii i objąć ją mocno, pozwolić, by jej ciepłe ciało ogrzało go, przegnało dreszcze. Pozostał jednak po swej stronie łóżka, żeby jej nie budzić. Wbijał wzrok w sufit.

Georgia zaczęła się wiercić. Jęknęła przez sen.

7

Nie sądził, że zdoła zasnąć, lecz o świcie przysnął i obudził się nietypowo późno, po dziewiątej. Georgia leżała na boku, drobną dłoń położyła na jego piersi, jej ciepły oddech owiewał mu ramię. Jude wstał z łóżka ostrożnie, by nie zbudzić dziewczyny. Poszedł na dół.

Gitara Dobro stała oparta o ścianę, tam gdzie ją zostawił. Na jej widok zatrzepotało mu serce. Starał się udawać, że tej nocy wcale nie widział tego, co widział, wyznaczył sobie cel: nie myśleć o tym. Ale przecież tu była.

Kiedy wyjrzał przez okno, dostrzegł samochód Danny'ego zaparkowany pod stodołą. Wcale nie chciał rozmawiać z asystentem, nie miał powodu zwracać mu głowy, lecz po chwili znalazł się już pod drzwiami biura. Nie mógł się powstrzymać - impuls nakazujący szukać towarzystwa innego człowieka, kogoś trzeźwego, rozsądnego, z głową pełną codziennych bzdur, okazał się zbyt silny.

Danny rozmawiał przez telefon. Siedział wygodnie odchyłony na krześle i śmiał się z czegoś. Wciąż miał na sobie zamszową kurtkę, Jude nie musiał pytać dlaczego. Owinął się ciasno szlafrokiem i zadrzał. W biurze panował wilgotny chłód.

Asystent dostrzegł go zagląającego przez drzwi i mrugnął. Był to jeszcze jeden jego ulubiony, włazidupny, hollywoodzki zwyczaj, choć akurat tego ranka Jude'owi w sumie nie przeszkadzał. Potem asystent dostrzegł coś w jego twarzy i zmarszczył brwi. Bezdźwięcznie wymówił słowa: Wszystko w porządku?.

Jude nie odpowiedział.

Danny pozbył się osoby, z którą rozmawiał, po czym obrócił się na krześle i spojrzął na niego z troską.

- Co się dzieje, szefie? Wyglądasz jak kupa nieszczęścia.

- Duch się zjawił - odparł Jude.

- Naprawdę? - Danny się rozpromienił, po czym zaplótł ręce na piersi i udał, że się trzęsie. Skinieniem głowy wskazał telefon. - Gadałem z ludźmi od ogrzewania. Zimno tu jak w pieprzonym grobie. Niedługo przyślą gościa, żeby sprawdził bojler.

- Chcę do niej zadzwonić.

- Do kogo?

- Do kobiety, która sprzedała nam ducha.

Danny opuścił jedną brew i uniósł drugą z miną świadcząca, że chyba się pogubił.

- Co to znaczy duch się zjawił?

- Zgodnie z zamówieniem. Zjawił się. Chcę do niej zadzwonić. Chcę się czegoś dowiedzieć.

Asystent wyraźnie potrzebował chwili, by przetrwać tę informację. Zaczął obracać się do komputera i telefonu, lecz wzrok nadal wbijał w Jude'a.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał.

- Nie - odparł Jude. - Idę zajrzeć do psów. Znajdź jej numer, dobrze?

Wyszedł w szlafroku, żeby wypuścić Bon i Angusa z psiarni. Temperatura spadła do dziesięciu stopni, w powietrzu wisiała lekka mgiełka. Mimo wszystko było tu przyjemniej niż w domu. Angus polizał mu dłoń szorstkim, gorącym językiem, tak rzeczywistym, że przez moment Jude poczuł niemal bolesne ukłucie wdzięczności. Cieszył się, że ma ze sobą psy pachnące mokrą sierścią, złaknione zabawy. Przebiegły obok niego, goniąc się, i wróciły biegiem. Angus skubał ogon Bon.

Ojciec traktował domowe psy lepiej niż Jude'a i jego matkę. Z czasem Jude nauczył się także traktować psy lepiej niż siebie. W dzieciństwie dzielił łóżko z psami, zwykle z dwoma po obu stronach, a czasem trzecim w nogach, i był praktycznie nierozłączny z niemytą, prymitywną, zakleszczoną ojcowską sforą. Ostra woń psa przypominała mu, kim naprawdę jest i skąd pochodzi. Toteż gdy wrócił do domu, czuł się

lepiej. Znów był sobą.

Danny mówił do słuchawki:

- Bardzo dziękuję. Zaczeka pani chwilę na pana Coyne'a? - Nacisnął przycisk i uniósł telefon. - Nazywa się Jessica Price. Mieszka na Florydzie.

Biorąc słuchawkę, Jude uświadomił sobie, że po raz pierwszy usłyszał pełne nazwisko tej kobiety. Kiedy płacił za ducha, po prostu się tym nie interesował, choć teraz wydało mu się, że powinien być pamiętać, zwrócić na to uwagę.

Zmarszczył brwi. Miała zupełnie zwyczajne nazwisko, ale z jakiegoś powodu nie dawało mu spokoju. Chyba nie słyszał go nigdy wcześniej, lecz należało do nazwisk tak łatwo umykających z pamięci, że nie miał pewności.

Przyłożył słuchawkę do ucha i skinął głową. Danny ponownie nacisnął guzik.

- Jessica, halo? Tu Judas Coyne.

- Jak się panu podoba garnitur, panie Coyne? - spytała. W jej głosie usłyszał delikatny południowy akcent. Mówiła lekkim, miłym tonem... w którym jednak kryło się coś jeszcze. Słyszał w nim jakiś cień, uroczy, zadziorny cień czegoś podobnego do drwiny.

- Jak twój ojczym wyglądał? - Judas należał do ludzi od razu przechodzących do rzeczy.

- Reese, skarbie - kobieta mówiła teraz do kogoś innego, nie do Jude'a - zechcesz wyłączyć telewizor i wyjść? - Z daleka dobiegł głos wyraźnie niezadowolonej dziewczynki. - Bo rozmawiam przez telefon. - Dziewczynka powiedziała coś jeszcze. - Bo to prywatna rozmowa. No już, uciekaj, sio. - Trzasnęły drzwi. Kobieta westchnęła znacząco, jakby mówiła No wie pan, dzieci, i podjęła rozmowę: - Widział go pan? Może to pan mi powie, jak według pana wyglądał, a ja potwierdzę albo zaprzeczę?

Pogrywała z nim.

- Odsyłam go - oznajmił Jude.

- Garnitur? Bardzo proszę, może mi go pan odesłać. To nie

znaczy, że on wróci razem z nim. Żadnych zwrotów, panie Coyne, żadnych wymian.

Danny przyglądał się Jude'owi pytająco. Wciąż uśmiechnięty, w namyśle marszczył czoło. Nagle Jude usłyszał własny chrapliwy, głęboki oddech. Rozpaczliwie szukał słów. Nie wiedział, co powiedzieć.

Kobieta odezwała się pierwsza.

- Jest tam zimno? Założę się, że jest zimno. A nim skończy, będzie jeszcze zimniej.

- O co ci chodzi? Chcesz pieniędzy? Nie dostaniesz nic.

- Wróciła do domu, żeby się zabić, ty szujo - odparła Jessica Price z Florydy, której nazwisko było mu obce, ale może nie aż tak obce, jak by chciał. Jej głos stracił nagle pozór sympatii i zabawienia. - Kiedy z nią skończyłeś, podcięła sobie żyły w wannie. To nasz ojczym ją znalazł. Zrobiłaby dla ciebie wszystko, a ty ją wyrzuciłeś jak śmiecia.

Floryda.

Floryda. Poczul nagły ból w żołądku, zimny, dławiący ciężar. W tym momencie przejaśniło mu się w głowie, zasnuwające ją pajęczyny przesadnego strachu zniknęły. Dla niego zawsze była Florydą, lecz naprawdę nazywała się Anna May McDermott. Przepowiadała przyszłość, umiała wróżyć z ręki i tarota. Obie ze starszą siostrą nauczyły się tego od swego ojczyma. Z zawodu był hipnotyzerem, ostatnią nadzieją palaczy i nienawidzących własnych ciał grubasek, chcących rzucić papierosy i batoniki. W weekendy dorabiał jako różdżkarz, używając swego wahadełka hipnotyzerskiego, srebrnej brzytwy na złotym łańcuszku, do odnajdywania zgubionych przedmiotów i mówienia ludziom, gdzie mają wiercić studnie. Unosił je nad ciałami chorych, by uleczyć ich aurę i spowolnić postępy żarłocznego raka. Za pośrednictwem wahadełka rozmawiał ze zmarłymi, zawieszając je nad tablicą ouija. Lecz utrzymywał się z hipnozy. Możesz się odprężyć. Możesz zamknąć oczy. Słuchaj mojego głosu.

Jessica Price znów zaczęła mówić.

- Nim ojczym umarł, powiedział mi, co zrobić, jak mam się

z tobą skontaktować, jak wysłać ci jego garnitur i co się stanie potem. Powiedział, że cię załatwi, parszywcu.

Nazywała się Jessica Price, nie McDermott, bo wyszła za męża i była wdową. Jude przypomniał sobie, że jej mąż zginął w Tikricie. Anna mówiła o tym kiedyś. Nie był pewien, czy kiedykolwiek wymieniła nazwisko starszej siostry, choć raz powiedziała, że Jessica poszła w ślady ojczyma i także zajmuje się hipnozą. Zarabia na tym prawie siedemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

- Dlaczego musiałem kupić garnitur? - spytał. - Czemu po prostu mi go nie przysłałaś? - Poczł satysfakcję, słysząc chłód własnego głosu. Brzmiał spokojniej niż jej głos.

- Gdybyś nie zapłacił, duch tak naprawdę nie należałby do ciebie. Musiałeś zapłacić. I zapłacisz, o tak.

- Skąd wiedziałeś, że to ja go kupię?

- Wysłałam ci przecież maila. Anna opowiadała mi o twojej chorej kolekcji... twoich świńskich och-kultystycznych śmieciach. Uznałam, że nie zdołasz się powstrzymać.

- Ktoś inny mógł go kupić. Pozostałe oferty...

- Nie było żadnych innych ofert. Tylko twoja. Wcześniej sama licytowałam i nie zakończyłabym licytacji, póki nie złożyłbyś oferty. Jak ci się podoba nowy nabytek? Odpowiada twoim wymaganiom? Czeka cię niezła zabawa. Tysiąc dolarów, które zapłaciłeś mi za ducha ojczyma, wydam na wieniec na twój pogrzeb. Będzie naprawdę piękny.

Wyjadę, pomyślał Jude, wyrwę się z domu, zostawię tu garnitur nieboszczyka i samego nieboszczyka. Zabiorę Georgię na wycieczkę do LA, spakuję parę walizek, za trzy godziny będę w samolocie. Danny to zorganizuje. Danny...

Zupełnie jakby powiedział to na głos, bo Jessica Price rzekła:

- Proszę bardzo, przenieś się do hotelu. Zobaczysz, co się stanie. Gdziekolwiek pójdziesz, on tam będzie. Gdy się obudzisz, będzie siedział w nogach twojego łóżka. - Zaczęła się śmiać. - Umrzesz. Jego zimna dłoń cię zadusi.

- A zatem Anna mieszkała u ciebie, kiedy się zabiła? - Wciąż doskonale panował nad sobą, wciąż był spokojny.

Chwila ciszy. Rozgniewanej siostrze zabrakło powietrza, potrzebowała chwili, by odpowiedzieć. Jude słyszał dochodzący z daleka szum zraszacza, dziecięce krzyki na ulicy.

- Nie miała dokąd pójść, była w depresji. Od dawna cierpiała na depresję, ale ty jeszcze pogorszyłeś jej stan. Była zbyt niešťczęśliwa, by wyjść z domu, poszukać pomocy, spotkać się z kimkolwiek. Przez ciebie znenawidziła samą siebie. Przez ciebie zapagnęła umrzeć.

- Czemu sądzisz, że zabiła się przeze mnie? Pomyślałaś może kiedyś, że to twoje radosne towarzystwo popchnęło ją do tego? Gdybym musiał cię słuchać całymi dniami, też bym pewnie podciął sobie żyły.

- Umrzesz - wykrztusiła.

Przerwał jej.

- Wymyśl jakiś nowy tekst. A kiedy będziesz się nad nim zastanawiać, pomyśl o czymś jeszcze: ja także znam kilku gniewnych ludzi. Jeżdżą na harleyach, mieszkają w przyczepach, produkują amfę, molestują własne dzieci i strzelają do żon. Ty nazywasz ich śmieciami, dla mnie to fani. Chcesz sprawdzić, czy zdołam znaleźć paru, którzy mieszkają w twojej okolicy i mogliby wpaść z wizytą?

- Nikt ci nie pomoże - odparła głosem zdławionym, drżącym z wściekłości. - Czarne piętno odcisnięte na tobie dotknie każdego, kto zaangażuje się w twoje sprawy. Nie przeżyjesz ani ty, ani nikt, kto mógłby ci pomóc czy dać pociechę - recytowała to w gniewie, niczym wyćwiczoną przemowę. Może faktycznie przygotowała ją sobie zawczasu. - Wszyscy uciekną od ciebie albo zginą, tak jak i ty zginiesz. Umrzesz sam. Słyszysz? Sam.

- Nie bądź taka pewna. Skoro i tak mam zginąć, mogę zapagnąć towarzystwa. A jeśli nie znajdę pomocy, może sam cię odwiedzę.

Rozłączył się.

8

Wbijał wzrok w czarny telefon, który wciąż ścisnął w pobielatej dłoni. Słuchał powolnego, bojowego bicia własnego serca.

- Szefie... - Danny westchnął. - Ja pier-do-lę, szefie. - Zaśmiał się piskliwie, słabo, bez cienia rozbawienia. - Co to było, do diabła?

Jude w myślach nakazał dłoni rozluźnić się, wypuścić słuchawkę. Nie chciała tego zrobić. Wiedział, że Danny zadał pytanie, ale przypominało to głos usłyszany zza zamkniętych drzwi, część rozmowy toczącej się w innym pokoju, niemającej z nim nic wspólnego.

Zaczynało do niego docierać, że Floryda nie żyje. Kiedy pierwszy raz usłyszał, że się zabiła - Jessica Price cisnęła mu tę informację prosto w twarz - to nic nie znaczyło, bo nie mógł pozwolić, by nabrało znaczenia. Teraz jednak nie potrafił już uciec od prawdy. Czuł, jak świadomość jej śmierci przenika mu do krwi, która zgęstniała i zaciężyla w żyłach.

Nie mógł uwierzyć, że Floryda umarła, że ktoś, z kim niegdyś sypiał, teraz śpi pod ziemią. Miała dwadzieścia sześć - nie, dwadzieścia siedem, dwadzieścia sześć skończyła, gdy odeszła. Kiedy ją odprawił. Miała dwadzieścia sześć lat, lecz zadawała pytania godne czterolatki: Często łowisz ryby w jeziorze Pontchartrain? Który z twoich psów był najlepszy? Jak myślisz, co się z nami dzieje po śmierci? Dość pytań, by doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Bała się, że popada w obłęd. Cierpiała na depresję. Nie modną, jak niektóre młode gotki, lecz kliniczną. Zmagala się z nią

przez kilka ich ostatnich wspólnych miesięcy - nie spała, płakała bez powodu, zapominała się ubrać, godzinami wpatrywała się w telewizor, nie zadając sobie trudu, by go włączyć. Gdy dzwonił telefon, odbierała, ale nic nie mówiła i stała tak ze słuchawką w dłoni, milcząc, jakby ktoś ją wyłączył.

Ale wcześniej były letnie dni w stodole, kiedy odnawiał mustanga; John Prine w radiu, słodki zapach siana suszącego się na upalnym słońcu i popołudnia wypełnione jej leniwymi, bezsensownymi pytaniami - niekończącym się przesłuchaniem, czasem męczącym, czasem zabawnym, czasem erotycznym. I jej ciało, białe jak lód, pokryte tatuażami, z kościstymi kolanami i szczupłymi udami biegaczki długodystansowej. Oddech na jego szyi.

- Hej! - Danny dotknął ręki Jude'a, dopiero wtedy Jude rozprostował palce, wypuszczając telefon. - Dobrze się czujesz?

- Nie wiem.

- Powiesz mi, co się dzieje?

Powoli Jude uniósł wzrok. Danny na wpół podniósł się z krzesła za biurkiem, poblądł; rude piegi odcinały się ostro od bieli policzków.

Danny przyjaźnił się z nią w niegroźny, swobodny, nieco bezosobowy sposób, w jaki zaprzyjaźnił się ze wszystkimi dziewczynami Jude'a. Odgrywał rolę wyrafinowanego, wyrozumiałego kumpla, geja, kogoś, komu mogły powierzyć swe sekrety, wygadać się, zdradzić najnowsze plotki, kogoś zapewniającego poczucie bliskości bez zaangażowania. Kogoś, kto opowiadał im o Judzie rzeczy, których sam Jude nigdy nie ujawniał.

Siostra Danny'ego przedawkowała heroinę, kiedy zaczynał naukę w college'u. Pół roku później jego matka się powiesiła. Danny ją znalazł, zwisającą z belki w spiżarni, obracającą się powoli nad odrzuconym stołkiem. Nie trzeba być psychiatrą, by zrozumieć, że ów podwójny cios, niemal jednoczesna śmierć siostry i matki, zabił także jakąś część Danny'ego, sprawiając, że na zawsze pozostał dziewiętnastolatkiem. I choć nie używał czarnego lakieru do paznokci ani nie nosił kolczyków w wargach, w pewnym sensie to, co przyciągnęło go do Jude'a, niewiele różniło się od pociągu odczuwanego przez Georgię, Florydę czy in-

ne dziewczęta. Jude zbierał ich niemal tak, jak szczurołap z Hameln gromadził szczury i dzieci. Tworzył melodie z nienawiści, perwersji i bólu, a oni przychodzili do niego, podskakując w rytm muzyki z nadzieją, że pozwoli im śpiewać do wtóru.

Nie chciał mówić Danny'emu, co zrobiła Floryda, wołał mu tego oszczędzić. Lepiej byłoby nic nie mówić. Nie był pewien, jak Danny to przyjmie.

Ale i tak powiedział.

- Anna. Anna McDermott podcięła sobie żyły. Kobieta, z którą rozmawiałem, to jej siostra.

- Floryda? - Danny usiadł powoli. Krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem. Wyglądał na oszołomionego. Przycisnął dłonie do brzucha, po czym pochylił się naprzód, jakby żołądek ścisnął mu się w ostrym skurczu. - O kurwa. Ożeż kurwa - rzekł słodko. Nigdy jeszcze słowa te nie zabrzmiały mniej obscenicznie.

A potem nastąpiła cisza. Jude po raz pierwszy zauważył, że radio jest włączone i mamrocze cicho z boku. Trent Reznor śpiewał, że jest gotów oddać swoje imperium pyłu. Zabawne było słyszeć w takiej chwili Ninę Inch Nails. Jude spotkał Florydę na koncercie Trenta Reznora, za kulisami. I nagle świadomość jej śmierci znów go uderzyła, jakby dotarła do niego po raz pierwszy. Często łowisz ryby w jeziorze Pontchartrain? Stopniowo szok zaczął przeradzać się w bolesną niechęć. To było takie bezsensowne, głupie, samolubne, że nie mógł choć trochę jej nie nienawidzić. Pragnął zadzwonić i zwymyślać ją. Tyle że nie mógł do niej zadzwonić, bo nie żyła.

- Zostawiła jakiś list? - spytał Danny.

- Nie wiem. Jej siostra niewiele mi powiedziała. To nie była najbardziej racjonalna rozmowa telefoniczna świata. Może zauważyłeś?

Ale Danny nie słuchał.

- Czasami chodziliśmy razem na margarytę. Uroczy z niej był dzieciak. I te jej pytania. Spytała mnie kiedyś, czy w dzieciństwie miałem ulubione miejsce, z którego oglądałem deszcz. Co to w ogóle za pytanie? Kazała mi zamknąć oczy i opisać, jak wyglądał widok za oknem mojego pokoju, kiedy padało. Trwało to

dziesięć minut. Nigdy nie wiedziałem, o co zaraz zapyta. Byliśmy dobrymi kumplami. Nie rozumiem. To znaczy wiem, że miała depresję. Mówiła mi o tym. Ale tak naprawdę tego nie chciała. Chyba zadzwoniłaby do któregoś z nas, gdyby zamierzała zrobić coś takiego?... Chyba dałaby szansę się przekonać?

- Wygląda na to, że nie.

W jakiś sposób Danny zmał, skurczył się sobie.

- A jej siostra... jej siostra uważa, że to twoja wina? Przecież to... to wariactwo. - Jego głos brzmiał słabo i Jude pomyślał, że Danny nie jest całkiem pewien własnych słów.

- Chyba tak.

- Miała problemy emocjonalne z czasów przed waszym poznaniami.

- Pewnie to rodzinne - mruknął Jude.

- Tak. Właśnie. Ale zaraz, co to ma w ogóle być? Siostra Anny sprzedała ci ducha? Garnitur nieboszczyka? Co się tu, kurwa, dzieje? Co się stało, że w ogóle kazałeś mi do niej zadzwonić?

Jude nie chciał opowiadać Danny'emu, co widział zeszłej nocy. W tym momencie, w obliczu kamiennej prawdy o śmierci Florydy sam nie był pewien, czy w ogóle wtedy coś widział. Stary człowiek w korytarzu za drzwiami sypialni o trzeciej rano nie wydawał się teraz czymś rzeczywistym.

- Garnitur, który mi przysłała, to symboliczna groźba. Urządziła to tak, żebyśmy go kupili. Z jakiejś przyczyny nie mogła po prostu mi go przysłać, najpierw musiałem zapłacić. Chyba można bezpiecznie powiedzieć, że trzeźwy umysł nie jest jej najmocniejszą stroną. W każdym razie mogłem stwierdzić, że coś jest nie tak, gdy go tylko przysłała. Był w popieprzonym czarnym pudełku w kształcie serca i - to może zabrzmie trochę paranoicznie - wpięła w niego szpilkę, żeby kogoś pokłuć.

- Była w nim szpilka? Ukłułeś się?

- Nie, ale Georgia owszem, i to mocno.

- Nic jej nie jest? Myślisz, że coś było na szpilce?

- Coś jak arsenik? Nie, wątpię, by Jessica Price ze Świrowa na Florydzie była aż tak głupia. Jest mocno, totalnie walnięta, ale nie głupia. Chce mnie przerazić, a nie iść do więzienia. Powiedziała,

że z garniturem przybędzie duch jej ojczyzna i załatwi mnie za to, co zrobiłem Annie. Szpilka była pewnie, sam nie wiem, częścią wudu. Dorastałem w pobliżu granicy stanu, roi się tam od bezzębnych, polujących na szczury ludzkich śmieci, z głowami pełnymi dziwacznych pomysłów. Możesz przyjść do pracy w cukierni w koronie cierniowej i nikt nawet nie mrugnie okiem.

- Mam zadzwonić na policję? - Danny znów znalazł się na znajomym gruncie, jego głos zabrzmiał mocniej, zadźwięczała w nim zwykła pewność siebie.

- Nie.

- Ona grozi ci śmiercią.

- Kto tak twierdzi?

- Ty. I ja. Siedziałem tu i słyszałem całą rozmowę.

- Co dokładnie słyszałeś?

Danny przez moment wpatrywał się w niego, po czym zmrużył oczy i uśmiechnął się sennie.

- Co tylko mi powiesz.

Nie miał wstydu. Jude uśmiechnął się wbrew sobie. W tej chwili nie pamiętał, dlaczego czasami go nie lubi.

- Nie - mruknął. - Nie tak załatwię tę sprawę, ale możesz coś dla mnie zrobić. Po powrocie do domu Anna przysłała mi parę listów. Nie wiem, co z nimi zrobiłem. Poszukasz?

- Jasne. Zobaczę, czy uda mi się je wytropić. - Danny znów przyglądał mu się niespokojnie. Choć odzyskał poczucie humoru, nadal był blady jak płótno. - Jude... kiedy powiedziałeś, że nie tak załatwisz tę sprawę, co dokładnie miałeś na myśli? - Uszczypnął się w dolną wargę, z namysłem marszcząc brwi. - To, co mówiłeś, nim się rozłączyłeś. O tym, że wyślesz do niej ludzi. Że sam tam pojedziesz. Byłeś naprawdę wkurzony. Nigdy jeszcze cię takiego nie widziałem. Powiniennem się martwić?

- Ty? Nie - odparł Jude. - Ona? Może.

9

Jego myśli przeskakiwały z jednego paskudnego tematu na drugi, z nagiej Anny o pustych oczach unoszącej się bezwładnie w wannie pełnej szkarłatnej wody i Jessiki Price w telefonie - Umrzesz, jego zimna dłoń cię zadusi - do starego człowieka siedzącego w korytarzu, w czarnym garniturze w stylu Johnny'ego Casha, i powoli unoszącego głowę, by spojrzeć na przechodzącego obok Jude'a.

Musiał uciszyć dźwięki rozbrzmiewające w głowie. Zwykle osiągał to, produkując inne dźwięki dłońmi. Zaniósł do studia gitarę, eksperymentalnie trącił struny i nie spodobało mu się strojenie. Poszedł zatem do szafy, by poszukać kapodastra, zamiast tego jednak znalazł pociski.

Tkwiły w pudełku w kształcie serca - jednej z żółtych bombonierek, które ojciec wręczał matce w każde Walentynki, Dzień Matki, Boże Narodzenie i urodziny. Nigdy nie dawał jej niczego innego - żadnych róż, pierścionków czy butelek szampana - lecz zawsze to samo duże pudełko czekoladek, z tego samego sklepu.

Jej reakcja była równie niezmienna jak prezent. Zawsze uśmiechała się słabo, niezręcznie, zaciskając wargi. Wstydziła się pokazać zęby - górne miała sztuczne, bo Martin jej prawdziwe wybił. Nieodmiennie podsuwała bombonierkę mężowi, który z dumnym uśmiechem, jakby podarował jej brylantowy naszyjnik, a nie czekoladki za trzy dolary, kręcił przecząco głową. Potem podawała je Jude'owi.

A Jude zawsze wybierał tę samą, ze środka, wiśnię w czekoladzie. Lubił chwilę, gdy wgryzał się w miękki owoc, który pękał

pod naciskiem zębów. Lubił lekko zepsuty, lepki słodki sok, miękką, przegniłą fakturę samej wiśni. Wyobrażał sobie, że zjada gałkę oczną w czekoladzie. Nawet w tamtych czasach czerpał radość z wyobrażania sobie najgorszego, napawał się najobrzydliwszymi możliwościami.

Znalazł pudełko wciśnięte w płataninę kabli, pedałów i adapterów, w futerale od gitary opartym o tylną ścianę szafy w studiu. Nie był to zwyczajny futerał, lecz ten, z którym trzydzieści lat wcześniej opuścił Luizjanę, choć z używaną yamahą za czterdzieści dolarów, niegdyś tkwiącą w środku, rozstał się już dawno. Zostawił ją na scenie w San Francisco, kiedy rozgrzewał publiczność przed koncertem Zeppelinów w 1975. W tamtych czasach rozstawał się z wieloma rzeczami: rodziną, Luizjaną, świniami, biedą, imieniem, z którym przyszedł na świat. Nie marnował czasu na oglądanie się wstecz.

Stracił czucie w rękach i upuścił pudełko. Nie musiał podnosić wieczka, by wiedzieć, co jest w środku, wiedział to od pierwszej chwili. Pudełko uderzyło o ziemię i usłyszał dobiegający ze środka brzęk mosiężnych łusek. Cofnął się z niemal atawistyczną zgrozą, zupełnie jakby podczas grzebaniny w kablach po ręce przebiegł mu tłusty pajak o włochatych nogach. Nie widział tego pudełka od ponad trzydziestu lat. Zostawił je wciśnięte między materac i sprężyny dziecięcego łóżka w Moore's Corner. Nie zabrał go z Luizjany i w żaden sposób nie mogło leżeć teraz w starym futerale. Tyle że leżało.

Przez chwilę wpatrywał się w żółte pudełko w kształcie serca, po czym zmusił się, by je podnieść. Zdjął wieczko i przechylił pudełko. Na podłogę posypały się pociski.

Zbierał je sam, tak jak inne dzieci gromadziły karty baseballowe. To była jego pierwsza kolekcja. Zaczął, gdy miał osiem lat i wciąż był Justinem Cowzynskym, wiele lat przed tym, nim nawet wyobraził sobie, że kiedyś mógłby stać się kimś innym. Pewnego dnia wafesał się po polu i nagle coś trzasnęło mu pod stopą. Schylił się, by sprawdzić, na co nadepnął, i wyciągnął z błota pustą łuskę. Zapewne pochodziła ze strzelby ojca - była jesień i stary polował wtedy na indyki. Justin obwąchał pękniętą,

splaszczoną łuskę. Od woni prochu zakreśliło go w nosie - i uczucie to, choć nieprzyjemne, wydało mu się osobliwie fascynujące. Łuska wróciła wraz z nim do domu, bezpiecznie ukryta w kieszeni farmerek, i trafiła do jednej z pustych bombonierek matki.

Wkrótce dołączyły do niej dwa pociski z trzydziestkiósemki podwędzone z garażu kolegi, osobliwe srebrne łuski znalezione na strzelnicy i pocisk z brytyjskiego karabinu szturmowego, długi jak jego środkowy palec. Żeby zdobyć ten ostatni, musiał za-handlować i drogo go kosztował - numer magazynu komiksowego Creepy z okładką Frazetty - ale uznał, że warto. Wieczorami leżał w łóżku, oglądając swoje pociski, uważnie studiując to, jak światło gwiazd odbija się od wypolerowanych łusek, wciągając w nozdrza woń ołowiu, jak mężczyzna obwąchujący wstążkę skropioną perfumami kochanki, z namysłem, powoli, z głową pełną słodkich marzeń.

W liceum powiesił angielski pocisk na rzemyku i nosił na szyi, póki dyrektor go nie skonfiskował. Jude dziwił się, jak w tamtych czasach udało mu się nikogo nie zabić. Dysponował wszystkimi niezbędnymi elementami szkolnego strzelca: hormonami, nieszczęśliwym życiem, amunicji. Ludzie zastanawiali się, czemu dzieje się coś takiego jak strzelanina w Columbine. Jude zastanawiał się, dlaczego takie rzeczy nie wydarzają się częściej.

Były tu wszystkie - zgnieciona łuska z dubeltówki, srebrne łuski, pięciocentymetrowy pocisk z AR-15, którego być nie mogło, bo dyrektor nigdy mu go nie zwrócił. Stanowiły ostrzeżenie. Tej nocy Jude widział nieboszczyka, ojczyma Anny - poprzez pociski duch mówił, że jeszcze z nim nie skończył.

Owszem, to wariactwo. Musiały istnieć dziesiątki rozsądniejszych wyjaśnień pojawienia się pudełka i pocisków. Lecz Jude'a nie obchodził rozsądek, nie był człowiekiem rozsądnym. Interesowała go wyłącznie prawda. Tej nocy widział ducha. Przez parę minut w rozświetlonym gabinecie Danny'ego zdołał zablokować to wspomnienie, udać, że nic się nie stało. Ale się stało. Już spokojniej, raz jeszcze przyjrzał się pociskom. Przyszło mu do

głowy, że może są czymś więcej niż tylko ostrzeżeniem. Może to także przesłanie? Duch mówił mu, że powinien się uzbroić.

Pomyślał o blackbawku tkwiącym w sejfie pod biurkiem. Ale do czego miałyby strzelać? Duch istniał przede wszystkim w jego głowie. Gdyby Jude chciał do niego strzelić, musiałby przyłożyć lufę do własnej skroni.

Zgarnął pociski z powrotem do pustej bombonierki matki i nałożył wieczko. Kule na nic mu się nie zdadzą. Istniały jednak inne rodzaje amunicji.

Na półce w kącie studia miał kolekcję książek traktujących o zjawiskach okultystycznych i paranormalnych. Gdy zaczynał swą karierę muzyczną, Black Sabbath odniósł wielki sukces i menedżer Jude'owi poradził sugerować, że są z Lucyferem po imieniu. Jude już wcześniej zaczął studiować psychologię grup i zjawisko masowej hipnozy. Miał teorię, że fani są dobrzy, ale wyznawcy jeszcze lepsi, dołączył zatem do swej listy lektur dzieła Aleistera Crowleya i Charlesa Dextera Warda i przekopał się przez nie w uważnym, pozbawionym radości skupieniu, podkreślając co ważniejsze zdania i akapity.

Później, gdy stał się już sławny, sataniści, wikkanie i spirytyści, którzy uznali mylnie, że podziela ich entuzjazm - tak naprawdę miał to w dupie, wszystko było wyłącznie częścią kostiumu, jak wkładanie skórzanych spodni - zaczęli przysyłać mu kolejne (musiał przyznać, fascynujące) lektury: niskonakładowy podręcznik wydany przez Kościół katolicki w latach trzydziestych, opisujący egzorcyzmy; przekład pięćsetletniego zbioru zboczonych, nieprzyzwoitych psalmów autorstwa szalonego templariusza; książkę kucharską dla kanibali.

Jude umieścił pudełko z pociskami na półce między książkami, zapominając o tym, że zamierzał znaleźć kapodaster i zagrać parę numerów Skynyrd. Przesunął kciukiem po grzbietach tomów. W studiu było tak zimno, że zeszywniały mu palce; z trudem obracał kartki, a sam nie wiedział, czego szuka.

Przez jakiś czas próbował przegryźć się przez mętłą rozprawę o zwierzęcych pobratymcach, emocjonalnych stworzeniach złą-

czonych ze swymi panami więzami miłości i krwi, które umiały bezpośrednio rozprawiać się z martwymi. Napisano to jednak skomplikowaną osiemnastowieczną angielszczyzną, bez żadnych znaków przestankowych. Dziesięć minut odcyfrowywał jeden akapit i właściwie nic nie rozumiał.

W kolejnej książce zagłębił się w rozdział opisujący opętanie przez demona bądź złego ducha. Jedna groteskowa ilustracja przedstawiała starego człowieka leżącego w łóżku wśród skłębionej pościeli. Starzec miał oczy wybałuszone ze zgrozy, a usta otwarte. Spomiędzy rozchylnych warg wyłaził szyderczo uśmiechnięty, nagi homunkulus. A może, co jeszcze gorsze, nie wyłaził. Może wnikał do środka.

Jude przeczytał, że każdy, kto uchyla złote drzwi śmiertelności, by zerknąć na drugą stronę, ryzykuje, że coś przez nie przepuści i że największe niebezpieczeństwo grozi chorym, starcom i tym, którzy kochają śmierć. Książka była napisana rzeczowym tonem i Jude odzyskał nadzieję, póki się nie dowiedział, że najlepszą metodą ochrony jest umyć się we własnym moczu. Był człowiekiem tolerancyjnym, jeśli chodzi o różne głupoty, ale tego nie zdzierzył i kiedy książka wypadła mu ze zmarzniętych palców, odrzucił ją kopniakiem.

Czytał o probostwie w Borley, o nawiązywaniu kontaktów z duchowymi przewodnikami za pomocą tabliczki ouija i o alchemicznej wartości krwi miesięczkowej. Litery rozmazywały mu się przed oczami. A potem zaczął ciskać książkami po całym studiu. Wszystko to tylko bzdury. Demony, przewodnicy, zaklęte kręgi i magiczne zastosowania szczyln. Jeden tom strącił z traskiem lampę z biurka, inny trafił w oprawioną w szkło platynową płytę. Na szybie pokrywającej srebrzysty dysk pojawiła się pajęczka sieć lśniących pęknięć. Płyta spadła ze ściany, rąbnęła o podłogę, ze zgrzytem przechyliła się i wywróciła. Jude na oślep chwycił bombonierkę pełną pocisków. Rzucił nią w ścianę i amunicja niczym dźwięczny deszcz rozsypała się po podłodze.

Złapał kolejną książkę, ciężko dysząc, nakręcony. Teraz chciał już tylko coś zniszczyć, nieważne co. Nagle jednak powstrzymał

się, bo palcami wyczuł coś dziwnego. Spojrzał. To była czarna kasetka wideo bez naklejek. Nie od razu się zorientował, co to jest, musiał pomyśleć. To jego film *snuff*, tkwił na tej półce zamiast wśród innych kaset od... ilu? Czterech lat? Tak długo, że Jude przestał dostrzegać go między książkami w bałaganie na regałach.

Pewnego ranka wszedł do studia i zastał Shannon oglądającą film. Pakował się właśnie przed wyjazdem do Nowego Jorku i szukał odpowiedniej gitary. Na widok żony zatrzymał się w drzwiach. Shannon stała przed telewizorem, patrząc, jak mężczyzna dusi nagą nastolatkę przezroczystym foliowym workiem na oczach innych mężczyzn.

Uniosła brwi, czoło zmarszczyła w skupieniu. Patrzyła bez słowa, jak dziewczyna na ekranie umiera. Jude nie obawiał się, że Shannon wpadnie w szal, gniew nie robił na nim wrażenia - lecz nauczył się unikać żony, gdy była w takim stanie: spokojna, milcząca, wycofana.

- Ten film jest prawdziwy? - spytała w końcu.

- Tak.

- Ona naprawdę umiera?

Zerknął na ekran. Naga dziewczyna leżała bezwładnie na podłodze jak pozbawiona kości.

- Naprawdę nie żyje. Zabili też chłopaka, prawda?

- Błagał.

- Kasetę dał mi gliniarz. Mówił, że te dzieciaki to ćpuny z Teksasu. Napadli na sklep alkoholowy i zabili kogoś, a potem uciekli to Tijuany, by się ukryć. Gliny trzymają u siebie różne paskudne rzeczy.

- Błagał o jej życie.

- To paskudne - rzekł Jude. - Nie wiem, czemu wciąż ten film trzymam.

- Ja też nie wiem - odparła.

Wstała, wysunęła kasetę z magnetowidu, a potem przystanąła, wpatrując się w nią, jakby nigdy dotąd nie widziała kasety i próbowała sobie wyobrazić, do czego może służyć.

- Dobrze się czujesz? - spytał Jude.

- Nie wiem. - Uniosła na niego szkliste, oszołomione oczy. -
A ty?

Nie odpowiedział. Przeszła przez studio i przecisnęła się obok niego. Już w drzwiach zorientowała się, że wciąż trzyma kasety, i nim wyszła, ostrożnie ją odłożyła na półkę. Później gospoia wetknęła taśmę między książki. Jude nie poprawił jej błędu i wkrótce w ogóle zapomniał, że kaseeta wciąż tam jest.

Miał na głowie inne sprawy. Po powrocie z Nowego Jorku zastał pusty dom i opróżnioną garderobę Shannon. Nie zostawiła nawet listu, żadnej notatki *Mój drogi*, nasza miłość była pomyłką czy Kochałam wizję ciebie, która naprawdę nie istnieje, i nasze drogi się rozeszły. Miała czterdzieści sześć lat, raz już była zamężna i się rozwiodła. Nie bawiły jej gierki godne nastolatki. Kiedy miała mu coś do powiedzenia, dzwoniła; kiedy czegoś od niego potrzebowała, dzwonił jej adwokat.

Teraz też Jude nie wiedział, czemu tę taśmę zatrzymał. Powinien był ją znaleźć i wyrzucić, kiedy wrócił do domu i nie zastał Shannon. Nie był nawet pewien, czemu w ogóle ją przyjął i dlaczego policjant podarował mu film. I wtedy w jego głowie pojawiła się nieprzyjemna myśl, że z czasem zaczął zbyt chętnie przyjmować wszystko, co mu ofiarowano, nie myśląc o możliwych konsekwencjach. I proszę, ile przez to kłopotów. Anna oddała mu się, a on ją przyjął i teraz nie żyła. Jessica McDermott Price ofiarowała mu garnitur nieboszczyka i teraz należał do niego. Teraz należał do niego.

Nie starał się za bardzo, by zdobyć garnitur nieboszczyka, taśmę z meksykańskim porno śmierci czy inne rzeczy. Po prostu przyciągał je niczym magnes opiłki żelaza i nie mógł tego powstrzymać, musiał je zachować, tak jak magnes musi zatrzymać kawałki metalu. To jednak sugerowało bezradność, a on nigdy nie był bezradny. Jeśli miał już czymś cisnąć o ścianę, to właśnie tą kaseta.

Lecz zbyt długo się nad tym zastanawiał. Zimno panujące w studiu odbierało mu siły, czuł się słaby. Dziwiło go, że nie widzi pary ulatującej z ust, bo miał wrażenie, że jest aż tak zimno. Nie wyobrażał sobie niczego głębszego - ani większej oznaki słabości

- niż pięćdziesięcioczerolatek ciskający książkami w ataku furii. A jeśli istniało coś, czego naprawdę nienawidził, to właśnie słabości. Miał ochotę upuścić film i zmiażdżyć go butem. Zamiast tego odwrócił się i odłożył go na półkę, uznawszy, że ważniejsze jest zapanowanie nad sobą i zachowanie się jak dorosły.

- Pozbądź się go - powiedziała stojąca w drzwiach Georgia.

10

Zaskoczony, odruchowo napiął mięśnie ramion. Odwrócił się. Georgia z natury była blada, teraz jednak twarz miała bezkrwistą, białą jak polerowana kość i jeszcze bardziej niż zwykle przypominała wampira. Zastanawiał się, czy to może makijaż. Potem jednak dostrzegł, że dziewczyna policzki ma mokre, a jej krótkie czarne włoski na skroniach lepią się do spoconej skóry. Była w piżamie, dygotała z zimna.

- Źle się czujesz? - spytał.

- Nic mi nie jest. Okaz zdrowia. Pozbądź się go.

Ostrożnie odłożył film na półkę.

- Czego mam się pozbyć?

- Garnituru nieboszczyka. Strasznie śmierdzi. Nie zauważyłeś, że śmierdzi, kiedy wyjąłeś go z szafy?

- Nie jest w szafie?

- Nie, nie jest w szafie. Kiedy się obudziłam, leżał na łóżku, tuż obok mnie. Zapomniałeś go schować? A może w ogóle zapomniałeś, że go wyjąłeś? Boże, czasami się dziwię, że pamiętasz, by schować fiuta w spodnie, kiedy już się odlejesz. Mam nadzieję, że tona trawy, którą wypaliłeś w latach siedemdziesiątych, była tego warta. Po cholere w ogóle go wyciągnąłeś?

Jeżeli garnituru nie było w szafie, to znaczy, że wyszedł z niej sam. Jude uznał jednak, że nie ma sensu wspominać o tym Georgii, więc milczał, udając, że całkowicie zaabsorbowało go sprzątanie.

Okrzyżył biurko, pochylił się i obrócił płytę, która spadła na podłogę. Stłukła się, tak samo jak chroniąca ją szyba. Otworzył

ramę i przechylił na bok. Odłamki szkła z melodyjnym brzękiem posypały się do kosza na śmieci obok biurka. Zebrał kawałki platynowej płyty - Happy Little Lynch Mob - i wyrzucił do śmieci. Sześć lśniących, wygiętych kling ze żłobkowanej stali. Co teraz? Rozsądny człowiek zapewne poszedłby obejrzeć garnitur. Wstał i odwrócił się do niej.

- Chodź, powinnaś się położyć. Fatalnie wyglądasz. Schodzę cię opatulić, a potem cię opatulę.

Położył jej dłoń na ramieniu, ona jednak się cofnęła.

- Nie, łóżko też przesiąkło tym smrodem. Cała pościel cuchnie.

- W takim razie zmienimy pościel. - Wziął ją za rękę i wprowadził na korytarz.

Duch siedział nieco dalej, na antycznym krześle, z opuszczoną głową. Sprawiał wrażenie zamyślnego. Promień słońca padał na miejsce, gdzie powinny znajdować się jego nogi. Znikały tam, gdzie dotykało ich światło, przez co wyglądał jak inwalida w spodniach zakończonych kikutami w połowie ud. Poniżej, w cieniu na podłodze, stały wyczyszczone czarne pantofle, w których wciąż tkwiły stopy w czarnych skarpetkach. Między butami i udami jedyne widoczne nogi należały do krzesła. W promieniach słonecznych drewno nabrało pięknej jasnej barwy.

Jude odwrócił wzrok. Nie chciał widzieć ducha, nie chciał w ogóle o nim myśleć. Zerknął na Georgię, sprawdzając, czy go zauważyła. Szła ze spuszczoną głową, szurając nogami, włosy wpadały jej do oczu. Chciał powiedzieć, by spojrzała, sprawdzić, czy ona także go zobaczy. Ale za bardzo się bał, bał się cokolwiek powiedzieć, bał się, że duch go usłyszy i uniesie głowę.

Co za wariacka myśl: sądzić, że nieboszczyk ich nie zauważy. Lecz z jakiegoś powodu, którego nie umiał wyjaśnić, Jude czuł, że jeśli oboje będą zachowywać się bardzo cicho, zdołają przejść niepostrzeżenie. Duch siedział z zamkniętymi oczami, niemal dotykając głową piersi - staruszek, który przysnął w słońcu. Jude nade wszystko pragnął, by tak pozostało. Żeby się nie poruszył. Nie obudził. Nie otworzył oczu. Wszystko, byle tylko nie otworzył oczu.

Podeszli bliżej, lecz Georgia nadal nie patrzyła w stronę ducha. Położyła senną głowę na ramieniu Jude'a i zamknęła oczy.

- Opowiesz mi, czemu zdemolowałeś studio? I czemu krzycałeś? Słyszałam twoje krzyki.

Jude nie chciał patrzeć, ale nie mógł się powstrzymać. Duch dalej siedział z przekrzywioną głową, uśmiechając się lekko, jakby nawiedziły go przyjemne sny. Zdawało się, że jej nie słyszy. I wtedy w głowie Jude'a pojawiła się pewna myśl, niewyraźna, trudna do określenia. Ze swymi przymkniętymi oczami i przekrzywioną głową duch zdawał się nie tyle spać, ile nasłuchiwać. Nasłuchiwać jego, Jude'a. Może czekał na uznanie swojej obecności, nim zechce (czy nawet zdoła) uznać obecność Jude'a. Niemal się już z nim zrównali i właśnie mieli wyminąć. Jude skulił się, przywierając do Georgii, by nie dotknąć ducha.

- To właśnie mnie obudziło. Hałas, a potem smród... - Zakaśtała cicho i uniosła głowę, spoglądając zażawionymi oczami w stronę drzwi sypialni. Nadal nie dostrzegła ducha, choć przechodzili właśnie obok niego. Zatrzymała się gwałtownie. - Nie wróć tam, póki nie zrobisz czegoś z tym smrodem.

Jude zsunął dłoń po jej ramieniu do przegubu i ścisnął go, popychając Georgię naprzód. Pisnęła cicho i spróbowała się odsunąć.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?

- Idź dalej - rzekł, po czym serce ścisnęło mu się żałością, gdy zrozumiał, że się odezwał.

Zerknął na ducha. W tym samym momencie nieboszczyk uniosł głowę i powieki. Lecz w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, widniały jedynie czarne plamy. Zupełnie jakby dziecko wzięło uniwersalny marker - prawdziwie uniwersalny, taki, którym można pisać w powietrzu - i rozpaczliwie próbowało je zamazać. Czarne linie wiły się i plątały niczym robaki splecione w węzeł.

Jude minął ducha, popychając przed sobą Georgię, która szamotała się i marudziła. Kiedy dotarł do drzwi sypialni, obejrzał się.

Duch wstał z krzesła. Jego nogi przesunęły się z plamy światła w cień i nabrały kształtów; teraz było widać czarne nogawki

z ostrym kantem. Nieboszczyk uniósł na bok prawą rękę, z dłonią zwróconą ku dołowi. Coś z niej wypadło. Płaski, srebrny wisiorek wypolerowany do połysku, uczepiony trzydziestu centymetrów delikatnego złotego łańcuszka. Nie, nie wisiorek, zakrzywione ostrze. Przypominało miniaturową wersję wahadła z opowiadania Edgara Allana Poeego. Złoty łańcuszek był połączony z pierścionkiem na jednym z palców nieboszczyka obrączką ślubną. Ten facet poślubił brzytwę. Przez chwilę pozwolił Jude'owi patrzeć, po czym przekreślił rękę, jak dziecko robiące sztuczki z jojo, i mała zakrzywiona brzytwa wskoczyła mu w dłoń.

Jude poczuł jęk próbujący wyrwać się z piersi. Wepchnął Georgię za próg sypialni i zatrzasnął drzwi.

- Co ty wyprawiasz, Jude?! - krzyknęła. Uwolniła się wreszcie i cofnęła.

- Zamknij się.

Lewą ręką uderzyła go w ramię, po czym poprawiła w plecy prawą, tą ze skaleczonym kciukiem. Zabolalo ją bardziej niż jego. Zachłysnęła się i dała mu spokój.

Jude wciąż trzymał gałkę. Nasłuchiwał, co się dzieje na korytarzu. Słyszał tylko ciszę.

Powoli uchylił drzwi i wyjrzał przez dziesięciocentymetrową szczelinę, gotów znów je zatrzasnąć, spodziewając się, że ujrzy nieboszczyka z brzytwą na łańcuszku.

Na korytarzu nie było nikogo.

Zamknął drzwi. Oparł o nie czoło, wciągnął głęboko powietrze w płuca i przytrzymał je, wypuszczając powoli. Twarz lepiała mu się od potu, uniósł dłoń, by go zetrzeć. Coś ostrego, lodowatego i twardego musnęło mu policzek. Otworzył oczy i zobaczył, że trzyma w dłoni zakrzywioną brzytwę nieboszczyka. W ostrzu z błękitnej stali odbijało się jego własne oszalałe, wybałuszone oko.

Jude wrzasnął i odrzucił brzytwę. Spojrzał w dół, ale już jej na podłodze nie było.

11

Cofnął się od drzwi. Pokój wypełnił odgłos wysiłonego oddychania, jego własnego i Marybeth. W tej chwili była dla niego Marybeth. Nie pamiętał, jak ją zwykle nazywał.

- Jakiego syfu się naćpałeś? - W jej głosie pojawił się ślad południowego akcentu. Słaby, lecz wyraźny.

- Georgia - nagle sobie przypomniał. - Niczego. W życiu nie byłem taki trzeźwy.

- Pieprzysz. Co bierzesz? - Subtelny, ledwie wyczuwalny akcent zniknął bez śladu. Georgia parę lat mieszkała w Nowym Jorku, ciężko tam pracowała, aby pozbyć się akcentu. Nie chciała, by traktowano ją jak wieśniaczkę z Południa.

- Przestałem ćpać wiele lat temu. Już ci mówiłem.

- Co było w korytarzu? Coś zobaczyłeś, prawda? Ale co?

Stała przed nim skulona, w piżamie, z rękami splecionymi pod piersiami. Lekko rozsunęła stopy, zupełnie jakby się szykowała, by go zatrzymać, gdyby chciał ją minąć i wejść dalej do sypialni. Idiotyczny pomysł, ponieważ ważyła jakieś pięćdziesiąt kilo mniej od niego.

- Na korytarzu był starszy facet. Siedział na krześle - rzekł w końcu. Musiał jej coś powiedzieć, a nie widział powodu, by kłamać. Zupełnie go nie obchodziła opinia Georgii na temat jego zdrowych zmysłów. - Przeszliśmy tuż obok niego, ale go nie widziałeś. Nie wiem, czy w ogóle mogłabyś go zobaczyć.

- Wariactwo. To jakieś bzdury - zaprotestowała bez zbytecznego przekonania.

Jude ruszył w stronę łóżka, a ona zeszła mu z drogi, przywierając do ściany.

Garnitur nieboszczyka był starannie rozłożony po jego stronie materaca. Głębokie pudełko w kształcie serca czekało na podłodze, obok spoczywała pokrywka, ze środka wystawała biała bibułka. Już z odległości czterech kroków do nozdrzy Jude'a dotarła woń garnituru. Wzdrygnął się. Kiedy go wczoraj wypakował, garnitur z pewnością tak nie śmierdział, od razu by wyczuł. Teraz nie dało się zignorować smrodu. Był to ciężki odór rozkładu, zgnilizny, śmierci.

- Chryste - mruknął Jude.

Georgia trzymała się z boku, zasłaniając ręką usta i nos.

- Wiem. Zastanawiałam się, czy nie ma czegoś w kieszeni. Czegoś, co się zepsuło. Starego jedzenia.

Oddychając przez usta, Jude obmacał marynarkę. Myśl o tym, że odkryje coś w zaawansowanym stadium rozkładu, wydała mu się całkiem prawdopodobna. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby Jessica McDermott Price wetknęła do środka zdechłego szczura, drobny bonus do zakupu bez dodatkowej opłaty. Zamiast tego wyczuł w jednej z kieszeni sztywny kwadrat czegoś, co przypominało plastik. Wyciągnął go i zerknął.

Było to zdjęcie, doskonale mu znane, ulubiona fotografia Anny przedstawiająca ich dwoje. Zabrała ją ze sobą, gdy odeszła. Danny pstryknął ją pewnego popołudnia pod koniec sierpnia, na werandzie skąpanej w blasku słońca. W powietrzu roiło się od ważek i migotliwych drobinek kurzu. Jude przysiadł na stopniach w znoszonej dżinsowej kurtce, z gitarą Dobro na kolanie. Anna siedziała obok niego. Słuchała, jak gra, ściskając dłonie między udami. Psy ułożyły się na ziemi u ich stóp, patrząc pytająco w obiektyw. To było dobre popołudnie, może jedno z ostatnich dobrych popołudni, nim wszystko zaczęło się sypać.

Zdjęcie ktoś potraktował czarnym flamastrem. Oczywiście Jude'a zamazano wieloma gniewnymi kreskami.

Georgia, czekająca parę kroków dalej, odezwała się nieśmiało, niepewnie:

- Jak wyglądał ten duch w korytarzu?

Jude stał odwrócony, więc nie mogła zobaczyć zdjęcia. Na szczęście. Nie chciał, by je widziała.

Z trudem wydobył z siebie głos. Nie potrafił otrząsnąć się z szoku na widok czarnych bazgrołów przesłaniających jego oczy na zdjęciu.

- Jak stary mężczyzna - wykrztusił w końcu. - Miał na sobie ten garnitur.

A przed oczami latały mu pierdolone czarne zygzyki, wyglądające zupełnie jak te. Wyobraził sobie, że to mówi, i jednocześnie odwraca się, demonstrując zdjęcie. Jednak tego nie zrobił.

- Po prostu tam siedział? - naciskała Georgia. - Nie stało się nic więcej?

- Wstał i pokazał mi brzytwę na łańcuszku. Zabawną małą brzytwę.

W dniu, gdy Danny zrobił to zdjęcie, Jude sądził, że Anna jest szczęśliwa. Prawie całe tamto letnie popołudnie spędził pod mustangiem. Anna trzymała się blisko, parę razy także wczoiłgiwała się pod samochód, by podać mu narzędzia i niezbędne części. Na zdjęciu na brodzie miała smugę oleju, jej ręce i kolana pokrywał brud - uroczy, zasuszony brud, taki, którym można się szczyścić. Unosiła brwi, między którymi malowała się wesoła zmarszczka. Usta miała otwarte, jakby się śmiała - czy, co bardziej prawdopodobne, zadawała mu pytanie. Często łowisz ryby w jeziorze Pontchartrain? Który z twoich psów był najlepszy? Ona i jej pytania.

Ale kiedy wszystko się skończyło, Anna nie spytała go, czemu ją odsyła. Stało się to po nocy, gdy znalazł ją wędrującą poboczem autostrady w koszulce i niczym poza tym. Klaksony trąbiły. Wciągnął Annę do wozu i uniósł pięść, by ją uderzyć, lecz zamiast tego walnął w kierownicę i tłukł tak mocno, że rozkrwawił sobie kostki. Oznajmił, że ma tego dosyć, spakuje ją i wyśle do domu. Odparła, że umrze bez niego. Powiedział, że przyśle jej kwiaty na pogrzeb.

A zatem dotrzymała słowa. Było za późno, by on mógł dotrzymać swego.

- Nabierasz mnie? - Głos Georgii zabrzmiał bardzo blisko.

Podeszła mimo obrzydzenia, jakie budził w niej smród. Wsunął zdjęcie z powrotem do kieszeni garnituru nieboszczyka, by go nie zobaczyła. - Bo jeśli to dowcip, to do dupy.

- To nie jest dowcip. Możliwe, że zaczynam wariować, ale wątpię. Osoba, która sprzedała mi... garnitur, dobrze wiedziała, co robi. Jej młodsza siostra była moją fanką i popełniła samobójstwo. Ta kobieta wini mnie za jej śmierć. Godzinę temu rozmawiałem z nią przez telefon, sama mi to powiedziała. Tego z całą pewnością sobie nie wyobraziłem. Był tam Danny, słyszał, jak rozmawiamy. Kobieta chce wyrównać rachunki, więc wysłała mi ducha i właśnie widziałem go w holu. Podobnie dzisiaj w nocy.

Zaczął składać garnitur, zamierzając schować go do pudełka.

- Spal to ubranie. - W głosie Georgii zabrzmiał nagły gniew. - Wynieś ten pierdolony łach na dwór i spal.

Jude przez moment poczuł przejmującą ochotę, by tak postąpić. Znaleźć benzynę do zapalniczki, oblać garnitur i spalić na podeście. Natychmiast jednak odrzucił ten pomysł. Nie budził w nim zaufania. Jude zawsze obawiał się działań nieodwracalnych. Kto wie, jakie mosty mógłby spalić wraz z garniturem? Gdzieś w głębi umysłu przebudziła się myśl, co zrobić ze śmierdzącym garniturem, jak go wykorzystać, lecz odpłynęła, nim zdolał ją pochwycić. Był zmęczony. Trudno mu było się skupić.

Wiedział, że powody, dla których chce zachować garnitur, są nielogiczne, przesądne, niejasne nawet dla niego samego. Jednak podsunął Georgii całkiem rozsądne wyjaśnienie.

- Nie możemy go spalić. To dowód. Mój adwokat zechce go zabrać, jeśli zdecydujemy się wystąpić przeciw niej.

Georgia roześmiała się słabo, nieszczęśliwie.

- O co? Napaść z użyciem śmiertelności duchą?

- Nie. Może nękanie. Prześladowanie. Nawet szalone groźby to nadal groźby, a prawo ich zabrania.

Skończył składać garnitur i ułożył go z powrotem w bibułkowym gniazdku wewnątrz pudełka. Cały czas oddychał przez usta, odwracając głowę od smrodu.

- Cuchnie w całym pokoju. Wiem, że to drobiazg, ale chce mi się od tego rzygać - oznajmiła Georgia.

Zerknął na nią z ukosa. Z roztargnieniem przyciskała do pierśi prawą dłoń, wpatrując się tępo w błyszczące czarne pudełko w kształcie serca. Wcześniej cały czas chowała rękę. Kciuk miała spuchnięty, w miejscu, gdzie szpilka wbiła się w skórę, sterczał biały ropień wielkości gumki na końcu ołówka. Sączył się z niego płyn.

- Paskudna infekcja.

- Wiem, smarowałam go bactinem.

- Powinnaś iść do lekarza. Jeśli to tęzec, bactin nie pomoże.

Ujęła zraniony kciuk między palce i ścisnęła ostrożnie.

- Skaleczyłam się o szpilkę wpiętą w garnitur. Może była zatruta?

- Gdyby był na niej cyjanek, już byśmy wiedzieli.

- Wąglik?

- Rozmawiałem z tą babą. To pierdolona wsiowa debilka, zdecydowanie potrzebuje porządnego psychiatry, ale wątpię, by przysłała mi jakąś truciznę. Wie, że trafiłaby za to do pudła. - Obejrzał jej kciuk. Skóra wokół ropnia była miękka i zmarszczona jak po zbyt długim zanurzeniu w wodzie. - Włącz sobie telewizor. Każę Danny'emu umówić cię na wizytę u lekarza.

Skinął głową w stronę drzwi. Ona jednak nawet nie drgnęła.

- Sprawdzisz, czy wciąż jest w korytarzu? - poprosiła.

Przez chwilę patrzył na nią, potem przytaknął i podszedł do drzwi. Uchylił je i wyrżał. Słońce przesunęło się na niebie lub zniknęło za chmurą i cały korytarz pograżył się w chłodnym cieniu. Na krześle przy ścianie nikt nie siedział. Nikt nie stał w kącie z brzytwą na łańcuszku.

- Droga wolna.

Zdrową ręką Georgia dotknęła jego ramienia.

- Kiedyś widziałam ducha. Kiedy byłam mała.

Nie zdziwiło go to. Nie spotkał jeszcze gotki, która nie zetknęłaby się ze światem nadprzyrodzonym i nie wierzyłaby z głębokim, wstydliwym przekonaniem w projekcje astralne, anioły bądź zaklęcia.

- Mieszkałam wtedy u Bammy. Mojej babci. To było tuż po tym, jak tatuś pierwszy raz wyrzucił mnie z domu. Któregoś po-

południa poszłam do kuchni nalać sobie lemoniady. Bammy robi świetną lemoniadę. Wyrzałam przez tylne okno i zobaczyłam na podwórku dziewczynkę. Zbierała dmuchawce i zdmuchiwała je, wiesz, jak to dzieci, i nuciła coś pod nosem. Była kilka lat młodsza ode mnie, ubrana w bardzo tanią sukienkę. Podniosłam okno, żeby na nią nakrzyczeć, dowiedzieć się, co robi na naszym podwórku. Kiedy usłyszała skrzypienie okna, uniosła głowę i spojrzała na mnie. I wtedy zrozumiałam, że nie żyje. Miała porąbane oczy.

- Co to znaczy porąbane? - Jude na przedramionach poczuł gęsią skórkę.

- Były czarne. Nie, w ogóle nie przypominały oczu. Wyglądały jak... jak czymś przykryte.

- Przykryte - powtórzył Jude.

- Tak, zamazane. Na czarno. A potem odwróciła głowę i spojrzała nad ogrodzeniem. Przeszła przez podwórko. Poruszała ustami, jakby do kogoś mówiła, tyle że nikogo tam nie było, a ja nie słyszałam nawet słowa. Słyszałam ją, kiedy zbierała dmuchawce i śpiewała do siebie, ale nie gdy wstała i zdawała się z kimś rozmawiać. Zawsze wydawało mi się to dziwne. Potem wyciągnęła ręce, jakby przed nią po drugiej stronie ogrodzenia Bammy stał ktoś niewidzialny, a ona chwytła jego dłoni.

Nagle przestraszyłam się, zrobiło mi się zimno, bo czułam, że spotka ją coś złego. Chciałam jej powiedzieć, żeby puściła rękę tego kogoś, ktokolwiek ją trzyma, żeby od niego odeszła, ale za bardzo się bałam, nie mogłam oddychać. Dziewczynka jeszcze raz obejrzała się na mnie ze smutkiem swoimi zamazanymi oczami, a potem uniosła się nad ziemią - przysięgam na Boga - i przepłynęła nad ogrodzeniem. Nie wyglądało to jak latanie, tylko jakby uniosły ją niewidzialne ręce. Stopy dyndały jej w powietrzu, po drodze trąciła nogą palik ogrodzenia. Po drugiej stronie zniknęła. Oblałam się zimnym potem, musiałam usiąść na podłodze w kuchni.

Georgia zerknęła na twarz Jude'a. Może chciała sprawdzić, czy uważa, że to głupota. Ale on pokiwał głową, dając znak, by mówiła dalej.

- Bammy weszła do środka, krzyknęła i spytała: Maleńka, co się stało?. Opowiedziałam jej, co widziałam. Wtedy naprawdę się zdenerwowała i zaczęła płakać. Usiadła obok mnie na podłodze i powiedziała, że mi wierzy. Ta mała to jej siostra bliźniaczka, Ruth. Wiedziałam o Ruth, która zmarła, gdy Bammy była mała, ale dopiero wtedy usłyszałam, co się zdarzyło naprawdę. Zawsze sądziłam, że przejechał ją samochód czy coś takiego. Ale nie. Pewnego dnia, gdy obie miały jakieś siedem czy osiem lat - to był rok pięćdziesiąty któryś - matka zawołała je na obiad. Bammy poszła, a Ruthie została, bo nie miała ochoty nic jeść i z natury była nieposłuszna. I gdy Bammy z rodzicami siedzieli przy stole, ktoś porwał ją z podwórka. Nigdy więcej jej nie widziano. Tyle że od czasu do czasu ludzie w domu babci widywali ją, jak śpiewała i zbierała dmuchawce, a potem ktoś niewidzialny ją zabierał. Moja matka widziała ducha Ruth, mąż Bammy też raz ją widział, kilka przyjaciółek babci i ona sama.

Wszyscy, którzy widzieli Ruth, czuli to samo co ja. Chcieli jej powiedzieć, żeby nie szła, trzymała się z daleka od osoby po drugiej stronie ogrodzenia. Ale każdy, kto ją widzi, za bardzo się boi, żeby cokolwiek powiedzieć. A Bammy twierdzi, że według niej to się nie skończy, póki ktoś nie znajdzie w sobie odwagi i nie krzyknie. Według niej duch Ruth jest uwięziony w czymś w rodzaju snu, musi powtarzać ostatnie minuty swego życia i będzie to robić, dopóki ktoś jej nie zawoła i nie obudzi.

Georgia umilkła. Pochyliła głowę, ciemne włosy przesłoniły jej oczy.

- Nie wierzę, że zmarli chcą nam zrobić krzywdę - odezwała się po chwili. - Chyba zawsze potrzebują naszej pomocy. Jeśli znów go zobaczysz, spróbuj z nim porozmawiać. Dowiedz się, czego chce.

Jude nie wierzył, by była to kwestia jeśli, tylko kiedy. I wiedział już, czego chce nieboszczyk.

- Nie przybył tu rozmawiać - rzekł.

12

Sam nie wiedział, co zrobić dalej, więc zaparzył herbatę. Proste, automatyczne czynności - napełnić czajnik, wsypać herbaciane liście do sitka, znaleźć kubek - pozwoliły mu rozjaśnić umysł i spowolnić czas. Przez chwilę mógł pobyć w ciszy. Stał, czekając na piknięcie czajnika.

Nie wpadł w panikę i fakt ten sprawił mu pewną satysfakcję. Nie rzucił się do ucieczki i wątpił, by cokolwiek na niej zyskał. Gdzie mógłby pójść? Gdzie poczułby się lepiej niż tutaj? Jessica Price mówiła, że duch należy teraz do niego i pójdzie za nim wszędzie. Jude wyobraził sobie, jak siada w fotelu pierwszej klasy w samolocie do Kalifornii, po czym obraca głowę i widzi siedzącego obok ducha o oczach pokrytych czarnymi bągrolami. Zadrżał i przegnał tę myśl. Pozostanie w domu. Zresztą nie znosił myśli o oddaniu psów na przechowanie. W dawnych czasach, kiedy wyruszał w trasę, zawsze towarzyszyły mu w autobusie.

Jeszcze mniej pociągała go myśl o zawiadomieniu policji czy adwokata. Miał nieodparte wrażenie, że wciągnięcie w tę sprawę przedstawicieli prawa to najgorsza rzecz, jaką mógłby urobić. Owszem, może zdołaliby oskarżyć Jessicę McDermott Price. To nawet by go ucieszyło. Lecz wyrównanie z nią rachunków nie oznaczało, że pozbyłby się ducha. Wiedział to. Oglądał mnóstwo horrorów.

Poza tym wezwanie na pomoc policji sprzeciwiało się jego najgłębszym instynktom, samej jego naturze. Własna tożsamość stanowiła pierwsze i najważniejsze dzieło Jude'a, machinę, której

zawdzięczała sukcesy, która stworzyła w jego życiu wszystko, co warto było mieć i na czym mu zależało. Zamierzał chronić ją do samego końca.

Potrafił uwierzyć w ducha, ale nie w upiora, czyste wcielenie zła. Nie przestraszył się czarnych bazgrołów na oczach i zakrzywionej brzytwy na złotym łańcuszku. Zastanowił się, czym Anna podcięła sobie żyły, i znów uświadomił sobie, jak zimno jest w kuchni - pochylił się w stronę czajnika, skuszony bijącym z niego ciepłem. Nagle ogarnęła go pewność, że Anna podcięła żyły brzytwą na końcu wahadełka ojca, tą samą, którą hipnotyzował nieszczęsnych frajerów i szukał źródeł wody. Zastanowił się, czego jeszcze powinien się dowiedzieć o śmierci Anny i o człowieku, który był dla niej ojcem i który znalazł jej ciało w zimnej wannie, w wodzie ciemnej od krwi.

Może Danny odszukał listy Anny. Jude'a przerażała perspektywa ponownej lektury, jednak wiedział, że musi to zrobić. Pamiętał je dość dobrze. Próbowала powiedzieć mu, co się z nią dzieje, a on to przeoczył. Nie, postąpił znacznie gorzej. Nie chciał widzieć. Z rozmysłem zignorował coś, co miał przed oczami.

W jej pierwszych listach z domu dźwięczał ton radosnego optymizmu. W podtekście sugerowały, że porządkuje swoje życie i podejmuje rozsądne, dorosłe decyzje co do własnej przyszłości. Pisała je delikatnym, pochyłym pismem na drogim, sztywnym białym papierze. Podobnie jak w rozmowach, w jej listach także roiło się od pytań, choć w korespondencji chyba nie oczekiwała odpowiedzi. Pisała, że przez ostatni miesiąc wysyłała odpowiedzi na oferty pracy, a potem pytała retorycznie, czy to błąd pójść na rozmowę w żłobku umalowana czarną szminką i w glanach. Opisywała dwa college'e i bardzo szczegółowo analizowała, do którego pasowałyby lepiej. Ale wszystko to było jednym wielkim oszustwem i Jude doskonale o tym wiedział. Nie dostała pracy w żłobku, po tamtym jednym liście nigdy więcej o niej nie wspominała. A kiedy nadszedł semestr wiosenny, zmieniła plany. Teraz zamierzała wstąpić nie do college'u, tylko do akademii kosmetycznej.

Ostatnich kilka listów znacznie wierniej oddawało jej stan psychiczny. Pismo na zwykłym papierze w linie, wydartym z zeszytu, było ciasne, niemal nieczytelne. Anna pisała, że nie może odpocząć. Jej siostra mieszkała na nowym osiedlu, tuż obok budowano kolejny dom. Anna twierdziła, że cały dzień słyszy stukot młotków, ma wrażenie, jakby mieszkała obok producenta trumien w czasie zarazy. Kiedy nocą próbowała spać, młotki znów się odzywały, właśnie gdy zasypiała. Nieważne, że nikogo tam nie było. Rozpaczliwie łaknęła snu. Siostra próbowała zapisać ją na terapię bezsenności. Anna chciała o czymś porozmawiać, ale nie miała z kim, a znudziło ją gadanie do siebie. Napisała, że nie może znieść ciągłego zmęczenia.

Błagała, żeby zadzwonił, ale on tego nie zrobił. Jej smutek i depresja zbyt go męczyły. Próbował ją podnieść na duchu, kiedy byli razem, ale na nic się zdały wszystkie jego wysiłki. Dał jej wszystko, co mógł; nie wyszło. A ona wciąż nie chciała zostawić go w spokoju. Nie wiedział, czemu w ogóle czyta jej listy, czemu czasami na nie odpowiada. Marzył, by po prostu przestały przychodzić. I w końcu przestały.

Kiedy Danny je znajdzie, niech zamówi wizytę u lekarza dla Georgii. Może to niezbyt imponujący plan, ale lepszy niż nic. Czas znów wystartował.

Z kubkiem herbaty w dłoni Jude powędrował do biura. Danny'ego nie było przy biurku. Zatrzymał się w drzwiach, patrząc się w głąb pustego pomieszczenia, wyteżając słuch. Może Danny poszedł do łazienki? Ale nie, drzwi były uchylone tak jak poprzedniego dnia. Może pojechał na lunch?

Jude ruszył do okna sprawdzić, czy samochód Danny'ego stoi na podjeździe. Nagle skrzył w stronę biurka. Przejrzał stos papierów, szukając listów Anny. Nie znalazł. Zawiedziony usiadł na krześle asystenta i odpalił przeglądarkę w jego komputerze. Zamierzał poszukać czegoś o ojczymie Anny. W sieci można znaleźć informacje o każdym. Może nieboszczyk miał własne konto na MySpace. Jude zaśmiał się - zdławionym, nieładnym śmiechem dochodzącym z głębi gardła.

Nie pamiętał imienia nieboszczyka, dlatego wpisał w wyszukiwarkę McDermott, hipnoza, zmarł. Na pierwszym miejscu

wyników znalazł się link do nekrologu wydrukowanego rok wcześniej latem w Pensacola News Journal, niejakiego Craddocka Jamesa McDermotta. To było to: Craddock.

Jude kliknął na link - i ujrzał go.

Mężczyzna na czarno-białym zdjęciu był młodszą wersją tego, który pojawił się dwukrotnie w korytarzu na piętrze. Na zdjęciu wyglądał na żwawego sześćdziesięciolatka. Włosy miał tak samo krótko przycięte w stylu wojskowym. Z długą, niemal końską twarzą i dużymi ustami o wąskich wargach przypominał Charltona Hestona. Oczy miał jasne, spoglądające w wieczność z wyzywającą pewnością siebie trenerów asertywności i kaznodziejów ewangelickich.

Jude czytał dalej. Dowiedział się, że życie pełne nauki i nauczania, badania i przygód dobiegło końca, gdy Craddock James McDermott zmarł z powodu zatoru mózgu w domu swej pasierbicy w Testament na Florydzie, dziesiątego sierpnia. Prawdziwy syn Południa, jedyne dziecko pastora zielonoświątkowców, dorastał w Savannah i Atlancie w Georgii, a potem w Galveston w stanie Teksas.

Był rozgrywającym w drużynie w Longhorns w 1965, po ukończeniu studiów wstąpił do wojska, gdzie służył w wydziale operacji psychologicznych. Tam odkrył swe powołanie, gdy zetknął się z możliwościami hipnozy. W Wietnamie został udekorowany Purpurowym Sercem i Brązową Gwiazdą. Po odejściu z honorami osiadł na Florydzie. W 1980 poślubił Paulę Joy Williams, bibliotekarkę, i został ojczymem jej dwóch córek, Jessiki i Anny, które później adoptował. Paulę i Craddocka połączyło uczucie oparte na fundamencie spokojnej wiary, głębokiego zaufania i wspólnej fascynacji niezbadanymi możliwościami ludzkiego ducha.

Jude zmarszczył brwi. Dziwne sformułowanie - wspólnej fascynacji niezbadanymi możliwościami ludzkiego ducha. Nie wiedział nawet, co znaczy.

Ich związek przetrwał aż do śmierci Pauli w 1986. W swym życiu Craddock przyjął niemal dziesięć tysięcy pacjentów - Jude parsknął na to słowo - wykorzystując techniki głębokiej

hipnozy do łagodzenia cierpień chorych i pomocy ludziom pragnącym pokonać swe słabości. Jego starsza pasierbica Jessica McDermott Price kontynuowała dzieło ojczyma, pracowała jako prywatna konsultantka. Jude znów prychnął. Pewnie sama napisała nekrolog. Zdziwiło go, że nie dołączyła własnego numeru telefonu. Po powołaniu się na nekrolog swojego ojca dziesięć procent zniżki za pierwszą sesję!!!

Zainteresowanie spirytyzmem i niewykorzystanym potencjałem ludzkiego umysłu sprawiło, że Craddock zaczął eksperymentować z różdżkarstwem, starą wiejską techniką odkrywania podziemnych żył wodnych za pomocą różdżki bądź wahadełka. W pamięci adoptowanej córki i najbliższych pozostał jako człowiek, który udzielił pomocy wielu wędrowcom na ścieżkach życia, ucząc ich, jak odkryć własne ukryte zasoby siły i godności. Jego głos umilkł, lecz nigdy nie zostanie zapomniany.

Żadnej wzmianki o samobójstwie Anny.

Jude jeszcze raz przebiegł wzrokiem po nekrologu, zatrzymując się na połączeniach słów, które mu się nie spodobały: operacje psychologiczne, niezbadane możliwości, niewykorzystany potencjał ludzkiego umysłu. Znowu spojrzął na zdjęcie Craddocka, zapamiętując złowrogą pewność siebie jego jasnych, czarno-białych oczu i niemal gniewny uśmiech na wąskich bezbarwnych wargach. Prawdziwie okrutny skurwiel.

Komputer zapiszczał, informując o odebraniu e-maila. Gdzie, do diabła, podziewa się Danny? Jude spojrzął na zegar komputery i przekonał się, że siedzi tu od dwudziestu minut. Kliknął na program pocztowy, który odbierał e-maile dla nich obu. Nowa wiadomość była adresowana do niego.

Odruchowo sprawdził adres nadawcy i wyprostował się na krześle, napinając mięśnie klatki piersiowej i brzucha, jakby szykował się do przyjęcia ciosu. W pewnym sensie tak było. List przyszedł z adresu craddockm@pudelko.szafa.net.

Jude otworzył e-mail i zaczął czytać.

drogi jude
pojedziemy o zmierzchu pojedziemy do dziury ja nie żyję ty umrzesz
każdy kto się zbliży zarazi się śmiercią od ciebie mnie nas wszyscy jeste-
śmy zarażeni razem trafimy do dziury a ziemia cementarna nas przykryje
lalala martwi ściąga ją żywych w dół jeśli ktokolwiek spróbuje ci pomóc
ja my ściągniemy ich w dół i rozdepczemy i nikt stąd nie wyjdzie bo
dziura jest za głęboka a ziemia sypie się zbyt szybko i każdy kto usłyszy
twój głos będzie wiedział że to prawda jude nie żyje i ja nie żyję a ty
umrzesz usłyszysz mój głos i pojedziemy razem nocną drogą do ostatnie-
go miejsca miejsca gdzie wiatr nas opłakuje pójdziemy razem na skraj
dziury i wpadniemy do środka trzymając się za ręce a spadając będziemy
śpiewać dla nas śpiewać przy naszym przy twoim grobie śpiewać lalala

Jude miał w piersi bezpowietrzną pustkę pełną kłujących go-
rących i lodowatych szpilek. Operacje psychologiczne, pomyślał
przelotnie i poczuł gniew, najgorszy rodzaj gniewu, bo w pobliżu
nie ma nikogo, kogo można zwymyślać, a nie posunie się do tego,
by zacząć tłuc i niszczyć wszystko dookoła. Rano rzucał książ-
kami i wcale mu nie ulżyło. Teraz nie zamierzał tracić panowania
nad sobą.

Z powrotem kliknął na przeglądarkę z myślą, że może się jesz-
cze przyjrzy wynikom wyszukiwania i dowie czegoś więcej. Znów
spojrzał tępo na nekrolog z Pensacola News, a potem jego
wzrok padł na zdjęcie. Teraz było to inne zdjęcie: widoczny na
nim Craddock uśmiechał się, twarz miał starą, pomarszczoną
i wychudzoną, niemal zagłodzoną, a oczy przesłaniały gniewne
czarne bazgroły. Pierwsze zdania nekrologu informowały, że ży-
cie pełne nauki i nauczania, badania i przygód dobiegło końca,
gdy Craddock James McDermott zmarł z powodu zatoru mózgu
w domu swej pasierbicy, a teraz nadchodzi lalala jest zimno on
jest zimny jude także będzie zimny kiedy się potnie bo potnie się
i potnie dziewczynę i razem wylądują w dziurze a jude będzie im
śpiewał śpiewał dla nich wszystkich...

Wstał tak gwałtownie, że krzesło wywróciło się i poleciało do
tyłu. A potem chwycił monitor, dźwignął go z biurka i rzucił na
podłogę. Monitor wylądował z krótkim elektronicznym piskiem

i donośnym brzękiem tłuczonego szkła, po którym nastąpiły elektryczne trzaski. Zapadła cisza, wentylator chłodzący płytę główną zatrzymał się powoli. Jude działał instynktownie, zareagował zbyt szybko, by się zastanowić. Pierdolić to. Panowanie nad sobą jest przereklamowane.

Serce galopowało mu w piersi, nogi trzęsły się i uginały. Gdzie, do kurwy nędzy, podziewa się Danny? Spojrzał na zegar ścienny. Dochodziła druga. Za późno na lunch, może wyjechał coś załatwić. Zazwyczaj jednak informował przez interkom, że wychodzi.

Jude okrążył biurko i podszedł do okna z widokiem na podjazd. Mała zielona hybrydowa honda Danny'ego stała zaparkowana na zakręcie. Danny siedział w środku; tkwił bez ruchu z jedną ręką na kierownicy. Twarz miał szarą jak popiół, sztywną, pozbawioną wyrazu.

Na widok asystenta siedzącego tam i zmierzającego donikąd, patrzącego w pustkę, Jude się, o dziwo, uspokoił. Stał chwilę przy oknie. Danny jednak nic nie robił. Nie uruchomił silnika, nawet się nie rozejrzył. Wyglądał jak człowiek pogrążony w transie. Minęła jedna minuta, potem druga. Im dłużej Jude patrzył, tym większy ogarniał go niepokój, obawa wnikająca w kości. Ruszył do drzwi i przekroczył próg, zdecydowany sprawdzić, co dzieje się z Dannym.

13

Zimne powietrze uderzyło z taką mocą, że do oczu napłynęły mu łzy. Nim dotarł do samochodu, zapiekły go policzki, a w koniuszku nosa stracił czucie. Choć niedawno minęło południe, wciąż miał na sobie znoszony szlafrok, koszulkę i pasiaste bokserki. Zerwał się zimny wietrzyk, nieznosnie parzył jego nagą skórę.

Danny nie odwrócił się, nadal patrzył bezmyślnie przez przednią szybę. Z bliska wyglądał jeszcze gorzej. Dygotał lekko, lecz miarowo, po policzku spływała mu kropla potu.

Jude postukał w okno. Danny zdrygnął się, jak przebudzony z lekkiej drzemki, zamrugał kilka razy i sięgnął do guzika opuszczającego szybę. Nadal nie patrzył wprost na Jude'a.

- Co robisz w samochodzie, Danny? - spytał Jude.
- Chyba powinienem wrócić do domu.
- Widziałeś go?
- Chyba powinienem już wrócić do domu - oznajmił Danny.
- Widziałeś ducha? Co zrobił? - pytał cierpliwie Jude. Jeśli trzeba, potrafił być najcierpliwszym człowiekiem na świecie.
- Mam chyba grypę żołądkową. To wszystko.

Danny uniósł prawą rękę z kolan, by wytrzeć twarz, i Jude przekonał się, że asystent trzyma w dłoni nóż do otwierania listów.

- Nie kłam, Danny - rzekł. - Chcę tylko wiedzieć, co widzialesz.

- Oczy miał zamazane na czarno. Patrzył prosto na mnie. Tak bym chciał, żeby nie patrzył prosto na mnie.

- Nie może ci zrobić krzywdy, Danny.

- Nie wiesz tego. Nie wiesz.

Jude sięgnął przez otwarte okno, chcąc uścisnąć jego ramię. Danny skulił się, jednocześnie machnął na oślep nożem do papieru. Jude cofnął rękę, choć ostrze go nie skaleczyło.

- Danny?

- Masz takie same oczy jak on. - Danny wrzucił bieg wsteczny.

Jude odskoczył od samochodu, nim asystent przejechał mu po stopie. Lecz Danny zawahał się z nogą na pedale hamulca.

- Już tu nie wrócę - rzekł, zwracając się do kierownicy.

- Dobra.

- Pomógłbym ci, gdybym mógł, ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Rozumiem.

Danny wycofał wóz po podjeździe, opony zazgrzytały na żwirze. Potem skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i potoczył się w dół zbocza, w stronę drogi. Za bramą skręcił w lewo. Jude nigdy więcej go nie widział.

14

Poszedł zajrzeć do stodoły i do psów.

Rozkoszował się ukłuciami chłodnego powietrza na twarzy i tym, jak każdy oddech wywoływał zdumione mrowienie w płucach. To było prawdziwe. Odkąd rano ujrzał ducha, miał coraz mocniejsze wrażenie, że zewsząd atakują go nienaturalne wizje rodem z koszmarnych snów, przenikają nieproszone do codziennego życia. Potrzebował kilku twardych faktów, w których mógłby znaleźć oparcie, zacisków powstrzymujących krwawienie.

Kiedy odsuwał rygiel w furtce, psy obserwowały go ponuro. Wśliznął się do środka, nim zdążyły go wyminąć, i przykucnął, pozwalając im wskakiwać na siebie, obwąchiwać twarz. Psy też były prawdziwe. Przyglądał się ich czekoladowobrazowym oczom i długim, zatroskanym pyskom.

- Gdyby coś było nie tak, zobaczyłybyście, prawda? - spytał.
- Gdybym na oczach miał czarne krechy?

Angus polizał go po twarzy, raz, drugi. Jude ucałował mokry psi nos. Pogłaskał Bon po grzbiecie, gdy z zapałem obwąchiwała mu krocze.

Potem wyszedł. Nie był jeszcze gotów na powrót do domu, skierował się do stodoły. Podeszedł do samochodu i przejrzał się w lusterku po stronie kierowcy. Ani śladu czarnych krech; oczy miał takie same jak zawsze, jasnoszare pod krzaczastymi, czarnymi brwiami, patrzące z napięciem, jakby planował morderstwo.

Jude kupił mustanga GT fastbacka z 1965 w strasznym stanie od jednego z techników z ekipy. Niemal dziesięć miesięcy spędził w trasie, bez żadnych przerw. Ruszył w drogę tuż po tym, jak

opuściła go żona, i kiedy wrócił, odkrył, że w pustym domu nie ma co robić. Cały lipiec i większą część sierpnia spędził w stodole, patrosząc mustanga, usuwając przerdzewiałe, przepalone, zepsute, pogięte, skorodowane, uszkodzone kwasem bądź olejem części i wymieniając na nowe: blok silnika HiPo, autentyczny wał korbowy i głowice, sprzęgło, skrzynię biegów, resory, siedzenia kryte białą skórą - wszystko oryginalne oprócz głośników i sprzętu grającego. W bagażniku zainstalował mocne basy, na dachu zamontował antenę XM i kupił najnowszy sprzęt cyfrowy. Niemal pływał w oleju, objął sobie ręce i zakrwawił skrzynię biegów. Były to szorstkie zaloty, ale mu odpowiadały.

Mniej więcej w tym czasie zjawiła się Anna i zamieszkała z nim. Nie żeby kiedykolwiek tak się do niej zwracał - wtedy była Florydą, choć z niewiadomych przyczyn odkąd dowiedział się o jej samobójstwie, zaczął w myślach nazywać ją Anną. Może śmierć nie dopuszcza przydomków dla zmarłych.

Kiedy pracował, półleżała na tylnym siedzeniu z psami, wystawiając przez wybite okno nogi w wysokich butach. Śpiewała do wtóru piosenek, gaworzyła i paplała do Bon, i zasypywała Jude'a pytaniami. Spytała, czy kiedykolwiek wyłusieje (Nie wiem), bo jeśli tak, to go zostawi (Nie dziwię się), czy nadal byłaby dla niego seksy, gdyby ogoliła głowę (Nie), czy kiedy skończy, pozwoli jej prowadzić mustanga (Tak), czy kiedykolwiek brał udział w bójce (Staram się ich unikać - trudno grać na gitarze z rozwaloną ręką), dlaczego nigdy nie wspomina o swych rodzicach (nie odpowiedział) i czy wierzy w przeznaczenie (zaprzeczył, ale kłamał).

Przed poznaniem Anny i kupnem mustanga nagrał nową solową płytę i odwiedził około dwudziestu czterech krajów, grając ponad sto koncertów. Lecz dopiero gdy zajął się remontem samochodu, po raz pierwszy, odkąd odeszła Shannon, poczuł, że naprawdę pracuje, robi coś, co ma znaczenie. Choć czemu odnawianie samochodu miałyby uważać za prawdziwą pracę, a nie hobby bogacza, podczas gdy granie koncertów i nagrywanie płyt wydawało mu się właśnie takim hobby, a nie pracą - nie potrafił wyjaśnić.

I znów pomyślał, że powinien wyjechać. Zostawić farmę w lusterku wstecznym i ruszyć przed siebie, nieważne dokąd.

Myśl była tak nagła, tak przemożna - wsiał do samochodu i wynoś się stąd! - że spał się cały. Nienawidził samej idei ucieczki. Wskoczenie do samochodu i odjazd to nie świadomy wybór, tylko panika. I wtedy w jego głowie pojawiła się kolejna myśl, niepokojąca i pozbawiona podstaw, lecz osobliwie przekonująca: jest manipulowany, nieboszczyk chce, aby uciekł. Usiłuje go zmusić, by porzucił... co porzucił? Jude nie miał pojęcia. Na zewnątrz psy chórem obszczekały przejeżdżającą półciężarówkę.

Poza tym i tak nigdzie się nie wybierał bez wcześniejszej rozmowy z Georgią. A jeśli nawet w końcu postanowi wyjechać, pewnie najpierw jednak się ubierze. Lecz po chwili odkrył, że siedzi już za kierownicą mustanga. Lubił tam myśleć. Zawsze najlepiej mu się myślało w samochodzie, przy włączonym radiu.

Siedział w ciemnym garażu o podłodze z ubitej ziemi i wydało mu się, że jeśli w pobliżu czai się jakiś duch, jest to Anna, a nie rozgniewana dusza jej ojczyma. Była równie blisko jak tylne siedzenie. Oczywiście kochali się na nim. Poszedł do domu po piwo, a kiedy wrócił, czekała w mustangu naga, tylko w wysokich butach. Upuścił otwarte puszki i zostawił je tak, pieniaące się na ziemi. W tamtym momencie nic na świecie nie wydawało mu się ważniejsze niż jej jędrne, dwudziestosześcioletnie ciało, dwudziestosześcioletni pot i śmiech, i jej zęby na jego szyi.

Siedział w chłodnym cieniu, w fotelu z białej skóry i po raz pierwszy tego dnia poczuł prawdziwe zmęczenie. Ręce miał ciężkie, bose stopy odrętwiałe z zimna. Kluczyki tkwiły w stacyjce, przekręcił je, by włączyć ogrzewanie.

Nie był już pewien, czemu wsiał do samochodu. Teraz jednak, gdy w nim siedział, nie potrafił sobie wyobrazić, że miałby się ruszyć. Z bardzo daleka dobiegło go nerwowe, niespokojne szczekanie psów. Żeby je zagłuszyć, włączył radio.

John Lennon śpiewał I Am The Walrus, z wywietrzników wylewało się gorące powietrze, omiatając gołe nogi Jude'a, który odprężył się i pozwolił, by głowa opadła na oparcie. Zmysłowy, pulsujący bas Paula McCartneya odpływał coraz bardziej, zagłu-

szany przez cichy pomruk silnika mustanga - zabawne, przecież Jude nie uruchomił silnika, tylko ogrzewanie. Po Beatlesach nastąpiła seria reklam. Lew z Imperial Autos mówi: Nie znajdziecie podobnych ofert w żadnym z trzech stanów! Konkurencja nie zdoła nawet zbliżyć się do naszych cen. Martwi ściągają żywych w dół, chodź, siadaj za kierownicą i wybierz się na nocną drogę. Pojedziemy razem. Zaśpiewamy razem. Będziesz chciał, żeby ta wycieczka nigdy się nie skończyła. I się nie skończy.

Reklamy znudziły Jude'a. Znalazł w sobie dość sił, by przełączyć kanał. Na FUM grali jedną z jego piosenek, pierwszego solowego singla, grzmiący numer w stylu AC/DC zatytułowany Dusze na sprzedaż. W mroku zdawało się, że wokół samochodu szybują widmowe postaci, bezkształtne strzępy złowieszczej mgły. Ponownie zamknął oczy, słuchając własnego głosu.

Mówisz, że więcej niż srebro i niż złoto
Warta jest moja dusza.
Z Bogiem pogodzę się z wielką ochotą,
Ale najpierw na piwo mieć muszę.

Prychnął cicho pod nosem. Nie sprzedawanie dusz ściągało na człowieka kłopoty, tylko ich kupowanie. Następnym razem będzie musiał dopilnować, by istniała możliwość zwrotu. Zaśmiał się i uchylił powieki. Nieboszczyk, Craddock, siedział obok w fotelu pasażera. Uśmiechnął się, demonstrując krzywe, poplamione zęby i czarny język. Cuchnął śmiercią i spalinami, jego oczy kryły się za tymi dziwnymi, stale poruszającymi się krechami, czarnymi pociągnięciami pędzla.

- Nie przyjmujemy zwrotów ani reklamacji - powiedział do niego Jude.

Nieboszczyk współczująco pokiwał głową i Jude znów zamknął oczy. Gdzieś daleko ktoś wykrzykiwał jego imię.

...ude! Jude! Odpowiedz mi, Ju...

On jednak nie miał zamiaru się męczyć. Był śpiący i chciał, żeby wszyscy dali mu spokój. Odchylił oparcie. Splótł ręce na brzuchu. Odetchnął głęboko.

Właśnie zasnął, gdy Georgia chwyciła go za rękę i wyciągnęła z samochodu na ziemię. Jej głos napływał falami, to głośniejszy, to niemal niesłyszalny.

...wysiadaj, Jude, do kurwy nędzy, wy...

...ylko nie umrzyj, tylko nie...

...łagam, błagam!

...oczy, otwórz te pieprzone...

Otworzył oczy i usiadł, zanosząc się gwałtownym kaszlem. Drzwi stodoły były podniesione, do środka wpadały oślepiające, krystaliczne promienie słońca. Wydały mu się twarde i bardzo ostre, raziły oczy. Wzdrynął się, odetchnął głęboko zimnym powietrzem, otworzył usta, by coś powiedzieć, dać jej znać, że nic się nie stało, i nagle gardło wypełniło mu się żółcią. Zwymiotował. Georgia trzymała go za ramię, kiedy rzygał.

Kręciło mu się w głowie, ziemia pod nim zafalowała. Kiedy próbował wyjrzeć na zewnątrz, świat zawirował niczym obraz wymalowany na ścianie wazonu obracającego się na kole garncarskim. Dom, podwórze, podjazd, niebo przepływały obok. Uległ atakowi choroby lokomocyjnej. Znów zaczął wymiotować.

Wbijając palce w ziemię, czekał, aż świat przestanie się poruszać. Nie żeby kiedykolwiek przestał; odkrył to już dawno, kiedy był naćpany, urznięty albo miał gorączkę: że świat cały czas się obraca i tylko zdrowy umysł potrafi wyprzeć ten fakt ze świadomości. Splunął, otarł usta. Bolały go mięśnie brzucha, jakby właśnie skończył kilka serii brzuszaków. Co, jeśli się nad tym zastanowić, niewiele różniło się z prawdą. Usiadł, odwrócił się i spojrzał na mustanga. Silnik wciąż pracował. W środku nie było nikogo.

Psy kręciły się wokół. Angus trącił go w twarz zimnym, mokrym nosem i oblizwał mu kwaśne od wymiocin usta. Jude był tak słaby, że nie mógł go odepchnąć. Bon, jak zawsze nieśmiała, zerknęła na niego nerwowo z ukosa, a potem pochyliła głowę nad plamą rzadkich wymiocin i zaczęła chleptać ukradkiem.

Spróbował wstać, chwytając się ręki Georgii, lecz nie miał dość sił. Pociągnął ją, upadła. Nagła myśl - martwi ściągają żywych w dół - przez chwilę zawirowała mu w głowie i zniknęła. Georgia dygotała, twarz wtuloną w jego kark miała mokra.

- Jude - powtarzała. - Jude, nie wiem, co się z tobą dzieje.

Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Wciąż brakowało mu powietrza. Wpatrywał się w czarnego mustanga podrygującego na resorach. Moc silnika pracującego na biegu jałowym trzęsła całym pudłem.

- Myślałam, że nie żyjesz. Kiedy złapałam cię za rękę, myślałam, że nie żyjesz. Czemu tu siedziałeś z włączonym silnikiem i zamkniętymi drzwiami?

- Bez powodu.

- Powiedziałaś coś nie tak? Coś spieprzyłam?

- O czym ty mówisz?

- Nie wiem - mruknęła i wybuchnęła płaczem. - Musi istnieć powód, dla którego przyszedłeś tu się zabić.

Dźwignął się na kolana. Wciąż trzymał ją za przegub. Teraz ujął też drugi. Splątane czarne włosy opadły jej na oczy.

- Nie przyszedłem tu się zabić. Wsiadłem do samochodu, żeby się rozgrzać, ale go nie uruchomiłem. Sam się odpałiłem.

- Przestań!

- Tu był nieboszczyk.

- Przestań, przestań!

- Duch z korytarza. Znów go widziałem. Siedział ze mną w samochodzie. Albo on włączył silnik, albo ja to zrobiłem, nie wiedząc, co robię, bo on tego chciał.

- Wiesz, jak to brzmi?

- Że zwariowałem? Danny także go widział. Dlatego odjechał. Danny nie potrafił tego znieść, musiał odejść.

Georgia wpatrywała się w niego błyszczącymi, jasnymi zalęknionymi oczami spod miękkich loków grzywki. Pokręciła głową.

- Chodźmy stąd - rzekł. - Pomóż mi wstać.

Objęła go pod pachami i dźwignęła się z ziemi. Kolana Jude'a przypominały słabe sprężyny, nie mogły go utrzymać. Gdy tylko wstał, zaczął lecieć do przodu. Wyciągnął ręce, by powstrzymać upadek, i oparł się o rozgrzaną maskę samochodu.

- Wyłącz go - polecił. - Zabierz kluczyki.

Georgia wsiadła do środka. Kaszłąc, zamachała rękami, żeby odpędzić chmurę spalin, i przekręciła kluczyk. Nagle w stodole zapadła przejmująca cisza.

Bon przywarła do nóg Jude'a, jakby szukała wsparcia. Kolana znowu się pod nim ugięły. Odsunął ją nogą, a potem trącił w zad stopą. Odskoczyła ze skowytem.

- Odpierdol się - rzucił.

- Daj jej spokój! - zaprotestowała Georgia. - To one uratowały ci życie.

- Niby jak?

- Nie słyszałeś ich? Wysłałam, żeby je uciszyć. Wpadły w histerię.

Jude pożałował, że kopnął Bon. Chciał ją pogłaskać, ale wycofała się w głąb stodoły i krążyła w mroku tam i z powrotem, obserwując go z ponurą, oskarżycielską miną. Zastanawiał się, gdzie jest Angus, zaczął go szukać wzrokiem. Pies ze sztywno podniesionym ogonem stał w drzwiach. Patrzył na podjazd.

- Co on tam widzi? - zdziwiła się Georgia.

Jude nie miał pojęcia. Stał oparty o samochód, zbyt daleko od drzwi stodoły, by zobaczyć, co jest na podwórzu.

Georgia schowała kluczyki do kieszeni czarnych džinsów. Zdażyła już się ubrać i zabandażować prawy kciuk. Minęła Jude'a i stanęła obok Angusa. Pogładziła psa po grzbiecie. Zerknęła na podjazd i z powrotem na Jude'a.

- I co? - spytał.

- Nic. - Przycisnęła prawą dłoń do piersi i skrzywiła się, jakby zabołało. - Potrzebujesz pomocy?

- Dam radę. - Odepchnął się od mustanga, świadom narastającego ucisku w głębi czaszki, powolnego, pulsującego bólu, który groził przekształceniem się w naprawdę rekordową migrenę.

Gdy dotarł do wielkich drzwi stodoły, zatrzymał się obok Angusa i Georgii. Spojrzał na podjazd, zamrażnięte błoto i otwartą bramę farmy. Wypogadzało się. Szare skłębione chmury zaczynały się rozplýwać, między nimi od czasu do czasu rozbłyskało słońce.

Craddock McDermott w czarnej fedorze patrzył na niego z pobocza drogi. Słońce akurat ukryło się za chmurą. Duch uśmiechnął się szeroko, demonstrując poplamione zęby. Kiedy zza skraju chmury zamigotało słońce, zniknął. Najpierw rozplý-

nęła się jego głowa i ręce, pozostał tylko pusty czarny garnitur. A potem on też zniknął. Duch pojawił się chwilę później, kiedy chmury raz jeszcze przesłoniły słońce.

Uchylił kapelusza przed Jude'em w szyderczym, osobiwim południowym geście. Słońce rozbłyskało i gasło, a Craddock migotał do wtóru niczym wiadomość w alfabecie Morse'a.

- Jude? - zagadnęła Georgia. Tak jak Angus, nieruchomo patrzyła w podjazd. - Tam nic nie ma, prawda, Jude?

- Nie - odparł. - Nic tam nie ma.

Craddock pojawił się ponownie, dość długo, by mrugnąć. A potem zerwał się wietrzyk i wysoko w górze słońce na dobre przebiło zasłonę chmur, które zamieniły się w strzępy brudnoszarej włóczki. Światło zalało drogę. Duch zniknął.

15

Georgia zaprowadziła go do biblioteki muzycznej na pierwszym piętrze. Nie zauważył, że obejmuje go w pasie, podtrzymuje i prowadzi, póki go nie puściła. Osunął się na kanapę, barwy mchu i niemal natychmiast zasnął.

Zbudził się na krótko, mrugając oślepienymi oczami, gdy pochyliła się, żeby przykryć go kocem. Jej twarz była bladym owalem z czarną linią ust i ciemnymi otworami w miejscach oczu.

Opadły mu powieki. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był aż tak zmęczony. Dopadł go sen i bezlitośnie ściągał w dół, zagłuszając rozsądek i rozum. Lecz Jude, opadając, widział przed sobą obraz twarzy Georgii i przesładowała go przerażająca myśl, że ona nie ma oczu, że zniknęły za czarnymi krechami. Nie żyła, była duchem.

Zaczął walczyć, próbując powrócić do świata jawy, i omal mu się udało. Odrobinię uniośł powieki. Georgia stała w drzwiach, patrzyła na niego. Drobne białe dłonie zaciskała w drobne białe piąstki. Znów miała oczy. Na jej widok ogarnęła go przejmująca ulga.

A potem w korytarzu za nią Zobaczył ducha, który uśmiechał się, demonstrując poplamione nikotyną zęby. Skóra na jego sterzących kościach policzkowych napinała się boleśnie.

Craddock McDermott poruszał się jak na filmie poklatkowym, niczym seria nieruchomych zdjęć. W jednej chwili ręce wisiały mu u boków, w drugiej jedna z wychudzonych dłoni spoczywała na ramieniu Georgii. Miał pożółkłe, długie, zakrzywione palce. Czarne krechy tańczyły i migotały mu przed oczami.

Czas znów skoczył naprzód. Prawa ręka Craddocka wznosiła się w powietrzu, wysoko nad głową Georgii. Wyleciał z niej złoty łańcuszek. Wahadełko na końcu, zakrzywione dziesięciocentymetrowe ostrze, błysk srebra, zawisło przed oczami dziewczyny. Kołysało się, zataczając niewielkie łuki, a ona wpatrywała się w nie wielkimi oczami, zafascynowana.

Kolejny przeskok. Craddock pochylał się naprzód, zastygł w bezruchu, usta miał przy jej uchu. Nie poruszał wargami, lecz Jude słyszał cień szeptu, jak odgłos towarzyszący ostrzeniu noża o skórzany pasek.

Chciał ją zawołać. Chciał jej powiedzieć, żeby uważała, bo duch stoi tuż obok, niech ucieka, nie słucha go. Jednak mógł wydać z siebie tylko żalony jęk. Nie zdołał powstrzymać opadania powiek. Walczył z nadchodzącą sennością, był jednak słaby - co za obce, nieznanne uczucie. Raz jeszcze osunął się w otchłań i tym razem tam pozostał.

Nawet we śnie Craddock czekał na niego z brzytwą. Ostrze dyndało na końcu złotego łańcuszka przed szeroką twarzą Wietnamczyka, nagiego, tylko z białą szmatą na biodrach, siedzącego przy stole w wilgotnym, betonowym wnętrzu. Wietnamczyk miał ogoloną głowę, na skórze widniały błyszczące różowe kręgi w miejscach, gdzie przypaliły ją elektrody.

Okno wychodziło na deszczowe podwórko Jude'a. Psy stały tuż przy szybie, dość blisko, by na szkle pojawiały się białe plamy pary ich oddechów. Ujadały gorączkowo, były jednak niczym psy w telewizorze z wyłączonym dźwiękiem. Jude nic nie słyszał.

Stał cicho w kącie, miał nadzieję, że go nie zauważą. Brzytwa kołysała się tam i z powrotem przed zdumioną, zlaną potem twarzą Wietnamczyka.

- Zupa była zatruta - oznajmił Craddock. Mówił po wietnamsku, lecz, jak to bywa w snach, Jude rozumiał każde słowo. - To jest antidotum. - Wolną ręką Craddock wskazał grubą strzykawkę wewnątrz czarnego pudełka w kształcie serca. Oprócz niej

w pudełku leżał nóż o szerokim ostrzu z teflonową rękojeścią. -
Ratuj się.

Człowiek z Vietcongu wziął strzykawkę i bez wahania wbił sobie w szyję. Igła miała jakieś dwanaście centymetrów długości. Jude wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

Jego spojrzenie powędrowało do okna. Psy wciąż były po drugiej stronie, skakały na szybę w absolutnej ciszy. Za nimi, na huśtawce, ujrzał Georgię. Naprzeciw niej przysiadła bosa dziewczynka w ładnej kwiecistej sukience. Obie miały oczy przewiazane przepaskami, zwiewnymi czarnymi apaszkami. Dziewczynka miała jasne włosy związane w luźny koński ogon i nieprzenikniony wyraz twarzy. Choć Jude'owi wydała się znajoma, potrzebował długiej chwili, by dotarło do niego, że widzi Annę w wieku dziewięciu, dziesięciu lat. Anna i Georgia huśtały się w górę i w dół, w górę i w dół.

- Zamierzam ci pomóc - mówił Craddock; tym razem zwracał się do więźnia po angielsku. - Masz poważny problem, słyszysz? Ale ja mogę ci pomóc, wystarczy, żebyś słuchał uważnie. Nie myśl. Słuchaj tylko mojego głosu. Już prawie zmierzch. Prawie pora. O zmierzchu włączymy radio i posłuchamy w nim głosu. Zrobimy to, co każe człowiek w radiu. Twoja głowa to radio, a mój głos to jedyna audycja.

Jude spojrział w stronę stołu i Craddocka już tam nie było, ale stał staroświecki radiodbiornik o świecącej na zielono skali. Z głośnika dobiegał głos Craddocka.

- Masz tylko jedną szansę, by przeżyć. Rób dokładnie to, co ci każe. Mój głos to jedyny głos, jaki słyszysz.

Jude poczuł chłód w piersi. Nie podobał mu się rozwój sytuacji. Nagłe odzyskał siły, zrobił trzy kroki i znalazł się przy stole. Chciał uwolnić ich obu od głosu Craddocka. Chwycił kabel zasilający radio tuż przy kontakcie i szarpnął. Błękitna elektryczna iskra ukłuła go w dłoń. Odskoczył, upuszczając kabel na podłogę. Lecz radio wciąż gadało.

- Jest już zmierzch. W końcu jest zmierzch. Nadszedł czas. Widzisz nóż w pudełku? Możesz go wziąć. Należy do ciebie. Weź go. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Jeniec z Vietcongu wstał, z ciekawością zajrzał do pudełka w kształcie serca i wyjął nóż. Obracał go w dłoniach, klinga co chwilę rozbłyśkiwała.

Jude przesunął się, żeby przyjrzeć się radiu. Prawa dłoń wciąż mu pulsowała po ukłuciu prądu i poruszała się niezręcznie. Nie dostrzegł włącznika, więc obrócił pokrętko, próbując uciszyć głos Craddocka. Uszy wypełnił mu dźwięk, który z początku wziął za głośny szum. Po chwili jednak zrozumiał, że to przeciągły, atonalny pomruk wielkiego tłumu.

Mężczyzna o wszystkimwiedzącym, przemądrzałym głosie spikera radiowego z lat pięćdziesiątych rzekł:

- Stottlemyre posłał dziś doprawdy hipnotyzującą, ostrą piłkę i załatwił na cacy Tony'ego Conigliaro. Pewnie słyszeliście, że nawet po zahipnotyzowaniu nie da się zmusić ludzi do czegoś, czego sami nie chcą robić. Ale teraz widać, że to nieprawda, bo każdy rozumie, że Tony C. z pewnością nie chciał stracić tej ostatniej piłki. Można zmusić każdego do robienia najstraszniejszych rzeczy, trzeba tylko wcześniej odpowiednio go rozmiękczyć. Pozwólcie, że to zademonstruję z obecnym tu Johnnym Żółtkiem. Johnny, palce twojej prawej dłoni to jadowite węże. Nie pozwól im się ugryźć!

Jeniec uskoczył z powrotem na krzesło, wzdrygając się z przerażenia. Nozdrza miał rozszerzone, wykrzywił usta. Nagle w jego oczach zapłonęła bolesna determinacja. Jude odwrócił się z piśkiem obcasa na podłodze, chciał kazać mu przestać. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, wietnamski jeniec zamachnął się nożem.

Palce odpadły mu od dłoni, tyle że to już nie były palce, ale czarne, połyskujące główki węży. Jeniec nie krzyknął, jego wilgotną, migdałowobrazową twarz rozświetlił tryumfalny blask. Uniósł prawą dłoń, niemal z dumą demonstrując kikuty palców, z których wypływała krew i ściekała po wewnętrznej stronie ramienia.

- Ten groteskowy pokaz samookaleczenia zawdzięczają państwo producentom pomarańczowego napoju Moxie. Jeśli jeszcze nie próbowałeś Moxie, czas podjąć wyzwanie i przekonać się,

czemu Myszka Miki uważa, że jest super hiper. Stary znak zastąpiono...

Jude cofnął się do drzwi. W głębi gardła czuł smak wymiocin. Gdy wypuścił powietrze, ich woń wypełniła mu nos. Kątem oka widział okno i huśtawkę. Wciąż unosiła się i opadała, nikt na niej nie siedział. Uśpione psy leżały w trawie.

Pchnął drzwi i zbiegł po dwóch koślawych stopniach na zakurzone podwórze za farmą ojca. Ojciec siedział na kamieniu, zwrócony do niego plecami, i ostrzył brzytwę na czarnym pasku. Dźwięk brzmiał zupełnie jak głos ducha. A może odwrotnie? Jude sam już nie wiedział. Na trawie obok Martina Cowzynskiego stała stalowa wanna, w której unosiła się czarna fedora. Kapelusz w wodzie wyglądał okropnie, Jude miał ochotę krzyczeć.

Palące promienie słońca padały mu wprost na twarz. Zachwiał się, uniósł dłoń, osłaniając oczy. Martin przesunął ostrzem po pasku i z czarnej skóry polały się ciężkie krople krwi. Gdy przesunął ostrze naprzód, pasek szeptał umrzyj. Kiedy cofał brzytwę, powodował zdławiony dźwięk brzmiały jak słowo kochaj. Jude nie zwolnił, by pomówić z ojcem, szedł dalej, okrążając dom od tyłu.

- Jude! - zawołał za nim Martin i Jude obejrzał się przez ramię, nie mógł się powstrzymać. Ojciec miał na sobie ciemne okulary niewidomego, okrągłe czarne soczewki w srebrnej oprawie. Odbijało się w nich jasne słońce. - Musisz wracać do łóżka, chłopcze, jesteś cały rozpalony. Dokąd to się wybierasz w takim stroju?

Jude zerknął w dół i zobaczył, że ma na sobie garnitur nieboszczyka. Nie zwalniając kroku, zaczął rozpinąć marynarkę. Prawą rękę miał odrętwiałą i niezgrabną - jakby to on odrębał sobie palce - i guziki nie chciały się rozpiąć. Poddał się po kilku krokach. Było mu słabo, piekł się w słońcu Luizjany, gotował w czarnym garniturze.

- Zamierzasz iść na pogrzeb? - spytał ojciec. - Uważaj, bo to może być twój.

W miejscu, gdzie wcześniej w wannie unosił się kapelusz, pojawił się kruk. Wystartował w powietrze, wściekle machając skrzydłami i rozbryzgując wokół wodny pył. Jude minął go

i szedł dalej chwiejnym, pijackim krokiem. Po sekundzie dotarł do mustanga i wpadł do środka, zatraskując za sobą drzwi. Widoczna przez przednią szybę ziemia falowała w upale niczym odbity w wodzie obraz. Z trudem chwycił oddech w garniturze nieboszczyka, zbyt ciepłym, zbyt czarnym i zbyt ciasnym. Był cały mokry od potu. Czuł słabą woń spalenizny. Największe gorąco zdawało się promieniować z jego prawej ręki. Nie bolała go, już nie. Przypominała raczej zatruty ciężar, nabrzmiały nie krwią, lecz płynnym metalem.

Cyfrowe radio XM zniknęło, na jego miejscu tkwiło oryginalne fabryczne radio z mustanga. Kiedy je włączył, rozpalona prawa dłoń zostawiła na pokrętle rozmazany odcisk palca.

- Jeżeli istnieje jedno słowo, które może odmienić wasze życie, przyjaciele... - rzekł głos w radiu, przymilny, melodyjny, z wyraźnym południowym akcentem. - Jeśli istnieje tylko jedno takie słowo, to wiercie mi, słowo to brzmi terazizawszeJezus.

Jude położył dłoń na kierownicy. Czarny plastik natychmiast zaczął mięknąć, rozplýwać się pod palcami. Kierownica powoli odkształcała się, zapadała w sobie.

- Tak, jeśli słowo to zagości w waszych sercach, jeśli przytrzymacie je w sobie, przytulicie do siebie jak własne dziecko, może ocalić wam życie. Wierzę w to. Czy teraz wysłuchacie mojego głosu? Wysłuchacie mojego głosu? Oto kolejne słowo, które może wyrzucić wasz świat do góry nogami i otworzyć wam oczy na nieskończone możliwości żywej duszy. Słowo to brzmi zmierzch. Powiem raz jeszcze, zmierzch. Wreszcie nadszedł zmierzch. Martwi ściągną żywych w dół. Razem pojedziemy drogą chwały. Alleluja.

Jude zdjął rękę z kierownicy i położył na siedzeniu obok siebie. Skóra zaczęła dymić. Uniósł rękę i potrząsnął nią. Teraz jednak dym wydobywał się z rękawa, z wnętrza marynarki nieboszczyka. Samochód toczył się po drodze, długiej, czarnej asfaltowej drodze przecinającej południowe dżungle o drzewach zduszonych w splotach pnączy i chaszczach zarastających każdy wolny skrawek ziemi. W dali asfalt był zniekształcony i migotał w rozedrganych falach gorąca.

Głos dobiegający z radia rozbrzmiewał raz mocniej, raz słabiej. Czasami pojawiało się coś jeszcze: urywki muzyki zagłuszające radiowego kaznodzieję, który tak naprawdę nie był wcale kaznodzieją, lecz Craddockiem korzystającym z cudzego głosu. Piosenka brzmiała żałobnie i archaicznie, jak coś z kolekcji Folkways, jednocześnie ponura i słodka, samotna gitara grająca w tonacji molowej. Jude pomyślał bez związku: Może mówić, ale nie śpiewać.

Woń unosząca się w samochodzie gęstniała, stawała się coraz gorsza; zapach tłącej się wełny. Jude zaczynał się palić. Teraz dymił już z obu rękawów i spod kołnierzyka. Zaciśnął zęby i zaczął krzyczeć. Zawsze wiedział, że odejdzie właśnie tak, w ogniu. Zawsze wiedział, że wściekłość jest łatwopalna, że niebezpiecznie jest gromadzić ją pod ciśnieniem. A on czynił tak całe życie. Mustang pędził naprzód niekończącymi się czarnymi drogami, spod maski i z okien wydobywały się kłęby czarnego dymu. Jude nie mógł przeniknąć go wzrokiem. Oczy mu łzawiły. Ale to nic. Nie musiał widzieć, dokąd zmierza. Nacisnął pedał gazu.

Obudził się nagle, czując na twarzy nieprzyjemne ciepło. Leżał na boku, przygniatając prawą rękę i kiedy wstał, odkrył, że dłoń mu zdrętwiała. Nawet po przebudzeniu wciąż czuł smród spalenizny. Przypominał odór płonących włosów. Spojrzał w dół, niemal spodziewając się, że ujrzy na sobie garnitur nieboszczyka, jak we śnie. Ale nie; wciąż był ubrany w stary, postrzępiony szlafrok.

Garnitur. Garnitur stanowił klucz. Wystarczy tylko sprzedać go ponownie. Garnitur i wraz z nim ducha. Rozwiązanie było oczywiste. Czemu potrzebował tyle czasu, by je znaleźć? Ktoś z pewnością go zechce, może nawet sporo ludzi. Widział, jak na koncertach fani kopią, plują i gryzą, walcząc o pałki perkusisty rzucone w tłum. Z jeszcze większym entuzjazmem przyjmą ducha prosto z domu Judasa Coyne'a. Jakiś nieszczęsny dupek uwolni go od żałobnego ubrania i duch będzie musiał odejść.

Jude niespecjalnie przejął się myślą o dalszych losach nabywcy. Przede wszystkim liczyło się przetrwanie. Jego i Georgii.

Wstał chwiejnie, parę razy poruszył prawą dłoń. Krażenie powoli powracało, towarzyszyło mu lodowate mrowienie. Niedługo zacznie kurewsko boleć.

Światło zmieniło się, przeniosło na drugą stronę pokoju, słabe i jasne przenikało przez firanki. Nie potrafił określić, jak długo spał.

Smród spalenizny zwabił go w głąb ciemnego holu, przez kuchnię do spiżarni. Drzwi na tylny taras stały otworem. Ujrzał Georgię, zmarzniętą i nieszczęśliwą, w czarnej dżinsowej kurtce i koszulce Ramones odślanającej gładką, białą krzywiznę brzucha. W lewej dłoni trzymała szczypce, jej oddech parował w mroźnym powietrzu.

- Cokolwiek gotujesz, spieprzyłaś to - powiedział, rozpędzając ręką dym.

- Wcale nie. - Uśmiechnęła się z dumą, wyzywająco. W tym momencie była tak piękna, że niemal pękło mu serce - biała szyja z zagłębieniem u podstawy, delikatna linia ledwie widocznych obojczyków. - Wymyśliłam, jak zmusić ducha do odejścia.

- Czyli jak? - spytał Jude.

Chwyciła coś szczypcami i podniosła - płonący kawałek czarnego materiału.

- Garnitur - rzekła. - Spaliłam go.

16

Godzinę później zapadł zmierzch. Jude siedział w gabinecie, patrząc, jak ostatnie światło dnia gaśnie na niebie. Na kolanach miał gitarę. Musiał pomyśleć; gitara zawsze mu w tym pomagała.

Siedział na krześle odwróconym do okna wychodzącego na stodołę, psiarnię i rosnące dalej drzewa. Uchylił je lekko. Wpadające do środka powietrze niesło ze sobą rześki chłód. Nie przeszkadzało mu to - w domu nie było wcale cieplej, a potrzebował świeżego powietrza. Z radością przyjął październikowe zapachy gnijących jabłek i liści. Po smrodzie spalin było to bardzo przyjemne. Mimo prysznic i zmiany ubrania wciąż czuł tę nieznośną woń.

Siedział plecami do drzwi i kiedy Georgia weszła do pokoju, ujrzał jej odbicie w szybie. Niosła dwa kieliszki czerwonego wina. Bandaż spowijający kciuk zmuszał ją do niezręcznego uchwytu i kiedy uklękła obok krzesła Jude'a, rozlała odrobinę. Scałowała wino ze swej skóry, a potem postawiła przed nim kieliszek na wzmacniaczu.

- On nie wróci - powiedziała. - Założę się, o co chcesz. Spaliłam garnitur i pozbyłam się go. Prawdziwy przebłysk geniuszu. Musieliśmy się pozbyć tego kurestwa. Przed zniesieniem na dół zawinęłam go w dwa worki na śmieci i mimo to o mało się nie porzygałam przez ten smród.

Jude miał ochotę powiedzieć: Chciał, żebyś to zrobiła, ale milczał. Lepiej żeby tego nie słyszała. A poza tym niczego by to nie zmieniło.

Jego twarz musiała zdradzać wątpliwości. Georgia przyjrzała mu się uważnie.

- Myślisz, że on wróci? - spytała. Nie odpowiedział, więc mówiła dalej, cicho, nagle. - W takim razie czemu nie wyjedzie my? Wynajmijmy pokój w mieście i wynośmy się stąd do diabła.

Zastanowił się chwilę, z trudem układając odpowiedź.

- Nie sądzę, by ucieczka cokolwiek dała - rzekł w końcu. - On nie nawiedził domu. Nawiedził mnie.

Była to częściowa prawda - ale tylko częściowa. Resztę zbyt trudno byłoby ująć w słowa. Dręczyła go myśl, że jak dotąd wszystko to się zdarzyło z jakiejś przyczyny - przyczyny nieboszczyka. Nagle w jego głowie pojawiła się fraza operacje psychologiczne. Poczł nagły dreszcz. Ponownie się zastanowił, czy duch nie próbuje zmusić go do ucieczki i czemu to robi. Może dom albo coś w domu dawało Jude'owi przewagę, choć, mimo iż bardzo się starał, nie potrafił zgadnąć co.

- Nie myślałaś nad tym, żeby wyjechać sama? - spytał.

- Dzisiaj o mało nie umarłaś - odparła Georgia. - Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale nigdzie się nie wybieram. Odtąd ani na chwilę nie spuszcze cię z oka. Poza tym twój duch nic mi nie zrobił. Założę się, że nie może mnie tknąć.

Lecz Jude widział, jak Craddock szepcze jej do ucha. Widział wyraz twarzy Georgii, gdy nieboszczyk pomachał jej przed twarzą swoją brzytwą. I nie zapomniał głosu Jessiki Price w telefonie, oczekujących jadem słów wymawianych z leniwym południowym akcentem: Nie przeżyjesz ani ty, ani nikt, kto mógłby ci pomóc czy dać pociechę.

Craddock mógł Georgię skrzywdzić. Musiała odejść. Jude widział to wyraźnie - a przecież myśl, że miałby ją odesłać, samotnie chodzić po domu nocą i natknąć się na ducha w mroku, wzbudziła w nim paraliżującą grozę. Czuł, że jeśli Georgia wyjedzie, on straci resztki odwagi. Nie wiedział, czy bez jej bliskości zdoła znieść noc i ciszę, i przyznanie się, że jej potrzebuje, tak bardzo go zaskoczyło, że przez moment poddał się uczuciu przypominającemu paskudny lęk wysokości. Zawsze bał się wysokości. Pamiętał, jak ziemia odpływała w dali, gdy on bezradnie unosił się w niebo na diabelskim młynie.

- A Danny? - W jego uszach własny głos zabrzmiał dziwnie, nerwowo. Odchrząknął. - Danny uważał, że duch jest nie bezpieczny.

- Coś mu zrobił? Danny coś zobaczył, przestraszył się i uciekł. Nic złego go nie spotkało.

- Fakt, że duch niczego nie zrobił, nie oznacza, że nie może zrobić. Spójrz tylko, co mi się przydarzyło dziś po południu.

Georgia pokiwała głową. Jednym haustem dopiła wino, a potem spojrzała Jude'owi prosto w oczy, przenikliwie, pytająco.

- I przysięgasz, że nie poszedłeś do stodoły, żeby się zabić? Przysięgniesz, Jude? Nie złość się na mnie, że pytam, ale muszę wiedzieć.

- Uważasz, że jestem typem samobójcy?

- Każdy nim jest.

- Nie ja.

- Każdy. Sama próbowałam to zrobić. Pigułki. Bammy znalazła mnie nieprzytomną na podłodze w łazience, wargi miałam sine, ledwie oddychałam. To było trzy dni po ostatnim dniu liceum. Potem matka i ojciec odwiedzili mnie w szpitalu i ojciec powiedział: Nawet tego nie umiałaś zrobić, jak należy.

- Kutafon.

- Zgadza się.

- Czemu chciałaś się zabić? Mam nadzieję, że był to dobry powód.

- Bo sypiałam z najlepszym przyjacielem mojego taty. Odkąd skończyłam trzynaście lat. Gość miał czterdzieści lat i córkę. Ludzie się dowiedzieli, jego córka się dowiedziała. Była moją przyjaciółką, powiedziała, że zrujnowałam jej życie. Że jestem dziwką. - Georgia obracała kieliszek w lewej dłoni, patrząc, jak światło załamuje się na szklanej krawędzi. - Trudno zresztą się nie zgodzić. Dawał mi różne rzeczy, a ja zawsze je przyjmowałam. Na przykład raz dał mi nowiutki sweter, a w kieszeni schował pięćdziesiąt dolarów. Powiedział, że to na pasujące buty. Pozwoliłam mu się różnić za pieniądze na buty.

- Do diabła, to wcale nie powód, żeby się zabijać - odparł Jude. - Raczej żeby zabić jego.

Tylko się roześmiała.

- Jak się nazywał?

- George Ruger. Teraz sprzedaje używane samochody w miasteczku, z którego pochodzę. Jest szefem komitetu wyborczego republikanów.

- Następnym razem, kiedy odwiedzę Georgię, wpadnę tam i zabiję skurwysyna.

Znów się zaśmiała.

- A przynajmniej solidnie wdepczę go w georgijską glinę - dodał Jude i zagrał pierwsze takty Dirty Deeds.

Georgia sięgnęła po kieliszek stojący na wzmacniaczu, uniosła go w toaście i pociągnęła łyk.

- Wiesz, co jest w tobie najlepsze? - spytała.

- Nie mam pojęcia.

- Nic cię nie brzydzi. Właśnie opowiedziałam ci to wszystko, a ty nie uważasz, że jestem... sama nie wiem. Zepsuta. Beznadziejnie porąbana.

- Może uważam, ale mnie to nie obchodzi.

- Obchodzi cię. - Położyła mu dłoń na kostce. - I nic cię nie szokuje.

Nie odpowiedział. Nie skomentował tego. Nie powiedział, że mógł się wszystkiego domyślić - próby samobójczej, nieczułego ojca, przyjaciela rodziny, który ją molestował - niemal od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, w obroży na szyi, z włosami nastroszonymi w nierówny pióropusz i ustami pomalowanymi szminką białą jak lukier na cieście.

- A co się stało z tobą? - spytała. - Twoja kolej.

Uwolnił nogę z jej uchwytu.

- Nie startuję w konkursie na najgorszą historię z życia wziętą.

Wyrzwał przez okno. Światło na dworze już zgasło, pozostała tylko słaba rudobrazowa poświata przenikająca przez bezlistne drzewa. Jude przyjrzał się własnemu półprzejrzystemu odbiciu w szkłe: długiej, pomarszczonej, wychudzonej twarzy

z gęstą czarną brodą sięgającą niemal do piersi. Ponury, obdar-
ty duch.

- Opowiedz mi o kobiecie, która przysłała ci ducha - poprosi-
ła Georgia.

- Jessica Price. Nie przysłała go tak po prostu. Pamiętaj, zmu-
siła mnie, żebym za niego zapłacił.

- No tak, na e-Bayu. Zgadza się?

- Nie, na innej stronie, trzeciorzędnej kopii. Aukcja tylko wy-
glądała zwyczajnie, Jessica Price sterowała wszystkim zza kulis,
pilnując, żebym wygrał. - Dostrzegł pytający wyraz oczu Georgii
i odpowiedział, nim zdążyła się odezwać. - Nie potrafię powie-
dzieć, czemu zadała sobie tyle trudu. Mam jednak przeczucie, że
nie mogła po prostu mi go przysłać. Musiałem zgodzić się go
przyjąć. Z pewnością kryje się w tym jakieś głębokie moralne
przesłanie.

- Tak - mruknęła Georgia. - Trzymaj się e-Baya, unikaj na-
śladowców. - Skosztowała wina i oblizwała wargi. -1 to wszystko
dlatego, że jej siostra się zabiła? Czemu uważa, że to twoja wina?
To z powodu czegoś, co napisałeś w jednej ze swoich piosenek?
Pamiętam, jeden dzieciak się zabił po tym, jak słuchał Ozzy'ego
Osbourne'a. Napisałeś coś mówiącego, że samobójstwo jest
w porządku, czy jak?

- Nie, podobnie jak Ozzy.

- W takim razie nie rozumiem, czemu jest tak cięta na ciebie.
Może znacie się jakoś? Znałeś dziewczynę, która się zabiła? Pisa-
ła ci szalone fanowskie listy czy co?

- Mieszkała ze mną - odparł. - Jak ty.

- Jak ja? Och.

- Mam dla ciebie nowinę, Georgio. Kiedy się poznaliśmy, nie
byłem prawiczkim. - Jego własny głos wydał mu się drewniany,
dziwny.

- Jak długo tu mieszkała?

- Nie wiem. Osiem, dziewięć miesięcy. Dość długo, by mnie
zmęczyć.

Zastanowiła się chwilę.

- Ja żyję z tobą jakieś dziewięć miesięcy.

- No i...?

- No i też jesteś mną zmęczony? Czy dziewięć miesięcy to granica? A potem czas na świeżą cipkę? Może była naturalną blondynką i uznałeś, że czas na brunetkę?

Zdjął dłonie z gitary.

- Była naturalną wariatką, dlatego ją wyrzuciłem. Wygląda na to, że nie przyjęła tego zbyt dobrze.

- Co to znaczy wariatką?

- Cierpiała na psychozę maniakalno-depresyjną. W fazie maniakalnej była świetna w łóżku, w fazie depresyjnej wymagała za dużo zachodu.

- Miała problemy psychiczne, a ty po prostu ją wykopałeś?

- Nie zobowiązywałem się, że do końca życia będę ją trzymał za rękę. Ciebie też nie. I powiem ci coś jeszcze, Georgio. Jeśli uważasz, że nasza historia skończy się a potem żyli długo i szczęśliwie, to wybrałaś sobie nie tę bajkę, kurwa. - W tym momencie zrozumiał, że znalazł szansę zadania jej bólu i pozbycia się jej. Teraz pojął, że od początku kierował rozmową tak, by dotrzeć do tej właśnie chwili. Znów pomyślał, że jeśli zrani ją dość mocno, by odeszła - nawet jeżeli tylko na jakiś czas, noc, parę godzin - może będzie to ostatnią dobrą rzeczą, jaką kiedykolwiek dla niej uczynił.

- Jak miała na imię? Ta dziewczyna, która się zabiła?

Już miał powiedzieć Anna, ale zmienił zdanie.

- Floryda - odparł.

Georgia wstała szybko, tak szybko, że zachwiała się, omal nie upadła. Mógł wyciągnąć rękę, by ją podtrzymać, ale tego nie zrobił. Lepiej niech cierpi. Pobladała, cofnęła się o niepewne pół kroku. Wpatrywała się w niego oszołomiona, skrzywdzona - a potem jej wzrok wyostrzył się, jakby nagle wyraźnie ujrzała jego twarz.

- Nie - szepnęła cicho. - Nie przegnasz mnie w taki sposób. Możesz mówić, co zechcesz. Zostaję, Jude.

Postawiła kieliszek na skraju biurka. Ruszyła do wyjścia i zatrzymała się w progu. Odwróciła głowę, ale nie patrzyła mu w twarz.

- Idę się przespać. Ty też chodź do łóżka. - To była informacja, nie prośba.

Jude milczał, bo nie miał nic do powiedzenia. Kiedy wyszła, ostrożnie oparł gitarę o ścianę i wstał. Serce mu waliło, nogi drżały. Potrzebował chwili, by zrozumieć, że to fizyczne odzwierciedlenie ogarniającego go uczucia - do tego stopnia nie przywykł do odczuwania ulgi.

17

Georgia zniknęła. To dostrzegł od razu. Zniknęła i wciąż trwała noc. Wypuścił z płuc powietrze, z ust uniosła mu się para niczym biały dym. Odrzucił cienką kołdrę i wstał z łóżka. Skulił się, gdy wstrząsnęły nim dreszcze.

Niepokoiliła go myśl, że Georgia wstała i krąży po domu. W głowie wciąż miał senny muł, temperatura w pokoju spadła niemal do zera. Rozsądek podpowiadał, że Georgia poszła sprawdzić, co jest nie tak z ogrzewaniem. Lecz Jude wiedział, że to nieprawda. Ona także źle spała, mamrotała i rzucała się we śnie. Może się obudziła i poszła pooglądać telewizję - ale w to także nie wierzył.

O mało jej nie zawołał, jednak przeraziła go perspektywa, że odpowie mu tylko dźwięcząca w uszach cisza. Nie. Żadnych krzyków. Żadnej bieganiny. Czuł, że gdyby wypadł z sypialni i zaczął się uganiać po pogrążonym w mroku domu, nawołując Georgię, przechyliłby szalę i nieodwracalnie dał się ponieść panice. Poza tym ciemność i cisza w sypialni odrzucały go i zrozumiął, że boi się tego, co może czekać za drzwiami.

Gdy tak stał, powoli dotarł do niego gardłowy pomruk silnika na jałowym biegu. Uniósł wzrok ku sufitowi skąpanemu w lodowatobiałych promieniach reflektorów świecących na dole, na podjeździe. Słyszał ujadanie psów.

Podszedł do okna i odsunął zasłonę.

Furgonetka zaparkowana przed domem kiedyś była niebieska, lecz od tego czasu minęło co najmniej dwadzieścia lat, lakier wyblakł, przybierając barwę dymu. To był chevrolet, typowy wóz

roboczy. Jude spędził dwa lata życia, kręcąc kluczem w warsztacie samochodowym za dolara siedemdziesiąt pięć na godzinę, i teraz słysząc niski, złowieszczy pomruk silnika, natychmiast się zorientował, że pod maską drzemie potężna siła. Wóz stanowił ucieleśnienie groźby i agresji. Miał szeroki srebrny błotnik przypominający bokserki ochraniacz na zęby i żelazną kratę przyśrubowaną do maski. To, co z początku Jude wziął za zwykłe światła, było parą reflektorów przymocowanych do kraty, dwóch okrągłych plam posyłających w noc strugi światła. Furgonetka wisiała niemal trzydzieści centymetrów nad ziemią, na czterech trzydziestkachpiątkach. Zbudowano ją dojazdów po zalanych drogach na bagnach, pokonywania wybojów i gęstych krzaków Południa. Silnik pracował. W środku nie było nikogo.

Psy rzucały się z łoskotem na siatkę, bez przerwy ujadając i warcząc na pustą furgonetkę. Jude spojrzął w głąb podjazdu, w stronę drogi. Brama była zamknięta. Żeby ją otworzyć, trzeba znać sześciocyfrowy kod.

Furgonetka należała do Craddocka - pojawił to w chwili, gdy ją ujrzał, z absolutną, spokojną pewnością. Następnie pomyślał: Dokąd to jedziemy, staruszkule?

Telefon przy łóżku zaświergotał i Jude niemal podskoczył.zegarek obok telefonu wskazywał 3.12. Telefon znów zadzwonił.

Jude podszedł do niego szybko na palcach po zimnej drewnianej podłodze. Wbił wzrok w telefon, który zadzwonił po raz trzeci. Nie chciał odbierać, podejrzewał, że to nieboszczyk, a nie miał ochoty z nim rozmawiać. Nie chciał słyszeć głosu Craddocka.

- Pierdolę to - mruknął i podniósł słuchawkę. - Kto mówi?
- Hej, szefie, tu Dan.
- Danny? Jest trzecia rano.
- Och, nie wiedziałem, że tak późno. Spałeś?
- Nie. - Jude umilkł. Czekał.
- Przepraszam, że tak odszedłem.

- Jesteś pijany? - spytał Jude. Ponownie spojrzął w stronę okna. Błękitnawy blask reflektorów przesączał się wokół krawędzi zasłony. - Dzwonisz po pijanemu i chcesz wrócić do pracy? Bo jeśli tak, kurwa, wybrałeś sobie nie najlepszą porę.

- Nie, ja nie mogę... nie mogę wrócić, Jude. Dzwonię tylko, by powiedzieć, że mi przykro z powodu tego wszystkiego. Przepraszam, że wspomniałem ci o duchu na sprzedaż. Powinienem był siedzieć cicho.

- Idź do łóżka.

- Nie mogę.

- Co się z tobą, kurwa, dzieje?

- Idę gdzieś w ciemności. Nie wiem nawet, gdzie jestem.

Jude poczuł, jak na ramionach występuje mu gęsia skórka. Myśl o Dannym, samotnym na ulicach, wędrującym w mroku, bardzo go poruszyła.

- Skąd się tam wzięłeś?

- Po prostu przyszedłem, nie wiem nawet dlaczego.

- Jezu, ile wypiełeś? Rozejrzyj się i poszukaj tablicy z nazwą ulicy, a potem wezwij pieprzoną taksówkę. - Jude odwiesił słuchawkę. Nie podobał mu się ton głosu Danny'ego, dźwięczące w nim nieszczęśliwe, nieprzytomne zagubienie.

Nie oznaczało to, że Danny powiedział coś niesamowitego czy nieprawdopodobnego. Po prostu nigdy wcześniej nie toczyli podobnej rozmowy. Danny nigdy nie dzwonił w nocy ani po piżaku. Trudno go było sobie wyobrazić wyruszającego na spacer o trzeciej rano czy oddalającego się od domu tak bardzo, by się zgubić. Niezależnie od swych wad Danny zawsze umiał rozwiązywać problemy. Dlatego Jude zatrudnił go od ośmiu lat. Nawet narąbany, Danny nie zadzwoniłby najpierw do niego, gdyby naprawdę nie wiedział, gdzie jest. Wszedłby do sklepu i spytał o drogę. Zatrzymałby przejeżdżający radiowóz.

Nie, wszystko było nie tak. Telefon i furgonetka nieboszczyka na podjeździe stanowiły dwa elementy tej samej układanki. Jude to wiedział, mówiły mu o tym nerwy, mówiło puste łóżko.

Ponownie zerknął na podświetloną od tyłu zasłonę. Psy ujadły jak oszalałe.

Georgia. W tej chwili liczyło się tylko znalezienie Georgii. Po tem będą mogli usiąść i zastanowić się, co zrobić z furgonetką. Razem zdołają coś wymyślić. Spojrzał na drzwi prowadzące na korytarz, rozprostował palce - dłonie zdrętwiały mu z zimna. Nie

chciał tam wychodzić, nie chciał otworzyć drzwi i ujrzeć Craddocka siedzącego na krześle, z kapeluszem na kolanach i brzytwą dyndającą na łańcuszku.

Lecz myśl o ponownym spotkaniu z nieboszczykiem - o zmieni się z tym, co go czeka - powstrzymała go tylko przez moment. Potem ruszył się, podszedł do drzwi i je otworzył.

- Zróbmy to - rzekł, nim jeszcze sprawdził, czy ktokolwiek jest w korytarzu.

Nikogo nie było.

Stał, nasłuchując. Z początku słyszał tylko zalegającą w domu ciszę i własny, lekko ochrypły oddech. Długi korytarz spowijały cienie, stare krzesło pod ścianą było puste. Nie. Nie puste. Na siedzeniu leżała czarna fedora.

Jego uwagę zwróciły dźwięki, stłumione i odległe: pomruk głosów w telewizorze, daleki szum fal. Oderwał wzrok od kapelusza i spojrzał na koniec korytarza. W szparze pod drzwiami studia migotało błękitne światło. A zatem Georgia jednak tam była i oglądała telewizję.

Zawahał się przy drzwiach, wyęzając słuch. Usłyszał głos krzyczący po hiszpańsku, głos telewizyjny. Szum był coraz głośniejszy. Jude zamierzał zawołać ją po imieniu, Marybeth - nie Georgia, Marybeth - lecz kiedy spróbował, stało się coś złego. Stracił oddech, zdołał jedynie wydyszeć słabo jej imię.

Otworzył drzwi.

Georgia siedziała po drugiej stronie pokoju, w fotelu przed telewizorem o płaskim ekranie. Z miejsca, w którym stał, widział jedynie tył jej głowy, puszystą czarną czuprynę otoczoną aureolą nienaturalnego, błękitnego światła. Głowa Georgii przesłaniała także niemal cały obraz w telewizorze, choć wciąż widział palmy i błękitne, tropikalne niebo. W pokoju było ciemno, lampy pozostały zgaszone.

- Georgia? - powiedział. Ona jednak nie zareagowała i nagle pomyślał, że nie żyje. Kiedy do niej dotrze, ujrzy ślepe oczy wywrócone w oczodołach.

Ruszył ku niej, lecz pokonał tylko parę kroków, gdy zadzwonił telefon na biurku.

Teraz Jude widział dość duży kawałek ekranu, by dostrzec pulchnego Meksykanina w ciemnych okularach i beżowym dresie, stojącego na poboczu gruntowej drogi wśród porośniętych dżunglą wzgórz. Natychmiast się zorientował, co ogląda Georgia, choć sam nie widział tego od kilkunastu lat. To był film *snuff*.

Na dźwięk telefonu Georgia poruszyła się lekko. Jude'owi wydało się, że słyszy jej wysilony, ciężki oddech. A zatem nie umarła. Jednak nie obejrzała się, nie wstała, by odebrać.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę w połowie drugiego dzwonka.

- To ty, Danny? Wciąż nie możesz znaleźć drogi?

- Tak. - Danny zaśmiał się lekko. - Wciąż nie mogę znaleźć drogi. Jestem w budce telefonicznej na jakimś zadupiu. Zabawne, w dzisiejszych czasach prawie nie widuje się już budek.

Georgia nie zareagowała na dźwięk głosu Jude'a, nie odwróciła wzroku od telewizora.

- Mam nadzieję, że nie dzwonisz z prośbą, bym po ciebie przyjechał - powiedział Jude. - W tej chwili mam pełne ręce roboty. Jeśli będę musiał po ciebie wyjechać, to lepiej módl się, żeby do ciebie nie trafił.

- Już się domyśliłem, szefie. Jak się tu znalazłem, na tej drodze w ciemności.

- No jak?

- Zabiłem się. Powiesiłem się parę godzin temu. Ta droga w ciemności... to śmierć.

Jude poczuł mrowienie skóry na głowie, lodowate, niemal bolesne ukłucia.

- Moja matka też się powiesiła - ciągnął Danny. - Ale lepiej jej to wyszło. Umarła natychmiast. Ja w ostatniej chwili stchrzyłem, nie zrobiłem tego dość zdecydowanie. Uduśiłem się.

Z telewizora dobiegły odgłosy dławienia, jakby ktoś też się dusił.

- To trwało bardzo długo, Jude. Pamiętam, że długo wisiąłem i kołysałem się w powietrzu. Patrzyłem na swoje stopy. Teraz pamiętam mnóstwo rzeczy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- On mnie zmusił. Ten nieboszczyk. Odwiedził mnie. Zamierzałem wrócić do biura i znaleźć dla ciebie te listy. Myślałem, że mogę zrobić przynajmniej tyle. Myślałem, że nie powinienem tak cię zostawiać. Ale kiedy poszedłem do sypialni, żeby wziąć płaszcz, on już tam czekał. Nie umiałem nawet zawiązać stryczka, póki mi nie pokazał. Tak też załatwi ciebie. Zmusi cię, żebyś się zabił.

- Nie, nie zmusi.

- Trudno jest go nie słuchać. Nie mogłem z nim walczyć, za dużo wiedział. Wiedział, że to ja dałem mojej siostrze heroinę, którą przedawkowała. Powiedział, że moja matka się zabiła dlatego, że nie mogła żyć ze świadomością tego, co zrobiłem. Powiedział, że to ja powinienem był się powiesić, nie moja mama. Że gdybym miał w sobie choć krztynę przyzwoitości, już dawno bym się zabił. Miał rację.

- Nie, Danny - powiedział Jude. - Nie miał racji. Nie powinienś...

- Zrobiłem to. - Danny dyszał cicho. - Musiałem. Nie da się mu sprzeciwić. Nie możesz się sprzeczać z takim głosem.

- Zobaczymy - odparł Jude.

Na to Danny nie znalazł odpowiedzi. Na ekranie dwaj mężczyźni sprzecali się po hiszpańsku, wciąż było słychać odgłosy dławienia. Georgia nadal nie odwracała wzroku od telewizora. Poruszała się lekko, jej ramiona kołysały się od czasu do czasu w serii przypadkowych, spazmatycznych skurczów.

- Muszę już kończyć, Danny.

Danny wciąż nie odpowiadał. Jude przez moment słuchał lekkiego trzeszczenia na linii, wyczuwając, że Danny na coś czeka, na jakieś ostatnie słowo. W końcu dodał:

- Idź dalej, chłopcze. Droga musi dokądś prowadzić.

Danny wybuchnął śmiechem.

- Nie jesteś taki zły, jak sądzisz, Jude. Wiesz o tym?

- Tak. Nie mów nikomu.

- Twój sekret jest bezpieczny. Żegnaj.

- Żegnaj, Danny.

Jude delikatnie odłożył słuchawkę na widełki. Pochylony nad blatem zerknął w dół i zobaczył, że sejf w podłodze jest otwarty. Z początku przyszło mu do głowy, że zrobił to duch, natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Pewnie raczej Georgia. Znała szyfr.

Obrócił się gwałtownie i spojrzał na tył jej głowy, aureolę migotliwego błękitnego światła i telewizor.

- Georgia? Co robisz, skarbie?

Nie odpowiedziała.

Ruszył naprzód, stąpając bezszelestnie po grubej wykładzinie. Najpierw ujrzał obraz na płaskim ekranie. Zabójcy wykańczali właśnie chudego białego chłopaka. Później w chacie z pustaków przy plaży dopadną jego dziewczynę. Teraz jednak wciąż byli na zarośniętej drodze, gdzieś w lesie na wzgórzach ponad Zatoką Kalifornijską. Dzieciak leżał na brzuchu, ręce miał związane dwoma białymi plastikowymi paskami. W równikowym słońcu jego skóra jaśniała rybią bielą. Drobnny, jasnooki białas o karykaturalnym afro z rudych włosów stał obok, przyciskając do ziemi jego kark stopą w kowbojskim bucie. Na drodze czekała zaparkowana furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Obok błotnika stał pulchny Meksykanin w dresie, w ciemnych okularach. Wyraźnie coś mu się nie podobało.

- *Nos estamos yendo* - powiedział. - *Ahora*.

Jasnooki rudzielec skrzywił się, jakby protestował. Potem jednak wycelował mały rewolwer w głowę dzieciaka i nacisnął spust. Na końcu lufy błysnęło, głowa chłopaka podskoczyła, uderzyła o ziemię, odbiła się. Nagle otoczyła ją chmura krwistego pyłu.

Białas zdjął stopę z karku chłopca i cofnął się szybko, by nie poplamić krwią kowbojskich butów.

Georgia była blada, sztywna. Szeroko otwartymi, wybałuszonymi oczami wpatrywała się w telewizor. Na sobie miała koszulkę Ramones i nic więcej. Siedziała z rozsuniętymi nogami. W jednej ręce - tej ze zranionym kciukiem - trzymała niezgrabnie rewolwer Jude'a, wpychając lufę głęboko w usta. Druga dłoń spoczywała między nogami, kciuk poruszał się miarowo w górę i w dół.

- Georgia - powiedział Jude.

Przez ułamek sekundy zerknęła na niego z ukosa, bezradnie, błagalnie, po czym natychmiast znów wbiła wzrok w telewizor. Zranioną ręką obróciła rewolwer do góry nogami, tak by lufa celowała w podniebienie. Wydała z siebie słaby, zdławiony jęk.

Pilot leżał na poręczy. Jude nacisnął wyłącznik, telewizor zgasł. Jej ramiona uniosły się gwałtownie w nerwowym, odruchowym proteście. Lewa ręka nadal poruszała się między nogami. Georgia zadrzała, mruknęła w głębi gardła.

- Przestań! - krzyknął Jude.

Kciukiem odciągnęła kurek. W ciszy studia rozległ się głośny szczęk.

Jude delikatnie odebrał jej rewolwer. W tym momencie całe ciało Georgii nagle znieruchomiło, jej oddech świszczał, szybko, urywany. Usta miała wilgotne, połyskujące słabo i wtedy dotarło do niego, że mu staje. Podniecił się zapachem Georgii w powietrzu i widokiem jej palców pieszczących łechtaczkę. Była akurat na odpowiedniej wysokości. Gdyby stanął przed fotelem, mogłaby mu obciągnąć, a on przyłożyłby jej broń do głowy, wepchnął lufę do ucha, jednocześnie wbijając kutasa...

Nagle dostrzegł ruch, odbicie w oknie za biurkiem. Zobaczył tam samego siebie i nieboszczyka, zgarbionego i szepczącego mu do ucha. W szybie Jude widział, jak jego własna ręka unosi się i przykłada rewolwer do głowy Georgii.

Serce szarpnęło mu się gwałtownie. Spojrzał w dół i przekonał się, że to prawda - faktycznie trzymał broń przy jej głowie. I naciskał spust. Próbował się powstrzymać, ale było już za późno - pociągnął, czekając ze zgrozą, aż kurek opadnie.

Ale nie opadł. Spust nie pokonał ostatniej ćwierci cala. Broń była zabezpieczona.

- Kurwa! - syknął Jude i opuścił rewolwer, dygocząc w furii. Kciukiem odsunął kurek i odrzucił rewolwer.

Broń rąbnęła ciężko o biurko i Georgia wzdrygnęła się na ten dźwięk, cicho krzyknęła. Jej spojrzenie jednak nadal skupiało się na niewidocznym punkcie w mroku.

Jude odwrócił się, szukając ducha Craddocka. Nikt nie stał obok. Oprócz niego i Georgii w pokoju nikogo nie było. Chwyił ją za przegub.

- Wstawaj! Chodź, wyjeżdżamy. Natychmiast. Nie wiem, dokąd pojedziemy, ale wynosimy się stąd. Jedziemy gdzieś, gdzie znajdziemy mnóstwo ludzi i jasne światła. Spróbujemy wymyślić, co zrobić dalej. Słyszysz?

Nie pamiętał już logicznych argumentów przemawiających za pozostaniem w domu. Logika? Odrzucił logikę daleko.

- On jeszcze z nami nie skończył - powiedziała Georgia cicho.

Jude pociągnął ją za rękę, ale nie wstała, wciąż tkwiła sztywno w fotelu, odmawiając współpracy. Nadal na niego nie patrzyła, nadal spoglądała wprost przed siebie.

- Chodź - rzucił. - Póki jest jeszcze czas.

- Nie ma już czasu - odparła.

18

Telewizor znów się włączył. Nadawano dziennik wieczorny. Bill Beutel, który rozpoczął karierę dziennikarską, gdy wiadomość dnia stanowił zamach na arcyksięcia Ferdynanda, siedział sztywno za biurkiem w studio. Jego twarz pokrywała pajęczna sieć zmarszczek biegnąca od oczu i kącików ust. Żałobna mina zapowiadała nowe złe wieści z Bliskiego Wschodu albo wypadek autobusu, który spadł z autostrady i dachował. Czy może trąbę powietrzną, która wchłonęła osiedle przyczep, a wypuła stos desek do prasowania, potrzaskanych okiennic i ludzkich ciał.

- ...nikt nie przeżyje. Będziemy państwa informować w miarę rozwoju sytuacji. - Beutel lekko odwrócił głowę i w soczewkach jego dwuogniskowych okularów przez moment zamigotał błękitny ekran telepromptera. - Dziś późnym wieczorem biuro szeryfa powiatu Dutchess potwierdziło, że Judas Coyne, popularny wokalista zespołu Jude's Hammer, najprawdopodobniej zastrzelił swoją dziewczynę, Marybeth Stacy Kimball, a potem sam odebrał sobie życie.

Na ekranie pojawiła się farma Jude'a na tle wyblakłego, brudnobiałego nieba. Na zakręcie parkowało kilka radiowozów, karetka podjechała tyłem niemal do drzwi biura Danny'ego.

Beutel komentował z offu:

- Policja wciąż zbiera informacje na temat ostatnich dni Coyne'a, lecz zeznania tych, którzy go znali, sugerują, że ostatnio był rozkojarzony i obawiał się o swoje zdrowie psychiczne.

Zmiana ujęcia. Teraz widział owczarki w psiarni. Leżały na bokach na krótkiej trawie, żaden się nie poruszał, ich nogi ster-

czyły sztywno. Były martwe. Jude spiął się cały. Paskudna sprawa. Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł oderwać go od ekranu.

- Detektywi wierzą też, że Coyne miał udział w śmierci swego osobistego asystenta. Trzydziestoletni Daniel Wooten najwyraźniej także popełnił samobójstwo. Znalezione go dziś rano w jego domu w Woodstock.

Cięcie na dwóch sanitariuszy dźwigających ciężki niebieski worek ze zwłokami. Georgia pisnęła żałośnie w głębi gardła, patrząc, jak jeden z mężczyzn wsiada tyłem do karetki, dźwigając swój koniec worka.

Beutel zaczął mówić o karierze Jude'a i realizatorzy pokazali materiał sprzed sześciu lat nakręcony na koncercie w Huston. Jude miał na sobie czarne dzinsy i czarne glany z okutymi metalami noskami. Od pasa był goły, jego tors lśnił od potu, porastające pierś niedźwiedzie futro lepiło się do skóry. Brzuch unosił się i opadał. W dole falowało morze stu tysięcy półnagich ludzi, wzburzona powódź wzniesionych pięści. Od czasu do czasu po powierzchni morza przepływali śmiałkowie unoszeni przez setki rąk.

W tym czasie Dizzy już umierał, choć nie wiedział o tym prawie nikt prócz Jude'a. Dizzy, uzależniony od heroiny, chory na AIDS. Grali plecy w plecy, grzywa blond włosów Dizzy'ego opadała mu na twarz, wiatr wpychał włosy do ust. Był to ostatni rok istnienia zespołu. Najpierw umarł Dizzy, potem Jerome, a potem wszystko się skończyło.

W materiale archiwalnym grali tytułową piosenkę ze swego ostatniego albumu, Put You in Yer Place, ich ostatni przebój, ostatni naprawdę dobry numer Jude'a. I na dźwięk szaleńczej kanonady perkusji Jude otrząsnął się z czaru, jaki rzucił na niego telewizor. To było prawdziwe. Koncert w Huston zdarzył się naprawdę, ten dzień zdarzył się naprawdę. Wszechogarniające szalone podniecenie tłumu w dole i wszechogarniające szalone podniecenie otaczającej go muzyki. To było prawdziwe, zdarzyło się. A cała reszta to...

- Bzdura - rzucił i nacisnął kciukiem wyłącznik na pilocie. Telewizor zgasł.

- To nieprawda - wymamrotała Georgia. - To wszystko nieprawda, tak? Czy my... czy ty... czy to nas czeka?

- Nie - odparł Jude.

Telewizor znów się włączył. Billy Beutel ponownie siedział za biurkiem, ściskając w dłoniach plik papierów. Wyprostowany patrzył w kamerę.

- Tak - powiedział. - Oboje umrzecie. Martwi ściągają żywych w dół. Weźmiesz rewolwer, ona spróbuje uciec, ale ją złapiesz i...

Jude ponownie nacisnął wyłącznik, po czym rzucił pilotem w ekran telewizora. Skoczył za nim, przyłożył stopę do ekranu i wyprostował nogę, przepychając telewizor przez otwarty tył szafki. Odbiornik uderzył o ścianę i coś w nim eksplodowało białym światłem niczym lampa błyskowa. Jude usłyszał trzask plastiku i krótkie elektroniczne buczenie, które trwało tylko chwilę, po czym ucichło. Jeszcze jeden taki dzień i w domu nic nie zostanie.

Odwrócił się. Nieboszczyk stał za fotelem Georgii, ściskał w dłoniach jej głowę. Przed jego oczami tańczyły i migotały czarne krechy.

Georgia nie próbowała się poruszyć ani odwrócić wzroku. Trwała bez ruchu, jak ktoś, kto natknął się na jadowitego węża i boi się nawet odetchnąć.

- Nie przyszedłeś po nią - powiedział Jude. Mówiąc, przesunął się w lewo, okrążając pokój w stronę drzwi na korytarz. - Nie chcesz jej.

W jednej sekundzie dłonie Craddocka delikatnie obejmowały głowę Georgii, w następnej jego prawa ręka uniosła się sztywno w znajomym geście. *Sig heil!* Wokół nieboszczyka czas jakby przeskakiwał, niczym w filmie odtwarzanym z zarysowanej płyty DVD. Obraz zmieniał się gwałtownie z chwili na chwilę, bez żadnych etapów pośrednich. Złoty łańcuszek wyleciał z uniesionej prawej dłoni. Na końcu jaśniał srebrzysty półksiężyc brzytwy, jej krawędź mieniła się wszystkimi barwami niczym tęczowa plama benzyny na wodzie.

- Czas jechać, Jude.

- Odejdź - rzucił Jude.

- Jeśli chcesz, żebym odszedł, musisz słuchać mojego głosu, musisz słuchać uważnie. Musisz być jak radio, a mój głos będzie audycją. Po zmierzchu dobrze jest posłuchać radia. Jeśli chcesz, by to się skończyło, musisz słuchać bardzo uważnie. A chcesz przecież, żeby to się skończyło, pragniesz całym sercem, prawda?

Jude zacisnął zęby. Nie zamierzał odpowiadać. Wyczuwał, że udzielenie odpowiedzi byłoby błędem. I nagle ze zdumieniem odkrył, że powoli kiwa głową.

- Nie chcesz uważnie mnie posłuchać? Wiem, że chcesz, wiem. Słuchaj. Możesz wyciszyć cały świat i słyszeć tylko mój głos, bo słuchasz bardzo uważnie.

A Jude dalej przytakiwał, powoli kiwając głową w górę, w dół, a wokół niego wszystkie inne dźwięki odpłynęły. Nie był nawet świadomy ich obecności, póki nie zniknęły: niski pomruk furgonetki czekającej na zewnątrz, cichy świst zdławionego oddechu Georgii i jego ochryple sapanie. W uszach zadzwoniło mu od głuchej ciszy. Zupełnie jakby od potężnego wybuchu popękały mu bębenki.

Nagie ostrze brzytwy kołysało się w przód i w tył, w przód i w tył. Jude z wysiłkiem odwrócił wzrok.

- Nie musisz na to patrzeć - powiedział Craddock. - Ja nie żyję, nie potrzebuję wahadélka, by wnikać do twojego umysłu. Już tam jestem.

Jude odkrył, że jego spojrzenie powraca ku brzytwie, nie mógł się powstrzymać.

- Georgia - powiedział, czy raczej spróbował powiedzieć. Czuł słowo na swych wargach, w ustach, w kształcie oddechu. Ale nie słyszał własnego głosu, niczego nie słyszał w tej straszliwej ciszy. Nigdy dotąd nie słyszał dźwięku głośniejszego niż ta szczególna cisza.

- Ja jej nie zabiję. Nie, mój panie - rzekł duch. Nie zmieniał tonu, mówił cierpliwie, ze zrozumieniem, nisko, dźwięcznie. Przypominało to nieco brzęczenie pszczoł w ulu. - Ty to zrobisz. Zrobisz. Wiesz, że chcesz.

Jude otworzył usta, by mu powiedzieć, jak bardzo się myli. Ale rzekł: Tak, choć bardziej przypominało to głośną myśl.

- Grzeczny chłopak - rzekł Craddock.

Georgia zaczynała już płakać, choć wyraźnie starała się nie poruszać, nie drzeć. Jude jej nie słyszał. Ostrze Craddocka kołysało się w przód i w tył, przecinając powietrze.

Nie chcę jej zranić, nie każ mi jej zranić, pomyślał Jude.

- Czego chcesz, nie ma znaczenia. Podnieś broń, słyszysz? Zrób to teraz.

Jude się ruszył. Czuł się osobliwie oderwany od swego ciała. Jak świadek, nie uczestnik wydarzeń. Był zbyt ogłupiały, by bać się tego, co ma zrobić. Wiedział tylko, że musi posłuchać, jeśli chce się obudzić.

Zanim jednak sięgnął po broń, Georgia zerwała się z fotela i pobiegła do drzwi. Nie miał pojęcia, że jest w stanie się ruszać. Sądził, że Craddock jakoś ją przytrzymał, ale sprawił to wyłącznie strach. Niemal już się z nim zrównała.

- Zatrzymaj ją - polecił jedyny głos, jaki pozostał na całym świecie. Gdy przebiegała obok, Jude jedną ręką złapał ją za włosy. Zbił ją z nóg i cisnął na ziemię. Kiedy rąbnęła o podłogę, meble aż podskoczyły. Stos płyt na końcu stołu bezdźwięcznie posypał się na podłogę. Jude kopnął ją w brzuch mocno, celnie, a ona zwinęła się w pozycję płodową. Nie wiedział, czemu to zrobił.

- No proszę - powiedział duch.

Jude'a zdezorientowało to, jak głos napływał ku niemu z ciszy - słowa tak wyraźne, że niemal namacalne. Pszczoły bzyczące i ścigające się wewnątrz głowy. Jego głowa to ul, jeśli odlecą, pozostanie w niej tylko woskowy plaster pustki. Głowę ma zbyt lekką i zbyt pustą. Oszaleje, jeśli nie odzyska własnych myśli, własnego głosu. Duch mówił teraz:

- Musisz pokazać tej pizdzie. Wybacz ostre słowa. A teraz podnieś broń. Prędeej.

Jude odwrócił się i ruszył w stronę broni. Szedł szybko. Po podłodze, do biurka, rewolwer u stóp, klęknąć na kolano, by go podnieść.

Nie słyszał psów, póki nie sięgnął po rewolwer. Jedno gorączkowe szczeknięcie, potem następne. Jego zmysły uczepiły się tego dźwięku niczym luźny rękaw zahaczający o sterczący gwóźdź. Wstrząsnął nim fakt, że słyszy coś jeszcze w bezdennej ciszy otaczającej głos Craddocka. Okno za biurkiem wciąż było lekko uchylone, tak jak je zostawił. Kolejne szczeknięcie, piskliwe, wściekłe. I następne. Angus. Potem Bon.

- Nie zwlekaj, chłopcze. Chodź i zrób to.

Jude klęczał przy niewielkim koszu na śmieci obok biurka. Widział wrzucone do środka odłamki platynowej płyty, snop sterczących w powietrzu chromowanych kling. Oba psy ujadają teraz chórem, rozdzierając materię ciszy i ich głosy przywołały do umysłu Jude'a zapach, woń wilgotnego psiego futra, ostry zwierzęcy smród oddechu. Jude zobaczył swą twarz odbitą w jednym ze srebrnych odłamków płyty. Ten widok nim wstrząsnął. Jego własna zeszywniała, zdesperowana, przepełniona grozą twarz. Pośród nieustępliwego szczekania psów pojawiła się myśl, należąca do niego, wypowiedziana jego własnym głosem. Jedyna władza, jaką ma nad wami, nad obojgiem, to władza, którą sami mu dajecie.

W następnej chwili sięgnął ponad bronią i zatrzymał rękę nad koszem na śmieci. Przyłożył środek lewej dłoni do najostrzejszego, najdłuższego srebrnego odłamka i pochylił się, napierając całym ciężarem. Poczuł przeszywający ból ogarniający dłoń i przegub. Krzyknął. Wzrok mu się zamglił, oczy zapiekły od łez. Natychmiast cofnął rękę, zsuwając ją z ostrza, i splótł obie dłonie. Spomiędzy palców wyływała krew.

- Co ty wyprawiasz, chłopcze, do kurwy nędzy?

Już nie słuchał. Nie zwracał uwagi na ducha, myślał tylko o bólu w swej ręce, o poczuciu, że przebił ciało głęboko, do kości.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - powiedział Craddock, ale właśnie skończył, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Umysł Jude'a sięgnął w stronę głosów ujadających psów, jak tonący chwytający się koła ratunkowego. Podniósł się z ziemi i ruszył naprzód.

Musiał dotrzeć do psów. Jego życie - i Georgii - zależało od tego. Pomyśl bez sensu, lecz Jude'a nie obchodził racjonalny sens. Wiedział, że to prawda.

Ból był niczym czerwona wstążka, którą przytrzymywał między dłońmi, oddalając się od głosu nieboszczyka, wracając do własnych myśli. Od dziecka miał wysoką tolerancję na ból i zdarzało się, że z rozmysłem go szukał. Teraz odczuwał ból w przegubie, w stawie, świadczący o tym, jak głęboka jest rana, i napałwał się nim. Wstając, dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Jego usta pośród kosmyków brody uśmiechały się i wyglądało to jeszcze gorzej niż pełen grozy wyraz, który dostrzegł na swej twarzy zaledwie chwilę wcześniej.

- Wracaj tutaj - polecił Craddock i Jude na moment zwolnił, po czym odnalazł rytm i znów ruszył przed siebie.

Po drodze zerknął w bok na Georgię - nie mógł ryzykować oglądania się i sprawdzenia, co robi Craddock. Wciąż leżała skulona na podłodze, obejmując rękami brzuch. Włosy opadły jej na twarz. Spojrzała na niego spod grzywki, policzki miała mokre od potu, zatrzepotała powiekami. Oczy pod nimi błęgały, patrzyły pytająco, zamglone bólem.

Pożałował, że nie ma czasu wyjaśnić, że nie chciał zrobić jej krzywdy. Pragnął jej powiedzieć, że nie ucieka, nie zostawia jej, że odciąga nieboszczyka. Lecz za bardzo go bolała ręka, nie mógł przebić myślami ściany bólu, by ułożyć słowa w jasne zdania. A poza tym nie wiedział, jak długo zdoła samodzielnie myśleć, nim Craddock znów nim zawładnie. Musiał nadać tempo następnym wydarzeniom. Szybkie tempo. Doskonale, zawsze czuł się najlepiej, gdy ścigał się z czasem.

Zaczął biec korytarzem. Dotarł do schodów i popędził w dół, niemal zbyt szybko, przeskakując po cztery stopnie. Przypominało to upadek. Zeskoczył z kilku ostatnich na terakotowe kuchenne płytki. Jedna noga ugięła się w kostce, wpadł na deskę do krajania o smukłych nóżkach i posiekanej powierzchni poplamionej krwią. W miękkim drewnie na końcu tkwił wbity tasak. Szerokie ostrze lśniło w ciemności niczym płynna rtęć. Zobaczył w nim odbicie schodów za plecami. Stał na nich Craddock. Twarz miał rozmazaną, ręce unosił nad głowę wnętrzem dłoni do przodu, niczym wiejski kaznodzieja zwracający się do swej trzódki.

- Zostań - mówił Craddock. - Weź nóż.

Lecz Jude skupił się na pulsowaniu lewej dłoni. Głęboki ból przebitych mięśni pozwolił mu oczyścić umysł, skoncentrować się. Zanim cierpiał, by słyszeć, co duch mówi. Odepchnął się od deski do krajanina, siła rozpędu pozwoliła mu pokonać całą długość kuchni.

Runął na drzwi do biura Danny'ego, otworzył je pchnięciem i wpadł w ciemność.

19

Trzy kroki za drzwiami zatrzymał się i zawahał na moment, próbując się zorientować. Rolety były zaciągnięte, do środka znikąd nie wnikało światło. Nie widział drogi w nieprzeniknionej ciemności i musiał poruszać się wolniej, szurając nogami, macając rękami przed sobą. Do drzwi nie było daleko, zaraz znajdzie się na dworze.

Idąc tak, poczuł nerwowy ucisk w piersi. Oddychał z trudem. Miał wrażenie, że w każdej chwili jego dłonie mogą w ciemności dotknąć zimnej, martwej twarzy Craddocka. Na tę myśl musiał zwalczyć narastającą panikę. Łokciem strącił lampę, która z trzaskiem poleciała na ziemię. Zapulsowało mu serce. Wciąż przesuwał stopy naprzód chwiejnymi drobnymi kroczkami, nie miał jednak wrażenia, że zbliża się do celu.

Czerwone oko, oko kota, otworzyło się powoli w ciemności. Głośniki stojące po obu stronach szafki z wieżą ożyły z jękiem basu i niskim, pustym pomrukiem. Jude'owi serce ścisnęła przerażająco ciasna obręcz. Oddychaj, mówił sobie, idź dalej. On spróbuje cię powstrzymać przed wyjściem na dwór.

Psy czekały i czekały, ochryple, z wysiłkiem. Niedaleko.

Wieża była włączona. Powinno grać radio, ale Jude nie słyszał niczego, absolutnie żadnych dźwięków. Musnął palcami ścianę, framugę. Chwytał gałkę przebitą lewą dłonią. Nieistniejąca igła obróciła się powoli w ranie, wzbudzając lodowaty rozbłysk bólu.

Przekreślił gałkę i pociągnął drzwi. W ciemności otwarła się szczelina. Jaśniał w niej blask reflektorów na masce furgonetki nieboszczyka.

- Myślisz, że jesteś kimś wyjątkowym, bo nauczyłeś się grać

na pieprzonej gitarze? - spytał ojciec Jude'a z kąta biura. Przemawiał z wieży głuchym donośnym głosem.

W następnej chwili Jude uświadomił sobie, że słyszy też inne dźwięki dobiegające z głośników - ciężki oddech, szuranie butów, walenie czymś w stół - dźwięki sugerujące cichy, desperacki pojedynek siłowy, dwóch mężczyzn walczących ze sobą. W radiu nadawano sztukę. Jude znał ją doskonale, był jednym z aktorów z oryginalnej wersji.

- Myślisz, że to, co umiesz, czyni cię kimś lepszym ode mnie?
- W głosie Martina Cowzyskiego dźwięczało rozbawienie połączone z nienawiścią. - Chodź tutaj.

I wtedy odezwał się głos Jude'a - nie, nie Jude'a, wówczas nie był jeszcze Jude'em. To był głos Justina, nieco wyższy, czasami łamiący się lekko i pozbawiony głębi, którą zapewnia dopiero krtań dorosłego.

- Mamo! Mamo, pomóż!

Mama nie odpowiedziała, lecz Jude doskonale pamiętał, co zrobiła. Wstała zza kuchennego stołu, przeszła do pokoju, w którym zwykle szyła, i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, nie ważąc się spojrzeć na nich. Jude i jego matka nigdy sobie nie pomagali, zawsze brakowało im odwagi.

- Powiedziałem, chodź tutaj, do kurwy nędzy! - warknął Martin.

Dźwięk kopniaka wymierzonego w krzesło, łoskot krzesła leżącego na podłogę. Kiedy Justin znów krzyknął, jego głos drżał ze strachu.

- Nie moją rękę! Nie, tato, nie rękę!

- Pokażę ci - odparł ojciec.

A potem rozległ się ogłuszający łoskot podobny do trzaśnięcia drzwi i Justin, chłopak w radiu, zaczął krzyczeć i krzyczeć, i na ten dźwięk Jude rzucił się naprzód i wypadł na dwór.

Nie trafił w stopień, potknął się i upadł na kolana w zamrożone błoto na podjeździe. Podniósł się, przebiegł dwa kroki i znów się potknął. Poleciał na ziemię tuż przed furgonetką nieboszczyka. Przez moment patrzył nad zderzakiem na masywną kratownicę i przymocowane do niej reflektory.

Czasami samochód bądź furgonetka widziany od przodu przypomina twarz. Tak właśnie było z chevroletem Craddocka. Reflektory stały się jasnymi, ślepyimi, wybałuszonymi oczami szaleńca, chromowana linia błotnika szyderczymi srebrnymi ustami. Jude spodziewał się, że furgonetka rzuci się zaraz na niego z piskiem opon na żwirze. Ale nie.

Bon i Angus skakali na siatkowe ogrodzenie psiarni, szczełając bez przerwy - nisko, gardłowo, głosami pełnymi wściekłości i przerażenia, w odwiecznym prymitywnym języku psów: Widzisz moje zęby? Odejdź, bo będę gryźć! Odejdź, jestem zły i silniejszy od ciebie. Przez chwilę wydało mu się, że obszczekują furgonetkę, lecz Angus patrzył na coś za nim. Jude zerknął przez ramię. Nieboszczyk stał w drzwiach biura Danny'ego. Uchylił czarną fedorę, a potem ostrożnie nasadził na głowę.

- Synu, wracaj tutaj, synu - powiedział, lecz Jude starał się go nie słuchać, skupiał całą swą uwagę na głosach psów. Skoro to ich szczenie po raz pierwszy, jeszcze w studiu, naruszyło rzucone na niego zakłęcie, miał wrażenie, że dotarcie do nich to najważniejsza rzecz na świecie, choć nie potrafiłby wyjaśnić nikomu, nawet sobie, dlaczego tak mu na tym zależy. Po prostu kiedy usłyszał ich głosy, przypomniał sobie, że może myśleć.

Podniósł się ze żwiru. Pobiegł, upadł, wstał, znów pobiegł, potknął się na skraju podjazdu i runął na ziemię. Zaczął na kolanach iść po trawie. Nie miał już sił, by znów się podnieść. Zimne powietrze mroziło mu zranioną rękę.

Obejrzał się. Craddock szedł ku niemu. Złoty łańcuszek opadł z prawej dłoni, ostrze na końcu się kołysało, srebrny półksiężyc, rozbłysk światła rozdzierający mrok nocy. Blask i ruch fascynowały Jude'a, przyciągały wzrok, mąciły myśli... i nagle z łomotem zderzył się z ogrodzeniem. Upadł, przeturlał się na plecy.

Teraz opierał się o furtkę psiarni. Angus skoczył na nią z drugiej strony. Bon stała sztywno za nim, warcząc przenikliwie, groźnie. Duch był coraz bliżej.

- Jedziemy, Jude - powiedział. - Jedziemy na nocną przejażdżkę.

Jude znów miał w głowie pustkę, znów poddał się temu głosowi, widokowi srebrnego ostrza śmigającego tam i z powrotem w mroku.

Angus tak mocno rąbnął w ogrodzenie, że odbił się od niego i upadł na bok. Wstrząs znów wyrwał Jude'a z transu.

Angus.

Angus chciał się wydostać. Już zdążył zerwać się z ziemi, ujadając na ducha, drapiąc łapami ogrodzenie.

I wtedy Jude'owi przyszła do głowy myśl, szaleńcza, na wpół uformowana myśl. Przypomniał sobie, co czytał wczoraj rano w którejś książce okultystycznej. Coś na temat zwierzęcych pobratymców, coś o tym, że potrafią bezpośrednio rozprawić się ze zmarłymi.

Nieboszczyk stał przed nim. Wychudzoną białą twarz miał zeszywniała w wyrazie wzdargy. Czarne krechy tańczyły mu przed oczami.

- Słuchaj. Słuchaj mojego głosu.

- Dość już słyszałem - odparł Jude.

Sięgnął ręką do tyłu, przez chwilę pomacał i zwolnił zatrząsk furtki.

Angus uderzył o nią w sekundę później. Otworzyła się i owczarek skoczył na nieboszczyka, wydając z siebie głos, którego nigdy wcześniej Jude nie słyszał - zdławiony ochrypli warkot dobiegający z głębi potężnej piersi. Bon też przemknęła obok z odsłoniętymi zębami.

Nieboszczyk cofnął się chwiejnie, wyraźnie zaskoczony. W następnych sekundach Jude'owi trudno było pojąć, co właściwie widzi. Angus skoczył na ducha - w tym momencie nie był jednym psem, lecz dwoma. Towarzyszyła mu plama ciemności w kształcie psa, płaska, nieprzenikniona, lecz w jakiś sposób namacalna. Żywy cień.

Materialne ciało Angusa nakładało się na ów cień, ale nie do końca. Cienisty pies wystawał poza obrys sylwetki, zwłaszcza w okolicy głowy - i otwartego pyska. Ten drugi, cienisty Angus uderzył w nieboszczyka ułamek sekundy przed prawdziwym Angusem, atakując z lewej strony, jak najdalej od ręki ze złotym łań-

cuszkiem i rozkołysanym srebrnym ostrzem. Craddock krzyknął z głuchą wściekłością i obrócił się, lecąc w tył. Odepchnął Angusa, rąbnął go w pysk łokciem. Ale nie... nie Angusa odpychał, tylko tego drugiego, czarnego psa, który migotał i wydłużał się niczym cień rzucany przez płomień świecy.

Bon skoczyła na Craddocka z drugiej strony. Ona także zmieniła się w dwa psy, miała cienistą bliźniaczkę. Gdy skoczyła, duch zamachnął się na nią złotym łańcuszkiem. Srebrny półksiężyc ostrza ze świstem przeciął powietrze, przeleciał przez przednią prawą łapę i bark Bon, nie zostawiając śladu. Potem jednak wbił się w czarnego psa, raniąc mu nogę. Cienista Bon na moment zmieniła kształt, teraz nie do końca przypominała psa ani w ogóle... nic. Ostrze wyrwane z rany pomknęło z powrotem do ręki Craddocka. Bon zaskowyczała boleśnie, przeraźliwie. Jude nie wiedział, która wersją Bon wydała z siebie ów upiorny dźwięk, owczarek czy cień.

Angus ponownie rzucił się na ducha, skoczył do jego gardła, do twarzy. Craddock nie zdążył obrócić się dość szybko, by uderzyć go ostrzem. Cienisty Angus uderzył go łapami w pierś, pchnął i nieboszczyk poleciał na podjazd. Kiedy czarny pies atakował, mógł oddalać się na metr *od* wilczura, z którym pozostawał złączony. Wydłużał się wtedy i chudł jak cienie o zmierzchu. Czarne kły kłapnęły tuż przy twarzy nieboszczyka. Craddock zgubił kapelusz. Angus - zarówno owczarek, jak i związany z nim pies barwy nocy - szarpnął ducha zębami.

Czas przeskoczył.

Nieboszczyk znów stał oparty o furgonetkę. Angus kąsał go i szarpał. Z ran na twarzy ducha sączył się płynny cień. Gdy krople spadały na ziemię, syczały i dymiły niczym tłuszcz na rozgrzanej patelni. Craddock kopnął Angusa. Pies odturlał się, ale natychmiast zerwał na nogi.

Przywarł do ziemi, w jego piersi narastał głuchy warkot. Wzrok wciąż wbijał w Craddocka i rozkołysany złoty łańcuszek z zakrzywionym ostrzem na końcu. Czekał na okazję, napiął mięśnie zadu pod błyszczącym futrem, gotów do skoku. Czarny pies skoczył pierwszy, wyprzedzając go o ułamek sekundy, ze-

bami celując w krocze nieboszczyka, w jego jądra. Duch wrzasnął.

Przeskok.

Powietrze wibrowało po trzaśnięciu drzwi. Craddock siedział w chevrolecie, jego kapelusz pozostał rozdeptany na drodze.

Angus wałnął w bok furgonetki, która zakołysała się na resorach. Potem Bon uderzyła z drugiej strony, gorączkowo drapiąc stalowe drzwi. Na szybie pozostały ślady jej śliny, jak na prawdziwym samochodzie. Jude nie wiedział, jak się tam znalazła, jeszcze chwilę temu kuliła się obok niego.

Bon pośliznęła się, obróciła dokoła swej osi i znów rzuciła się na furgonetkę. Z drugiej strony skoczył Angus. Nagle chevrolet zniknął, oba psy wpadły na siebie, zderzyły się łbami i poleciały w zamrożone błoto, w miejscu gdzie zaledwie sekundę wcześniej stała furgonetka.

Tyle że wóz do końca nie zniknął. Niezupełnie. Reflektory pozostały na miejscu, dwa kręgi światła wiszące w powietrzu. Psy zerwały się z ziemi, pomknęły w ich stronę z wściekłym ujadaniem. Bon wygięła grzbiet zjeżona. Wciąż szczekając, powoli wycofała się od zawieszonych w powietrzu bezcielesnych światel. Angus do tego stopnia ochrypl, że nie mógł już szczekać. Jude zauważył, że ich cieniści bliźniacy zniknęli wraz z furgonetką. Albo może powrócili do ciał, gdzie zawsze się ukrywali. Przypuszczał - myśl ta wydała mu się całkiem rozsądna - że te czarne psy, połączone z Bon i Angusem, to ich dusze.

Okragłe plamy światła zaczęły przygasać, zmieniać barwę na błękitną, kurczyć się. I zgasty, pozostawiając po sobie jedynie powidoki na siatkówkach Jude'a. Dwa blade dyski barwy księżyca jeszcze przez moment unosiły się przed nim, a potem zniknęły.

20

Jude był gotów dopiero, gdy niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć pierwszą łuną przedświt. Wówczas zostawił Bon w samochodzie i zabrał ze sobą Angusa. Poszedł na górę do studia. Georgia leżała tam, gdzie ją zostawił. Spała na kanapie pod białym bawełnianym prześcieradłem, które ściągnął z łóżka w pokoju gościnnym. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Obudź się, skarbie.

Georgia się poruszyła, otworzyła oczy. Długie pasmo czarnych włosów lepiło się do jej spoconego policzka. Nie wyglądała dobrze - na kościach policzkowych miała ciemne wypieki, reszta skóry była biała jak kość. Jude przyłożył jej dłoń do czoła; było gorące i wilgotne.

Oblizła wargi.

- Która to, kurwa, godzina?

- Wpół do piątej.

Rozejrzała się i uniosła na łokciach.

- Co ja tu robię?

- Nie wiesz?

Spojrzała na niego z głębi oczu, podbródek jej zadrżał i musiała odwrócić wzrok. Zasłoniła oczy dłonią.

- O Boże! - szepnęła.

Angus wysunął się zza Jude'a i wepchnął jej pysk pod brode, ocierając się o szyję i trącając, jakby mówił, by nie spuszczała nosa na kwintę. Jego wielkie wilgotne oczy patrzyły z troską.

Georgia podskoczyła, gdy mokry nos dotknął jej skóry. Usiadła. Przez moment przyglądała się Angusowi, zdumiona,

oszołomiona, a potem delikatnie położyła dłoń psu na głowie.

- Co on robi w domu? - Zerknęła na Jude'a i zorientowała się, że jest ubrany w czarne martensy i płaszcz do kostek. W tym samym momencie zarejestrowała gardłowy pomruk czekającego na podjeździe mustanga. - Dokąd jedziesz?

- Jedziemy - poprawił. - Na południe.

JAZDA

21

Niebo zaczęło ciemnieć, gdy dotarli na północ od Fredericksburga i wtedy Jude zobaczył furgonetkę jadącą niecałe pół kilometra za nimi. Craddock McDermott znów miał na głowie fedorę i prowadził pochylony nad kierownicą, z ramionami na wysokości uszu. Założył też okulary w okrągłych oprawkach; soczewki połyskiwały niesamowitym pomarańczowym blaskiem w świetle sodowych latarni autostrady, dwa kręgi żywego ognia - idealny odpowiednik reflektorów na kratownicy.

Przy następnym zjeździe Jude skręcił. Georgia spytała dlaczego. Odparł, że jest zmęczony. Nie widziała ducha.

- Ja mogłabym prowadzić - zaproponowała.

Większość popołudnia przespała. Teraz siedziała w fotelu pasażera z podwiniętymi nogami.

Gdy nie odpowiedział, spojrzała na niego przeciągle.

- Wszystko w porządku?

- Po prostu chcę zjechać z drogi przed zmierzchem.

Bon wepchnęła pysk między przednie fotele. Lubiła uczestniczyć w ich rozmowach. Georgia pogłaskała ją po łbie, ale suka przyglądała się Jude'owi pełnymi obaw, czekoladowobrązowymi oczami.

Niecały kilometr od zjazdu znaleźli motel Days Inn. Jude posłał Georgię, by wynajęła pokój. Sam zaczekał w mustangu z psami. Nie chciał ryzykować, że ktoś go rozpozna, nie był w nastroju. Od piętnastu lat nie był w nastroju.

Kiedy tylko Georgia wysiadła, Bon wgramoliła się na jej pusty fotel i zwinęła w kłębek w rozgrzanym zagłębieniu pozosta-

wionym na skórze przez pośladki dziewczyny. Ułożywszy pysk na przednich łapach, zerknęła na Jude'a z wyraźnym poczuciem winy. Czekwała, kiedy zacznie krzyczeć, każe jej wracać na tył do Angusa. Ale on nie krzyknął. Psy mogły robić, co tylko chciały.

Wkrótce po tym, jak ruszyli w drogę, Jude opowiedział Georgii, jak psy zaatakowały Craddocka.

- Chyba duch wiedział, że Angus i Bonnie mogą tak się na niego rzucić. Sądzę jednak, iż wyczuwał, że są dla niego groźne, i dlatego chciał wypłoszyć nas z domu, daleko od nich, nim odkryjemy, jak użyć psów przeciw niemu.

Georgia przekreśliła się w fotelu, sięgnęła na tył i zaczęła drapać Angusa za uszami. Pochyliła się tak mocno, że potarła nosem pysk Bon.

- I gdzie są moje dzielne pieski? No gdzie? Tu, tak, tutaj są moje bohaterskie pieski - powtarzała tak długo, aż Jude pomyślał, że zaraz oszaleje.

Teraz wyszła z recepcji. Pomachała mu kluczem na palcu, po czym odwróciła się i okrążyła budynek. Podążył za nią samochodem i zaparkował na pustym miejscu przed beżowymi drzwiami pośród innych beżowych drzwi.

Weszła do środka z Angusem, Jude tymczasem wyprowadził Bon. Przechadzali się wzdłuż gęstego lasu na skraju parkingu. Potem wrócił, zostawił Bon z Georgią i zabrał na spacer Angusa. Bardzo pilnował, by przy każdym z nich choć jeden pies był w pobliżu.

Te lasy za motelem Days Inn różniły się od lasu otaczającego jego farmę w Piecliff w stanie Nowy Jork. Taki las mógł rosnąć tylko na Południu. Pachniało w nim zgnilizną, mokrym mchem, czerwoną gliną, siarką i ściekami, orchideami i olejem silnikowym. Nawet powietrze było inne, gęstsze, cieplejsze, lepkie od wilgoci. Jak pod pachą. Jak w Moore's Corner, gdzie Jude dostał. Angus próbował łapać świetliki krążące wśród paproci, drobinki magicznego zielonego ognia.

Jude wrócił do pokoju. Wcześniej, kiedy przez dziesięć minut przejeżdżali przez stan Delaware, zatrzymał się na stacji Sunoco, żeby zatankować i kupić pół tuzina puszek karmy Alpo w sklepi-

ku. Nie przyszło mu do głowy, żeby wziąć też papierowe talerze. Podczas gdy Georgia się myła, Jude wyciągnął jedną z szuflad z komódki, otworzył dwie puszkę i wygarnął zawartość do środka. Postawił szufladę na podłodze. Psy rzuciły się do jedzenia i pokój wypełniły mokre mlaskanie i przełykanie, ochryple pomruki i chrapliwe oddechy.

Georgia wyszła z łazienki. Była w znoszonych białych majtkach i krótkiej koszulce odsłaniającej brzuch. Zmyła z siebie goetycki makijaż, zostawiła tylko błyszczący czarny lakier na paznokciach u stóp. Prawą rękę owinęła świeżym bandażem. Spojrzała na psy, marszcząc nos z udawanym niesmakiem.

- Obrzydliwi z nas goście, nie ma co. Jeśli sprzątaczkę odkrywają, że karmiliśmy psy z szuflady, już nigdy nie zaproszą nas z powrotem do Days Inn w Fredericksburgu.

Mówiła z akcentem z głębokiego Południa, jakby chciała go rozbawić. Przez całą drogę w rozmowie przeciągała samogłoski i uciniała końcówki - czasami dla zabawy, a czasami, tak przynajmniej podejrzewał Jude, zupełnie nieświadomie, jak gdyby opuściwszy Nowy Jork, oddalała się także od osoby, którą tam była, i podświadomie wracała do swego dawnego głosu i osobowości, małej dziewczynki z Georgii; która dla zabawy kąpała się na golasa z chłopakami.

- Znałem takich, co to najgorzej zachowywali się w hotelach - odparł. Najgorzej zamiast gorzej. Jego własny akcent, od lat bardzo słaby, także powracał. Jeśli nie będzie uważał, zanim dotrą do Karoliny Południowej, będzie gadał jak statysta z Hee Haw. Trudno zapuścić się w pobliże miejsca urodzenia i nie powrócić do siebie sprzed wielu lat. - Mój basista Dizzy wysrał się kiedyś do takiej szuflady, bo za długo siedziałem w kiblu.

Georgia zaśmiała się, choć dostrzegł, że obserwuje go z troską - może zastanawiała się, o czym myślał. Dizzy nie żył. AIDS. Jerome, który grał na gitarze rytmicznej, klawiszach i praktycznie wszystkim innym, także nie żył. Zjechał z szosy z prędkością 140 kilometrów na godzinę. Jego porsche dachowało sześć razy, aż w końcu stanęło w płomieniach. Zaledwie garstka ludzi wie-

działa, że nie był to wypadek po pijanemu. Jerome zrobił to na trzeźwo, specjalnie.

Wkrótce po tym, jak kopnął w kalendarz, Kenny oznajmił, że czas już skończyć, chce spędzić trochę czasu z dziećmi. Kenny'ego zmęczyły kolczyki w sutkach, skórzane czarne spodnie, efekty pirotechniczne i pokoje hotelowe. Od pewnego czasu tylko udawał entuzjazm. I tak zespół się rozpadł. Odtąd Jude był solistą.

Ale może to też już przeszłość. W domowym studiu w pudełku trzymał nagrania demo, prawie trzydzieści nowych piosenek. Lecz była to prywatna kolekcja, nawet nie próbował nikomu ich puścić. Kolejna porcja tego samego. Jak to powiedział Kurt Cobain? Zwrotka, refren, zwrotka, jeszcze raz i jeszcze. Jude'a już to nie obchodziło. AIDS dopadło Dizzy'ego, Jerome'a załatwiła droga. Nie obchodziło go, czy stworzy jeszcze jakąś muzykę.

Kompletnie nie rozumiał, dlaczego wszystko tak się ułożyło. To on zawsze był gwiazdą, zespół nosił nazwę Jude's Hammer. To on powinien był umrzeć tragicznie, młodo. Jerome i Dizzy mieli żyć dalej, by w wiele lat później opowiadać o nim cenzuralne historyjki we wspominkowym programie na VH1 - obaj tysięcący, grubi, wymanikiurowani, pogodzeni ze swym bogactwem i nieprzystojną hałaśliwą przeszłością. Ale też nigdy nie potrafił trzymać się scenariusza.

Na kolację zjedli kanapki kupione na stacji benzynowej. Smakowały folią, w którą je zawinięto.

W telewizji grali My Chemical Romance. Chłopcy mieli kolczyki w wargach i brwiach, włosy nastroszone. Lecz pod grubym białym podkładem i czarną szminką wyglądali jak zbieranina pulchnych dzieciaków, które parę lat wcześniej zapewne grały w szkolnej orkiestrze. Podskakiwali, wpadając na siebie, jakby scenę pod ich stopami podłączono do prądu. Grali gorączkowo, niemal umierając ze strachu. Jude'owi nawet się spodobali. Zastanawiał się, który z nich umrze pierwszy.

Potem Georgia zgasiła lampę przy łóżku i leżeli razem w ciemności. Psy zwinęły się w kłębek na podłodze.

- Chyba jednak się go nie pozbyłam, kiedy spaliłam garnitur
- powiedziała. Południowy akcent zniknął.

- Mimo wszystko to był dobry pomysł.
 - Nieprawda. On mnie do tego zmusił, zgadza się?
- Jude nie odpowiedział.
- A jeśli nie uda nam się wymyślić, jak się go pozbyć? - spytała.
 - Będiesz musiała przywyknąć do zapachu psiej karmy.
- Roześmiała się, jej oddech połaskotał mu gardło.
- Co zrobimy, kiedy dotrzemy tam, dokąd jedziemy?
 - Porozmawiamy z kobietą, która przysłała mi garnitur. Przekonamy się, czy wie, jak się go pozbyć.

Samochody przejeżdżały z brzękiem po autostradzie, świerszcze cykały.

- Zrobisz jej krzywdę?
- Nie wiem, możliwe. Jak twoja ręka?
- Lepiej - odparła. - A twoja?
- Lepiej - rzekł.

Kłamał i był pewny, że ona także kłamie. Kiedy wynajęli pokój, poszła do łazienki zmienić opatrunek. Potem, gdy Jude zmieniał swój, znalazł w śmieciach jej stare bandaże. Wyciągnął z kosza kłęby gazy, by je obejrzeć. Cuchnęły kremem odkażającym, pokrywały je plamy zaschniętej krwi i żółtej zaskorupiałej ropy.

Jego rana prawdopodobnie wymagała szwów. Rano, przed wyjazdem z domu, wyciągnął z górnej kuchennej szafki apteczkę i zakleił dłoń plasterami, a potem owinał białym bandażem. Nadal jednak sączyła się krew i kiedy zdjął opatrunek, zaczynała już przesiąkać przez bandaż. Pomiędzy dwoma plasterami dziura w lewej dłoni otworzyła się niczym mokre czerwone oko.

- Ta dziewczyna, która się zabiła - zaczęła Georgia. - Ta, o którą w tym wszystkim chodzi...

- Anna McDermott. - Tym razem podał jej prawdziwe imię.
- Anna - powtórzyła Georgia. - Wiesz, czemu popełniła samobójstwo? Dlatego że kazałeś jej się wynieść?

- Jej siostra niewątpliwie tak uważa. Pewnie jej ojczym też tak myślał, bo teraz nas prześladowuje.

- Ten duch... potrafi zmuszać ludzi, by robili to, co im każe. Kazał mi spalić garnitur. Kazał Danny'emu się powiesić.

W samochodzie opowiedział jej o Dannym. Odwróciła twarz do okna i płakała cicho. Po jakimś czasie zasnęła.

- Ojcym Anny - ciągnął Jude - nauczył się hipnozy w wojsku. Torturował żółtków. Kiedy wyszedł do cywila, nadal się zajmował hipnozą. Sam siebie nazywał mentalistą. Za życia używał łańcuszka ze srebrną brzytwą na końcu, by wprowadzać ludzi w trans. Ale teraz, kiedy nie żyje, już go nie potrzebuje. Gdy do ciebie mówi, coś sprawia, że musisz go słuchać. Nagle po prostu siedzisz z boku i patrzysz, jak tobą kieruje. Nawet nic nie czujesz. Twoje ciało jest jak ubranie i on je wkłada. - Garnitur nieboszczyka, pomyślał Jude i na ramionach wystąpiła mu gęsia skórka. - Niewiele wiem, Anna nie lubiła o nim mówić. Wiem jednak, że jakiś czas zawodowo wróżyła z ręki. Wspominała, że ojczym ją tego nauczył. Interesowały go mniej zrozumiałe aspekty ludzkiego umysłu. Na przykład w weekendy zatrudniał się jako różdżkarz.

- To ci ludzie, którzy znajdują wodę, wymachując w powietrzu patykami? Moja babcia wynajęła kiedyś starego wieśniaka z gębą pełną złotych zębów, żeby znalazł świeże źródło, bo stara studnia wyschła. Miał różdżkę z orzecha.

- Ojcym Anny, Craddock, nie zwracał sobie głowy różdżką. Używał swojej ślicznej brzytwy na łańcuszku. Wygląda na to, że wahadełka sprawdzają się równie dobrze. W każdym razie psycholka, która przysłała mi garnitur, Jessica McDermott Price, nie omieszkała mi powiedzieć, że tatuś oznajmił, iż kiedy umrze, wyrówna ze mną rachunki. Zatem stary się orientował, jak ma wrócić. Innymi słowy, nie jest przypadkowym duchem. Tak myślę, ale nie wiem, czy to ma sens.

Gdzieś w dali rozległo się szczekanie psa. Bon uniosła głowę, spojrzała z namysłem w stronę drzwi, a po chwili znowu położyła pysk na przednich łapach.

- Była ładna? - spytała Georgia.

- Anna? Tak. Jasne. Chcesz wiedzieć, czy była dobra w łóżku?

- Po prostu pytam. Nie musisz się zachowywać jak ostatni buc.

- W takim razie nie zadawaj pytań, na które nie chcesz usły-

szeć odpowiedzi. Zauważ, że ja nigdy nie pytam, z kim rznąłaś się wcześniej.

- Rznąłaś się? Do diabła, tak o mnie myślisz? Aktualna panienska do rżnięcia, którą wkrótce kopniesz w dupę?

- Chryste, zaczyna się.

- I wcale nie jestem wścibska. Po prostu próbuję to zrozumieć.

- W jaki sposób wiedza, czy była ładna, pomoże nam wymyślić, co zrobić z duchem?

Georgia podciągnęła kołdrę aż pod brodę, patrząc na niego w ciemności.

- Ona była Florydą, ja jestem Georgią. Ile jeszcze stanów odwiędził twój kutas?

- Nie potrafię powiedzieć, nie przechowuję mapy z wbitymi szpileczkami. Naprawdę chcesz, żebym próbował to policzyć? A skoro już o tym mowa, czemu ciekawią cię tylko stany? Odbyłem trzynaście światowych tras i zawsze zabierałem ze sobą swojego fiuta.

- Ty wredny złamasie.

Uśmiechnął się w gąszczu brody.

- To zapewne wstrząsające dla dziewicy takiej jak ty. Chcesz usłyszeć nowinę? Mam przeszłość. Pięćdziesiąt cztery lata przeszłości.

- Kochałeś ją?

- Nie odczepisz się od tego tematu?

- To ważne, do cholery!

- Czemu miałyby być ważne?

Nie odpowiedziała.

Usiadł oparty o zagłówek.

- Przez jakieś trzy tygodnie.

- A ona cię kochała?

Przytaknął.

- Pisała do ciebie listy? Po tym jak odesłałeś ją do domu?

- Tak.

- Pełne złości?

Z początku nie odpowiedział, rozważając jej pytanie.

- Czy ty je w ogóle, kurwa, czytałeś, bezduszny draniu? - I znów w jej głosie pojawiły się charakterystyczne, wiejskie, południowe kadencje. Wpadła w złość, na moment się zapomniała. A może nie, pomyślał Jude. Może wręcz przeciwnie.

- Tak, czytałem - odparł. - Właśnie ich szukałem, kiedy wybuchła cała draka.

Żałował, że Danny nie znalazł listów. Kochał Annę, żył z nią i co dzień rozmawiał. Teraz jednak rozumiał, że za mało się o niej dowiedział. Wiedział tak mało o życiu, jakie wiodła przed nim - i po nim.

- Zastługujesz na to, co cię spotka. - Georgia odwróciła się od niego. - Oboje zastługujemy.

- Nie pisała w złości - rzekł. - Czasami jej listy były bardzo emocjonalne, a czasami straszne, bo tak mało odbijało się w nich uczuć. Pamiętam, w ostatnim wspominała, że o czymś chciały porozmawiać, zmęczyło ją dochowywanie tajemnicy. Mówiła, że jest wyczerpana. To samo w sobie powinienem był uznać za sygnał ostrzegawczy. Tyle że wcześniej wiele razy mówiła podobnie i nigdy... W każdym razie próbuję ci powiedzieć, że coś z nią było nie w porządku. Nie była szczęśliwa.

- Ale uważasz, że nadal cię kochała? Nawet po tym, jak kopnąłeś ją w dupę?

- Ja nie... - zaczął, po czym syknął, tłumiąc furię. Nie da się podpuścić. - Przypuszczam, że tak.

Georgia długi czas milczała odwrócona do niego plecami. Przyglądał się krzywiźnie jej ramienia.

- Żal mi jej - powiedziała w końcu. - To wcale nie takie fajne, wiesz?

- Co?

- Kochanie ciebie. Byłam z całą kupą naprawdę paskudnych facetów, przy których czułam się jak gówno. Ale ty, Jude, jesteś wyjątkowy. Bo wiedziałam, że żaden z nich się mną nie przejmuje. Ty natomiast się przejmujesz, a i tak czuję się przy tobie jak tania dziwka - mówiła spokojnie, powoli, nie patrząc na niego.

Zachłysnął się lekko i przez moment pragnął jej powiedzieć, że żałuje. Ale to nie było w jego stylu. Nie przeproszał, nie znosił

się tłumaczyć. Ona czekała, aż odpowie, a kiedy tego nie zrobił, podciągnęła kołdrę, przykrywając ramię. Opadł na poduszkę.

- Jutro będziemy przejeżdżać przez Georgię - powiedziała Georgia, wciąż nie odwracając się do niego. - Chcę zobaczyć się z babcią.

- Z babcią?! - Jude nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Bammy to najukochańsza osoba na całym świecie. Kiedyś zdobyła trzysta punktów w kręgle - oznajmiła, jakby jedno w naturalny sposób wynikało z drugiego. I może rzeczywiście tak było.

- Wiesz, jak poważne mamy kłopoty?

- Tak, trochę się orientuję.

- Uważasz nakładanie drogi za dobry pomysł?

- Chcę się zobaczyć z Bammy.

- Może zajrzemy do niej w drodze powrotnej? Wtedy będziecie mogły wspominać dawne czasy. Może nawet rozegracie parę partyjek kręgli?

Georgia odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

- Uważam, że powinnam się z nią zobaczyć już teraz. Od jakiegoś czasu chodzi mi to po głowie. Nie mam pewności, że w ogóle wrócimy z tej wyprawy. A ty?

Jude pociągnął lekko brodę, wpatrując się w jej ciało pod kołdrą. Nie podobał mu się pomysł opóźnienia, niezależnie od powodu. Czuł jednak potrzebę dania jej czegoś, pójścia na ustępstwo, tak by nienawidziła go choćby odrobinę mniej. Jeśli chciała coś powiedzieć komuś, kto ją kocha, mógł zaczekać. Odkładanie na później ważnych spraw nie było jednak rozsądnym pomysłem.

- Trzyma w lodówce lemoniadę?

- Świeżutką.

- Zgoda. Zatrzymamy się u niej, ale nie na długo. Dobrze? Jeśli się pospieszymy, jutro o tej porze będziemy już na Florydzie.

Jeden z psów westchnął. Georgia otworzyła okno, by wywieźć ostry zapach karmy. Wychodziło na podwórze pośrodku motelowego kompleksu. Jude czuł woń rdzy z metalowego ogro-

dzenia doprawioną odrobiną chloru, choć do basenu nie napszczono wody.

- Kiedyś, dawno temu, miałam tabliczkę ouija. Gdy będziemy u babci, chcę jej poszukać.

- Już ci mówiłem, nie muszę rozmawiać z Craddockiem. Dobrze wiem, czego chce.

- Nie - w głosie Georgii dźwięczało zniecierpliwienie. - Nie chodzi o to, żeby z nim rozmawiać.

- No to o co?

- Będzie nam potrzebna, jeśli zechcemy porozmawiać z Anną. Mówisz, że cię kochała. Może powie nam, jak się wydostać z tego bagna. Może ona zdoła go powstrzymać.

22

Jeziro Pontchartrain? Wychowywałam się niedaleko. Rodzice zabrali nas tam raz na kemping. Mój ojczym łowił ryby, nie pamiętam, jak mu poszło. Często łowisz ryby w jeziorze Pontchartrain?

Nieustannie zasypywała go pytaniami. A on nie potrafił zdecydować, czy w ogóle słucha odpowiedzi, czy też wykorzystuje ten czas na wymyślanie kolejnych, którymi mogłaby go zadręczać.

- Lubisz łapać ryby? Lubisz surowe ryby? Sushi? Ja uważam, że sushi jest obrzydliwe. Chyba że wcześniej wypiję. Ile razy byłeś w Tokio? Słyszałam, że dają tam obrzydliwe jedzenie - surową ośmiornicę, surowe meduzy. Wszystko tam jedzą na surowo. Czy Japończycy nie znają ognia? Zatrueś się kiedyś jedzeniem, ale tak ciężko? Na pewno, w końcu cały czas jesteś w trasie.

Kiedy się najbardziej porzygałeś? A rzygałeś kiedyś tak, że leciało ci nosem? Tak? To jest najgorsze.

Ale czy często łowiłeś ryby w jeziorze Pontchartrain? Zabierał cię tam tato? Prześliczna nazwa. Jezioro Pontchartrain. Jezioro Pontchartrain. Chcę zobaczyć deszcz nad jeziorem Pontchartrain.

Wiesz, jaki jest najbardziej romantyczny dźwięk na świecie? Deszcz na spokojnym jeziorze, ciepły wiosenny deszcz. Kiedy byłam mała, wpadałam w trans, siedząc przy oknie i oglądając deszcz. Ojczym mówił, że nigdy w życiu nie spotkał nikogo, kogo tak łatwo byłoby wprowadzić w trans. Jaki byłeś w dzieciństwie? Kiedy postanowiłeś zmienić nazwisko i imię?

Uważasz, że powinnam zmienić imię? Może wybierzesz dla mnie jakieś nowe? Chcę, żebyś nazywał mnie tak, jak ci pasuje.

- Już tak robię - przypomniał.

- Zgadza się. Teraz mam na imię Floryda. Dla mnie Anna McDermott umarła. I tak nigdy za nią nie przepadałam. Wolę być Florydą. Tęsknisz za Luizjaną? Czy to nie zabawne, że mieszkaliśmy zaledwie o cztery godziny drogi od siebie? Mogliśmy spotkać się gdzieś przypadkiem. Myślisz, że kiedykolwiek przebywaliśmy w tym samym czasie, w tym samym miejscu i o tym nie wiedzieliśmy? Ale pewnie nie, prawda? Bo wyniosłeś się z Luizjany jeszcze przed moim urodzeniem.

Było to w niej najbardziej rozbijające albo najbardziej wkurzające. Jude nie potrafił określić. Może jedno i drugie równocześnie.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek przestajesz zadawać pytania? - spytał pierwszej nocy. Była druga nad ranem, a ona pytała i pytała już od godziny. - W dzieciństwie na pewno pytaniami doprowadzałaś mamę do szału. Dlaczego niebo jest niebieskie? Dlaczego Ziemia nie wpada na Słońce? Co się z nami dzieje, gdy umieramy?

- Jak myślisz, co się z nami dzieje, gdy umieramy? - spytała Anna. - Widziałeś kiedyś ducha? Mój ojczym widział. Niejednego. Rozmawiał z nimi. Był w Wietnamie. Mówi, że cały ten kraj jest nawiedzony.

Do tej pory Jude dowiedział się już, że jej ojczym jest ródzka-rzem oraz mesmerystą, pracuje razem ze starszą pasierbicą, także hipnotyzerką, i że oboje zostali w Testament na Florydzie. Do tego ograniczała się jego wiedza o rodzinie Anny. Nie naciskał, nie wypytywał - ani wtedy, ani później. Zadowolili się tym, co chciała mu powiedzieć.

Poznał ją trzy dni wcześniej w Nowym Jorku. Przyjechał tam, żeby wraz z Trentem Reznorem nagrać gościnny wokal na ścieżkę dźwiękową do filmu - łatwa forsa - i został obejrzyć koncert Trenta w Roseland. Anna zjawiała się za kulisami. Drobniutka dziewczyna o ustach pomalowanych fioletową szminką, w skórzanych spodniach skrzypiących przy każdym kroku, rzadko spotykana blond gotka. Spytała, czy ma ochotę na sajgonkę, przyniosła mu ją.

- Trudno się je z taką brodą? - *zagadnęła*. - Nie włazi ci w nią jedzenie? - Od pierwszej chwili zasypywała go pytaniami. - Jak

myślisz, czemu tak wielu facetów, harlejuwców i takich różnych, hoduje sobie brody? By wyglądać groźnie? Nie uważasz, że w walce broda stanowi raczej zagrożenie?

- Jak może stanowić zagrożenie w walce? - spytał.

Jedną ręką chwyciła go za brodę i szarpnęła. Poczuł rozdzierający ból. Zaciśnął zęby, tłumiąc wściekły krzyk. Puściła go i znów zaczęła mówić:

- Gdybym kiedykolwiek wdała się w bójkę z brodaczem, od razu bym to zrobiła. ZZ Top nie miałoby szans. Sama załatwiłabym wszystkich trzech, a trudno mnie nazwać siłaczką. Oczywiście, oni mają przechlapane, nie mogą się już ogolić, bo nikt by ich nie rozpoznał. No, w sumie z tobą jest chyba podobnie. Kiedy byłam mała i oglądałam twoje teledyski, bałam się twojej brody. Hej! Bez niej mógłbyś się stać zupełnie anonimowy. Myślałeś o tym kiedyś? Natychmiastowe wakacje od ciężaru sławy! No i pozbycie się przeszkody w walce. Masz powody, by się ogolić.

- Moja twarz to przeszkoda w znajdowaniu panienek - odparł. - Jeśli bałaś się brody, powinnaś mnie zobaczyć bez niej. Pewnie już w życiu byś nie zasnęła.

- A zatem to przebranie. Sztuka maskowania, tak jak twoje imię i nazwisko.

- Co jest nie tak z moim imieniem?

- Nie jest prawdziwe. Judas Coyne*. Pewnie pochodzisz z rodziny świrniętych chrześcijan? Założę się, że tak. Mój ojczym mówi, że Biblia to same bzdury. Dorastał jako zielonoświątkowiec, ale stał się spirytystą i tak nas wychował. Może zadawać pytania i trzymać nad tobą wahadełko. Dzięki jego ruchom będzie wiedział, czy mówisz prawdę. Odczytuje też aurę. Moja aura jest czarna jak grzech. A twoja? Chcesz, żebyś powróżyła ci z ręki? Wróżba z ręki to pestka, najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

Trzy razy przepowiadała mu przyszłość. Za pierwszym razem klęczała naga w łóżku obok niego. W dolinie między jej piersiami

* Judas Coyne wymawia się jak Judas Coin, czyli Judaszowa moneta, aluzja do biblijnych srebrników - przyp. tłum.

jaśniał pot. Była zarumieniona, wciąż zdyszana po wcześniejszych igraszkach. Wzięła go za rękę, przesunęła po niej koniuszkami palców i obejrzała z bliska.

- Jaka długa linia życia - powiedziała. - Ciągnie się i ciągnie. Wygląda na to, że będziesz żył wiecznie. Ja nie chciała-bym żyć wiecznie. Ile lat to za dużo? Może to przerośnia. Na przykład że twoja muzyka przetrwa wiecznie czy podobne bzdury. Wróżenie z ręki to nie nauka ścisła.

Później, niedługo po tym, jak skończył remontować mustanga, wybrali się na przejażdżkę na wzgórze nad rzeką Hudson. Zaparkowali na przystani, patrząc na rzekę zmarszczoną w miliony diamentowych łusek pod bladoniebieskim niebem. Na horyzoncie kłębiły się puszyste białe chmury. Jude zamierzał zawieźć Annę na wizytę u psychiatry - Donny ją umówił - ale poprosiła, żeby tego nie robił. Powiedziała, że dzień jest zbyt piękny, by spędzać go w gabinecie lekarza.

Siedzieli z otwartymi oknami, z przyciszoną muzyką, a ona wzięła go za rękę leżącą na siedzeniu między nimi. Miała akurat jeden z dobrych dni. Zdarzały się coraz rzadziej.

- Po mnie znów kogoś pokochasz - powiedziała. - Będziesz miał jeszcze jedną szansę na szczęście. Nie wiem, czy pozwolisz sobie ją wykorzystać. Przypuszczam, że nie. Dlaczego nie chcesz być szczęśliwy?

- Co to znaczy po tobie? - spytał, a potem rzekł: - Teraz jestem szczęśliwy.

- Nie. Wciąż jesteś zły.

- Na kogo?

- Na siebie - odparła, jakby to było oczywiste. - A czy to twoja wina, że Jerome i Dizzy nie żyją? Kto mógł ich ocalić przed nimi samymi? No i wciąż jesteś naprawdę wkurzony na swojego tatę. Za to, co zrobił twojej mamie. Co zrobił z twoją ręką.

Zachłysnął się.

- O czym ty mówisz? Skąd wiesz, co zrobił z moją ręką? Zerknęła na niego przebiegle, z rozbawieniem.

- Przecież właśnie na nią patrzę. - Obróciła jego dłoń i przesunęła kciukiem po pokrytych bliznami kostkach. - Nie trzeba być

jasnowidzem, wystarczą wrażliwe palce. Czuję miejsca, w których zrosły się kości. Czym cię uderzył? Młotkiem? Ręce fatalnie się goją.

- Zmiażdżył drzwiami do piwnicy. W pewien weekend uciekłem, żeby wystąpić w Nowym Orleanie. Był konkurs zespołów. Miałem piętnaście lat. Pożyczyłem sobie sto dolarów na autobus z rodzinnej skarbonki. Uznałem, że to nie kradzież, bo przecież wygramy. Płacili pięćset dolarów gotówką, oddałbym wszystko z procentem.

- I jak ci poszło?

- Byliśmy trzeci. Wszyscy dostaliśmy koszulki. Kiedy wróciłem, zawłókł mnie do drzwi piwnicy i zatrzaskał je na lewej ręce. Tej od łapania akordów.

Zmarszczyła brwi.

- Zdawało mi się, że łapiesz akordy drugą ręką.

- Teraz już tak.

Milczała.

- Nauczyłem się robić to prawą, kiedy lewa się zrastała, i tak mi zostało.

- Trudno było?

- No cóż, nie wiedziałem, czy lewa w ogóle będzie się jeszcze nadawać do czegoś. Mogłem albo to zrobić, albo przestać grać. A przestanie byłoby znacznie trudniejsze.

- Gdzie była twoja mama, kiedy to się stało?

- Nie pamiętam. - Kłamał. Nie mógł zapomnieć. Matka siedziała przy stole. Ojciec zaczął ciągnąć go przez kuchnię w stronę piwnicy, a on krzyczał, błagając ją o pomoc, ona jednak wstała, zatkła rękami uszy i wyszła. Nie mógł jej winić. Zasłużył sobie, i to nie z powodu podebrania stu dolarów ze skarbonki. - Nic się nie stało. Wtedy zacząłem grać dużo lepiej. Najpierw jednak przez miesiąc robiłem najbardziej kurewski hałas, jaki możesz sobie wyobrazić. W końcu ktoś mi wyjaśnił, że jeśli chcę grać odwrotnie, muszę przełożyć struny. Potem już poszło łatwo.

- A poza tym pokazałeś swojemu tacie, co nie?

Nie odpowiedział. Raz jeszcze obejrzała jego dłoń i przesunęła kciukiem w poprzek przegubu.

- Zobaczysz go jeszcze.
- Nie zobaczę. Nie widziałem go od trzydziestu lat. Nie jest już ważny w moim życiu.
- Jasne, że jest ważny. Jest w nim obecny codziennie.
- Zabawne. Zdawało mi się, że postanowiliśmy odpuścić sobie dzisiaj wizytę u psychiatry.

- Masz pięć linii szczęścia - oznajmiła. - To więcej szczęścia niż u kota. Chyba świat wciąż jeszcze ci odpłaca za to, co zrobił z tobą ojciec. Pięć linii szczęścia. Świat nigdy nie przestanie ci odpłacać. - Puściła jego rękę. - Broda, wielka skórzana kurtka, wielki czarny samochód, wielkie czarne buciory. Nikt nie nosi aż takiej zbroi, chyba że ktoś go bardzo zranił. Skrzywdził.

- I kto to mówi. Czy jest jakaś część twojego ciała, której byś nie przekłuła? - Miała kolczyki w uszach i języku, jednym sutku, wardze sromowej. - Kogo próbujesz odstraszyć?

Po raz ostatni powróżyła mu z ręki parę dni przed tym, jak spał u jej rzeczy. Któregoś wieczoru zobaczył ją przez kuchenne okno - dreptała w lutowym deszczu do stodoły, ubrana tylko w czarny stanik i czarne figi. Jej nagie ciało jaśniało szokującą bielą.

Gdy ją dogonił, zdążyła już wczłgać się do psiarni, jej części mieszczącej się w stodole, gdzie Angus i Bon chowali się przed deszczem. Siedziała na ziemi, uda miała wysmarowane błotem. Psy krążyły tu i tam, omijając ją szerokim łukiem.

Na czworakach wpęłził do psiarni. Był wściekły na Annę, miał dosyć tego, jak wyglądało ich życie przez ostatnie dwa miesiące. Dosyć zagadywania jej i dosyć głuchych dwuwyrazowych odpowiedzi. Dosyć śmiechu i też bez powodu. Już ze sobą nie sypiali, sama myśl go odrzucała. Anna się nie kąpała, nie ubierała, nie myła zębów. Jej miodowozłote włosy przypominały szczurze gniazdo. Ostatnich parę razy, gdy próbowali uprawiać seks, odpychała go swymi żądaniami, robiło mu się od nich niedobrze. Nie miał nic przeciw ostrzejszemu seksowi, mógł ją związać, jeśli chciała, szczypać sutki, przekręcać ją i wkładać jej w tyłek. Ale Annie to nie wystarczyło. Chciała, by zakładał jej na głowę foliowy worek. By ją kaleczył.

Siedziała zgarbiona z igłą w jednej ręce. Wbijała ją w kciuk drugiej, z rozmysłem, świadomie - kłuła się raz po raz. Z rana wyplwały grube rubinowe krople krwi.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - Starał się opanować gniew.

Bez skutku. Złapał ją za przeguby by ją powstrzymać.

Upuściła igłę w błoto, chwyciła oburącz jego dłoń i odwróciła. Jej oczy w ciemnych kręgach oczodołów błyszcząły gorączkowym blaskiem. Na tym etapie sypiała najwyżej trzy godziny na dobę.

- Twój czas kończy się niemal równie szybko jak mój. Bardziej ci się przydam, gdy odejdę. Odchodzę. Nie mamy przyszłości. Ktoś spróbuje cię skrzywdzić. Chce ci wszystko odebrać. - Uniosła wzrok i spojrzała mu w twarz. - Ktoś, z kim nie możesz walczyć. I tak będziesz walczyć, ale nie zdołasz wygrać. Nie wygrasz. Wkrótce stracisz wszystko co dobre w twoim życiu.

Angus zaskowyczał nerwowo i wepchnął się między nich, wciśkając pysk w jej krocze. Uśmiechnęła się -po raz pierwszy od miesiąca - i podrapała go za uszami.

- Cóż - dodała. - Zawsze jeszcze zostaną ci psy.

Złapał ją za ramiona i podniósł z ziemi.

- Nie słucham, co mówisz. Już trzy razy przepowiadałaś mi przyszłość i za każdym razem inaczej.

- Wiem. A jednak wszystkie są prawdziwe.

- Czemu kłułaś się igłą? Po co?

- Robię to od dziecka. Czasami, jeśli ukłuję się kilka razy, mogę odegnąć złe myśli. To sztuczka, której się nauczyłam, by rozjaśnić sobie w głowie. Tak jak kiedy szczypiesz się we śnie. No wiesz, ból może cię ocucić. Przypomnieć, kim jesteś.

Jude wiedział.

Niemal mimochodem dodała:

- Chyba ostatnio nie najlepiej nam się układa. - Wyprowadził ją z psiarni i dalej przez stodołę. - Nie wiem, po co tu przyszłam. W bieliźnie.

- Ja też nie wiem.

- Spotykałeś się kiedyś z kim tak świrniętym jak ja, Jude?

Nienawidzisz mnie? Miałaś mnóstwo dziewczyn. Powiedz mi szczerze, czy jestem najgorsza? Kto był twoją najgorszą?

- Czemu zadajesz tyle popieprzonych pytań? - Naprawdę chciał wiedzieć.

Wyszli na deszcz, więc rozłożył swój czarny płaszcz i narzucił na Annę. Przytulił ją do siebie.

- Wolę je zadawać - odparła - niż na nie odpowiadać.

23

Obudził się parę minut po dziewiątej. W uszach miał melodie przypominającą kościelne hymny z Apalachów. Zepchnął Bon z łóżka - wgramoliła się do niego w nocy - i odrzucił kołdrę. Usiadł na skraju materaca, w myślach na nowo odgrywając melodie, próbując ją zidentyfikować, przypomnieć sobie słowa. Tyle że nie mógł jej rozpoznać i nie mógł przypomnieć sobie słów, bo nie istniała, póki jej nie wymyślił. Nie będzie miała tytułu, dopóki go jej nie nada.

Wstał, w samych bokserkach wyszedł na zewnątrz, na betonowy chodnik. Otworzył bagażnik mustanga i wyciągnął sfatygowany futerał z gitarą Les Paul z sześćdziesiątego ósmego. Zabrał go do pokoju.

Georgia nawet się nie poruszyła - leżała z twarzą wtuloną w poduszkę, skulona w ciasny kłębek z białą jak kość ręką wystającą spod kołdry. Od lat nie spotykał się z nikim opalonym. Kiedy jesteś gotem, musisz udawać, że w promieniach słońca możesz stanąć w ogniu.

Przemknął do łazienki. Angus i Bon podreptali za nim. Szepciem polecił im leżeć. Psy opadły na brzuchy przed drzwiami, patrząc na niego żałośnie, oskarżając oczami, że nie dość mocno je kocha. Nie był pewien, jak będzie mu się grało z raną lewej dłoni. Lewą szarpał struny, prawą łapa! akordy. Wyjął gitarę z futerału i zaczął stroić. Kiedy trącił kostką struny, pośrodku dłoni pojawił się ból - niezbyt mocny, tylko odrobinę silniejszy od nieprzyjemnego pieczenia, zupełnie jakby głęboko w ciało wprowadzono mu stalowy drut, który zaczynał się rozgrzewać. Uznał, że da radę grać.

Zaczął szukać właściwych akordów, odtwarzając melodie dźwięczącą w głowie tuż po przebudzeniu. Bez wzmacniacza gitara brzmiała płasko i szorstko. Sama piosenka mogła być wiejską melodią, czymś rodem z płyty wytwórni Folkways albo z retrospektywy muzyki tradycyjnej wydanej przez Bibliotekę Kongresu. Jak coś o tytule Z radością kopię mój grób, Jezus wezwał swój rydwan czy Wypijmy za diabła.

- Wypijmy za zmarłych - powiedział.

Odłożył gitarę, wrócił do sypialni. Wziął z nocnego stolika notatnik i długopis, wrócił do łazienki i zapisał: Wypijmy za zmarłych. Teraz melodia miała już tytuł. Znowu zagrał.

Na dźwięk gitary - brzmienie Ozark, brzmienie gospel - przyjemne uczucie rozeszło mu się po ramionach i karku. Mnóstwo jego piosenek z początku brzmiało jak stare kawałki. Przybywały do niego, zbłąkane sieroty, zagubione dzieci wielkich, szacownych muzycznych rodzin. Przychodziły w formie numerów z Tin Pan Alley, klasycznego bluesa, południowych lamentów, zagubionych riffów Chucka Berry'ego. Ubierał je na czarno i uczył krzyczeć.

Żałował, że nie ma przy sobie magnetofonu DAT - chciał nagrać to, co już wymyślił. Ponownie odłożył gitarę i na kartce pod tytułem nabazgrał akordy. Znowu zagrał rybkę, i znowu, ciekaw, dokąd go zaprowadzi. Dwadzieścia minut później na bandażu pojawiły się kropelki krwi, a on miał już gotowy refren, rozwijający się naturalnie z pierwszych fraz, miarowy, wznoszący się, gromki refren, od szeptu do krzyku: akt przemocy przeciw pięknu i słodczy wymyślonej wcześniej melodii.

- Czyje to? - Georgia zajrzała do łazienki, przecierając zaspane oczy.

- Moje.

- Podoba mi się.

- Jest niezła. Brzmiałyby lepiej, gdybym podpiął się do prądu.

Miękkie czarne włosy miała wzburzone i puszyste. Cienie pod oczami podkreślały jeszcze ich nienaturalną wielkość. Uśmiechnęła się do niego sennie. Odpowiedział uśmiechem.

- Jude - powiedziała tonem niemal nieznośnej erotycznej czułości.

- Tak?

- Mógłbyś zabrać tyłek z kibla? Chce mi się siku.

Kiedy zamknęła drzwi, rzucił na łóżko futerał od gitary i stał w półmroku, słuchając stłumionych dźwięków świata za opuszczonymi roletami: pomruku wozów na autostradzie, trzasku samochodowych drzwiczek, buczenia odkurzacza w pokoju dokładnie nad nimi. I wtedy dotarło do niego, że duch zniknął.

Od chwili, gdy do jego domu dostarczono garnitur w czarnym pudełku w kształcie serca, Jude wyczuwał czającego się w pobliżu Craddocka. Nawet kiedy go nie widział, był świadom jego obecności, czuł ją niemal jak przed burzą spadek ciśnienia, elektryczność w powietrzu. Od kilku dni funkcjonował w tej atmosferze, w nieustannym napięciu, które odbierało smak potrawom i nie pozwalało zapaść w głęboki sen. Teraz napięcie zniknęło. Pisząc nowy numer, zapomniał o duchu - i duch zapomniał o nim, a przynajmniej nie był w stanie wnikać do jego myśli.

Wyprowadził Angusa, nie spieszył się. Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami i dżinsy, słońce przyjemnie grzało mu plecy. Zapach poranka - spaliny nad autostradą, lilie bagienne z lasu, rozgrzany asfalt - pobudzał mu krew w żyłach. Jude chciał znów ruszyć w drogę, pojechać gdzieś, wszystko jedno dokąd. Czuł się dobrze i zaskoczyło go to nieznane uczucie. Może był też podniecony. Pomyślał o uroczym rozczochranych włosach Georgii, jej opuchniętych od snu oczach i smukłych białych nogach. Był też głodny, miał ochotę na jajka i panierowany stek. Angus zagnał świstaka w wysoką, sięgającą pasa trawę, ujadając radośnie. Jude wrócił po Bon, żeby także się wybiegała. Usłyszał pryszcic.

Wszedł do łazienki wypełnionej gorącymi kłębami pary. Rozebrał się, wśliznął za zasłonę i wszedł do wanny.

Georgia podskoczyła, gdy wierzchem dłoni musnęła jej plecy. Obróciła głowę, patrząc na niego przez ramię. Na lewej łopacie

miała wytatuowanego czarnego motyla, na biodrze czarne serce. Odwróciła się do niego, a on położył na sercu rękę.

Przycisnęła do niego wilgotne, sprężyste ciało, pocałowali się. Pochylił się nad nią, w nią. By utrzymać równowagę, oparła prawą rękę o ścianę - po czym wciągnęła gwałtownie powietrze, ostro, boleśnie. Cofnęła dłoń, jakby się sparzyła.

Próbowała schować rękę, lecz Jude złapał ją za przegub. Kciuk był czerwony i opuchnięty. Gdy dotknął go lekko, poczuł uwięzione wewnątrz chore gorąco. Dłoń wokół podstawy palca także poczerwieniała i spuchła. Na kciuku ropień połyskiwał białą wydzieliną.

- Co z tym zrobimy? - spytał Jude.

- Nic mi nie jest. Smaruję go kremem odkażającym.

- To nie jest nic. Powinniśmy jechać do szpitala.

- Nie zamierzam siedzieć trzy godziny na izbie przyjęć po to, by ktoś obejrzał palec, w który ukłułam się szpilką.

- Nie wiesz, co cię ukłuło. Nie zapominaj, co trzymałaś, kiedy to się stało.

- Nie zapomniałam. Po prostu nie wierzę, że jakiś lekarz mi pomoże.

- Uważasz, że samo się zagoi?

- Myślę, że będzie w porządku, jeśli zdołamy się pozbyć ducha. Jeżeli z nas zejdzie, oboje będziemy w porządku - odparła. - Cokolwiek jest nie tak z moją ręką, to część tego wszystkiego. Ale przecież to wiesz, prawda?

Pochylił głowę i z namysłem wytarł zmoczoną twarz.

- Anna, kiedy jej stan naprawdę się pogarszał, kłuła się szpilką w kciuk. Mówiła, że chce rozjaśnić sobie umysł. Sam nie wiem. Może to nic. Po prostu niepokoję się, że zraniłaś się tak jak ona kiedyś.

- Mnie to nie martwi. Prawdę mówiąc, dzięki temu czuję się trochę lepiej. - Gładziła zdrową ręką jego pierś, badając palcami krajobraz mięśni zaczynających tracić rzeźbę i obwisającej z wiekiem skóry, porośnięty gąszczem kręconych srebrnych włosów. - To mamy ze sobą wspólnego. No i ciebie. Nigdy jej nie spotkałam i prawie nic o niej nie wiem, ale w jakiś sposób czuję się z nią złączona. I wiesz, nie boję się tego.

- Cieszę się, że to cię nie martwi. Chciałbym móc powiedzieć o sobie to samo. A skoro już o mnie mowa, wolę o tym nie myśleć.

- No to nie myśl - napała na niego i wepchnęła mu język w usta, by go uciszyć.

24

Georgia zaczęła się krzątać w łazience, opatrując rękę i nakładając ćwieki i kolczyki. Jude tymczasem zabrał Bon na zasłużony spacer. Wiedział, że Georgia będzie zajęta dwadzieścia minut, przystanął zatem przy samochodzie i wyciągnął z bagażnika jej laptopa. Nie miała pojęcia, że go wziął. Spakował go odruchowo, bez zastanowienia, bo Georgia zabierała go wszędzie, gdzie tylko chodziła, i za jego pomocą, dzięki e-mailom i komunikatorom, pozostawała w kontakcie z gromadką rozrzuconych po całym kraju przyjaciół. Spędzała przy nim niezliczone godziny, łąząc po sieci, czytając fora, błogi, informacje koncertowe, oglądając wampiryczne porno (które byłoby nieprawdopodobnie śmieszne, gdyby nie było tak przygnębiające).

Lecz kiedy ruszyli w drogę, Jude zapomniał, że mają ze sobą laptopa, a Georgia ani razu o niego nie spytała, więc spędził noc w bagażniku.

Jude nie zabrał własnego komputera, bo go nie miał. Poczta i całą resztą obowiązków sieciowych zajmował się Danny. Jude zdawał sobie sprawę, że należy do stale malejącej części społeczeństwa, która nie poddała się jeszcze urokowi ery cyfrowej. Nie chciał ryzykować kolejnego uzależnienia. Cztery lata zmarnował na kokainę - w tym czasie wszystko wydawało mu się superprzyspieszone, jak na filmie, w którym doba mijała w zaledwie parę sekund, ruch drogowy ograniczał się do jaśniejących pasm światła, a ludzie wyglądali jak poruszające się chaotycznie manekiny. Te cztery lata wydawały mu się teraz czterema paskudnymi, szalonymi, bezsennymi dniami - dniami, które zaczynały się od no-

woroczego kaca i kończyły na zatłoczonych i zadymionych przyjęciach świątecznych, na których otaczali go obcy, próbujący go dotknąć i zanoszący się nieludzkim śmiechem. Nigdy więcej nie chciał od niczego się uzależnić.

Raz próbował to wytłumaczyć Danny'emu. Opowiadał mu o zachowaniach kompulsywnych, czasie płynącym zbyt szybko, Internecie i narkotykach. Lecz Danny w odpowiedzi uniósł tylko brew i spojrzął na niego z drwiącym zdumieniem. Nie uważał, że kokaina i komputery mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Według Jude'a były praktycznie identyczne. Widywał ludzi zgarbionych przed ekranami, raz po raz klikających w przycisk odświeżania, czekających na jakąś kluczową, choć pozbawioną znaczenia informację. Dla nich świat rzeczywisty mógł nie istnieć.

Teraz jednak podłączył laptopa i wszedł do sieci. Nie próbował nawet sprawdzić swojej poczty; nie miał pojęcia, jak wejść na konto, kiedy siedzi przed czymś komputerem. Wiedział, do czego służy Google, więc zaczął szukać Anny.

Jej nekrolog był krótki, o połowę krótszy niż nekrolog ojczyma. Jude'owi do przeczytania wystarczyło jedno spojrzenie i dokładnie na tyle zasługiwał. Jej zdjęcie sprawiło, że na moment poczuł bolesną pustkę w okolicy serca. Przypuszczał, że zrobiono je pod koniec życia. Patrzyła tępo w obiektyw. Kilka kosmyków jasnych włosów opadało na wychudzoną twarz o policzkach zapadniętych pod wystającymi kośćmi policzkowymi.

Kiedy ją znał, nosiła kolczyki w brwiach i po cztery w każdym uchu. Na zdjęciu ich nie miała, co sprawiło, że jej zbyt blada twarz wydawała się jeszcze bardziej bezbronna. Gdy przyjrzał się bliżej, dostrzegł ślady pozostawione przez kolczyki. Zrezygnowała z nich, ze srebrnych kółek i ankhów, błyszczących kamyków, ćwieków, haczyków na ryby i pierścionków, które wtykała w skórę, aby wyglądać nieprzyzwoicie, twardo, niebezpiecznie, pięknie i zwariowanie. Naprawdę była piękna i zwariowana, a także niebezpieczna. Niebezpieczna dla samej siebie.

W nekrologu nie wspomniano nic o liście samobójczym, w ogóle nie wspomniano o samobójstwie. Zmarła zaledwie trzy miesiące przed swym ojczymem.

Wrócił do wyszukiwania. Wpisał: Craddock McDermott, różdżkarstwo i na ekranie pojawiło się kilkanaście linków. Kliknął w pierwszy i ujrzał artykuł z Tampa Tribune sprzed dziewięciu lat. Najpierw obejrzał zdjęcia - były dwa - i zeszytniał na krześle. Minęło trochę czasu, nim zdołał oderwać wzrok od fotografii i skupić uwagę na tekście obok nich.

Artykuł Różdżkarz szuka zmarłych miał podtytuł: Dwa-dziesięć lat po Wietnamie kapitan Craddock McDermott jest gotów posłać na spoczynek duchy... i wywołać inne. Zaczynał się od historii Roya Hayesa, emerytowanego profesora biologii, który w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat nauczył się pilotować ultralekkie samoloty i pewnego jesiennego ranka 1991 roku wybrał się nad bagna Everglades, żeby policzyć czaple białe na prośbę organizacji ochrony środowiska. O siódmej trzynaście rano na prywatnym lądowisku na południe od Naples odebrano transmisję:

Chyba mam wylew. Kręci mi się w głowie, nie potrafię określić, jak nisko lecę. Potrzebuję pomocy.

To była ostatnia wiadomość, jaką nadał. Ekipa poszukiwawcza, w której uczestniczyło ponad trzydzieści łodzi i setka ludzi, nie zdołała znaleźć śladu Hayesa i jego samolotu. Teraz, trzy lata po tym zniknięciu i domniemanej śmierci, rodzina zdecydowała się na niezwykle krok i zatrudniła Craddocka McDermotta, emerytowanego kapitana armii USA, by zorganizował kolejne poszukiwania szczątków.

Nie spadł w 'Glades - mówi McDermott z pewnym siebie uśmiechem. - Ratownicy od początku szukali nie w tym miejscu. Wiatr zniósł samolot dalej na północ, nad Big Cypress. Określam, że maszyna leży kilometr na południe od autostrady 1-94.

McDermott uważa, że potrafi ograniczyć obszar poszukiwań do kilometra kwadratowego. Lecz do swych wniosków nie doszedł dzięki konsultacjom meteorologicznym z tamtego poranka ani badaniom ostatnich transmisji radiowych doktora Hayesa czy też analizy zeznań naocznych świadków. On tylko zawiesił srebrne wahadełko nad szczegółową mapą okolicy. Gdy wahadełko zaczęło kołysać się

szybko nad punktem w południowej części Big Cypress, McDermott oznajmił, że znalazł miejsce katastrofy.

A kiedy pod koniec tego tygodnia wraz z prywatnym zespołem wyruszy na bagna Big Cypress na poszukiwanie wraku samolotu, nie zabierze ze sobą sonaru, wykrywaczy metalu ani psów. Jego plan odnalezienia zaginionego profesora jest znacznie prostszy... i niezwykły. Zamierza zwrócić się bezpośrednio do Raya Hayesa - wezwać zmarłego doktora, by doprowadził poszukiwaczy na miejsce swego spoczynku.

Dalej autor skupił się na przeszłości, opisując najwcześniejsze zetknięcia Craddocka ze światem okultyzmu. W kilku zdaniach ujęto co bardziej gotyckie szczegóły życia rodzinnego. Artykuł wspominał przelotnie o jego ojcu, pastora zielonoświątkowców, szczytującym się władzą nad wężami, który zniknął, gdy Craddock miał kilka lat. Następny akapit poświęcono matce - parę razy przeprowadzała się na drugi koniec kraju, bo widywała zjawę, którą nazywała człowiek chodzący tyłem, ponoć przepowiadającą nieszczęście. Po jednej z wizyt człowieka chodzącego tyłem mały Craddock i jego matka opuścili apartamentowiec w Atlancie niecałe trzy tygodnie przed tym, nim pożar w wyniku spięcia elektryczności zniszczył cały budynek.

A potem nadszedł rok 1967. McDermott był oficerem stacjonującym w Wietnamie, gdzie powierzono mu nadzór nad przesłuchaniami schwytanej elity Narodowego Frontu Wyzwolenia. Przypadła mu sprawa niejakiego Nguyen Trunga, chiromanty, który ponoć nauczył się przepowiadania przyszłości od samego brata Ho Chi Minha i współpracował z wieloma wyższymi oficerami Vietcongu. Aby zyskać zaufanie jeńca, McDermott poprosił Trunga, by pomógł mu zrozumieć jego wierzenia, co zaowocowało serią niezwykłych rozmów na temat przepowiedni, ludzkiej duszy i zmarłych. Dyskusji, które, jak twierdził McDermott, otworzyły mu oczy na świat nadprzyrodzony.

W Wietnamie duchy są bardzo zajęte - odpowiada McDermott. - Nguyen Trung nauczył mnie je widzieć. Kiedy już wie się, jak patrzeć, można je dostrzec na każdym rogu ulicy. Oczy mają zamazane, stopa-

mi nie dotykają ziemi. Tamtejsi żywi często zatrudniają duchy. Duch, który wierzy, że ma do wykonania zadanie, nie opuści naszego świata, zostanie na nim, póki nie skończy.

Wtedy zacząłem wierzyć, że przegramy tę wojnę. Widziałem, co się działo na polu bitwy. Kiedy nasi chłopcy umierali, ich dusze ulatywały z ust jak para z czajnika i umykały w niebo. Kiedy umierali żołnierze Vietcongu, ich duchy pozostawały. Martwi walczyli dalej.

Po zakończeniu sesji McDermott stracił kontakt z Trungiem, który zniknął mniej więcej w czasie Ofensywy Tet. Co do profesora Hayesa, McDermott wierzył, że wkrótce świat pozna jego miejsce spoczynku.

Znajdziemy go - twierdzi McDermott. - W tej chwili jego duch nie ma zajęcia, ale ja mu je dam. Pojedziemy razem, Hayes i ja. Doprowadzi mnie prosto do swego ciała.

Na te słowa - Pojedziemy razem - Jude poczuł dreszcz na ramionach. Ale prawdziwa groza go ogarnęła, gdy spojrzał na zdjęcie.

Pierwsze przedstawiało Craddocka opartego o kratownicę błękitnoszarej furgonetki. Jego bosc pasierbice - Anna miała jakieś dwanaście lat, Jessica piętnaście - siedziały na masce po obu stronach ojczyma. Jude po raz pierwszy widział starszą siostrę Anny, ale nie pierwszy raz oglądał Annę w dzieciństwie - wyglądała tak samo jak w jego śnie, tyle że jej oczu nie zasłaniała chustka.

Na zdjęciu Jessica zarzuciła ręce na szyję uśmiechniętego ojczyma. Niemal dorównywała mu wzrostem, była wysoka, dobrze zbudowana, pokryta zdrową, miodowozłotą opalenizną. Lecz w jej uśmiechu - szerokim, odsłaniającym zęby, może zbyt szerokim, zbyt entuzjastycznym, jak u zdesperowanego sprzedawcy mówiącego kupuj, kupuj, kupuj - kryło się coś dziwnego. Miała też coś dziwnego w oczach, błyszczących i czarnych niczym świeży tusz, i niepokojąco żywych.

Anna siedziała nieco odsunięta. Była koścista, same łokcie i kolana, włosy sięgały jej niemal pasa - długi złocisty wodospad

światła. Nie uśmiechała się do obiektywu, w ogóle na niego nie reagowała. Twarz miała oszołomioną, pozbawioną wyrazu, patrzyła ślepo naprzód jak lunatyczka. Jude natychmiast rozpoznał ten wyraz twarzy. Pojawiał się u niej, gdy odpływała w monochromatyczny świat depresji. Wstrząsnęła nim świadomość, że już w dzieciństwie wędrowała po tym świecie.

Najgorsze było jednak drugie, mniejsze zdjęcie, tym razem przedstawiające kapitana Craddocka McDermotta w mundurze polowym i przepoconym płóciennym kapeluszu, z M16 na ramieniu. Pozował z innymi żołnierzami na twardej, wyschniętej glinie. Za plecami miał palmę i stojącą wodę. To mogło być ujęcie moczarów Everglades, gdyby nie żołnierze i ich wietnamski jeniec.

Jeniec stał parę kroków za Craddockiem, krępy mężczyzna w czarnej tunice, o ogolonej głowie, szerokiej przystojnej twarzy i spokojnych oczach mnicha. Jude natychmiast rozpoznał w nim wietnamskiego więźnia, którego widział we śnie. Potwierdzała to prawa dłoń pozbawiona palców. Na ziarnistym wyblakłym zdjęciu kikuty palców świeżo zaszyto czarną nicią.

W podpisie podano nie tylko jego nazwisko, Nguyen Trung, ale też miejsce, gdzie zrobiono zdjęcie: szpital polowy w Dong Tam, gdzie lekarze opatryli obrażenia odniesione przez Trunga w walce. Prawie się zgadzało. Trung obciął sobie palce tylko dlatego, iż wierzył, że zaraz go zaatakują - czyli w pewnym sensie można to nazwać walką. Jude przypuszczał, że zna jego ostateczny los. Najprawdopodobniej kiedy Trung nie miał już nic więcej do powiedzenia na temat duchów i ich pracy, Craddock McDermott posłał go na przejażdżkę nocną drogą.

Artykuł nie wspominał, czy McDermott znalazł Raya Hayesa, emerytowanego profesora i pilota ultralekkiego samolotu, lecz Jude przypuszczał, że tak, choć nie istniały po temu żadne racjonalne powody. By zaspokoić ciekawość, powtórzył wyszukiwanie. Szczątki Raya Hayesa zostały złożone w grobie pięć tygodni później. Craddock nie znalazł ich osobiście. Woda była zbyt głęboka. Oddział policyjnych nurków wydobyl je z dna w miejscu wskazanym przez Craddocka.

Georgia otworzyła drzwi łazienki i Jude pospiesznie zamknął wyszukiwarke.

- Co robisz? - spytała.

- Próbuję wykombinować, jak sprawdzić pocztę - skłamał. - Chciałabyś spróbować?

Pokręciła głową i zmarszczyła nos.

- Nie, zupełnie nie mam ochoty wchodzić do sieci. Zabawne, prawda? Zwykle nie można mnie oderwać siłą.

- A widzisz? Ucieczka przed śmiertelnym zagrożeniem nie jest taka zła. Zobacz, jak buduje charakter.

Raz jeszcze wyciągnął szufladę z komódki i wrzucił do niej zawartość kolejnej puszeki karmy.

- Zeszłej nocy przez ten smród chciało mi się rzygać - oznajmiła Georgia. - O dziwo dziś rano robię się od niego głodna.

- Chodź, trochę dalej jest Denny. Przespacerujemy się.

Otworzył drzwi i wyciągnął do niej rękę.

W wytartych czarnych dżinsach, ciężkich czarnych gładach i czarnej koszulce bez rękawów, wiszącej luźno na smukłej figurze, siedziała na skraju łóżka. Była tak blada, że wydawała się niemal przezroczysta; wyglądała, jakby mogło ją uszkodzić nawet najlżejsze dotknięcie.

Zerknęła w stronę psów jedzących z szuflady. Zmarszczyła brwi. Jude wiedział, co myśli - że są bezpieczni, póki mają psy przy sobie. Jednak ujęła jego rękę i pozwoliła się podnieść. Dzień był bardzo jasny, za drzwiami czekał na nich poranek.

Jude się nie bał. Wciąż czuł, że chroni go nowa piosenka, że pisząc ją, nakreślił wokół nich obojga magiczny krąg, którego Craddock McDermott nie zdoła przeniknąć. Przegnał ducha - przynajmniej na jakiś czas.

Kiedy jednak przechodzili przez parking, bezmyślnie trzymając się za ręce, przypadkiem obejrzał się w stronę ich pokoju. Angus i Bon z przednimi łapami opartymi o parapet wyglądały przez okno. Ich pyski miały identyczny, zalekniiony wyraz.

25

W Dennym było głośno i tłoczno, w powietrzu unosiła się woń smażonego tłuszczu, palonej kawy i papierosowego dymu. Bar po prawej stronie od wejścia przeznaczono dla palaczy. To oznaczało, że po pięciu minutach czekania, nim człowiek dotarł do stolika, mógł mieć stuprocentową pewność, że będzie śmierdział jak popielniczka.

Jude nie palił. Nigdy nie palił; był to jedyny destrukcyjny nawyk, którego zdołał uniknąć. Jego ojciec palił. Podczas wypraw do miasta Jude zawsze chętnie kupował mu długie kartony najtańszych papierosów. Robił to nawet nieproszony i obaj wiedzieli dlaczego. Patrzył gniewnie na Martina ponad kuchennym stołem, a ojciec zapalał i zaciągał się po raz pierwszy. Koniuszek papierosa połyskiwał ognistym pomarańczem.

- Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już miałbym raka - powiedział pewnego wieczoru Martin bez żadnych wstępów. Machnął ręką i nakreślił papierosem w powietrzu krąg, przyglądając się Jude'owi przez zasłonę dymu. - Mam mocny organizm. Jeśli chcesz mnie nimi zabić, to musisz jeszcze poczekać. Jeżeli naprawdę chcesz, żebym umarł, istnieją łatwiejsze sposoby.

Matka Jude'a milczała, całkowicie skupiona na łuskaniu grochu; jej twarz nie zdradzała niczego. Równie dobrze mogła być głuchoniema.

Jude - wówczas jeszcze Justin - także się nie odezwał, jedynie nadal patrzył na ojca. Nie sprawiła tego wściekłość, lecz szok, bo miał wrażenie, jakby ojciec czytał mu w myślach. Wpatrywał się w obwisłą, pomarszczoną skórę na szyi Martina Cowzyskiego

z cichą furią, pragnąc przywołać tam raka, guz rozkwitających czarno komórek, które pochłonęłyby głos ojca, odebrały mu oddech. Pragnął tego z całego serca. Niech zachoruje na raka, niech lekarze usuną krtań i uciszą go na wieki.

Facet przy sąsiednim stole miał usuniętą krtań i używał syntezatora głosu, głośnego trzeszczącego brzęczyka, który trzymał pod brodą.

- MACIE TU KLIMATYZACJĘ? - mówił do kelnerki (i wszystkich gości) - W TAKIM RAZIE JĄ WŁĄCZCIE. ŻARCIA NIE GOTUJECIE, TO NIE GOTUJCIE TEŻ SŁONO PŁACĄCYCH KLIENTÓW. JEZU CHRYSSTE, MAM OSIEMDZIESIĄT SIEDEM LAT. - Fakt ten uważał za tak niezmiernie ważny, że kiedy kelnerka odeszła, uznał za stosowne to powtórzyć do żony, fantastycznie otyłej kobiety, która nawet nie uniosła wzroku znad gazety. - MAM OSIEMDZIESIĄT SIEDEM LAT. CHRYSSTE, SMAŻĄ NAS TU JAK JAJECZNICĘ.

Wyglądał jak mężczyzna z obrazu Amerykański gotyk; miał nawet identyczne siwe kosmyki włosów zaczesane w poprzek łysiejącej czaszki.

- Ciekawe jak byśmy wyglądali jako para staruszków? - mruknęła Georgia.

- Cóż, ja wciąż byłbym kudłaty, tyle że siwy i pewnie włosy wyrastałyby mi kępkami w najgłębszych możliwych miejscach. Z uszu. Z nosa. Długie, sterzące włoki w brwiach. Wyglądałbym jak wyjątkowo popierdolony Święty Mikołaj.

Georgia zważyła biust w dłoniach.

- Ten tłuszczuk pewnie spłynąłby mi do tyłka. Lubię słodkie, więc zapewne powypadałyby mi zęby. Ale ma to i dobrą stronę: mogłabym wyjąć sztuczną szczękę i zrobić ci bezzębną, staruszkową laskę.

Jude wziął ją za podbródek. Przyjrzał się wysokim kościom policzkowym i mocno podkrążonym oczom. Oczom, które obserwowały go z cierpkim rozbawieniem, nie do końca przesłaniającym pragnienie aprobaty.

- Masz dobrą twarz - rzekł. - Dobre oczy. Nie masz się czego obawiać. U starszych pań wszystko zależy od oczu. Będziesz sta-

ruszką o żywych oczach, błyszczących, jakbyś zawsze myślała o czymś zabawnym. Jakbyś szukała kłopotów.

Cofnął rękę. Georgia wbiła wzrok w kubek z kawą. Uśmiechała się, onieśmielona niespodziewanym komplementem.

- Zupełnie jakbyś mówił o mojej babci Bammy. Spodoba ci się, zobaczysz. Zdażymy tam dojechać przed lunchem.

- Jasne.

- Moja babcia wygląda jak najpogodniejsza i najbardziej nieszkodliwa istota pod słońcem, ale uwielbia dręczyć ludzi. Mieszkałam u niej, kiedy chodziłam do ósmej klasy. Zapraszałam wtedy mojego chłopaka, Jimmy'ego Elliotta. Mówiłam, że gramy w kości, ale tak naprawdę podkradaliśmy wino. Bammy zwykle trzymała w lodówce pół butelki czerwonego wina pozostałego z obiadu. Dobrze wiedziała, co robimy, i któregoś dnia podmieniła alkohol na purpurowy tusz. Jimmy pozwolił mi wypić pierwszej. Rozkastałam się i wszystko oplułam. Kiedy Bammy wróciła do domu, wciąż miałam wokół ust szeroką purpurową obwódkę, purpurowe plamy na szczęce i brodzie, purpurowy język. Zeszło dopiero po tygodniu. Spodziewałam się, że Bammy zleje mi tyłek, ale ją to rozśmieszyło.

Zjawiała się kelnerka.

- Jak się czułeś w małżeństwie, Jude? - spytała Georgia, gdy już złożyli zamówienie i kelnerka odeszła.

- Spokojnie.

- Czemu się z nią rozwiódłeś?

- Nie ja. Ona się ze mną rozwiódła.

- Przyłapała cię w łóżku ze stanem Alaska czy coś takiego?

- Nie, nie zdradzałem jej... no, niezbyt często. A dla niej to nie było ważne.

- Poważnie?! Gdybyśmy byli małżeństwem, a ty poczęstowałbyś się świeżą dupą, rzuciłabym w ciebie tym, co akurat miałabym pod ręką, a potem czymś jeszcze. I nie zawiozłabym cię do szpitala, mógłbyś się wykrwawić na śmierć - urwała. Schyliła się nad kubkiem. - Dlaczego się rozwiedliście?

- Trudno to wytłumaczyć.

- Bo jestem za głupia?

- Nie. Raczej ja nie jestem dość mądry, by wyjaśnić to samemu sobie, nie mówiąc już o kimś innym. Przez długi czas bardzo się starałem być dobrym mężem. A potem przestałem. I ona po prostu to wyczuła. Może postarałem się, żeby zrozumiała. - Jude pomyślał o tym, jak zaczął przesiadywać do późna, czekając, aż Shannon się zmęczy i sama pójdzie do łóżka. Wślizgiwał się potem obok, gdy już zasnęła, żeby nie mogli się kochać. Albo jak czasami zaczynał grać na gitarze jakąś melodię, kiedy mówiła coś do niego - zagłuszał jej słowa. Przypomnił sobie, że zatrzymał film *snuff*, zamiast go wyrzucić; gorzej, zostawił kasetę w miejscu, w którym mogła ją znaleźć - w którym był niemal pewien, że ją znajdzie.

- Bez sensu. Tak bez niczego odechciało ci się wysilać? To do ciebie niepodobne. Nie należysz do ludzi, którzy bez powodu z czegoś rezygnują.

Istniał powód, lecz Jude nie potrafił go wyrazić, ująć w słowa tak, by miały jakikolwiek sens. Kupił swojej żonie farmę, kupił ją dla nich obojga. Kupił Shannon jednego mercedesa, potem drugiego, dużego sedana i kabriolet. Czasami spędzali weekendy w Cannes; latali tam prywatnym odrzutowcem, w którym podawano królewskie krewetki i homary w łodzie. A potem umarł Dizzy - śmierć miał ciężką i bolesną - Jerome się zabił, a Shannon wciąż przychodziła do studia Jude'a i mówiła: Martwię się o ciebie, polećmy na Hawaje albo Kupiłam ci skórzaną kurtkę, przymierz. On zaczynał brzdąkać na gitarze, nienawidząc jej radosnego głosu i zagłuszając go, nienawidząc myśli, że miałby znów wydać pieniądze, kupić kolejną kurtkę, wybrać się w kolejną podróż. Lecz przede wszystkim nienawidził pogodnego, mieszczańskiego zadowolenia na jej twarzy, pierścionków na palcach, chłodnej troski w oczach.

Pod sam koniec Dizzy oślepnął, leżał w gorączce, niemal co godzinę robił pod siebie i wbił sobie do głowy, że Jude jest jego ojcem. Płakał i mówił, że nie chce być gejem. Proszę, tato - mówił - przestań mnie nienawidzić, proszę, a Jude odpowiadała: Nie nienawidzę cię, nigdy cię nie nienawidziłem. Potem Dizzy odszedł, a Shannon dalej zamawiała ubrania dla Jude'a i zastanawiała się, gdzie powinni zjeść razem lunch.

- Czemu nie miałaś z nią dzieci? - spytała Georgia.
- Bałem się, że mam w sobie za dużo z ojca.
- Wątpię, żebyś był do niego podobny.
Zastanowił się, przetykając kęs jedzenia.
- Nie, obaj mamy niemal identyczne charaktery.
- Najbardziej przeraża mnie myśl, że mogłabym mieć dzieci, które w końcu dowiedziałyby się prawdy o mnie. Dzieci zawsze się dowiadują. Ja dowiedziałam się prawdy o moich rodzicach.
- Co strasznego mogłyby odkryć na twój temat?
- Że rzuciłam szkołę. Że kiedy miałam trzynaście lat, pozwoliłam, by starszy facet zrobił ze mnie prostytutkę. Jedyna praca, w której dobrze mi szło, polegała na ściąganiu ubrania w rytm Motley Crue na oczach pijaków. Próbowalam się zabić. Trzy razy mnie aresztowano. Ukradłam pieniądze babci, która przeze mnie płakała. Przez jakieś dwa lata nie myłam zębów. Coś pomięłam?

- I wiesz, czego dowie się twoje dziecko? Nieważne, co złego mnie spotka, mogę porozmawiać o tym z matką, bo przeszła przez to wszystko. Nieważne, jakie kurestwo się ze mną stanie, przeżyję, bo moja mama przeszła jeszcze gorsze rzeczy i przetrwała.

Georgia uniosła głowę. Znow się uśmiechnęła, w jej oczach płonęły radosne, psotne ogniki. Właśnie o takich oczach Jude mówił zaledwie parę minut wcześniej.

- Wiesz, Jude... - Sięgnęła po kubek palcami obandażowanej dłoni. Kelnerka stała za nią, pochylała się właśnie z imbrykiem, by dolać kawy, i nie patrzyła, co robi, zamiast tego wpatrując się w notesik. Jude widział, co się zaraz stanie, ale nie zdążył na czas wykrztusić ostrzeżenia. Georgia mówiła dalej: - Czasami taki porządny z ciebie gość, że niemal zapominam, jakim fiu...

Kelnerka zaczęła nalewać dokładnie w chwili, gdy Georgia uniosła kubek, i struga gorącej kawy zalała zabandażowaną dłoń. Georgia z głośnym krzykiem cofnęła rękę, przyciskając ją do piersi. Wykrzywiła się, w jej oczach odbił się szok, zalsniły pustym, mętным blaskiem.

A potem zerwała się z miejsca.

- Do kurwy nędzy, patrz, gdzie lejesz, durna suko! - wrzasnęła do kelnerki. W jej głosie znów zadźwięczał wiejski, południowy akcent.

- Georgia... - Jude także zaczął podnosić się z krzesła.

Gestem kazała mu usiąść. Odepchnęła kelnerkę ramieniem, minęła ją i poszła na drugi koniec sali do toalet. Jude odsunął talerz.

- Skoro już tu pani jest, poproszę o rachunek.

- Bardzo mi przykro - powiedziała kelnerka.

- Wypadki się zdarzają.

- Bardzo mi przykro - powtórzyła. - Ale to nie powód, by tak się do mnie zwracać.

- Oparzyła ją pani. Dziwię się, że nie usłyszała pani nic gorszego.

- Gdy tylko was zobaczyłam, zrozumiałam, kogo obsługuję. A jednak byłam dla was grzeczna jak dla normalnych gości.

- Ach tak? Zrozumiałaś, kogo obsługujesz? To znaczy?

- Parę mętów. Wyglądasz jak dealer narkotyków.

Roześmiał się.

- I wystarczy tylko na nią spojrzeć, by się zorientować, kim jest - ciągnęła kelnerka. - Wynajmujesz ją na godziny?

Przestał się śmiać.

- Przynies rachunek - warknął. - I zabieraj stąd tę tłustą dupę. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego, skrzywiona, jak by zamierzała splunąć, po czym odeszła bez słowa.

Ludzie przy sąsiednich stolikach przerwali rozmowy i gapili się na niego. Jude przebiegł po nich spojrzeniem, miażdżąc wzrokiem każdego, kto ośmielił się na niego zerknąć. Przestał, dopiero gdy znów pochylili się nad jedzeniem. Jeśli chodzi o kontakt wzrokowy, był nieustraszony; przez zbyt wiele lat stawał naprzeciw zbyt wielu tłumów, by teraz się spieszyć.

W końcu jedynymi osobami, które wciąż gapiły się na niego, pozostali starszek z Amerykańskiego gotyku i jego żona, która w wolnych chwilach mogła dorabiać w lunaparku jako najgrubsza kobieta świata. Ona przynajmniej starała się robić to dyskretnie, zerkając na Jude'a kątem oka i udając, że całkowicie

pochłaniają gazeta. Starzec patrzył bystro rozbawionymi oczami koloru herbaty. Jedną dłonią przyciskał do gardła nucący cicho syntezator głosu, zupełnie jakby zamierzał skomentować. Ale milczał.

Jude przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, próbując zawstydzić staruszkę, dać mu do zrozumienia, że powinien się zająć własnymi sprawami.

- Chciał pan coś powiedzieć? - spytał w końcu, kiedy to nie podziałało.

Staruszek uniósł brwi, po czym komicznie pociągając nosem, pochylił się nad talerzem. Syntezator głosu położył obok solniczki i pieprzniczki.

Jude już miał się odwrócić, gdy syntezator ożył, wibrując na stole.

- UMRZESZ - oznajmił głośnym, bezdźwięcznym, elektrycznym głosem.

Staruszek zeszytywniał, wyprostował się w fotelu inwalidzkim. Zdumiony przyglądał się swemu syntezatorowi, niepewny, czy naprawdę coś powiedział. Gruba staruszka odchyliła gazetę, by popatrzeć na urządzenie. Twarz miała okrągłą i gładką jak pyza.

- JA UMARŁEM - zabuczał syntezator głosu, podskakując na blacie stołu niczym tania nakręcana zabawka. Staruszek chwycił go między palce. Urządzenie zahuczało głośniejsze. - TY UMRZESZ. RAZEM PÓJDZIEMY DO PIACHU.

- Co się dzieje? - spytała grubaska. - Znów odbiera jakąś stację radiową?

Staruszek wyciągnął rękę, jakby podawał Jude'owi syntezator, który mruczał i podskakiwał lekko.

- ZABIJESZ JĄ ZABIJESZ SIEBIE ZABIJESZ PSY PSY WAS NIE URATUJĄ POJEDZIEMY RAZEM SŁUCHAJ TERAZ SŁUCHAJ MOJEGO GŁOSU POJEDZIEMY RAZEM O ZMIERZCHU. NIE JA NALEŻĘ DO CIEBIE. TY NALEŻYSZ DO MNIE. TERAZ NALEŻYSZ DO MNIE.

- Peter! - Grubaska próbowała szeptać, lecz głos uwiązł jej w gardle i kiedy z trudem chwyciła następny oddech, zabrzmiał niepewnie i piskliwie. - Zrób coś, żeby przestał gadać. Peter!

A stary podsuwał Jude'owi syntezator, jakby był to telefon i właśnie ktoś do niego dzwonił.

Wszyscy patrzyli na nich. W sali rozbrzmiewały zatroskane szepty. Kilku klientów wstało z krzeseł, nie chcąc niczego przeczytać.

Jude także wstał, myśląc: Georgia. Kiedy jego wzrok padł na duże okno wychodzące na parking, zamarł w połowie obrotu. Stała tam furgonetka nieboszczyka. Czekwała z włączonym silnikiem tuż przy drzwiach frontowych. Widział zapalone reflektory, dwie kule zimnego białego światła. W środku nikt nie siedział.

Dokoła stało paru gapiów, zebranych przy pobliskich stolikach. Musiał się przez nich przepchnąć, by dotrzeć do toalet. Znalazł drzwi z napisem Panie i otworzył je z łoskotem.

Georgia stała przy jednej z dwóch umywalek. Nie zareagowała na dźwięk walących o ścianę drzwi. Przeglądała się w lustro, lecz oczy miała ślepe, a twarz poważną, smutną jak dziecko zasypiające przed telewizorem.

Z całych sił rąbnęła zabandażowaną pięścią w lustro, wybijając w tafli dziurę, wokół której na wszystkie strony rozeszła się gęsta sieć pęknięć. Chwilę później srebrzyste odłamki posypały się z melodyjnym brzękiem do umywalki.

Jakiś metr dalej, przy rozłożonym przewijaku stała smukła jasnowłosa kobieta z niemowlakiem w ramionach. Przycisnęła dziecko do piersi i zaczęła krzyczeć:

- O mój Boże! O mój Boże!

Georgia chwyciła dwudziestocentymetrową srebrzystą klingę, połyskujący szklany półksiężyc. Uniosła ją do gardła i odchyliła podbródek, nadstawiając szyję. W tym momencie Jude chwycił ją za przegub, wykręcając rękę na bok i do tyłu. Krzyknęła żałośnie. Lustrzany sierp poleciał na białe kafelki i roztrzaskał się z uroczym brzękiem.

Jude odwrócił ją, ponownie wykręcając jej rękę. Sapnęła i zamknęła oczy, które wypełniły się łzami, pozwoliła jednak pchnąć się naprzód do drzwi. Nie był pewien, czemu zadaje jej ból, czy robi to w panice, czy z rozmysłem, dlatego że jest wściekły - na nią, bo odleciała, czy może na siebie, bo jej pozwolił.

Duch czekał przy drzwiach do łazienek. Jude nie zarejestrował jego obecności, dopóki go nie minął, a potem wstrząsnął nim dreszcz. Szedł dalej na rozdygotanych nogach. Craddock odprowadził ich wzrokiem, uchylając czarnego kapelusza.

Georgia słaśniała się na nogach; Jude chwycił ją pod ramię i podtrzymał, idąc przez salę. Grubaska i staruszek nachylali się ku sobie.

- ...NIE BYŁA ŻADNA RADIOSTACJA...
- Dziwacy. To jakiś numer.
- CICHOO! IDĄ TU.

Inni ludzie uskakiwali z drogi. Kelnerka, która zaledwie minutę temu oskarżyła Jude'a o to, że handluje narkotykami, a Georgię o prostytutkę, stała przy kontuarze i rozmawiała z kierownikiem, niewysokim mężczyzną z kieszenią koszuli pełną długopisów i smutnymi oczami baseta. Pokazała ich ręką.

Jude zwolnił przy swym stoliku, rzucając na niego dwie dwudziestodolarówki. Kiedy wychodzili, kierownik uniósł głowę i zmierzył ich tragicznym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem. Kelnerka wciąż mamrotała mu wściekle do ucha.

- Jude - powiedziała Georgia, gdy pokonali pierwszą parę drzwi. - To boli.

Rozluźnił chwyt i przekonał się, że jego palce pozostawiły białe woskowe ślady na jej i tak bladej skórze. Wreszcie znaleźli się na dworze.

- Jesteśmy bezpieczni? - spytała.
- Nie, ale wkrótce będziemy. Duch się boi psów.

Przeszli szybko obok pustej furgonetki Craddocka. Szyba od strony pasażera była opuszczona, w środku grało radio. Spiker mówił właśnie gładkim, pewnym siebie, niemal aroganckim głosem:

- ...dobrze jest przyjąć podstawowe amerykańskie wartości i dobrze widzieć, jak właściwi ludzie wygrywają wybory, nawet jeśli druga strona będzie twierdzić, że to nieuczciwe. Dobrze jest patrzeć, jak coraz więcej ludzi zajmujących się polityką powraca do uczciwych, zdroworoządkowych, chrześcijańskich zasad. Ale wiesz, co byłoby jeszcze lepsze? Zadusić tę sukę obok ciebie.

Udusić ją, wyjść na drogę przed ciężarówkę, położyć się, położyć i...

Minęli wóz i głos ucichł.

- Przegramy - powiedziała Georgia.

- Nieprawda. Chodź. Do hotelu mamy niecałe sto metrów.

- Jeśli teraz nas nie dopadnie, zrobi to później. Powiedział mi. Powiedział, że mogę sama się zabić i mieć to z głowy. I naprawdę zamierzałam to zrobić. Nie mogłam się powstrzymać.

- Wiem, to jego metoda.

Ruszyli wzdłuż drogi skrajem zwirowego pobocza. Długie żdźbła trawy smagały dzinsy Jude'a.

- Moja ręka jest jakaś dziwna - powiedziała Georgia.

Jude zatrzymał się, uniósł jej dłoń i obejrzał. Nie krwawiła mimo uderzenia o lustro i trzymania zakrzywionego szklanego ostrza - grube warstwy bandaża osłoniły skórę. Jednak nawet przez opatrunek wyczuwał niezdrowe gorąco. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie złamała kości.

- Nic dziwnego. Mocno rąbnęłaś w to lustro. Masz szczęście, że się nie pokaleczyłaś.

Popchnął ją naprzód.

- Pulsuje jak serce. Łup, łup, łup. - Splunęła raz, drugi.

Między nimi a motelem pozostał kamienny przejazd kolejowy, pod którym przechodziło się wąskim, ciemnym tunelem. Nie było tam chodnika ani żadnego pobocza. Z kamiennego sklepienia kapiała woda.

Przejazd był niczym czarna rama wokół obrazu przedstawiającego Days Inn. Jude widział motel. Widział już mustanga. Widział ich pokój.

Przechodząc tunelem, nie zwolnili kroku. Cuchnęło tam stęchłą wodą, chaszczami i moczem.

- Zaczekaj - powiedziała Georgia.

Odwróciła się, zgięła w pół i zwymiotowała.

Jedną ręką trzymał ją za lewe ramię, drugą odgarniał włosy z twarzy. I gdy tak stał obok niej w cuchnącej ciemności, czekając, aż skończy, ogarnął go nagły niepokój.

- Chodź! - Pociągnął ją za rękę.

- Zaczekaj...

- Chodź!

Rąbkiem koszulki wytarła usta. Wciąż się pochylała.

- Chyba...

Usłyszał furgonetkę, nim jeszcze ją zobaczył - odgłos silnika, gniewny warkot narastający do ryku. Po ścianie z szorstkich kamiennych bloków przemknęły wiązki światła. Jude zdążył jeszcze się obejrzeć i stwierdzić, że pędzi ku nim furgonetka. Wyszczerezony Craddock siedział za kierownicą, reflektory były jak dwa kręgi oślepiającego blasku, dziury wypalone w materii świata. Znad opon unosił się dym.

Jude chwycił mocno Georgię i rzucił się naprzód, ciągnąc ją za sobą poza wylot tunelu.

Błękitnoszary chevrolet wpadł na ścianę za nimi z ogłuszającym zgrzytem stali. Przez chwilę Jude słyszał tylko dźwięczenie w uszach. Oboje z Georgią upadli na mokry żwir, przeturlali się przez krzaki, byle dalej od drogi, i wylądowali w mokrych od rosy paprociach. Georgia krzyknęła, lewym łokciem trafiła go w oko. Jude wsadził rękę w zimną, obrzydliwie rozmięktą ziemię.

Uniósł się, dysząc głośno, i obejrzał za siebie.

To nie stary chevrolet Craddocka zderzył się ze ścianą, lecz oliwkowy jeep bez dachu, z zabezpieczającą ramą z tyłu. Za kierownicą siedział czarnoskóry mężczyzna o krótko ostrzyżonych szpakowatych włosach. Trzymał się za czoło. Na przedniej szybie rozchodziły się kręgi pęknięć. Cała maska od strony kierowcy została zgnieciona w poskręcane, dymiące kawałki stali.

- Co się stało? - spytała Georgia piskliwym głosem, ledwie słyszalnym poprzez ryk wypełniający mu uszy.

- Duch. Nie trafił.

- Jesteś pewien?

- Że to był duch?

- Że nie trafił.

Jude podniósł się chwiejnie, kolana się pod nim uginały. Złapał ją za rękę i pomógł wstać. Wypełniający uszy skowyt zaczął cichnąć. Z daleka dobiegało szaleńcze, histeryczne ujadanie psów.

26

W trakcie ładowania toreb na mustanga Jude uświadomił sobie, że czuje powolne, głębokie, bolesne pulsowanie w lewej dłoni, różniące się od tępego bólu, jakim promieniowała, odkąd przebił ją odłamkiem płyty. Okazało się, że w bandaż wsiąka świeża krew.

Georgia prowadziła, a on siedział w fotelu pasażera z apteczką na kolanach. Rozwinął mokry, lepki opatrunek i rzucił na podłogę. Plastry, którymi zalepił wcześniej ranę, odpadły i dziura w ręce otwarta się ponownie, połyskując obscenicznie. Rozdarł ją, uskakując przed furgonetką Craddocka.

- Co zamierzasz zrobić z tą ręką? - Georgia zerknęła na niego z troską, po czym znów skupiła wzrok na drodze.

- To samo co ty z twoją. Nic.

Zaczął niezgrabnie zalepiać ranę świeżymi plastrami. Czuł się, jakby gasił na dłoni papierosa. Wreszcie owinął rękę świeżym bandażem.

- Głowa też ci krwawi - poinformowała Georgia. - Wiedziałeś o tym?

- To tylko zadrapanie, nic poważnego.

- Co będzie następnym razem? Kiedy znowu trafimy gdzieś bez psów, które nas pilnują?

- Nie wiem.

- To było miejsce publiczne. W publicznych miejscach powinniśmy być bezpieczni. Wokół pełno ludzi, jasny dzień, a jednak zaatakował. Jak mamy walczyć z czymś takim?

- Nie wiem - powtórzył Jude. - Gdybym wiedział, co zrobić,

już bym to robił, Florydo. Ty i te twoje pytania. Opuść choć na minutę, dobrze?

Jechali dalej. Dopiero gdy usłyszał zdławiony płacz - starała się płakać cicho - uświadomił sobie, że nazwał ją Florydą. To przez te pytania, jedno za drugim. Przez nie i przez akcent, intonację córki Konfederacji, od paru dni coraz wyraźniejszą w jej głosie.

Stłumione łkanie Georgii w jakiś sposób było gorsze, niż gdyby otwarcie się rozpląkała. Wtedy by coś powiedział, a tak czuł się zmuszony pozwolić jej trwać w nieszczęściu i udawać, że niczego nie zauważa. Opadł głęboko na fotel i odwrócił twarz do okna.

Za szybą płonęło słońce i parę kilometrów na południe od Richmond Jude osunął się w pełen niesmaku, wywołany upałem stupor. Próbował sobie przypomnieć, co wie na temat ścigającego ich ducha, co powiedziała mu Anna o swym ojczymie, kiedy jeszcze byli razem. Lecz myślenie przychodziło mu z trudem, wymagało zbyt wielkiego wysiłku - wszystko go bołało, słońce świeciło mu w twarz, a Georgia szlochała cichutko, żałośnie za kierownicą. Poza tym był pewien, że Anna nie powiedziała dużo.

- Wolę zadawać pytania - oznajmiła kiedyś - niż na nie odpowiadać.

Niemal pół roku osaczała go pytaniami: Należałeś kiedyś do harcerstwa? Czy myjesz brodę szamponem? Co ci się podoba bardziej, mój tyłek czy cycki?

Ta garstka faktów, które poznał, powinna była wzbudzić ciekawość: rodzinne zainteresowanie hipnotyzmem, ojciec różdżkarz, który nauczył córki wróżyć z ręki i rozmawiać z duchami, dzieciństwo w cieniu halucynacji zrodzonych przez młodzieńczą schizofrenię. Lecz Anna - Floryda - nie chciała rozmawiać o tym, kim była, nim go spotkała, a Jude nie miał nic przeciw temu, by jej przeszłość pozostała przeszłością.

Domyślał się, że to, czego mu nie mówi, było złe, bardzo złe. Szczegóły nie miały znaczenia - tak przynajmniej sądził wówczas. W owym czasie uważał, że to jedna z jego mocnych stron, gotowość zaakceptowania jej taką, jaka jest, bez pytań, bez osą-

dzania. Była z nim bezpieczna, bezpieczna przed ścigającymi ją duchami.

Tyle że teraz wiedział, iż nie zdołał jej uchronić. Duchy zawsze w końcu doganiały swą ofiarę i nie da się zamknąć przed nimi drzwi, bo potrafią przez nie przejść. To, co uważał za swoją siłę - że zadowalała go tylko ta wiedza o niej, którą zechciała się podzielić - stanowiło objaw egoizmu, dziecinną gotowość do pozostania w niewiedzy, unikania denerwujących rozmów, niepokojących prawd. Lękał się jej sekretów - czy też, ściślej biorąc, towarzyszącego ich poznaniu zaangażowania emocjonalnego.

Tylko raz zaryzykowała coś w rodzaju wyznania. Było to pod koniec, na krótko przed tym, nim odesłał ją do domu.

Od miesięcy cierpiała na depresję. Najpierw popsuł się seks, potem w ogóle zniknął z ich życia. Jude znajdował ją w wannie, siedzącą w lodowatej wodzie i dygoczącą bezradnie, zbyt oszołomioną i nieszczęśliwą, by wstać. Teraz pomyślał, że wyglądało to,

głam, biegłam i myślałam, że odszedłeś, i biegłam, biegłam i szukałam...

Kierowca ciężarówki otworzył drzwi, postawił nogę na schodkach.

- Co ta suka wyprawia, do kurwy nędzy?

- Załatwię to - odparł Jude.

Kierowca ciężarówki otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale milczał, widząc, jak Jude wciąga dziewczynę do środka. Jej koszulka uniosła się, odsłaniając nagie pośladki.

Jude pchnął Annę na fotel pasażera, a ona natychmiast zerwała się i doskoczyła do niego, przyciskając mu do piersi rozpaloną mokłą twarz.

- Bałam się, tak bardzo się bałam i pobiegłam...

Odrzucił ją łokciem, dość mocno, by poleciała na drzwi. Umilkła wstrząśnięta.

- Dosyć. Jesteś porąbana. Mam dosyć, słyszysz? Nie tylko ty umiesz przepowiadać przyszłość. Chcesz, żebym przepowiedział ci twoją? Widzę cię, jak z bagażami czekasz na podzielony autobus.

Czuł ucisk w piersi - to mu przypomniało, że nie ma już trzydziestu trzech lat, lecz pięćdziesiąt trzy, niemało trzydzieści więcej niż ona. Anna patrzyła na niego szeroko otwartymi, bezrozumnymi oczami.

Wrzucił bieg i ruszył w stronę domu. Kiedy skręcił na podjazd, pochyliła się nad nim. Chciała rozpiąć mu rozporek, zrobić laskę, lecz na samą myśl o tym poczuł mdłości, potworne obrzydzenie. Znowu szturchnął ją łokciem, odepchnął.

Następnego dnia starał się jej unikać, lecz wieczorem, gdy wrócił ze spaceru z psami, zawołała go ze szczytu schodów. Poprosiła, by zrobił jej zupę - nic wielkiego, po prostu odgrzał puszkę. Zgodził się.

Kiedy przyniósł rosół z makaronem na tacy, przekonał się, że Anna znów jest sobą. Wykończona i zmizerniała, myślała jednak jasno. Próbowwała się uśmiechnąć. Nie chciał tego oglądać. To, co zamierzał, i tak było dostatecznie trudne.

Usiadła, postawiła tacę na kolanach. Tak naprawdę nie miała ochoty jeść, skorzystała tylko z pretekstu, żeby ściągnąć go do sy-

pialni. Widział, że zaciskała zęby przed każdym ostrożnym łykiem. Przez ostatnie trzy miesiące schudła sześć kilo.

Nie zjadła nawet połowy i odstawiła talerz. Uśmiechnęła się jak dziecko, któremu obiecano lody, jeśli zdoła wmusić w siebie szparagi. Podziękowała mu, powiedziała, że bardzo jej smakowało. Że czuje się lepiej.

- W poniedziałek muszę jechać do Nowego Jorku. Występuję u Howarda Sterna - oznajmił Jude.

W jej jasnych oczach zatlił się niepokój.

- Ja... chyba nie powinnam jechać.

- Nie zamierzałem tego od ciebie wymagać. W tej chwili wizyta w mieście mogłaby ci tylko zaszkodzić.

Spojrzała na niego z taką wdzięcznością, że musiał odwrócić wzrok.

- Ale nie mogę też cię tu samej zostawić - podjął. - Może powinnaś jakiś czas pomieszkać z rodziną. Na Florydzie. - Nie odpowiedziała, więc zapytał: - Do kogo mógłbym zadzwonić?

Anna osunęła się na poduszkę, podciągnęła kołdrę pod brodę. Bał się, że zacznie płakać, ale kiedy na nią spojrzał, wpatrywała się spokojnie w sufit.

- Jasne - odparła w końcu. - Dziwię się, że tak długo ze mną wytrzymałeś.

- To, co powiedziałem wczoraj...

- Nie pamiętam.

- I dobrze. Lepiej o tym zapomnieć. I tak nie mówiłem poważnie. - Choć w istocie powiedział dokładnie to, co myślał, to samo co mówił teraz, tyle że wcześniej ujął to w możliwie najbrutalniejszy sposób.

Zapadła cisza, która przedłużała się, aż w końcu stała się krępująca i Jude poczuł, że znów powinien coś powiedzieć. Jednak ona odezwała się pierwsza.

- Możesz zadzwonić do mojego taty. To znaczy ojczyma; mój prawdziwy tata nie żyje. Porozmawiaj z ojczymem. Jeśli chcesz, przyjedzie nawet tutaj, żeby mnie zabrać. Wystarczy go zawiadomić. Lubi powtarzać, że jestem jego małą cebulką, bo przeze mnie płacze. Czy to nie urocze?

- Nie będę go ciągał aż tutaj. Polecisz prywatnym samolotem.

- Nie samolotem. Samoloty są za szybkie. Nie można lecieć na Południe samolotem, trzeba jechać samochodem. Albo pociągiem. Trzeba patrzeć, jak piasek zamienia się w glinę, oglądać złomowiska pełne rdzewiejących samochodów, pokonać parę mostów. Mówią, że złe duchy nie mogą przekraczać bieżącej wody, ale to bzdura. Zauważyłeś, że rzeki na Północy nie przypominają tych na Południu? Rzeki na Południu są barwy czekolady, cuchną bagnami i mchem. Tutejsze są czarne i pachną słodko jak sosny. Jak Gwiazdka.

- Mógłbym cię zawieźć na Penn Station i wsadzić do pociągu. Czy to dla ciebie dość wolno?

- Jasne.

- Czyli mam zadzwonić do twojego ta... ojczyma?

- Raczej ja zadzwonię - odparła. W tym momencie uderzyła go myśl, jak rzadko rozmawiała z kimkolwiek z rodziny. Byli ze sobą ponad rok. Czy kiedykolwiek dzwoniła do ojczyma z życzeniami urodzinowymi lub z wieściami, co u niej słychać? Raz czy dwa Jude wszedł do biblioteki muzycznej i zastał Annę rozmawiającą przez telefon z siostrą. Mówiła cicho, z napięciem. W takich chwilach była niepodobna do siebie, wyglądała jak ktoś biorący udział w niepopularnych zajęciach sportowych, zawodach, których nie znosi, lecz czuje się zobowiązany zagrać. - Lepiej żebyś z nim nie rozmawiał.

- Dlaczego nie chcesz, żeby z nim porozmawiał? Boisz się, że się nie polubimy?

- Nie chodzi o to, że mogłby być dla ciebie nieuprzejmy czy coś takiego. Nie jest taki. Z nim bardzo łatwo się rozmawia. Przyjaźni się z każdym.

- No to w czym rzecz?

- Nie rozmawiałam z nim o tym, ale wiem dokładnie, co pomyśli o naszym związku. Nie spodoba mu się, biorąc pod uwagę twój wiek i muzykę, którą grasz. Nie znosi takiej muzyki.

- Więcej ludzi jej nie znosi niż lubi. W tym właśnie rzecz.

- W ogóle muzycy mogliby dla niego nie istnieć. Nigdy nie spotkałeś człowieka, który miałby w sobie mniej muzyki. Kiedy byliśmy małe, zabierał nas tam, gdzie go zatrudniano, by z różdżką szukał wody. Przez całą drogę zmuszał nas do

słuchania radia. Nie obchodziło go, co nadają, potrafił przez cztery godziny puszczać nam same prognozy pogody. - Powoli przesunęła między palcami długie pasmo złotych włosów. - Często też robił niesamowitą sztuczkę. Znajdował stację, w której ktoś coś mówił, najczęściej jedną z religijnych, gdzie zawsze trąbią o Jezusie. Słuchaliśmy i słuchaliśmy, aż w końcu zaczynałyśmy z Jessie błagać, żeby przełączył radio na cokolwiek innego. Milczał, a kiedy nie mogliśmy już tego znieść, zaczynał mówić do siebie i mówił dokładnie to co kaznodzieja w radiu, dokładnie w tym samym momencie, tyle że własnym głosem. Jezus odkupiciel cierpiał dla was i umarł. A wy co zrobicie dla Niego? Dźwigał własny krzyż, a oni pluli na Niego. Jakie brzemie wy poniesiecie?. Zupełnie jakby czytał ten sam scenariusz. Gadał tak i gadał, aż w końcu mama mówiła mu, żeby przestał, że jej się to nie podoba, a on śmiał się i wyłączał radio. Ale dalej mówił do siebie. Mamrotał pod nosem. Recytował słowa kaznodziei, nawet przy wyłączonym radiu. Zupełnie jakby słyszał je w głowie, odbierał transmisję w plombach. Wtedy strasznie się go bałam.

Jude nie odpowiedział. Nie sądził, by historia ta wymagała odpowiedzi. A poza tym nie był pewien, czy jest prawdziwa, czy też to kolejna z serii dręczących ją fantazji.

Anna westchnęła, znów przesunęła pasmo włosów w palcach.

- Jak mówiłam, ty byś mu się nie spodobał. A potrafi pozbywać się moich przyjaciół, którzy mu się nie podobają. Mnóstwo ojców jest nadopiekuńczych wobec córki i jeśli zjawia się ktoś, kogo nie akceptują, próbują go odstraszyć. Przepłoszyć. Oczywiście to nigdy nie działa, bo dziewczyna zawsze staje po stronie chłopaka, a chłopak nadal się z nią spotyka, ponieważ nie da się go wystraszyć albo nie chce pokazać, że można go spłoszyć. Mój ojczym jest jednak sprytniejszy. Traktuje ludzi przyjaźnie, nawet tych, których chętnie spaliłby żywcem. A kiedy pragnie pozbyć się kogoś, kogo nie chce przy mnie widzieć, robi to, mówiąc mu prawdę. Prawda zwykle wystarczy.

Dam ci przykład. Gdy miałam szesnaście lat, zaczęłam się spotykać z jednym chłopakiem. Wiedziałam, że starszukowi się nie spodoba. Po pierwsze, był Żydem. Po drugie, słuchaliśmy

razem rapu. Ojczym najbardziej na świecie nienawidzi rapu. Ktoregoś dnia powiedział mi, że mam przestać, a ja odparłam, że będę się umawiać, z kim zechcę. A on na to: Jasne, ale to nie znaczy, że chłopak dalej będzie się chciał widywać z tobą. Wcale mi się to nie spodobało, ale nie wyjaśnił nic więcej.

Sam wiesz, że czasami mam doła. Wtedy pojawiają się różne szalone myśli. Zaczęło się to, kiedy miałam jakieś dwanaście lat, mniej więcej wtedy, gdy weszłam w okres dojrzewania. Nie byłam u żadnego lekarza, ojczym sam mnie leczył hipnoterapią i były efekty, dopóki urządzaliśmy sesje raz czy dwa razy na tydzień. Nie poddawałam się zwariowanym myślom, nie uważałam, że wokół domu krąży czarna ciężarówka, nie widywałam nocą dziewczynek o rozżarzonych węglach zamiast oczu, obserwujących mnie z cienia pod drzewami.

Ale musiał wyjechać. Brał udział w organizowanej w Austin konferencji na temat środków wywołujących stany hipnagogiczne. Zazwyczaj kiedy wyjeżdżał w podróż, zabierał mnie ze sobą, a tym razem zostawił mnie z Jessie. Mama już wtedy nie żyła. Jessie miała osiemnaście lat i prowadziła dom. I kiedy wyjechał, zaczęłam mieć kłopoty ze spaniem. To zawsze pierwszy objaw bezsenności.

Po paru nocach zaczęłam widzieć dziewczynki o płonących oczach. W poniedziałek nie mogłam pójść do szkoły, bo czekały na mnie na dworze pod dębem. Tak się bałam, że nie mogłam wyjść. Powiedziałam Jessie. Powiedziałam, że musi wezwać tatę do domu, że znów zaczynam mieć złe myśli. Odparta, że ma dosyć mojego świra. Ojciec jest zajęty i nic mi się nie stanie, jeśli trochę poczekam. Próbowała mnie zmusić do pójścia do szkoły, ale odmówiłam. Zostałam w pokoju, oglądałam telewizję. Tyle że wkrótce te dziewczynki zaczęły mówić do mnie z telewizora. Martwe dziewczynki. Mówiły, że ja też nie żyję, jak one. Że powinnam leżeć w ziemi obok nich.

Zazwyczaj Jessie wracała ze szkoły o drugiej, najwyżej trzeciej, ale tego popołudnia nie wróciła. Robiło się coraz później i za każdym razem, gdy wyglądałam przez okno, widziałam te dziew-

czynki. Patrzyły na mnie, stały po drugiej stronie szyby. Zadzwo-
nił ojczym. Powiedziała mu, że mam kłopoty, i prosiłam, by
wrócił. Odparł, że zjawi się jak najszybciej, ale nie zdąży przed
nocą. Martwił się, że mogę sobie zrobić krzywdę, i postanowił za-
dzwonić do kogoś, żeby ze mną pobył. Kiedy się rozłączyliśmy,
zadzwoił do rodziców Philipa. Mieszkali niedaleko, przy tej sa-
mej ulicy.

- Philipa? To był twój chłopak? Ten Żyd?

- Tak. Phil zjawił się natychmiast. Nie poznałam go, schowa-
łam się przed nim pod łóżkiem, a kiedy próbował mnie dotknąć,
zaczęłam krzyczeć. Spytałam, czy pomaga martwym dziewczyn-
kom. Opowiedziałam mu o nich. Niedługo potem zjawiła się Jessie
i Philip uciekł ile sił w nogach. Tak bardzo go wystraszyłam, że
potem nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. A ojczym powiedział
tylko: Co za szkoda. Myślał, że Philip to mój przyjaciel, że Philip
lepiej niż ktokolwiek inny może się mną zająć, kiedy mi ciężko.

- I tym się martwisz? Twój stary powie mi, że jesteś wariatką,
a ja będę tak wstrząśnięta, że nie zechcę cię więcej widzieć? Mu-
szę ci coś uświadomić, Florydo. Wiadomość o tym, że od czasu
do czasu ci odbija, nie byłaby dla mnie specjalną nowością.

Parsknęła cichym gardłowym śmiechem.

- Nie powiedziałby tego. Nie wiem, co by powiedział, ale zna-
lazłby coś, przez co polubiłbyś mnie trochę mniej. Jeśli w ogóle
mógłbyś mnie lubić jeszcze mniej niż teraz.

- Nie zaczynaj.

- Namysliłam się. Lepiej zadzwoń do mojej siostry. To wredna
suka, zupełnie się nie dogadujemy. Nigdy mi nie wybaczyła, że
jestem ładniejsza i dostaję lepsze prezenty na Gwiazdkę. Po
śmierci mamy musiała zostać dzielną gospodynią, a ja nadal mo-
głam być dzieckiem. Jessie już w wieku dwunastu lat robiła pra-
nie, gotowała dla nas wszystkich i nikt nie doceniał, jak ciężko
pracuje i jak mało ma rozrywek. Ale chętnie zorganizuje mój po-
wrót. Z radością mnie przyjmie, bo będzie mogła znów mną
porządzić.

Kiedy jednak Jude zadzwonił do domu jej siostry, stary i tak odebrał.
Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Czym mogę służyć? Proszę mówić. Jeśli zdołam, pomogę.

Jude się przedstawił. Wyjaśnił, że Anna chce na jakiś czas przyjechać do domu, sugerując, że nie był to jego pomysł, lecz jej własny. Zastanawiał się, jak opisać jej stan, lecz Craddock wybawił go z kłopotu.

- Jak ona sypia? - spytał.

- Nie najlepiej - odparł Jude z ulgą, rozumiejąc, że to wszystko wyjaśnia.

Zaproponował, że wynajmie szofera, który odwiezie Annę z dworca w Jacksonville do domu Jessiki w Testament. Lecz Craddock odparł, że sam wyjedzie po nią na stację.

- Przejażdżka do Jacksonville dobrze mi zrobi. Będę miał pretekst, by na parę godzin wyrwać się z domu, otworzyć okno w wozie, pokrzywić się do krów.

- Świetnie to rozumiem. - Jude zapomniał, z kim rozmawia, poczuł sympatię do starego.

- Jestem wdzięczny, że zaopiekowałaś się moją dziewczynką. Kiedy była smarkulą, całe ściany obwiesiła twoimi plakatami. Zawsze chciała cię poznać. Ciebie i tego gościa z... jak oni się nazywali? Motley Crüe. Naprawdę ich uwielbiała. Jeździła za nimi pół roku, chodziła na wszystkie koncerty i poznała paru z nich. Nie z zespołu, z ekipy. To były jej szalone lata. Nie żeby teraz zbyt się ustatkowała. Uwielbiała wszystkie twoje albumy, cały ten wasz heavy metal. Zawsze wiedziałem, że znajdzie sobie gwiazdę rocka.

Jude poczuł w piersi chłód. Wiedział, co sugeruje Craddock - że pieprzyła się z technikami, by móc jeździć z Motley Crüe, że kręci ją dupczenie gwiazd i gdyby nie sypiała z nim, pewnie grzałaby łóżko Vince'a Neila albo Slasha - I wiedział też, dlaczego Craddock mu to mówi. Z tego samego powodu, dla którego pozwolił przyjacielowi Anny zobaczyć ją, gdy świrowała - aby wbić między nich klin.

Nie przewidział tylko jednego: że mimo świadomości, co robi Craddock, to i tak zadziała. Gdy tylko Craddock to powiedział, Jude zaczął wspominać chwilę, gdy poznali się z Anną za kulisami koncertu Trenta Reznora. Jak się tam znalazła? Kogo znała i co

musiała zrobić, żeby dostać przepustkę? Gdyby wtedy Trent wszedł do pokoju, czy usiadłaby u jego stóp i zaczęła zadawać te same uroczne, bezsensowne pytania?

- Zajmę się nią, panie Coyne. Proszę mi ją odesłać, będę czekał - oznajmił Craddock.

Jude sam zawiózł Annę na Penn Station. Cały ranek zachowywała się idealnie. Wiedział, że bardzo się stara być osobą, którą poznał, nie nieszczęśliwą dziewczyną, jaką była naprawdę - lecz za każdym razem, gdy na nią patrzył, znowu czuł w piersi chłód. Jej chochlikowaty uśmiech, gest odgarniania włosów, by odsłonić rzędy kolczyków w małych różowych uszach, najnowsza seria niemądrych pytań, wszystko wyglądało jak zimnokrwista manipulacja i sprawiało, że jeszcze bardziej pragnął się pozbyć tej dziewczyny.

Jeśli jednak wyczuła, że utrzymuje ją na dystans, nie zdradzała tego po sobie. Już na dworcu wspięła się na palce i objęła go mocno za szyję - bez żadnych seksualnych konotacji. Gdy go pocałowała, uczyniła to niczym siostra, w policzek.

- Dobrze się bawiliśmy, prawda? - spytała. Ona i jej pytania.

- Jasne - odparł. Mógł powiedzieć coś jeszcze: że wkrótce zadzwoni, że chce, by bardziej dbała o siebie, ale zabrakło mu pary. Nie mógł jej dobrze życzyć. Gdy nachodziła go ochota, by okazać Annie czułość i współczucie, znów miał w uszach głos jej ojczyma, ciepły, przyjacielski, przekonujący. Zawsze wiedziałem, że znajdziesz sobie gwiazdę rocka.

Anna uśmiechnęła się szeroko, jakby powiedział coś błyskotliwego, i ucisnęła mu rękę. Pozostał na peronie, póki nie wsiadła, nie czekał jednak na odjazd pociągu. Na dworcu panował tłok i hałas, wokół rozbrzmiewały dziesiątki głosów. Od smrodu rozgrzanego żelaza, starych szczyń i spoconych ciał robiło mu się niedobrze.

Lecz na zewnątrz, w deszczowym, jesiennym chłodzie Manhattanu wcale nie było lepiej. Przez całą drogę do hotelu Pierre towarzyszyło mu uczucie przytłoczenia, napierania ze wszystkich stron, nawet gdy dotarł już do cichego, pustego apartamentu. Ogarnął go bojowy nastrój, uznał, że musi coś ze sobą zrobić. Musi narobić paskudnego hałasu.

Cztery godziny później znalazł się w idealnym miejscu, w studiu radiowym Howarda Sterna. Grzmiał tam i przeklinał, poniżał otaczający Sterna dwór tępych włazidupków, gdy okazali się dość nierozsądni, by mu przerwać, i wygłaszał ogniste kazanie pełne perwersji i nienawiści, chaosu i szyderstwa. Stern był nim zachwycony. Jego ludzie chcieli wiedzieć, kiedy Jude znów będzie mógł u nich gościć.

W weekend wciąż siedział w Nowym Jorku i w tym samym nastroju zgodził się spotkać z kilkoma członkami ekipy Sterna w klubie striptizowym na Broadwayu. Byli to ci sami ludzie, których kilka dni wcześniej wykipił przed kilkoma milionami słuchaczy: Nie wzięli tego do siebie, na tym polegała ich praca. Oszaleli na jego punkcie, uważali, że jest super.

Wciąż miał parszywy humor. Zamówił piwo, ale go nie wypił, i usiadł na końcu wybiegu zrobionego z jednego długiego kawałka matowego szkła, podświetlonego od spodu łagodnymi błękitnymi lampami. Ludzie wśród cieni wokół wybiegu mieli twarze topielców. Bolała go głowa. Zamknął oczy. Pod powiekami widział barwny pokaz fajerwerków -preludium migreny.

Otworzył oczy i ujrzał dziewczynę z nożem w dłoni. Padła przed nim na kolana. Powoli wygięła się w tył, tak mocno, że tyłem głowy dotknęła szklanej podłogi. Postrzępione czarne włosy rozsypały się wokół. Wciąż klęczała.

Przesunęła wzdłuż ciała nożem - wielką, zębatą myśliwską klingą. Na szyi miała obrozę ze srebrnymi kółkami, sznurowany gorset unosił piersi, nogi osłaniały czarne pończochy.

Kiedy rękojeść znalazła się między jej nogami, z ostrzem celującym w sufit - parodia penisa - dziewczyna cisnęła nóż w powietrze i złapała go, gdy opadał. Jednocześnie wygięła plecy, unosząc piersi w górę, jakby składała je w ofierze. Błyskawicznie machnęła nożem.

Rozcięte czarne sznurówki odsłoniły ciemnoczerwoną szczelinę, zupełnie jakby rozpruła ciało od gardła aż po krocze. Przeturlała się po ziemi, zrzucając kostium. Pod spodem była naga, prócz srebrnych kolczyków w sutkach i stringów naciągniętych wysoko ponad kości biodrowe. Zgrabny, idealnie gładki tors pokrywała szkarłatna farba.

ACIDC grali If You Want Blood You Got It, a Jude'a najbardziej podniecił nie widok jej młodego atletycznego ciała ani rozkołysane piersi zakończone srebrnymi kółkami, ani nawet to, że gdy spojrzała wprost na niego, w jej oczach nie dostrzegł śladu lęku.

Jej wargi poruszały się lekko. Wątpił, czy ktokolwiek prócz niego to zauważył. Śpiewała do siebie, śpiewała do wtóru AC/DC. Znała wszystkie słowa i była to najseksowniejsza rzecz, jaką widział od miesięcy.

Uniósł w jej stronę butelkę i odkrył, że jest pusta. Nie pamiętał, by cokolwiek pil. Po paru minutach kelnerka przyniosła mu drugie piwo. Od niej się dowiedział, że tancerka z nożem nazywa się Morfina i jest jedną z ich najpopularniejszych dziewcząt. Zapłacił sto dolarów, by zdobyć jej numer telefonu i dowiedzieć się, że tańczy już niemal dwa lata, praktycznie od dnia, gdy wysiadła z autobusu jadącego z Georgii. Potrzebował kolejnej setki, by dowiedzieć się, że kiedy się nie rozbiera, reaguje na imię Marybeth.

27

Jude przejął kierownicę tuż przed tym, jak przekroczyli granicę stanu Georgia. Miał migrenę, czuł nieprzyjemny ucisk w oczodołach. Raziło go słońce Południa odbijające się od praktycznie wszystkich - błotników, szyb samochodów, znaków drogowych.

Zbliżali się do granicy Florydy. Narastało w nim napięcie. Do Testament jeszcze cztery godziny jazdy. Dziś wieczór dotrze do jej domu, domu Jessiki McDermott Price, siostry Anny, starszej pasierbicy Craddocka. I nie wiedział, co zrobi, gdy już się tam znajdzie.

Przyszło mu do głowy, że ich spotkanie może zakończyć się czymś śmiertelnym. Już wcześniej myślał, że mógłby ją zabić za to, co zrobiła, że sama o to prosi. Ale teraz, gdy znalazł się blisko, ta myśl stała się czymś więcej niż tylko objawem gniewu.

W dzieciństwie zabijał świnię. Podnosił prosięta za nogi i rozwał im głowy o betonową posadzkę ojcowskiej rzeźni, uciszając je w połowie kwiku. Czaszki pękały z obrzydliwym, głuchym odgłosem arbuza zrzucanego z dużej wysokości. Czasami strzelał też do dorosłych świń z pistoletu ogłuszającego i wyobrażał sobie, że zabija ojca.

Postanowił zrobić to, co będzie musiał, po prostu nie wiedział, co to będzie. A kiedy zastanawiał się nad tym, ogarniał go głęboki lęk. Bał się tego, na co go stać, niemal tak bardzo jak ścigającego go ducha. Sądził, że Georgia drzemie. Nie wiedział, że nie śpi, póki się nie odezwała.

- Następnym razem - powiedziała ochryplym głosem.

Jude zupełnie zapomniał o jej babci. Zapomniał, że obiecał ją odwiedzić.

Posłuszny instrukcjom zjechał na lewy pas i skręcił w dwupasmową drogę stanową, przecinającą biedne przedmieścia Crickets w stanie Georgia. Mijali autokomisy oznaczone długimi sznurami czerwono-biało-niebieskich plastikowych chorągiewek łożących na wietrze i pozwolili się ponieść rzece samochodów do centrum miasta. Okrążyli trawiasty rynek, minęli sąd, ratusz i zrujnowaną czarną budowlę, w której kiedyś mieściło się kino Eagle.

Droga do domu Bammy wiodła przez zielone tereny niewielkiego college'u baptystów. Młodzi mężczyźni w krawatach i sweaterach w serek dreptali obok dziewcząt w plisowanych spódnicach, o gładko zaczesanych, błyszczących fryzurach jak ze starych reklam szamponów. Niektórzy studenci gapili się na Jude'a i Georgię przejeżdżających w mustangu z owczarkami stojącymi na tylnym siedzeniu. Bon i Angus wyglądali przez okno, chuchając na tylne szyby. Dziewczyna idąca obok wysokiego chłopca w żółtej muszce na ich widok odskoczyła i przytuliła się do swego towarzysza. Jude nie pokazał im obraźliwego gestu. Jechał dalej dumny z tego, jak umie nad sobą zapanować. Jego samokontrola była mocna jak stal.

Za college'em znaleźli się na ulicy pełnej doskonale utrzymanych kamienic wiktoriańskich i kolonialnych. Wisiały przed nimi szyldy reklamujące usługi adwokatów i dentystów. Nieco dalej stały mniejsze domy i widać było, że mieszkają w nich ludzie.

- Skręć tutaj - poleciła Georgia przy cytrynowożółtym domu w nowoangielskim stylu, z pergolą oplecioną herbacianymi różami.

Kobieta, która otworzyła drzwi, nie była gruba, lecz przysadzista, zbudowana jak futbolista. Miała szeroką śniadą twarz, jedwabisty wąsik i bystre dziewczęce oczy, brązowe z zielonkawymi żyłkami. Jej kapcie kłapały na posadzce. Przez moment patrzyła na nich badawczo. Georgia odpowiedziała niepewnym uśmiechem. Potem spojrzenie jej babci (babci? Ile miała lat? Sześćdziesiąt? Pięćdziesiąt pięć? Jude'owi przyszła nagle do głowy nieprzyjemna myśl, że mogła być nawet młodsza od niego) wyostrzyło się jak w przestawionej soczewce. Z radosnym okrzykiem rozłożyła ramiona. Georgia w nie wpadła.

- M.B.! - krzyknęła Bammy. Potem odsunęła się nieco i spojrzała Georgii w twarz. - Co ci jest?

Przyłożyła jej dłoń do czoła. Chwyliła zabandażowaną dłoń i obejrzała z namysłem, po czym wypuściła - niemal odrzuciła - rękę wnuczki.

- Jesteś naćpana? Chryste, śmierdzisz jak pies.

- Nie, Bammy. Przysięgam na Boga, w tej chwili nic nie biorę. Śmierzę jak pies, bo przez dwa dni cały czas łążyły po mnie psy. Czemu zawsze myślisz o mnie jak najgorzej?

Proces, który rozpoczął się niemal półtora tysiąca kilometrów stąd, najwyraźniej dobiegł końca. Teraz w każdym słowie Georgii rozbrzmiewał wyraźny południowy akcent.

Ale czy naprawdę pojawił się dopiero, gdy wyruszyli w drogę? Czy wcześniej? Jude miał wrażenie, że słyszał go w jej głosie już w dniu, gdy ukłuła się nieistniejącą szpilką wpiętą w garnitur nieboszczyka, i ta słowna przemiana zdecydowanie go nie zachwyliła. Czemu zawsze myślisz o mnie jak najgorzej?. Podobnie mówiła Anna.

Bon wcisnęła się między Jude'a i Georgię i spojrzała z nadzieją na Bammy. Z jej pyska zwieszała się długa różowa wstęga języka, z której skapywała ślina. Angus tymczasem przemierzał tam i z powrotem zielony prostokąt trawnika, obwąchując głośno kwiaty rosnące wzdłuż ogrodzenia.

Bammy najpierw przyjrzała się martensom Jude'a, potem zmierzwionej czarnej brodzie, rejestrując kolejno zadrapania, brud, bandaż owinięty wokół dłoni.

- Ty jesteś tym gwiazdorem?

- Tak, proszę pani.

- Oboje wyglądacie, jakbyście uczestniczyli w bójce. Biliście się ze sobą?

- Nie, Bammy - odparła Georgia.

- Co to ma być? Romantyczny gest? Napiętnowaliście się w dowód uczuć? W moich czasach wymienialiśmy się szkolnymi sygnetami.

- Nie, Bammy, to przypadkowe skaleczenia. Jedziemy na Florydę i pomyślałam, że zajrzemy po drodze. Chciałam, żebyś poznała Jude'a.

- Trzeba było zadzwonić. Zrobiłabym obiad.
- Nie możemy zostać. Dziś wieczór musimy być na Florydzie.
- Dziś wieczór powinnaś być w łóżku. Albo może w szpitalu.
- Nic mi nie jest.

- Diabła tam, nigdy w życiu nie widziałam nikogo w tak kiepskim stanie. - Bammy odgarnęła kosmyk włosów przyklejony do wilgotnego policzka Georgii. - Cała jesteś spocona. Potrafię rozpoznać chorobę, kiedy ją widzę.

- Po prostu gotuję się żywcem. Osiem godzin spędziłam w samochodzie z parszywymi psami i kiepską klimatyzacją. Odsuniesz ten gruby tyłek i wpuścisz nas? Czy też mam wracać do samochodu i jechać dalej?

- Jeszcze nie zdecydowałam.

- Na co czekasz?

- Próbuję ocenić, jakie są szanse, że przyjechaliście tu, żeby mnie zarznąć, okraść i wydać pieniądze na oxycontin. W dzisiejszych czasach wszyscy to biorą. Dzieciaki z liceum prostytuują się, żeby go zdobyć. Dziś rano mówili o tym w dzienniku.

- Na szczęście dla ciebie nie chodzimy do liceum.

Bammy już miała coś odpowiedzieć, lecz spojrzała ponad łokciem Jude'a na coś na podwórku.

Jude obejrzał się przez ramię. Angus przykucnął napięty i skurczony, jakby jego tułów był akordeonem. Błyszczące czarne futro na grzbiecie zjeżyło się, spod ogona na trawę wylatywały kolejne bobki.

- Zaraz sprzątnę. Przepraszam za to - powiedział Jude.

- A ja nie przepraszam - stwierdziła Georgia. - Dobrze się przyjrzyj, Bammy. Jeśli za minutę nie pójde do łazienki, zrobię to samo.

Bammy opuściła mocno wytuszowane rzęsy i cofnęła się na bok.

- No to wchodźcie. Zresztą i tak nie chcę, by widzieli was sąsiedzi. Jeszcze pomyślą, że zakładam własny oddział Aniołów Piekieł.

28

W czasie oficjalnej prezentacji Jude dowiedział się, że Bammy nazywa się pani Fordham i od tej pory tak ją nazywał. Nie mógł jej mówić Bammy, ale nie potrafił o niej myśleć jak o pani Fordham. Dla niego była Bammy, nieważne jak ją zwał.

- Wypuśćmy psy za dom, niech pobiegają.

Georgia i Jude spojrzeli po sobie. Wszyscy tłoczyli się w kuchni. Bon siedziała pod stołem, Angus uniósł głowę, obwąchując blat, na którym stał talerz z czekoladowymi ciastkami osłoniętymi zieloną folią.

Kuchnia była stanowczo za ciasna dla psów, przedpokój także. Gdy Angus i Bon wbiegli do środka, potrącili stół zastawiony porcelaną i wpadli na ściany tak mocno, że wiszące na nich obrazki przekrzywiły się wyraźnie.

Jude zauważył, że Bammy marszczy brwi. Dostrzegła spojrzenia, które wymienili, i wiedziała, że coś znaczą.

Georgia odezwała się pierwsza.

- Oj, babciu, nie można tak. Zniszczą ci ogród.

Bon wyszła spod stołu, odpychając parę krzesel. Jedno upadło z głośnym łoskotem. Georgia złapała sukę za obrozę.

- Zabiorę ją. Mogę wziąć szybki prysznic? Muszę się umyć i może na chwilę położyć, a ona zostanie ze mną. Obiecuję, że nie będzie sprawiać kłopotów.

Angus oparł łapy na blacie, podkradając się do ciastek.

- Zabieraj stamtąd tyłek! - skarcił psa Jude.

Bammy miała w lodówce kurczaka na zimno i sałatkę z kapusty, a także domową lemoniadę w zaparowanym szklanym

dzbanku. Przygotowała Jude'owi przekąskę. Usiadł, Angus ułożył mu się u stóp.

Ze swego miejsca przy kuchennym stole Jude widział podwórze z tyłu domu. Z gałęzi wysokiego starego orzecha zwiślał omszały sznur; przymocowana niegdyś do niego opona już dawno zniknęła. Za ogrodzeniem ciągnęła się uliczka nierówno wybrukowana starymi cegłami.

Bammy naląła sobie lemoniady. Parapet za jej plecami był zastawiony pucharami kręglarskimi. Podwinięte rękawy ukazywały przedramiona równie włochate jak jego własne.

- Nigdy nie słyszałam romantycznej historii o tym, jak się poznaliście.

- Oboje byliśmy w Central Parku - odparł. - Zbieraliśmy stokrotki. Zaczęliśmy rozmawiać i postanowiliśmy urządzić sobie piknik.

- Jasne. Albo poznaliście się w jakimś zбочonym klubie dla fetyszystów.

- Jeśli się zastanowić, to mógł być zбочony klub dla fetyszystów.

- Wsuwasz, jakbyś nigdy w życiu nie widział jedzenia.

- Nie jedliśmy lunchu.

- Skąd ten pośpiech? Co się dzieje na Florydzie, że tak was tam gna? Przyjaciele urządzają orgię, której nie możecie przegapić?

- Sama pani robi tę sałatkę?

- Pewnie.

- Jest pyszna.

- Chcesz przepis?

W kuchni zapadła cisza, przerywało ją tylko skrobanie widelca o talerz i uderzenia psiego ogona o podłogę. Bammy przyglądała mu się uważnie.

- Marybeth nazywa panią Bammy? - spytał w końcu Jude, by zapełnić czymś ciszę. - Dlaczego?

- To zdrobnienie od mojego imienia - wyjaśniła Bammy. - Alabama. M.B. nazywa mnie tak, odkąd nie robi w pieluchy.

Jude zakrztusił się, zakasłał i uderzył pięścią w pierś. Zamrugał łzawiącymi oczami, piekły go uszy.

- Naprawdę? - rzekł, gdy już mógł mówić. - To może dziwne pytanie, ale czy była pani kiedyś na moim koncercie? Na przykład w siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy występowałem razem z AC/DC?

- Raczej nie. Nawet gdy byłem młoda, nie przepadałam za taką muzyką. Stado goryli skaczące po scenie, wykrzykujące przekleństwa i wrzeszczące na całe gardło. Mogłam cię widzieć, jeśli występowałeś przed Bay City Rollers. A czemu pytasz?

Jude otarł z czoła świeże krople potu. Zrobiło mu się niemal słabo z ulgi.

- Kiedyś znałem pewną Alabamę. Nieważne.

- Coście tacy poharatani? Aż żal na was patrzeć.

- Byliśmy w Wirginii i z motelu poszliśmy coś zjeść. W powrotnej drodze o mało nie przejechał nas samochód.

- Jesteś pewien tego o mało?

- Przechodziliśmy tunelem. Gość wjechał jeepem w kamienną ścianę. Nieźle rozwalił sobie twarz o przednią szybę.

- Przeżył?

- Chyba tak.

- Był pijany?

- Nie wiem, nie wydaje mi się.

- Co się stało, kiedy przyjechała policja?

- Nie czekaliśmy na nich.

- Nie czekaliście... - Wylała do zlewu resztę lemoniady i wytarła usta przedramieniem. Skrzywiła się, jakby ostatni łyk był zbyt kwaśny. - Nieźle się wam spieszy.

- Odrobinę.

- Synu, jak poważne macie kłopoty?

W tym momencie przeszkodziła im Georgia.

- Jude, chodź się położyć! - zawołała z góry. - No chodź, połączymy trochę w moim pokoju. Bammy, obudzisz nas za godzinę? Czekają nas dziś jeszcze długa jazda.

- Nie musicie jechać dzisiaj. Możecie zanocować.

- Lepiej nie - odparł Jude.

- Nie widzę w tym cienia sensu. Dochodzi piąta. Dokądkolwiek jedziecie, nie dotrzecie tam przed nocą.

- Nie szkodzi, jesteśmy nocnymi markami. - Włożył talerz do zlewu.

Bammy przyjrzała mu się uważnie.

- Nie odjedźcie bez obiadu.

- Nie, psze pani, nie przyszłoby mi to nawet do głowy. I dziękuję, psze pani.

Przytaknęła.

- Coś ugotuję, a wy się prześpijcie. Z jakiej części Południa pochodzisz?

- Z Luizjany, małego miasteczka Moore's Corner. Na pewno pani o nim nie słyszała. Nic tam nie ma.

- Znam je, moja siostra wyszła za gościa ze Slidell. Moore's Corner jest tuż obok. Mieszkają tam porządni ludzie.

- Moja rodzina jest inna - odparł Jude i poszedł na górę. Angus biegł tuż za nim.

Georgia czekała na podeście, w chłodnym półmroku. Włosy owinęła ręcznikiem. Miała na sobie spłowiała koszulkę Duke University i luźne niebieskie szorty. Ręce splotła pod piersiami, w lewej trzymała płaskie białe pudełko rozłożące się w rogach i sklezione brązową ze starości taśmą klejącą.

W cieniu jej oczy stanowiły dwa najjaśniejsze punkty, zielonkawe iskry nienaturalnego światła. Na wychudzonej bladej twarzy dostrzegł nowy zapach.

- Co to? - spytał, a ona odwróciła pudełko, by mógł odczytać napis na boku.

OUIJA - PARKER BROS. - MÓWIĄCA TABLICA.

29

Zaprowadziła go do swojej sypialni, gdzie zdjęła z głowy ręcznik i powiesiła na oparciu krzesła.

Z trudem pomieścili się we czwórce w niewielkim pokoju pod ukośnym dachem. Bon zdążyła już zwinąć się w kłębek na łóżku. Georgia zacmokała językiem i poklepała poduszkę. Angus wskoczył na łóżko obok siostry, usadowił się wygodnie.

Jude stał tuż za zamkniętymi drzwiami - teraz on trzymał tabliczkę ouija. Obrócił się powoli, oglądając pokój Georgii. Nie był przygotowany na coś tak grzecznego. Łóżko pokrywała ręcznie szyta kapa o wzorze amerykańskiej flagi. Do wiklinowego kosza w kącie ktoś wrzucił stado zakurzonych pluszowych jednorozców w pastelowych barwach.

Miała też orzechową toaletkę z lustrem, które odchylało się w przód i w tył. Do ramy lustra były przypięte zdjęcia. Wypływały, pozwijane ze starości, przedstawiały czarnowłosą nastolatkę o wielkich zębach i szczupłej chłopięcej sylwetce. Na jednym zdjęciu była w za dużym stroju Małej Ligi, spod czapki sterczały jej uszy. Na drugim stała między koleżankami, wszystkie spieczone od słońca, płaskie i skrępowane w swoich bikini gdzieś na plaży, na tle mola.

Ostatnie zdjęcie, z ceremonii zakończenia szkoły, przedstawiało Georgię w czarnej todze i birecie. Towarzyszyli jej rodzice: zasuszonego kobiecie w kwiecistej sukience prosto z wieszaka w Wal-Marcie i mężczyzna podobny do kartofla, z kiepską pożyczką, ubrany w tanią, kraciastą sportową marynarkę. Georgia pozowała między nimi z uśmiechem, lecz oczy miała nadaśane, prze-

biegłe i pełne pretensji. Jedną ręką demonstrowała świadectwo, a drugą uniosła w pozdrowieniu deathmetalowców, z palcami małym i wskazującym wystawionymi na kształt diabelskich rogów. Paznokcie pokrywał czarny lakier. Tak to wyglądało.

Georgia znalazła w biurku pudełko zapalek. Zapaliła ciemne świece. Na siedzeniu szortów Jude zobaczył napis: SZKOLNA DRUŻYNA. Nogawki odsłaniały twarde mięśnie, wyrobione po pięciu latach tańca.

- Jaka drużyna? - spytał Jude.

Obejrzała się na niego, marszcząc brwi, lecz widząc, na co patrzy, zerknęła sama i uśmiechnęła się szeroko.

- Gimnastyczna. Dlatego potem występowałam jako tancerka.

- W tej drużynie nauczyłaś się posługiwać nożem?

Podczas występów używała noża z chowanym ostrzem, jednak świetnie radziła też sobie z prawdziwym. Kiedyś rzuciła nożem w belkę z odległości siedmiu metrów. Wbił się w drewno z donośnym łoskotem, po którym nastąpił metaliczny brzęk, niski melodyjny pomruk wibrującej stali.

Spojrzała na niego nieśmiało.

- Nie, Bammy mnie nauczyła. Bammy potrafi świetnie rzucać. Kulami do kręgli. Piłką. Super podaje. Jeszcze w wieku pięć dziesięciu lat grała w drużynie softballa. Żaden pałkarz nie miał z nią szans. Jej tata nauczył ją rzucać nożem, a ona nauczyła mnie.

Po zapaleniu świec uchyliła oba okna, nie podnosząc gładkich białych rolet. Gdy do środka wpadł wietrzyk, rolety się zakołysały. Przez moment pokój zalało słoneczne światło, a potem zgasło, powracając falami przygaszonej jasności. Świece pachniały przyjemnie.

Georgia usiadła na podłodze. Jude ukląkł naprzeciw niej. Usłyszał chrupnięcie swych stawów.

Wyjął z pudełka planszę - czy tabliczkę ouija można nazwać planszą? Na tle barwy sepii wymalowano wszystkie litery alfabetu, słowa TAK i NIE, maniakalnie uśmiechnięte słońce i nadąsany księżyc. Postawił na planszy czarny plastikowy wskaźnik, kształtem przypominający karciany symbol pik.

- Nie byłam pewna, czy ją znajdę - powiedziała Georgia. - Od ośmiu lat jej nie używałam. Pamiętasz historię, którą ci opowiedziałam, o tym jak kiedyś widziałam ducha na podwórku Bammy?

- Jej bliźniaczkę.

- Cholernie mnie to wystraszyło, ale też zaciekawiło. Zabawne, jak działa ludzki umysł. Kiedy widziałam tę dziewczynkę, ducha, chciałam tylko, żeby sobie poszła. Lecz gdy zniknęła, wkrótce znów zapragnęłam ją zobaczyć. Zaczęłam tęsknić za kolejnym podobnym kontaktem, za tym, by znów zetknąć się z duchem.

- A teraz jeden z nich cię ściga. Kto mówi, że marzenia się nie spełniają?

Roześmiała się.

- W każdym razie wkrótce po tym, jak widziałam siostrę Bammy na podwórku, kupiłam tę tabliczkę w sklepie z tanimi drobiazgami. Bawiłyśmy się nią razem z koleżanką. Wypytywałyśmy duchy o chłopaków z naszej szkoły i mnóstwo razy w sekrecie poruszałam wskaźnikiem tak, żeby coś mówił. Moja kumpela, Sheryll Jane, wiedziała, że to robię, ale udawała, że naprawdę wierzy, iż rozmawiamy z duchem. Przesuwałam wskaźnik, tabliczka ouija mówiła, że jakiś chłopak ze szkoły trzyma w szafce parę jej majtek, a ona piszczała: Zawsze wiedziałam, że na mnie leci!. Bardzo ją lubiłam, razem się wygłupiałyśmy... - Georgia pomasaowała ręką kark i niemal od niechcienia dodała: - Ale któregoś razu ouija zaczęła działać naprawdę. Nie poruszałam wskaźnika ani nic takiego.

- Może Sheryll Jane to robiła?

- Nie, poruszył się sam i obie o tym wiedziałyśmy. Sheryll Jane nie udawała zdumienia. Kiedy duch nam powiedział, kim jest, oznajmiła, że to kiepski dowcip, a ja odparłam, że nie robię żadnych dowcipów. Kazała mi przestać. Ale nie zabrała ręki ze wskaźnika.

- Kim był ów duch?

- Jej kuzynem, Freddy. Powiesił się tamtego lata, miał piętnaście lat. Byli sobie bliscy.

- Czego chciał?

- Powiedział, że w stodole rodziców trzymał zdjęcia facetów w bieliźnie. Opisał dokładnie, gdzie je znajdziemy, ukryte pod podłogą. Mówił, że nie chce, by rodzice się dowiedzieli, że był gejem, bo to by ich jeszcze bardziej zmartwiło. Mówił, że się zabił, bo nie chciał już być gejem. Potem dodał, że dusze nie są chłopcami i dziewczynkami. To tylko dusze. Mówił, że nie ma żadnych gejów i że niepotrzebnie zasmucił swoją mamę. Pamiętam to dokładnie. Użył słowa zasmucił.

- Szukałyście tych zdjęć?

- Następnego popołudnia zakradłyśmy się do stodoły i znalazłyśmy oblużowaną deskę w podłodze, ale pod spodem niczego nie było. A potem ojciec Freddy'ego zaszedł nas od tyłu i okropnie skrzyczał. Powiedział, że nie powinnyśmy tam węszyć i myszkować, i przegonił nas. Według Sheryll to, że nie znalazłyśmy zdjęć, dowodziło, że cała historia była kłamstwem i od początku udawałam. Nie uwierzyłbyś, jak bardzo się wściekła. Ale ja myślę, że ojciec Freddy'ego znalazł zdjęcia przed nami i pozbył się ich, by nikt nie wiedział, że jego syn był pedałem. I tak na nas wrzeszczał, bo bał się, że coś wiemy, wiemy, czego szukamy. Potem z Sheryll udawałyśmy, że wszystko jest między nami jak dawniej, ale nie spędzałyśmy już razem tyle czasu i to mi odpowiadało. Wtedy sypiałam już z kumplem mojego taty, George'em Rugerem. Nie chciałam, by w pobliżu kręciła się banda przyjaciółek i wypytywała, skąd nagle mam tyle kasy.

Rolety uniosły się i opadły, w pokoju pojaśniało i znów się ściemniło. Angus ziewnął.

- No to co robimy? - spytał Jude.

- Nigdy nie bawiłeś się czymś takim?

Pokręcił głową.

- Każde z nas kładzie rękę na wskaźniku. - Sięgnęła naprzód prawą ręką, potem jednak zmieniła zdanie i chciała ją cofnąć.

Za późno - Jude szybko złapał ją za przegub. Skrzywiła się, jakby nawet tam ją bolało.

Przed prysznicem zdjęła stary opatrunek i jeszcze nie założyła nowego. Na widok jej gołej ręki Jude zadrżał. Wyglądała, jakby godzinami moczyła się w wodzie, skórę miała pomarszczoną, bia-

ła, rozpulchnioną. Kciuk wyglądał jeszcze gorzej. Przez moment w półmroku wydawał się niemal pozbawiony skóry, ciało płonęło ognistą czerwienią, a w miejscu linii papilarnych widniał krąg zakażenia, zapadnięta plama żółta od ropy, pośrodku czarna.

- Chryste! - mruknął Jude.

Georgia, zdumiewająco spokojna, patrzyła na niego wśród falujących cieni. Gwałtownie cofnęła dłoń.

- Chcesz stracić rękę? - spytał Jude. - Chcesz sprawdzić, czy nie umrzesz na zakażenie?

- Nie boję się śmierci tak bardzo jak jeszcze dwa dni temu. Czy to nie zabawne?

Jude nie wiedział, co odpowiedzieć. Ścisnęły mu się wnętrzności. To zakażenie ją zabije, jeśli niczego nie zrobią. Oboje o tym wiedzieli, ale ona się nie bała.

- Śmierć nie jest końcem - oznajmiła Georgia. - Teraz to wiem. Oboje wiemy.

- To nie powód, żeby postanowić umrzeć. Nie dbać o siebie.

- Wcale nie postanowiłam umrzeć. Ale pobyt w szpitalu niczego nie zmieni. Wiesz, że nie możemy tam zabrać psów.

- Jestem bogaty, wezwę lekarza.

- Już ci mówiłam, nie wierzę, że w tym wypadku lekarz mi pomoże. - Pochyliła się, postukała kostkami lewej dłoni w tabliczkę ouija. - To jest ważniejsze niż szpital. Wcześniej czy później Craddock wymyśli, jak się pozbyć psów. Znajdzie jakiś sposób. Nie przeszkadza mi myśl o śmierci, byle tylko nie czekał na mnie po drugiej stronie.

- Jesteś chora, to gorączka. Niepotrzebne ci to wudu, potrzebujesz antybiotyków.

- Potrzebuję twojej pomocy. Zamknij się i połóż rękę na wskaźniku.

30

Georgia uprzedziła, że sama będzie mówić. Położyła palce lewej dłoni obok jego palców na wskaźniku (teraz Jude przypomniawsobie, że nazywano go planszatką). Przymknęła oczy, nie jakby miała zaraz zapaść w mistyczny trans, lecz raczej skoczyć z wysokiej trampoliny i próbowała uspokoić rozkołatanę nerwy.

- No dobra - powiedziała. - Nazywam się Marybeth Stacy Kimball. Przez kilka złych lat nazywałam się Morfiną, a facet, którego kocham, nazywa mnie Georgią, choć doprowadza mnie tym do szału, lecz naprawdę jestem Marybeth, to moje prawdziwe imię. - Uniosła lekko powieki i zerknęła na Jude'a spod rzęs. - Przedstaw się.

Już miał się odezwać, kiedy uniosła dłoń.

- Prawdziwym imieniem. Prawdziwe imiona są bardzo ważne. Mają w sobie moc, by przywołać umarłych z powrotem pośród żywych.

Czuł się głupio - to, co robili, nie mogło zadziałać, stanowiło jedynie stratę czasu, a oni zachowywali się jak dzieci. Lecz pod czas swej długiej kariery miał mnóstwo okazji, by zrobić z siebie durnia. Kiedyś kręcąc teledysk - wraz z Dizzym, Jerome'em i Kennym - biegli z udawaną zgrozą przez pole koniczyny, ścigani przez karła przebranego w brudny kostium skrzata i wymachującego piłą łańcuchową. Z czasem Jude wyrobił w sobie odporność na obciach. Kiedy zatem się zawahał, to dlatego że naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

- Nazywam się... Justin - rzekł w końcu. - Justin Cowzynsky. Choć nie używałem tego nazwiska, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat.

Georgia zamknęła oczy, wycofała się w głąb siebie. Między jej wąskimi brwiami pojawił się dołeczek, lekka zmarszczka znamionująca skupienie. Powoli, cicho zaczęła mówić.

- Proszę. Chcemy rozmawiać z Anną McDermott. Justin i Marybeth potrzebują twojej pomocy. Czy jest tam Anna? Anno, czy zechcesz dziś z nami pomówić?

Czekali. Cienie się przesuwwały, na ulicy krzyczały dzieci.

- Czy jest tam ktokolwiek, kto chciałby pomówić z Justinem i Marybeth? Czy Anna McDermott mogłaby coś do nas powiedzieć? Proszę. Mamy kłopoty. Anno, proszę, wysłuchaj nas. Proszę, pomóż. - A potem Georgia szeptem dodała, zwracając się do wskaźnika. - No dalej, zrób coś!

Bon pierdnęła przez sen przeciągle, piskliwie. Brzmiało to jak stopa ślizgająca się po mokrej gumie.

- Ona mnie nie знаła - stwierdziła Georgia. - Ty ją poproś.

- Anna McDermott? Czy zastaliśmy Annę McDermott? Zechcesz zgłosić się do centrum informacyjnego ouija? - spytał tonem spikera.

Georgia uśmiechnęła się bez cienia rozbawienia.

- No tak. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, nim zaczną się wygłupy.

- Przepraszam.

- Zaproś ją. Ale szczerze.

- To nie działa.

- Nie próbowałeś.

- Owszem, próbowałem.

- Nieprawda.

- Po prostu nie działa.

Spodziewał się wrogości bądź zniecierpliwienia. Ale nie, uśmiechnęła się szerzej. Przyjrzała mu się ze spokojną słodyczą, budzącą w nim nieufność.

- Czekala na twój telefon aż do dnia, kiedy umarła. Jakby istniał choćby cień szansy. No co, odczekałeś choćby cały tydzień, nim znów wyruszyłeś w międzystanową trasę poszukiwania najłatwiejszych dup Ameryki?

Zarumienił się. Niecały tydzień.

- Radziłbym ci się tak nie nakręcać - odparł. - Biorąc pod uwagę, że to ty jesteś tą łatwą dupą.

- Wiem, i to mnie brzydzi. Połóż rękę z powrotem! Tu, na pierdolonym wskaźniku! Jeszcze nie skończyliśmy.

Jude posłuchał.

- Oboje budzimy we mnie obrzydzenie - mówiła dalej. - Ty za to, kim jesteś, a ja za to, że pozwalam ci dalej takim być. A te raz ją wezwij. Do mnie nie przyjdzie, ale do ciebie może. Aż do końca czekała. Gdybyś tylko zadzwonił, przybiegłaby do ciebie. Może wciążyć to zrobi.

Jude spojrział gniewnie na tabliczkę, na staroświeckie litery, słońce, księżyc.

- Anno, jesteś tu gdzieś? Czy Anna McDermott zechce przyjść i porozmawiać z nami? - spytał.

Wskaźnik był martwym, nieruchomym kawałkiem plastiku. Jude od wielu dni nie czuł się tak mocno osadzony w rzeczywistym, zwyczajnym świecie. To nie zadziała. Trudno było utrzymać rękę na wskaźniku. Ogarniało go zniecierpliwienie, chciał już wstać, skończyć z tymi głupstwami.

- Jude - rzuciła Georgia i poprawiła się szybko: - Justin. Nie poddawaj się. Spróbuj jeszcze raz.

Jude. Justin.

Patrzył na swoje palce na wskaźniku, na tabliczkę pod spodem i próbował ustalić, co jest nie tak. Wreszcie zrozumiał. Georgia mówiła, że prawdziwe imiona mają moc przywołania umarłych do świata żywych. A on pomyślał wtedy, że Justin to nie jego prawdziwe imię - kiedy miał dziewiętnaście lat, zostawił Justina Cowzyskiego w Luizjanie, a człowiek, który czterdzieści godzin później wysiadł z autobusu w Nowym Jorku, był kimś zupełnie innym, zdolnym do czynów przerastających Justina Cowzyskiego - że błędnie wzywali Annę McDermott. Nigdy jej tak nie nazywał. Kiedy byli ze sobą, nie była Anną McDermott.

- Florydo. - Ku swemu własnemu zdumieniu odkrył, że jego głos brzmi spokojnie, pewnie. - Chodź, porozmawiaj ze mną, Florydo. Tu Jude, skarbie. Przepraszam, że się do ciebie nie od-

zywałem. Odzywam się teraz. Jesteś tam? Słuchasz? Wciąż na mnie czekasz?

Wskaźnik podskoczył im pod palcami, jakby coś uderzyło o tabliczkę od spodu. Georgia podskoczyła wraz z nią i krzyknęła słabo; chorą rękę uniosła do gardła. Wietrzyk zmienił kierunek i zasysał rolety, tłukąc nimi o okna. W pokoju zrobiło się ciemniej. Angus uniósł głowę, jego oczy rozbłyły w słabym świetle świec nienaturalną jaskrawą zielenią.

Zdrowa dłoń Georgii pozostała na wskaźniku, który zatrzymał się ze stuknięciem, natychmiast znów ożył i zaczął się poruszać. Zupełnie jakby na wskaźniku spoczywała niewidoczna trzecia ręka przesuwająca go, obracająca bez ostrzeżenia. Wskaźnik przeskakiwał po tabliczce, dotykał litery, pozostawał przy niej przez moment, po czym obracał im się pod palcami, zmuszając Jude'a do przekręcenia ręki w przegubie.

- C - przeczytała Georgia. Wyraźnie brakowało jej tchu. - O.
- Co - powtórzył Jude.

Wskaźnik pokazywał dalej i Georgia podawała kolejne litery: C, I, E. Jude słuchał, koncentrując się na układanych słowach.

- Cię. Zatrzymało.

Wskaźnik obrócił się częściowo, po czym zamarł. Jego plastikowe rolki zaskrzypiały lekko.

- Co cię zatrzymało - powtórzył Jude.
- A jeśli to nie ona? Jeżeli to on? Skąd mamy wiedzieć, z kim rozmawiamy?

Wskaźnik podskoczył, nim jeszcze skończyła mówić, zupełnie jakby trzymali palce na nagle zaczynającej się obracać płycie.

Georgia: -C.Z. EM... Jude:

- Czemu. Niebo. Jest. Niebieskie. - Wskaźnik znieruchomiał.
- To ona. Zawsze powtarzała, że woli zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. To był taki nasz prywatny dowcip.

To była ona. W myślach przeskakiwały mu obrazy, seria wyrażnych, nieruchomych ujęć. Leżała na tylnym siedzeniu mustanga, naga na białej skórze, w wysokich kowbojskich butach i ka-

peluszu z piórkiem. Patrzyła na niego spod ronda z psotną miną. Ciągnęła go za brodę za kulisami Trenta Reznora, a on przygryzał policzek, by nie krzyknąć. Unosiła się martwa w wannie, choć ten ostatni obraz widział tylko w myślach. Woda była czarna jak atrament, a jej ojciec w czarnym pogrzebowym garniturze klęczał obok, jakby się modlił.

- Dalej, Jude - rzuciła Georgia. - Porozmawiaj z nią.

Głos miała napięty, zniżony do niemal szeptu. Jude zerknął na nią. Jej oczy migotały głęboko w ciemnych oczodołach. Płótna w nich gorączka.

- Nic ci nie jest?

Pokręciła głową.

- Daj mi spokój. - Zadrzała gwałtownie, lecz nie oderwała dłoni od wskaźnika. - Porozmawiaj z nią.

Znowu spojrział na tabliczkę. Czarny księżyc nadrukowany w jednym rogu śmiał się. Czy jeszcze przed chwilą nie krzywił się nadąsany? Czarny pies na dole planszy wył do niego. Jude'owi wydawało się, że psa tam nie było, kiedy rozłożyli tabliczkę.

- Nie wiem, jak ci pomóc - rzekł. - Przepraszam, mała, żałuję, że nie pokochałaś kogoś innego. Kogokolwiek, byle nie mnie. Żałuję, że nie pokochałaś porządnego faceta, kogoś, kto by cię nie odprawił, kiedy zrobiło się ciężko.

- C. Z. Y. J. E... - czytała Georgia tym samym wymuszonym, zdyszczonym głosem. Słyszał w nim wysiłek, którego wymagało powstrzymanie dreszczy.

- Czy. Jesteś. Zły.

Wskaźnik zamarł.

Jude poczuł, jak wzbierają w nim emocje. Wiele emocji. Nie był pewien, czy zdoła opisać je słowami. Ale okazało się to łatwe.

- Tak - powiedział.

Wskaźnik przeskoczył na słowo **NIE**.

- Nie powinnaś była tego zrobić.

- c. O. Z...

- Co. Zrobić - przeczytał Jude. - Jak to co? Przecież wiesz. Zabiłaś się.

Wskaźnik powrócił na **NIE**.

- Co to znaczy nie?

Georgia zaczęła recytować litery. C. O. J...

- Co. Jeśli. Nie. Mogę. Powiedzieć. - Wskaźnik znów zamarł. Jude przyglądał mu się chwilę, po czym zrozumiał. - Nie może odpowiadać na pytania. Może je tylko zadawać.

Lecz Georgia już dyktowała.

- C.Z.Y.O.N...

Nagle wstrząsnął nią potężny dreszcz, tak silny, że zaszczekała zębami. Jej oddech parował, zupełnie jakby stała w chłodni. Jude nie wyczuwał żadnej zmiany temperatury w pokoju.

Nagle zauważył, że Georgia nie patrzy na swoją dłoń leżącą na wskaźniku ani na niego. Błyszczącymi oczami spoglądała gdzieś w dal. Nadal recytowała na głos litery, gdy wskaźnik ich dotykał, lecz nie patrzyła już na tablicę, nie widziała, co robi.

- Czy - odczytywał Jude, podczas gdy Georgia literowała monotonnym tonem. - On. Cię. Ściga. - Georgia przestała mówić i zorientował się, że zadano mu pytanie.

- Tak. Owszem. Obwinia mnie za to, że się zabiłaś, i chce mi odplacić pięknym za nadobne.

NIE. Planszетка długa, pełną napięcia chwilę wskazywała to słowo, po czym znów zaczęła się poruszać.

- C.Z. E. M. U.J...

- Czemu. Jesteś. Taki. Głupi.

Jeden z psów na łóżku zaskomlił.

I wtedy Jude zrozumiał. Przez moment zakręciło mu się w głowie, ogarnęła go dezorientacja podobna do tej, gdy za szybko wstaje się z miejsca. Odrobinę przypominało to moment, kiedy osłabiony lód pęka pod stopami, pierwszą przerażającą sekundę przed upadkiem. Zszokowało go, że potrzebował tak dużo czasu, by pojąć prawdę.

- Skurwiel - rzekł głosem zdławionym od gniewu. - A to skurwiel.

Zauważył, że Bon się obudziła i patrzy z lękiem na tabliczkę ouija. Angus też podniósł łeb, ogonem tłukł o materac.

- Co możemy zrobić? - spytał Jude. - On nas ściga, a my nie wiemy, jak się go pozbyć. Możesz nam pomóc?

Wskaźnik przeskoczył na słowo **TAK**.

- Złote drzwi - wyszeptwała Georgia.

Jude spojrział na nią i aż się wzdrygnął. Wywróciła oczy tak mocno, że widział tylko białka, całe jej ciało dygotało mocno, miarowo. Twarz, już i tak blada jak wosk, jeszcze zbielała i wydawała się nieprzyjemnie przejrzysta. Jej oddech parował. Jude słyszał, jak wskaźnik zaczyna szurać i przesuwać się w szaleńczym tempie po tablicy. Zerknął na niego. Georgia już nie literowała, milczała. Sam zaczął układać słowa.

- Kto. Będzie. Drzwiami. Kto będzie drzwiami?

- Ja będę drzwiami - powiedziała Georgia.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Jude.

Wskaźnik znów zaczął się poruszać. Jude milczał, patrzył tylko, jak odnajduje litery, na moment zamiera i przeskakuje dalej.

Czy. Mnie. Przeprowadzisz.

- Tak - odparła Georgia. - Jeśli zdołam, zrobię drzwi i cię przeprowadzę. A wtedy ty go zatrzymasz.

Możesz. Przysiąc.

- Przysięgam. - Głos miała słaby, zduszony, załkniiony. - Przy sięgam, przysięgam, o Boże, przysięgam. Ale nie wiem, co począć. Jestem gotowa na wszystko, tylko powiedz mi co.

Czy. Masz. Lustro. Marybeth.

- Czemu? - Georgia zamrugła i rozejrzała się zażawionymi oczami. Odwróciła głowę w stronę toaletki. - Jest tam.

Nagle oderwała rękę od wskaźnika i przycisnęła dłonie do ust, żeby zdławić krzyk. W tej samej sekundzie Angus zerwał się na równe nogi i zaczął ujadać. Patrzył tam gdzie ona. Jude także zaczął się obracać, wypuszczając wskaźnik, który wirował nadal sam z siebie, coraz szybciej i szybciej.

Lustro na toalecie przechyliło się naprzód, ukazując Georgię siedzącą naprzeciw Jude'a po drugiej stronie tabliczki ouiija. Tyle że w lustrze oczy przesłaniała jej przepaska z czarnej gazy, a gardło miała poderżnięte. W skórze otwierała się obsceniczna czerwona rana, koszulka nasiąkła krwią.

Psy zeskoczyły z łóżka. Bon wylądowała na podłodze i z głośnym warkotem rzuciła się na wskaźnik. Chwyliła go zębami, rozgryzła na kawałki.

Angus skoczył na toaletkę. Oparł na niej przednie łapy, obszczekując głośno twarz w lustrze. Mebel zakołysał się pod jego ciężarem, załomotał. Lustro można było obracać w przód i w tył; teraz poleciało w tył, odbijając sufit. Angus opadł na cztery łapy. Lustro przechyliło się do przodu i raz jeszcze pokazało Georgii jej odbicie. Tym razem zwykle, krew i czarna przepaska zniknęły.

31

Wyciągnęli się razem na łóżku. Było dla nich za małe, Georgia musiała obrócić się na bok i zarzucić na niego nogę, by się zmieścić. Twarz wtuliła mu w szyję, czuł na skórze zimny koniuszek nosa.

Leżał jak odrętwiały. Wiedział, że powinien się zastanowić nad tym, co właśnie ich spotkało, ale nie potrafił się zmusić, by powrócić myślami do widzianej w lustrze twarzy i tego, co próbowała im powiedzieć Anna. Pragnął na parę chwil oderwać się od śmierci. Czuł się osaczony przez śmierć, wyczuwał ją wszędzie wokół. Każda kolejna śmierć przygniatała go jak kamień na pierś, odbierała oddech - śmierć Anny, Danny'ego, Dizzy'ego, Jerome'a, jego własna śmierć i śmierć Georgii, zapewne czekająca na końcu trasy. Nie był w stanie uwolnić się od tego brzemienia.

Nagle przyszło mu do głowy, że jeśli będzie leżał bez ruchu i nic nie mówił, razem z Georgią bez końca będą mogli napawać się tą chwilą spokoju, słuchać telepiących rolet i patrzeć na smugi słabego światła. Nigdy nic złego się nie stanie. Dopóki Jude leży w tym ciasnym łóżku z zarzuconym na nogi zimnym udem Georgii, niewyobrażalna przyszłość nie nadejdzie.

Ale i tak nadeszła. Bammy zastukała cicho do drzwi, a potem odezwała się niepewnie:

- Wszystko tam u was w porządku?

Georgia oparła się na łokciu, przetarła oczy wierzchem dłoni. Do tej pory Jude nie zorientował się, że płakała. Uśmiechnęła się krzywo, prawdziwym uśmiechem, nie na pokaz, choć za żadne skarby nie potrafił pojąć, jaki miała powód do śmiechu.

Łzy zmyły z jej twarzy wszelkie ślady makijażu i ów uśmiech - dziewczęcy, szczery - niezwykle wzruszył Jude'a. Zdawał się mówić: Cóż, czasami życie się nie układa, i tyle. Wtedy pojął, że Georgia wierzy, iż to, co oboje widzieli w lustrze, to wizja, przepowiedź przyszłości, czegoś, co się wydarzy, czego nie zdołają uniknąć. Na tę myśl Jude stracił całą odwagę. Nie. Lepiej niech Craddock dopadnie jego i zakończy sprawę, niż żeby Georgia miała umrzeć, rozpaczliwie chwytając oddech i dławiąc się własną krwią. I dlaczego Anna im to pokazała? Czego mogła chcieć?

- Skarbie? - spytała Bammy.

- Nic nam nie jest! - zawołała Georgia.

Cisza.

A potem:

- Nie kłóćcie się ani nic takiego? Słyszałam hałasy.

- Nie - w głosie Georgii zadźwięczała uraza, jakby obrażała ją ta sugestia. - Przysięgam na Boga, Bammy. Przepraszam za ten łoskot.

- No cóż... Potrzebujecie czegoś?

- Czystej pościeli - odpartą Georgia.

Kolejna chwila ciszy. Jude poczuł, jak Georgia drży lekko, uroczo. Zagryzła dolną wargę, by powstrzymać śmiech. Potem on także musiał walczyć z nagłym, niespodziewanym, szaleńczym rozbawieniem. Wepchnął dłoń do ust, a wnętrzości skręcały mu się ze zduszonego śmiechu.

- Jezu! - Zabrzmiało to tak, jakby Bammy miała ochotę spluć. - Jezu Chryste! - Jej kroki oddaliły się od drzwi.

Georgia przywarła do Jude'a, wtulając mu w szyję zimną, mokrą twarz. Objął ją ramionami i leżeli tak przytuleni, dławiąc się ze śmiechu.

32

Po obiedzie Jude oznajmił, że musi załatwić parę telefonów, i zostawił Georgię z Bammy w salonie. Tak naprawdę nie miał do kogo dzwonić, ale wiedział, że Georgia chce побыć trochę z babcią i że lepiej im będzie bez niego.

Z pełną szklanką lemoniady poszedł do kuchni. Nie miał się czym zająć, więc jednak sięgnął po telefon. Zadzwoił do biura, żeby odsłuchać wiadomości. Dziwnie się czuł, robiąc coś tak zwyczajnego, tak głęboko zakorzonego w normalności po wydarzeniach tego dnia, od spotkania z Craddockiem w barze Denny, po rozmowę z Anną w sypialni Georgii. Czuł się zupełnie oderwany do tego, kim był, nim pierwszy raz ujrział ducha. Jego kariera, życie, interesy i sztuka, które zaprzętały mu głowę przez ponad trzydzieści lat, teraz nie miały szczególnego znaczenia. Wybrał numer, obserwując swoje palce, jakby należały do kogoś innego. Był jak bierny widz oglądający kogoś innego, aktora odgrywającego jego rolę.

Czekało na niego pięć wiadomości. Pierwszą zostawił Herb Gross, jego księgowy i menedżer. Głos Herba, zwykle ociekający samozadowoleniem, na taśmie brzmiał szorstko, przepełniony emocjami.

- Właśnie usłyszałem od Nan Shreve, że Danny'ego Wootena znaleziono dziś rano martwego w jego mieszkaniu. Podobno się powiesił. Jak się pewnie domyślasz, wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Zadzwoń do mnie, kiedy odbierzesz tę wiadomość. Nie mam pojęcia, gdzie jesteś. Nikt nie wie. Dziękuję.

Odsłuchał też wiadomość, że policja z Piecliff próbuje się skontaktować z nim w ważnej sprawie i czy zechciałby oddzw-

nić. Tę wiadomość nagrał funkcjonariusz Beam. Po sygnale Nan Shreve, jego prawniczka, oznajmiła, że zajmie się wszystkim, że policja chce, by złożył zeznanie w sprawie Danny'ego, i niech zadzwoni, gdy tylko będzie mógł.

Następna wiadomość pochodziła od Jerome'a Presleya, który zmarł cztery lata wcześniej, po tym jak z prędkością 140 kilometrów na godzinę wjechał porsche w wierzbę płaczącą.

- Hej, Jude, wygląda na to, że wkrótce znów zbierzemy zespół, co? John Bonham na perkusji, Joey Ramone zaśpiewa chórki. - Zaśmiał się, po czym znów zaczął mówić, przeciągając samogłoski w leniwy, jakże znajomy sposób. Ochrypliły głos Jerome'a zawsze kojarzył się Jude'owi z komikiem, Stevenem Wrigthem. - Słyszałem, że teraz jeździsz podkręconym mustangiem. To jedyna rzecz, która zawsze nas łączyła, Jude. Mogliśmy gadać o samochodach. Zawieszania, silniki, spojler, sprzęt grający, mustangi, thunderbirdy, chargery, porsche. Wiesz, o czym myślałem tamtej nocy, kiedy zjechałem z drogi? Myślałem o tym wszystkim, czego ci nigdy nie powiedziałem, o całym syfie, o którym nie rozmawialiśmy. - Na przykład o tym, jak poczęstowałaś mnie koką, a potem sam ją rzuciłaś i miałaś czelność mi powiedzieć, że jeśli też tego nie zrobię, wyrzucisz mnie z zespołu. O tym, jak dałaś Christine pieniądze na dom, kiedy mnie rzuciła, uciekła bez słowa z dziećmi. Jak dałaś jej pieniądze na prawnika. Też mi lojalność. Albo o tym, jak nie chciałaś nawet, kurwa, pożyczyć mi trochę kasy, kiedy traciłem wszystko - dom, samochody, a przecież ja pozwoliłem ci sypiać w łóżku w mojej piwnicy, kiedy wysiadłaś z autobusu z Luizjany i nie miałaś w kieszeni nawet trzydziestu dolców. - Jerome ponownie się zaśmiał chrapliwym śmiechem palacza. - Cóż, wkrótce będziemy mieli okazję pogadać wreszcie o tym wszystkim. Zobaczymy się lada dzień. Jesteś już na nocnej drodze. Wiem, dokąd prowadzi. Prosto w pierdolone drzewo. Słyszałaś, że wydłubywali mnie z gałęzi? Ale sporo zostało na przedniej szybie. Tęsknię za tobą, Jude. Nie mogę się już doczekać, kiedy cię obejmę. Będziemy śpiewać jak za dawnych czasów. Tu wszyscy śpiewają. Po jakimś czasie to zaczyna brzmieć jak krzyki. Posłuchaj.

Rozległ się brzęk, gdy Jerome odsunął słuchawkę od ucha i uniósł wysoko. W telefonie zabrzmiał okropny hałas, obcy i przerażający, przypominający stukrotnie wzmocnione brzęczenie much, łoskot i pisk maszyn, podnoszącej się i opadającej z sykiem prasy parowej. Kiedy Jude wyteżył słuch, miał wrażenie, że w tym muszym brzęczeniu rozbrzmiewają słowa, nieludzkie głosy wzywające matkę, błagające, by to się skończyło.

Miał zamiar skasować następną wiadomość - spodziewał się, że to kolejny nieboszyk. Okazało się jednak, że dzwoniła opiekunka ojca, Arlene Wade. Do tego stopnia wyleciała mu z głowy, że minęło kilka chwil, nim zdołał zidentyfikować starczy głos.

- Witaj, Justinie. Chciałam ci przekazać najnowsze informacje o ojcu. Od trzydziestu sześciu godzin jest nieprzytomny, puls ma coraz słabszy, nitkowaty. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Nie cierpi. Zadzwoń, jeśli chcesz.

Jude się rozłączył. Wyjrzał na ogród. Zapadała noc. Okno było otwarte i chłodny powiew niósł ze sobą zapach kwiatów. Na dworze rechotały żaby.

Jude wyobraził sobie ojca leżącego na wąskiej pryczy, wychudzonego, z zapadniętymi skroniami, z brodą pokrytą zjeżoną siwą szczeciną. Miał nawet wrażenie, że czuje jego woń, ostry zapach potu, smród domu, odór, na który składały się kurze łajno, świnie i dym papierosów przenikający wszystko - zasłony, koce, tapety. Kiedy Jude w końcu wyniósł się z Luizjany, uciekał nie tylko przed ojcem, ale i przed tym smrodem.

Uciekał i uciekał, tworzył muzykę, zarabiał miliony i przez całe życie usiłował jak najbardziej oddalić się od ojca. A teraz wyglądało na to, że przy odrobinie szczęścia mogą umrzeć tego samego dnia. Razem wędrować nocną drogą. A może nią pojedą, wciśnięci w fotel pasażera należącej do Craddocka McDermotta furgonetki barwy dymu. Będą siedzieć tak blisko, że Martin Cowzynsky oprze szponiaste łapy na karku Jude'a. Jego woń wypełni samochód. Zapach domu.

Tak będzie pachnieć piekło, a oni pojedą tam razem, ojciec i syn, i upiorny szofer o srebrnych włosach przystrzyżonych na jeża, w garniturze Johnny'ego Casha i z radiem nastawionym na

audycje Rusha Limbaugha. Piekło pewnie przypomina radiowy talk-show - i rodzinę.

W salonie Bammy powiedziała coś plotkarskim tonem. Georgia się roześmiała. Jude przekrzywił głowę i chwilę później ze zdumieniem odkrył, że sam odruchowo także się uśmiecha. Nie potrafił pojąć, jakim cudem Georgia może się jeszcze tak śmiać.

Śmiech cenił w niej najbardziej - głęboki, chaotyczny, melodyjny. Teraz poruszył go, wyrwał z zamyślenia. Zegar na mikrofalówce pokazywał parę minut po siódmej. Jude postanowił, że wróci do salonu, siądzie z nimi i na kilka chwil włączy się do swobodnej bezcelowej rozmowy. A potem dyskretnie zwróci uwagę Georgii i spojrzy znacząco na drzwi. Droga czekała.

Już miał wyjść z kuchni, gdy jego uwagę zwrócił dźwięk, piskliwy, fałszujący głosik śpiewający Bye Bye Baby. Wyjrzał przez okno.

Kraniec podwórka oświetlała latarnia stojąca w alejce, rzucająca błękitnawe światło na ogrodzenie z palików i wielki rozłożysty dąb, z którego gałęzi zwisała lina. W trawie pod drzewem przycupnęła dziewczynka, na oko siedmioletnia, w prostej sukience w czerwono-białą kratkę, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon. Śpiewała starą piosenkę Deana Martina o tym, że czas już ruszać w drogę do krainy marzeń, do zobaczenia w krainie snów. Zerwała dmuchawiec, nabrała powietrza i dmuchnęła. Sto miniaturowych białych parasolek poszybowało w mrok. Nie powinien ich widzieć, tyle że jarzyły się słabym blaskiem, wisząc w powietrzu niczym białe iskierki. Dziewczynka głowę miała podniesioną i zdawała się patrzeć wprost przez okno na Jude'a, choć trudno było stwierdzić to na pewno. Jej oczy przysłaniały migoczące czarne krechy.

To była Ruth. Bliźniacza siostra Bammy, która zniknęła w latach pięćdziesiątych. Rodzice zawołali je na obiad. Bammy pobiegła, ale Ruth została na podwórku i wtedy właśnie widzieli ją po raz ostatni... żywą.

Jude otworzył usta - sam nie wiedział, co zamierzał rzec - odkrył jednak, że nie może mówić. Oddech uwiązał mu w piersi.

Ruth przestała śpiewać i na dworze zapadła głucha cisza, zamilkły nawet żaby i owady. Dziewczynka odwróciła głowę, zerknęła w głąb alejki za domem. Uśmiechnęła się i pomachała ręką w geście pozdrowienia, jakby właśnie zauważyła tam kogoś miłego z sąsiedztwa. Tyle że w alejce nie było nikogo. Na ziemi leżało parę kartek ze starych gazet, przylepionych do zaschniętego błota, kawałki stłuczonego szkła. Między cegłami wyrastały chwasty. Ruth powoli szła do ogrodzenia. Jej wargi się poruszały - mówiła bezdźwięcznie do osoby, której tam nie było. Kiedy Jude nagle przestał słyszeć jej głos? Gdy przestała śpiewać?

Zbliżała się do ogrodzenia. Poczul narastającą obawę, jak na widok dziecka, które właśnie ma wejść na ruchliwą drogę. Chciał ją zawołać, ale nie mógł, nie mógł nawet odetchnąć.

I wtedy przypomniał sobie, co mówiła o niej Georgia. Ludzie, którzy widzieli małą Ruth, zawsze chcieli ją zawołać, ostrzec, że grozi jej niebezpieczeństwo, kazać uciekać. Ale nikomu się to nie udało. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci, by się odezwać. I naszała go myśl, nagła nonsensowna myśl, że Ruth to każda dziewczyna, którą znał i nie potrafił jej pomóc. To Anna i Georgia zarazem. Gdyby tylko zdołał wymówić jej imię, zwrócić uwagę, dać znać, że coś jej grozi, wszystko byłoby możliwe. Może jednak pokonają z Georgią ducha, wyrwą się z nieprawdopodobnej matni, w którą się wplątali.

Nadal jednak nie mógł odzyskać głosu. Doprowadzało go to do szału. Stał, patrzył i nie mógł nic powiedzieć. Huknął o blat obandażowaną ręką, poczuł gwałtowną eksplozję bólu w ranie na dłoni - i nadal nie potrafił zmusić żadnego dźwięku do pokonania zaciśniętego tunelu gardła.

Angus warował u jego boku. Kiedy Jude uderzył o blat, pies podskoczył, uniósł głowę i nerwowo polizał go po ręce. Gorący szorstki dotyk zwierzęcego języka na nagiej skórze zaskoczył Jude'a. Był natychmiastowy, rzeczywisty i wyrwał go z paraliżu równie skutecznie, jak śmiech Georgii zaledwie parę chwil wcześniej wydobył go z otchłani rozpacz. Chwytał w płuca powietrza i zaczął krzyczeć przez okno.

- Ruth! - huknął, a ona odwróciła głowę. Usłyszała go, usłyszała! - Odejdź stamtąd, Ruth! Biegnij do domu! Ale już!

Ruth ponownie obejrzała się na ciemną pustą alejkę, po czym postawiła chwiejny niepewny krok w tył, w stronę domu. Wtedy jej smukła biała ręka uniosła się, jakby przegub opasywała niewidzialna lina i właśnie ktoś ją szarpnął.

Tyle że to nie była niewidzialna lina, lecz niewidzialna dłoń. W następnej chwili Ruth uniosła się nad ziemię, podniesiona szarpnięciem przez kogoś, kogo tam nie było. Jej chude nogi wierzgały bezradnie, jeden z sandałów zleciał i zniknął w ciemności. Szarpała się i walczyła, zawieszona pół metra nad ziemią, ciągnięta w tył. Patrzyła na niego bezradnie, błagalnie zza czarnych krech, gdy niewidoczne siły unosiły ją nad ogrodzeniem.

- Ruth! - zawołał ponownie Jude głosem równie władczym i gromkim jak wtedy, gdy na scenie zwracał się do swych legionów.

Dziewczynka zaczęła blaknąć. Teraz jej włosy srebrzyły się jak promienie księżycy, sukienkę miała w szaro-białą kratkę. Drugi sandał spadł ze stopy, z pluskiem wylądował w kałuży i zniknął, choć na powierzchni zamulonej wody nadal rozchodziły się kręgi - jakby moment z przeszłości przeleciał do chwili obecnej. Ruth miała otwarte usta, ale nie mogła krzyczeć, Jude nie wiedział dlaczego. Może niewidzialny potwór, który ją odciągał, zatykał jej usta. Przepłynęła przez snop błękitnobiałego światła latarni i zniknęła. Wietrzyk uniósł gazetę, porwał w głąb pustej alejki. Papier szeleścił głośno.

Jude stał bez ruchu, w ustach czuł kwaśny smak, w uszach - narastający ucisk. Angus znów zaskomlił i jeszcze raz polizał jego rękę.

- Jude - wyszeptała z tyłu Georgia.

Spojrzał na jej odbicie w oknie nad zlewem - przed oczami Georgii tańczyły czarne krechy. Zakrywały także jego oczy. Oboje nie żyli, po prostu jeszcze nie przestali się poruszać.

- Co się stało, Jude?

- Nie mogłem jej uratować. Widziałem Ruth. Widziałem, jak ją porywa. - Nie umiał wyjaśnić Georgii, że w jakiś sposób wraz ze zniknięciem Ruth opuściła go wszelka nadzieja na ocalenie. - Wołałem ją, ale nie mogłem zmienić tego, co się stało.

- Oczywiście, że nie mogłeś, mój drogi - odparła Bammy.

33

Jude obrócił się gwałtownie. Georgia stała w drzwiach. Miała zwykłe oczy, nie przesłaniały ich znaki śmierci. Bammy szturchnęła wnuczkę biodrem, by ją odsunąć, i weszła do kuchni.

- Znasz historię Ruth? M.B. ci opowiadała?

- Mówiła, że pani siostrę porwano, gdy była mała, że czasami ludzie widują ją na podwórku i znów ktoś ją porywa. Ale to nie to samo, co ujrzeć na własne oczy. Słyszałem, jak śpiewała. Widziałem, jak znika.

Bammy położyła mu dłoń na rękę.

- Chcesz usiąść?

Pokręcił głową.

- Wiesz, dlaczego ona wciąż wraca? Dlaczego ludzie ją widują? Najgorsza chwila w życiu Ruth wydarzyła się na podwórku, podczas gdy my wszyscy siedzieliśmy tutaj przy obiedzie. Była sama, wystraszona i nikt nie widział, jak ją porywano. Nikt nie słyszał, kiedy przestała śpiewać. To musiało być potworne. Kiedy kogoś spotyka coś strasznego, inni ludzie powinni o tym wiedzieć. Napijesz się czegoś?

Dopiero w tym momencie zauważył, że nieprzyjemnie zaschło mu w ustach. Skinął głową. Bammy wzięła dzbanek lemoniady, już prawie pusty, i przelała resztkę do szklanki.

- Zawsze sądziłam, że gdyby ktoś zdołał się odezwać do niej, mógłby zdjąć z niej brzemię. Gdyby poczuła, że w ostatnich chwilach nie jest sama, to mogłoby ją wyzwolić. - Bammy przekrzywiła głowę w osobliwym, pytającym, jakże znajomym geście. Jude widział go u Georgii z milion razy. - Być może, zrobiłeś dla

niej coś dobrego i nawet o tym nie wiesz. Tylko dlatego że wymówiłeś jej imię.

- Przecież nic nie zrobiłem. I tak ją porwał. - Jednym haustem opróżnił szklanę i odstawił do zlewu. Bammy stała tuż obok, przemawiała łagodnie, kojąco.

- Nigdy, nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że ktokolwiek mógłby zmienić jej los. To już się stało. Przeszłość. Zostańcie na noc, Jude.

Ostatnie zdanie do tego stopnia nie wiązało się z poprzednimi, że Jude potrzebował chwili, by zrozumieć, że właśnie go o coś poprosiła.

- Nie możemy - odparł.

- Czemu?

Bo na każdego, kto zechce im pomóc, padnie cień śmierci. Kto wie, jak bardzo narazili życie Bammy, zatrzymując się u niej na parę godzin? Bo on i Georgia już nie żyli, a martwi ściągają żywych w dół.

- Bo to niebezpieczne - rzekł w końcu. Przynajmniej powiedział prawdę.

Bammy zmarszczyła brwi w namyśle. Wiedział, że ona szuka właściwych słów, słów, którymi chciała go otworzyć, zmusić, by opowiedział, co ich gnębi.

Wciąż myślała, gdy Georgia niemal na paluszkach weszła do kuchni. Zachowywała się, jakby bała się narobić hałasu. Tuż za nią dreptała Bon, patrząc w górę z niepokojem.

- Nie każdy duch jest taki jak twoja siostra, Bammy - powiedziała Georgia. - Są też inne, naprawdę złe. Ostatnio mamy mnóstwo kłopotów z martwymi ludźmi. Nie prosz, żebyśmy ci wyjaśniali, to zabrzmi wariacko.

- Sprawdźcie. Pozwólcie mi pomóc.

- To miłe z pani strony, że zgodziła się pani na naszą wizytę - powiedział Jude. - Dziękuję za obiad.

Georgia pociągnęła Bammy za rękaw, objęła ją chudymi bladyimi rękami i przytuliła mocno.

- Dobra z ciebie kobieta i bardzo cię kocham.

Bammy wciąż przekrzywiała głowę, patrząc na Jude'a.

- Jeśli mogę coś zrobić...

- Nie może pani. To zupełnie jak z pani siostrą na podwórku. Można krzyczeć do woli, ale nie da się zmienić tego, co się stanie.

- Nie wierzę. Moja siostra nie żyje, nikt nie zwrócił uwagi, kiedy przestała śpiewać, ktoś ją porwał i zabił. Ale wy nie umarliście, ty i moja wnuczka wciąż żyjecie. Jesteście tu ze mną, w moim domu. Nie poddawajcie się. Umarli wygrywiają, kiedy przestajesz śpiewać i pozwalasz, by zabrali cię w drogę.

Na te ostatnie słowa Jude poczuł gwałtowny dreszcz, jakby nagle poraził go prąd. Powiedziała coś o poddaniu się, o śpiewaniu. Krył się w tym jakiś pomysł, ale na razie nie potrafił go określić. Świadomość, że oboje z Georgią dotarli do kresu, że są równie martwi jak dziewczynka, którą widział na podwórku, stanowiła przeszkodę, przez którą nie potrafiła się przedostać żadna inna myśl.

Georgia ucałowała Bammy raz, drugi, scałowując jej łyzy. W końcu Bammy odwróciła wzrok od Jude'a i spojrzała na nią. Ujęła w dłonie głowę wnuczki.

- Zostań - poprosiła. - Przekonaj go, żeby został. A jeśli się nie zgodzi, pozwól mu jechać bez ciebie.

- Nie mogę tego zrobić - odparła Georgia. - A on ma rację, nie powinniśmy wciągać cię w to bardziej, niż już to zrobiliśmy. Pewien człowiek, nasz przyjaciel, nie żyje, bo nie dość szybko się z nami rozstał.

Bammy przycisnęła czoło do piersi Georgii, oddech wiały jej w gardle. Przez moment kołysały się razem jak w bardzo powolnym tańcu.

Gdy w końcu po pewnym - niezbyt długim - czasie Bammy odzyskała panowanie nad sobą, spojrzała Georgii prosto w oczy. Była zarumieniona, policzki miała mokre, a podbródek drżał jej lekko, lecz najwyraźniej skończyła już płakać.

- Będę się modlić, Marybeth. Będę się modlić za was oboje.

- Dziękuję.

- Liczę na to, że wrócisz. Liczę na to, że znów cię zobaczę, kiedy uda ci się wszystko poukładać. I wiem, że ci się uda. Bo jesteś mądra i dobra. Jesteś moją dziewczynką. - Bammy ode-

tchnęła głośno i spojrzała na Jude'a z ukosa mokrymi oczami.

- Mam nadzieję, że jest ciębie wart.

Georgia zaśmiała się cicho, nerwowo i śmiech ten niemal przypominał szloch. Raz jeszcze uściśnęła Bammy.

- No to jedźcie - powiedziała Bammy. - Jedźcie, skoro musicie.

- Już nas nie ma - odparła Georgia.

34

Jude prowadził. Mokre od potu dłonie ślizgały się po kierownicy. Miał ochotę walnąć w coś pięścią. Jechał za szybko i jeszcze przyspieszał, przejeżdżając przez żółte światła w chwili, gdy zmieniały się na czerwone. Wciąż raz po raz niecierpliwie naciskał pedał gazu. Uczucie beznadziei, które ogarnęło go w domu Bammy, gdy patrzył na małą martwą dziewczynkę odciąganą w głąb alejki, jeszcze się nasiliło, przeradzając się we wściekłość. W ustach czuł posmak skwaśniałego mleka.

Georgia przyglądała mu się przez parę kilometrów, potem położyła dłoń na jego przedramieniu. Wzdrygnął się, zaskoczony dotykiem jej lepkiej, zimnej skóry. Chciał się uspokoić - nie dla siebie, lecz dla niej. Jeśli jedno z nich miało się wściekać, powinna to być Georgia. Uznał, że ma większe od niego prawo do wściekłości po tym, co Anna pokazała jej w lustrze. Po tym, jak widziała samą siebie martwą. Nie rozumiał jej spokoju, opamiętania, troski o niego. I nie potrafił się uspokoić, odprężyć. Kiedy jadąca przed nimi ciężarówka zbyt wolno zareagowała na zmianę światła, nacisnął klakson.

- Rusz dupę! - ryknął przez otwarte okno, mijając ją mimo podwójnej linii ciągłej.

Georgia odwróciła głowę, wyglądając przez okno od strony pasażera. Przejechali przecnicę i zatrzymali się na kolejnym skrzyżowaniu.

W końcu zaczęła mówić cicho, z rozbawieniem. Mówiła do siebie, nie chciała, by ją słyszał. Może w ogóle nie była świadoma tego, że odzywa się na głos.

- No proszę, mój najmniej ulubiony autokomis na całym szerokim świecie. Ech, że też nie mam przy sobie granatu.

- Co takiego? - spytał Jude i nagle zrozumiał. Szarpnął kierownicę, zjeżdżając na krawężnik i hamując gwałtownie.

Po prawej stronie mustanga rozciągał się rozległy parking pełen samochodów, jasno oświetlony przez sodowe lampy na dziesięciometrowych stalowych słupach. Latarnie wyrastały z asfaltu niczym rzędy trójnogów z kosmosu, milcząca armia najeźdźców z innego świata. Między słupami rozciągnięto druty, na których rozwieszono łopoczące na wietrze tysiące niebieskich i czerwonych chorągiewek, co upodabniało parking do lunaparku. Było już po ósmej wieczór, lecz autokomis wciąż działał. Kilku ludzi krążyło między samochodami, zaglądało przez okna, sprawdzając nalepki z ceną przyklejone do szyb.

Georgia zmarszczyła brwi, jakby chciała spytać, o co mu chodzi.

- To jego? - zapytał Jude.

- Co?

- Nie udawaj głupiej. Faceta, który cię molestował i traktował jak dziwkę.

- On nie... to nie było... nie nazwałabym tego...

- Ja bym nazwał. To jego?

Georgia spojrzała na jego zaciśnięte na kierownicy dłonie, na zbiele kostki.

- Pewnie wcale go tu nie ma - mruknęła.

Jude gwałtownie pchnął drzwi i wysiadł. Obok z hukiem przejeżdżały samochody; powiew gorącego, cuchnącego spalinami powietrza szarpnął mu ubranie. Georgia wygramoliła się z drugiej strony i patrzyła na niego nad dachem mustanga.

- Dokąd idziesz?

- Poszukać tego faceta. Jak on się nazywa?

- Wsiadaj do wozu.

- Kogo szukam? Nie chcesz chyba, żebym walił na oślep wszystkich sprzedawców używanych samochodów.

- Nie pójdziesz tam sam, żeby pobić gościa, którego w ogóle nie znasz.

- Nie. Nie pójdę sam. Zabiorę Angusa. - Zajrzał do mustanga. Angus zdążył już wcisnąć głowę w szparę między dwoma przednimi siedzeniami. Wyczekująco patrzył na Jude'a. - Chodź, Angus.

Olbrzymi czarny pies wyskoczył na drogę. Jude zatrzasnął drzwi, od przodu okrzyknął maskę. Czuł przy nodze napięte, potężne mięśnie wilczura.

- Nie powiem ci, kto to jest - oznajmiła Georgia.

- W porządku. Sam zapytam.

Złapała go za rękę.

- Co to znaczy zapytasz? Niby o co? Zaczynasz pytać sprzedawców, czy kiedyś pieprzyli się z trzynastolatkami?

I wtedy wróciło wspomnienie. Myślał właśnie, że chętnie przyłożyłby spluwę do gęby tego skurwysyna, kiedy sobie przypomniał.

- Ruger. Nazywał się Ruger. Jak pistolet.

- Aresztuj ją. Nie pójdziesz tam.

- Dlatego właśnie takim jak on uchodzi na sucho. Bo ludzie tacy jak ty wciąż ich chronią, nawet kiedy powinni już zmądrzeć.

- Nie chronię jego, ty kretynie. Chronię ciebie.

Wyrwał się jej. Już był gotów zrezygnować, wściekły na samego siebie, kiedy zauważył, że psa nie ma.

Rozejrzał się szybko i zauważył go daleko na parkingu, między ustawionymi w rząd pikapami. A potem pies skręcił i zniknął za jednym z nich.

- Angus! - zawołał Jude, lecz obok po drodze przetoczyła się osiemnastokołowa ciężarówka i jego krzyk rozpląnął się w ryku diesla.

Poszedł za psem. Obejrzał się i przekonał, że Georgia trzyma się blisko. Zbladła, w jej oczach widział strach. Byli przy głównej drodze, obok ruchliwego parkingu. To niedobre miejsce, żeby zgubić psa.

Szybkim krokiem dotarł do rzędu furgonetek, gdzie ostatni raz widział Angusa, skręcił i ujrzał go trzy metry dalej. Pies siedział na ziemi, pozwalając chudemu, łysemu mężczyźnie w niebieskiej bluzie drapać się za uchem. Łysy mężczyzna był jednym

ze sprzedawców, do kieszeni nosił przypięty identyfikator z napisem RUGER. Obok niego stała rodzina grubasów w promocyjnych koszulkach, solidne brzuszyska nieźle się sprawdzały jako billboardy. Kałdun ojca reklamował Coorsa Silver Bullet, piersi matki niezbyt przekonująco namawiały do skorzystania z sieci klubów fitnessowych Curves. Ich syn, na oko dziesięcioletni, włożył koszulkę Hooters; sam rozmiarem biustu niemal dorównywał tamtejszym kelnerkom. Obok nich Ruger wydawał się wiotki jak elf, a wrażenie to podkreślały jeszcze delikatne łuki brwi i spiczaste uszy porośnięte lekkim meszkiem. Na nogach miał mokasyny z frędzelkami. Jude nienawidził mokasynów z frędzelkami.

- Grzeczny piesek - mówił właśnie Ruger. - Proszę, jaki grzeczny piesek.

Jude zwolnił, czekając, aż Georgia go dogoni. Już miała go minąć, potem jednak zobaczyła Rugera i zatrzymała się gwałtownie.

Ruger uniósł twarz ozdobioną uprzejmym szerokim uśmiechem.

- To pani pies? - Jego oczy zwięzły się nagle. Wyraźnie ją poznał. - To przecież mała Marybeth Kimball! Ależ urosła! Proszę, proszę. Przyjechałaś z wizytą? Słyszałem, że ostatnio mieszkasz w Nowym Jorku.

Georgia nie odezwała się, zerknęła z ukosa na Jude'a przerażonymi oczami. Angus doprowadził ich wprost do niego, jakby wiedział dokładnie, kogo szukają. Może faktycznie coś wiedział. Może pies z czarnego dymu, który żył wewnątrz niego, wiedział. Zaczęła kręcić głową, jakby mówiła do Jude'a nie, proszę, ale on wyminął ją i ruszył w stronę Rugera.

Właściciel autokomisu podniósł wzrok. Jego twarz ożyła, odbiło się na niej zdumienie i zachwyt.

- O mój Boże! Pan jest Judas Coyne, słynny rockman. Mój nastoletni syn ma wszystkie pańskie albumy. Co prawda nie jestem zachwycony tym, jak głośno je puszcza... - Wetknął palec do ucha, jakby wciąż dzwoniło mu w nim po ostatnim kontakcie z muzyką Jude'a. - Ale powiem coś panu. Odcisnął pan na nim swoje piętno.

- Zaraz też odcisnę swoje piętno na tobie, ty fiucie - odparł Jude i rąbnął go prawą pięścią w twarz. Usłyszał trzask pękającej kości.

Ruger zachwiał się i pochylił, przyciskając dłoń do nosa. Krągła parka odstąpiła trochę do tyłu. Ich syn wyszczerzył zęby i wspiął się na palce, oglądając bójkę ponad ramieniem ojca.

Jude uderzył z lewej w bebech Rugera, nie zważając na eksplozję bólu z rany na dłoni. Złapał osuwającego się na kolana sprzedawcę i cisnął go na maskę pontiaka z przyklejoną od wewnątrz do szyby kartką: JEST TWÓJ, JEŚLI TYLKO ZECHCESZ!!! TANIO!!!

Ruger próbował uisnąć. Jude chwycił go za krocze. Wymacał moszną i ścisnął. Czuł, jak miazdzy galaretowate jądra. Ruger wyprostował się gwałtownie i wrzasnął; z nosa spływała mu ciemna żylna krew. Angus skoczył z warkotem i zacisnął szczęki na jego stopie, po czym szarpnął, zrywając mu mokasyn.

Gruba kobieta zasłoniła oczy, ale rozcapierzyła dwa palce, zerkając między nimi.

Jude zdążył jeszcze uderzyć parę razy, potem Georgia chwyciła go za łokieć i odciągnęła. W połowie drogi do samochodu zaczęła się śmiać i gdy tylko wpakowali się z powrotem do mustanga, rzuciła się na niego, przygryzła mu ucho, całowała go po twarzy i tuliła się, cała drżąca.

Angus wciąż trzymał w zębach mokasyn Rugera. Kiedy znaleźli się na autostradzie międzystanowej, Georgia za kawałek suszonego mięsa namówiła psa, by oddał jej but, który przywiązała za frędzelki do tylnego lusterka.

- Podoba ci się? - spytała.

- Lepszy niż pluszowe kości - odparł Jude.

BÓL

35

Dom Jessiki McDermott Price mieścił się na nowym osiedlu, w kompleksie eleganckich willi w nowoangielskim i kolonialnym stylu, z winylowymi sidingami w najróżniejszych kolorach lodów - waniliowym, pistacjowym. Ulice wiły się i splatały niczym wnętrzności. Przejechali obok tego domu dwa razy, nim Georgia wypatrzyła numer na skrzynce pocztowej. Ściany miał neonowożółte, koloru sorbetu mango, koloru ostrzegawczych świateł. Nie zbudowano go w żadnym szczególnym stylu, chyba że duży, nieciekawy amerykański, podmiejski to już osobny styl. Jude minął go i pojechał dalej jakieś sto metrów. Potem skręcił w niewyafaltowany podjazd i po zaschniętym żółtym błocie dotarł do niedokończonego domu.

Robotnicy zdążyli zbudować dopiero szkielet garażu; świeże sosnowe belki sterczały z cementowej podmurówki. Na kolejnych krzyżujących się w górze belkach rozciągnięto kawał grubej folii. Stojący obok dom nie wyglądał wiele lepiej - między deskami przybito płyty sklejk, ciemne dziury ziały w miejscach, gdzie powinny się znaleźć okna i drzwi.

Jude wykręcił mustangiem przodem do ulicy i wycofał się do ciemnego, pozbawionego drzwi garażu. Z tego miejsca mieli dobry widok na dom Price'ów. Zgasił silnik. Jakiś czas siedzieli w ciszy, słuchając, jak stygnie.

Jazda od Bammy trwała krócej, niż Jude przypuszczał. Właśnie dochodziła pierwsza w nocy.

- Mamy jakiś plan? - spytała Georgia.

Wskazał ręką dwa kontenery na śmieci po drugiej stronie ulicy. Dalej stały kolejne zielone pojemniki.

- Wygląda na to, że jutro wywożą śmieci. - Skinął głową w stronę domu Jessiki Price. - Jeszcze nie wyniosła swoich.

Georgia spojrzała na niego. Latarnia w głębi ulicy rzuciła słaby promień światła na jej oczy, które zamigotały jak woda na dnie głębokiej studni. Nie odpowiedziała.

- Zaczekamy, aż wyniesie śmieci, a potem zmusimy ją, żeby wsiadła z nami do wozu.

- Zmusimy.

- Jakiś czas pojeździmy sobie po okolicy i porozmawiamy. We trójkę.

- A jeśli śmieci wyniesie jej mąż?

- Nie wyniesie. Załatwili go w Iraku. Niewiele Anna powiedziała mi o siostrze, ale to wiem.

- Może Jessica ma teraz chłopaka?

- Jeżeli ma chłopaka i okaże się większy ode mnie, zaczekamy na kolejną okazję. Ale Anna nic nie wspominała o chłopaku. Jessica mieszkała tu z ojczymem i córką.

- Córką?

Jude spojrzął znacząco na różowy rower oparty o ścianę garażu Price'ów.

- Dlatego właśnie nie wchodzimy tam dziś w nocy. Ale jutro jest zwykły szkolny dzień. Wcześniej czy później Jessica zostanie sama.

- A wtedy?

- Wtedy będziemy mogli zrobić to, co musimy, i nie martwić się, że dziecko zobaczy.

Jakiś czas oboje milczeli. Z palm i krzaków za niedokończonym domem dobiegała pieśń owadów, rytmiczne, nieludzkie pulsowanie. Poza tym na ulicy panowała cisza.

- Co z nią zrobimy? - spytała Georgia.

- To, co będziemy musieli.

Georgia opuściła maksymalnie oparcie i zapatrzyła się w ciemność pod sufitem. Bon pochylała się i zaskomlała nagłaco; pogłaskała ją po głowie.

- Psy są głodne, Jude.

- Będą musiały poczekać - odparł, wpatrując się w dom Jessiki Price.

Bolała go głowa, piekły stłuczone kostki. Był potwornie zmęczony i wyczerpanie sprawiało, że trudno było mu skupić się dłużej na czymkolwiek. Zamiast tego myślał o czarnych psach ganiających za własnymi ogonami, dokoła i dokoła, kręcących się w szaleńczym tańcu i zmierzających donikąd.

Zrobił w swym życiu sporo złego - na przykład wsadził Annę do pociągu i odesłał do krewnych na śmierć - ale nic, co mogłoby się równać z tym, co go czekało. Nie był pewien, co to będzie i czy może skończyć się zabójstwem... mogło skończyć się zabójstwem. Słyszał w myślach Johnny'ego Casha śpiewającego Folsom Prison Blues. Mama mówiła mi, żebym był dobrym chłopcem, nie bawił się bronią. Przypomnił sobie o zostawionej w domu broni, wielkiej czterdziestceczwórce w stylu Johna Wayne'a. Gdyby miał przy sobie broń, łatwiej wydobyłby z Jessiki Price odpowiedzi. Tyle że gdyby miał przy sobie broń, do tego czasu pod wpływem Craddocka już by zastrzelił Georgię, psy i siebie. A potem pomyślał o wszystkich swoich spluwach i wszystkich swoich psach, o radosnym bieganiu na bosaka z psami wśród pagórków za farmą ojca, o huku gwintówki, gdy ojciec strzelał do kaczek, i o tym, jak matka i Jude uciekli od niego razem, kiedy Jude miał dziewięć lat. Na dworcu autobusowym matka stchórzyła, zadzwoniła do swoich rodziców i rozplakała się, a oni kazali jej zabrać chłopaka z powrotem do ojca i spróbować się pogodzić, pogodzić z mężem i z Bogiem, a ojciec czekał na nich ze strzelbą na werandzie i kiedy wrócili, walnął ją kolbą w twarz, a potem przyłożył lufę do lewej piersi i oznajmił, że jeśli jeszcze raz spróbuje uciec, to ją zabije. Gdy Jude - wtedy miał jeszcze na imię Justin - próbował wejść do domu, ojciec powiedział: Nie jestem na ciebie zły, chłopcze, to nie twoja wina. Złapał go jedną ręką i przycisnął do nogi. Pochylił się, czekając na pocałunek, i oznajmił, że go kocha, a Justin odruchowo odparł, że też go kocha. Wzdrygnął się na to wspomnienie, na ten obrzydliwie niemoralny czyn, tak wstydlivy, że nie mógł znieść świadomości tego, że jest człowiekiem, który to zrobił, i w końcu musiał stać się kimś innym. Czy to było najgorsze, co zrobił w życiu - ów Judaszowy pocałunek na policzku ojca, podczas gdy matka krwawiła

w kącie, przyjęcie bezwartościowej monety ojcowskich uczuć? Nie gorsze niż odesłanie Anny. I znów znalazł się w punkcie wyjścia, zastanawiając się nad jutrzejszym rankiem - czy zdoła zmusić siostrę Anny, by wsiadła do samochodu, i wywieźć ją z dala od domu, a potem zmusić do mówienia.

Choć w mustangu nie było wcale gorąco, przedramieniem otarł pot z czoła, nim zdążył spłynąć mu do oczu. Obserwował dom i drogę. Raz ulicą przejechał radiowóz, lecz mustang stał dobrze ukryty w cieniu niedokończonego garażu i policyjny wóz nie zwolnił.

Georgia drzemała obok niego z odwróconą twarzą. Parę minut po drugiej zaczęła wiercić się we śnie. Uniosła prawą rękę, jakby zgłaszała się w szkole do odpowiedzi. Nie zabandażowała jej na nowo, skóra była biała i pomarszczona jak po godzinach moczenia w wodzie. Biała, pomarszczona i straszna. Georgia zaczęła odpychać coś w powietrzu. Jęknęła, kilka razy rzuciła głową.

Jude łagodnie dotknął jej ramienia. Pacnęła go chorą ręką, a potem otworzyła oczy i spojrzała bezrozumnie w przejmującej, ślepej panice. Pojął, że jeszcze nie do końca rozbudzona widziała nie jego twarz, lecz nieboszczyka.

- Marybeth - powiedział. - To tylko sen. Ciii... nic ci nie jest. Już dobrze.

Jej zamglone oczy się rozjaśniły. Głośno chwyciła powietrze. Jude odgarnął kilka kosmyków przylepionych do jej spoconego policzka. Zaszokowało go, jak bardzo jest gorąca.

- Pić - mruknęła.

Sięgnął na tył, pogrzebał w reklamówce z zakupami zrobionymi na stacji benzynowej, znalazł butelkę wody. Georgia odkreśliła i łąpczywie wypiła jedną trzecią zawartości.

- A jeśli siostra Anny nie zdoła nam pomóc? - spytała. - Jeżeli nie potrafi go przegnać? Zabijemy ją, jeżeli nie odprawi Craddocka?

- Może jednak odpoczniesz? Przed nami jeszcze długie czekanie.

- Nie chcę nikogo zabijać, Jude. Nie chcę poświęcić ostatnich godzin na tym świecie na zabijanie.

- To nie są twoje ostatnie godziny na tym świecie - odparł, z rozmysłem nie wspominając o sobie.

- Nie chcę też, żebyś ty kogokolwiek zabijał. Nie chcę, żebyś stał się kimś takim. Poza tym jeżeli ją zabijemy, będziemy mieli na głowie dwa duchy. Nie zniosę kolejnego ducha.

- Chcesz posłuchać radia?

- Przynajmniej, że jej nie zabijesz, Jude, nieważne, co się stanie.

Włączył radio, na samym dole skali UKF znalazł Foo Fighters. David Grohl śpiewał, że się trzyma, po prostu się trzyma. Jude ściszył radio tak, że mruczało cichutko.

- Marybeth - zaczął. Zadrżała. - Dobrze się czujesz?

- Podoba mi się, kiedy nazywasz mnie moim prawdziwym imieniem. Nie mów mi już więcej Georgia.

- Dobra.

- Żałuję, że mnie spotkałeś, kiedy rozbierałam się przed pijakami. Żałuję, że poznaliśmy się w klubie striptizowym, że mnie nie znałeś, nim zaczęłam to robić. Zanim stałam się taka, jaka jestem, zanim zrobiłam wszystko, co teraz chciałabym cofnąć.

- Słyszałaś o ludziach, którzy płacą więcej kasy za trochę już zużyte meble? Jak to nazywają? Rzeczy lekko sfatygowane. To dlatego że coś, co ma na sobie lekkie ślady zużycia, jest ciekawsze niż absolutna nówka bez skazy.

- To właśnie ja - odparła. - Atrakcyjnie sfatygowana. - Teraz trzęsła się już cały czas.

- Jak się czujesz?

- W porządku - odparła drżącym głosem.

Słuchali radia, w głośniku lekko szumiało. Jude poczuł, że się uspokaja, przejaśniło mu się w głowie, rozluźniły mięśnie - wcześniej nie miał nawet pojęcia, że je napina. Przez chwilę to, co ich czekało, co będą musieli zrobić rankiem, nie miało znaczenia. Nie przejmował się też tym, co zostawili za sobą - paroma dniami jazdy, duchem Craddocka z jego starą furgonetką i zabazgranymi oczami.

Jude był gdzieś na Południu, w mustangu z opuszczonym oparciem i Aerosmith grającymi w radiu...

A potem Marybeth wszystko zepsuła.

- Jeśli umrę, Jude, a ty wciąż będziesz żył, spróbuję go powstrzymać. Z drugiej strony.

- O czym ty mówisz? Wcale nie umrzesz.

- Wiem, tak tylko gadam. Jeśli wszystko nie ułoży się tak, jak byśmy chcieli, znajdzie Annę i razem postaramy się go powstrzymać.

- Nie umrzesz. Nie obchodzi mnie, co powiedziała tabliczka ouija i co Anna pokazała ci w lustrze.

Jeszcze podczas jazdy parę godzin temu tak zdecydował. Marybeth z namysłem zmarszczyła czoło.

- Kiedy zaczęła do nas mówić, w moim pokoju zrobiło się zimno. Nie mogłam powstrzymać dreszczy, nie czułam nawet własnej ręki na wskaźniku. A gdy pytałeś o coś Annę, wiedziałam, jak odpowie. Co próbuje powiedzieć. Nie słyszałam głosów ani nic takiego. Po prostu wiedziałam. Wtedy to wszystko miało sens, ale teraz go nie widzę. Nie pamiętam, czego ode mnie chciała i co to znaczy, że mam stać się drzwiami. Chyba mówiła, że jeśli Craddock mógł wrócić, to ona także. Z niewielką pomocą. I w jakiś sposób ja mogę pomóc. Tyle że - to pamiętam jasno i wyraźnie - żeby to zrobić, może będę musiała umrzeć.

- Nie umrzesz, jeśli będę miał cokolwiek do powiedzenia.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Ale nie masz.

Nie wiedział, jak to rzec, przynajmniej z początku. Już wcześniej przyszło mu do głowy, że istnieje jeden sposób, by zapewnić jej bezpieczeństwo, ale nie zamierzał oblekać tego w słowa. Pomyślał, że gdyby sam umarł, Craddock by sobie poszedł, a Marybeth żyłaby dalej. Że Craddock chce dopaść tylko jego i może pozostać na tym świecie, tylko dopóki on żyje. W końcu on go kupił, zapłacił za niego i jego garnitur. Craddock przez niemal tydzień próbował przymusić go samobójstwa, a on tak bardzo starał się stawić opór, że nie zastanowił się, czy przypadkiem cena przeżycia nie okaże się wyższa niż danie nieboszczykowi tego, czego pragnie. Bo przecież z pewnością przegra i im dłużej walczy, tym bardziej prawdopodobne, że pociągnie Marybeth za sobą. Bo martwi ściągają żywych w dół.

Marybeth przyglądała mu się oczami niczym dwie urocze, mokre plamy atramentu w ciemności. Odgarnął jej włosy z twarzy. Była bardzo młoda i bardzo piękna, rozpalone czoło miała mokre od potu. Myśl, że miałyby umrzeć przed nim, była gorzej niż nieznośna. Była nieprzyzwoita.

Przesunął się ku dziewczynie i ujął jej ręce. Czoło miała wilgotne i zbyt gorące, a dłonie wilgotne i za zimne. Obrócił je i doznał wstrząsu. Biała pomarszczona skóra pokrywała obie dłonie, nie tylko prawą. Ale prawa wyglądała gorzej. Cała podstawa kciuka zamieniła się w błyszczącą, gnijącą, ropiejącą ranę, a paznokieć odpadł. Na grzbietach obu dłoni wystąpiły czerwone linie zakażenia odwzorowujące delikatną siateczkę żył aż na przedramiona, gdzie się rozbiegały, kreśląc szkarłatne szramy w poprzek przegubów.

- Co się z tobą dzieje? - spytał, jak gdyby sam nie wiedział. To była historia śmierci Anny wypisana na skórze Marybeth.

- W jakiś sposób Anna stała się częścią mnie. Noszę ją w sobie od jakiegoś czasu.

Wcale nie był zaskoczony. Wyczuł, że Marybeth i Anna łączą się, zlewają ze sobą. Słyszał to w akcencie Marybeth, jakże podobnym do wiejskiego akcentu Anny. Widział w tym, jak Marybeth bawiła się teraz włosami, zupełnie jak kiedyś Anna.

- Chce, żebym pomogła jej wrócić na ten świat - mówiła Marybeth. - Pragnie go powstrzymać. Ja jestem drzwiami - tak mi powiedziała.

- Marybeth... - zaczął, lecz nie wiedział, co chce wyrazić.

Przymknęła oczy i uśmiechnęła się.

- To moje imię. Nie zużyj go. Chociaż z drugiej strony bardzo proszę, zużyj. Podoba mi się, jak je mówisz, to że wymawiasz je całe, nie tylko Mary.

- Marybeth - powtórzył. Pocałował ją tuż nad lewą brwią. - Marybeth. - Ucałował prawy policzek. Zadrżała; tym razem z przyjemności. - Marybeth... - Pocałował ją w usta.

- To ja. Oto kim jestem. Oto kim chcę być. Mary. Beth. Zupełnie jakbyś dostał dwie dziewczyny za cenę jednej. Hej, może teraz faktycznie dostałeś dwie, skoro Anna jest we mnie. - Otwo-

rzyła oczy. - Kiedy mnie kochasz, może także kochasz ją. To dobry interes, Jude. Prawdziwa ze mnie okazja. Jak mógłbyś się oprzeć?

- Najlepsza w moim życiu.

- I lepiej o tym nie zapomnij - odpowiedziała z pocałunkiem.

Otworzył drzwi i kazał psom wysiąść. Przez jakiś czas byli w mustangu sami, owczarki leżały na cementowej podłodze garażu.

36

Ocknął się gwałtownie, z walącym sercem, słysząc szczekanie, i od razu pomyślał: To duch. Duch nadchodzi.

Psy spały na tylnym siedzeniu. Teraz oba wyglądały przez okna na brzydką złotą labradorkę. Suka stała na zewnątrz ze sztywnym karkiem i nastroszonym ogonem, ujadając bez przerwy na mustanga. Angus i Bon obserwowały ją w napięciu, wyczekująco. Od czasu do czasu także szczekały, ostro, głucho. W ciasnym wnętrzu samochodu dźwięki te były bardzo przykre dla ucha. Marybeth przekreśliła się w fotelu pasażera, skrzywiła. Chciała spać.

Jude kazał psom się zamknąć, do diabła. Nie posłuchały.

Wyjrzał przez przednią szybę prosto w słońce, miedzianą dziurę wybitą w niebie, bezlitosny reflektor celujący mu w twarz. Oślepiony mruknął z wyrzutem, nim jednak zdążył unieść dłoni, przed mustangiem stanął mężczyzna i głową zasłonił słońce. Był młody, miał skórzany pas z narzędziami. Archetypiczny wieśniak o skórze spalonej na głęboki szkarłatny kolor. Jude pomachał do niego i uruchomił mustanga. Zegar na desce rozdzielczej zapłonął jasnym blaskiem, pokazując siódmą rano.

Cieśla odsunął się i Jude wyjechał z garażu, wymijając zaparkowaną furgonetkę. Żółta labradorka ścigała ich, wciąż jazgocząc, i zatrzymała się dopiero na końcu podjazdu. Bon jeszcze raz zaszczekała w odpowiedzi. Wyjechali na ulicę, Jude minął dom Price'ów. Jak dotąd nikt nie wystawił śmieci.

Uznał, że wciąż mają czas, i opuścił tę część przedmieścia. Na rynku wyprowadził psy - najpierw Angusa, potem Bon -

oraz kupił herbatę i ciastka w Honey Dew dla zmotoryzowanych. Marybeth opatrzyła prawą dłoń gazą i bandażem z malejących zapasów w apteczce. Drugą rękę, bez otwartych ran, zostawiła w spokoju. Jude zatankował na stacji Mobil, a potem zaparkował na wybetonowanym poboczu i zjadł śniadanie. Parę ciastek rzucił psom.

Ruszyli z powrotem do domu Jessiki Price. Zaparkował na rogu, pół przecznicy od jej domu, po przeciwnej stronie ulicy, jak najdalej od budowy. Nie chciał ryzykować spotkania z robotnikiem, który stał przy samochodzie, kiedy się obudzili.

Było po wpół do ósmej, miał nadzieję, że Jessica wkrótce wystawi śmieci. Im dłużej tak siedzieli, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo, że zwrócą czyjąś uwagę. Facet i dziewczyna w czarnym mustangu, ubrani w czarne skóry i czarne dżinsy, z widocznymi ranami i tatuażami - niebezpieczne męty obserwujące miejsce, w którym zamierzają popełnić przestępstwo. W twarze patrzyła im przyczepiona do latarni tabliczka z napisem STRAŻ SĄSIEDZKA.

Krew z powrotem krążyła mu w żyłach, myślał jasno, był gotów. Ale nie mógł nic zrobić, tylko czekać. Zastanawiał się, czy cieśla go poznał i co powie kolegom, kiedy zjawią się na budowie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Facet, który wyglądał zupełnie jak Judas Coyne, spał w tym garażu, a razem z nim niesamowita laska. Był taki podobny do Coyne'a, że o mało nie spytałem, czy nie zaśpiewałby paru numerów. A potem pomyślał, że cieśla to jeszcze jedna osoba, która może ich zidentyfikować, kiedy zrobią już to, co mają zrobić. Trudno prowadzić życie przestępcy, kiedy jest się sławnym.

Zastanowił się przelotnie, który gwiazdor rocka najdłużej siedział w więzieniu. Może Rick James. Garował - ile? Pięć lat? Trzy? Ike Turner też odsiedział swoje. Co najmniej pięć lat. Z pewnością nie był to rekord. Leadbelly trafił do pierdła za morderstwo, dziesięć lat rozbijał kamienie, aż w końcu został ułaskawiony po tym, jak zagrał świetny koncert dla gubernatora i jego rodziny. No cóż, pomyślał Jude, jeśli właściwie rozegram swoje karty, mogę dostać więcej niż oni trzech razem.

Perspektywa więzienia nieszczególnie go przerażała. Miał tam wielu fanów.

Drzwi do garażu na końcu wybetonowanego podjazdu Jessiki McDermott Price uniosły się z łoskotem. Smukła dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, o puszystych złotych włosach przyciętych równo z brodą, wywlokła na chodnik pojemnik na śmieci. Kompletnie zaskoczyła Jude'a. Była niesamowicie podobna do Anny - ten sam mocny spiczasty podbródek, te same jasne włosy i szeroko rozstawione błękitne oczy. Zupełnie jakby Anna wyskoczyła ze swego dzieciństwa w latach dziewięćdziesiątych wprost w jasny, słoneczny poranek dnia dzisiejszego.

Dziewczynka zostawiła pojemnik, ruszyła do drzwi frontowych i je otworzyła. Matka czekała na nią tuż za progiem.

Jessica McDermott Price była wyższa od Anny, włosy miała o ton ciemniejsze, jej usta po obu stronach okalały głębokie bruzdy. Była w bluzce chłopce z luźnymi falbaniastymi rękawami i marszczącej spódnicy w kwiaty. Ten strój miał zapewne sprawiać wrażenie swobodne i artystyczne, nadawać jej wygląd sympatycznej, współczującej Cyganki, lecz twarz pokrywał zbyt staranny, profesjonalny makijaż, a widoczny fragment domu wypełniały ciemne, nawoskowane, drogie meble i kosztowne drewniane panele. Były to dom i twarz czterdziestoletniej szefowej banku, nie wróżki.

Jessica wręczyła córce plecak - błyszczący, fioletowo-różowy, pasujący do wiatrówki i adidasów, a także czekającego na dworze roweru - i cmoknęła powietrze parę centymetrów od jej czoła. Dziewczynka zatrzasnęła drzwi i pobiegła przez podwórze, naciągając plecak na ramiona. Już na ulicy obejrzała się na Jude'a i Marybeth, mierząc ich wzrokiem. Zmarszczyła nos jak na widok śmieci, a potem zniknęła za rogiem.

Jude zorientował się, że przeupocona koszula lepi mu się do pleców.

- No to zaczynamy - rzekł.

Niebezpiecznie byłoby się wahać, dać sobie czas do namysłu. Wysiadł z samochodu, Angus wyskoczył za nim. Marybeth wyszła z drugiej strony.

- Zaczekaj tutaj - polecił Jude.

- Do diabła, nie.

Ruszył do bagażnika.

- Jak niby wejdziemy? - spytała Marybeth. - Zapukamy do drzwi frontowych? Cześć, przychodzimy cię zabić?

Wyjął z bagażnika łyżkę do opon. Wskazał nią otwarte drzwi garażu, a potem zatrzaskał bagażnik i przeszedł przez ulicę. Angus pomknął przed nim, cofnął się, znów go wyprzedził, podniósł nogę i obsikał czyjąś skrzynkę na listy.

Wciąż było wczesnie, ale gorące promienie słońca parzyły w kark. Jude trzymał w garści koniec łyżki, resztę przyciskał do przedramienia, próbując ukryć ją przy ciele. Za jego plecami trzasnęły drzwiczki. Bon pomknęła naprzód, a potem zrównała się z nim Marybeth. Zdyszana dreptała szybko, by dotrzymać mu kroku.

- Jude, może po prostu... spróbujemy z nią porozmawiać? Może uda nam się... ją przekonać, żeby pomogła nam z własnej woli? Powiemy jej, że nigdy... nigdy nie chciałeś skrzywdzić Anny. Nie chciałeś, żeby się zabiła.

- Anna się nie zabiła i jej siostra o tym wie. Nie o to w tym chodzi. I nigdy nie chodziło. - Jude zerknął na Marybeth, która została parę kroków w tyle i przygląda mu się, wyraźnie wstrząśnięta. - W całej tej sprawie kryje się coś więcej. Nie jestem wcale pewien, kto jest tu dobry, a kto zły.

Szedł podjazdem, psy biegły obok niego po obu stronach niczym gwardia honorowa. Spojrzał przelotnie na front domu, okna z gęstymi białymi firankami, za którymi kryły się cienie. Jeśli nawet patrzyła na nich, to nie potrafił tego stwierdzić. A potem znaleźli się w półmroku garażu, gdzie na starannie zmiecionym betonie stał wiśniowy dwudrzwiowy kabriolet. Na specjalnie zamówionej tablicy rejestracyjnej widniał napis HYP-NOIT.

Jude znalazł wewnętrzne drzwi, położył rękę na gałce, przez chwilę nasłuchiwał. Grało radio, najnudniejszy głos świata oznajmił, że indeksy giełdowe zmały, ceny akcji firm technologicznych spadły, ceny obligacji nie wyglądają najlepiej. Nagle

usłyszał postukiwanie obcasów na terakocie tuż za drzwiami. Odkoczył, drzwi się otwały i Jessica McDermott Price przekroczyła próg.

O mało na niego nie wpadła, nie patrzyła, gdzie idzie. W jednej ręce trzymała kluczyki, w drugiej jaskrawokolorową torebkę. Jude chwycił przód jej bluzki, ścisnął w garści jedwabisty materiał i pchnął ją z powrotem za drzwi.

Poleciała do tyłu, chwiejąc się na obcasach, stanęła krzywo i wykręciła kostkę. Spadł jej pantofel. Upuściła małą dziwaczną torebkę, Jude odtrącił ją kopniakiem. Przepchnął Jessicę przez przedpokój do rozświetlonej kuchni na tyłach domu i tam osunęła się, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bluzka pękła z trzaskiem, po całym pomieszczeniu rozprysły się guziki, jeden trafił Jude'a w lewe oko - czarne ukłucie bólu. Zamrugał kilkanaście razy, by przegnać łzy.

Jessica Price uderzyła ciężko o wysepkę pośrodku kuchni i złapała jej krawędź. Zagrzechotały talerze. Za plecami miała blat - wciąż była zwrócona twarzą do Jude'a. Sięgnęła za siebie, nie patrząc, złapała talerz i gdy Jude się zbliżył, stuknęła mu go na głowie.

Niczego nie poczuł. Talerz był brudny, wokół posypały się skórki od tostów i resztki jajecznic. Jude zamachnął się prawą ręką, pozwalając, by łyżka od opon ześliznęła się w palcach. Złapał ją z drugiej strony i trzymając niczym pałkę, walnął Jessikę w lewe kolano, tuż pod rąbkiem spódnicy.

Upadła. Zaczęła gramolić się z podłogi, wtedy jednak Angus stanął jej łapami na piersi.

- Nie rusz! - Marybeth złapała Angusa za obroź i szarpnęła w tył tak mocno, że przeturłał się w zabawnym psim salcie. Przez moment machał łapami w powietrzu i znów stanął na nogach.

Ponownie rzucił się na obcą kobietę, lecz Marybeth go trzymała. Bon wbiegła do kuchni, obejrzała się nerwowo na Jessikę Price, po czym z zawstydzoną miną przeskoczyła nad szczątkami stłuczonego talerza i zaczęła zjadać skórkę od tosta.

Monotonny głos w radiu, małym różowym odbiorniku na blacie, przemówił nagle:

- Kluby książkowe dla dzieci to prawdziwy przebój wśród rodziców, którzy traktują słowo pisane jak schronienie dla swych potomków przed przesadną erotyką i dosłowną przemocą wszechobecną w grach komputerowych, programach telewizyjnych i filmach.

Jessica miała bluzkę rozdartą do pasa. Pod spodem nosiła koronkowy brzoskwinowy biustonosz. Odsłoniła zęby - czyżby w uśmiechu? Były czerwone od krwi.

- Jeśli przychodzisz mnie zabić - powiedziała - powinieneś wiedzieć, że nie boję się śmierci. Po drugiej stronie mój ojczym będzie czekał z otwartymi ramionami.

- Założę się, że ci tam spieszo - odparł Jude. - Domyślam się, że byliście sobie bardzo bliscy. A przynajmniej dopóki Anna nie urosła i nie zaczął pieprzyć jej zamiast ciebie.

37

Jessice McDermott Price powieka podskakiwała nerwowo, na rzesach kołysała się ciężka kropla potu. Usta, pomalowane ciemnoczerwoną, niemal czarną szminką barwy dojrzałych czereśni, wciąż odsłaniały zęby.

- Nie masz prawa tak mówić o moim ojczymie. Nie takie śmieci zeszkrobywał ze swoich podeszew.

- Po części masz rację. - Jude'a zdumiało opanowanie dźwięczące w jego głosie. - Oboje wdepnęliście w niezłe gówno, kiedy mnie zaczepiliście. Przyznaj się. Pomogłaś mu zabić Annę, żeby nie opowiedziała nikomu, co zrobił? Patrzyłaś, jak siostra wykrwawia się na śmierć?

- Dziewczyna, która wróciła do tego domu, nie była moją siostrą. Zupełnie jej nie przypominała. Kiedy z nią skończyłeś, moja siostra była już martwa. Zniszczyłeś ją. Dziewczyna, która do nas wróciła, była jak trucizna. Wciąż groziła. Chciała posłać tatę do więzienia. Posłać mnie do więzienia. A tato pilnował, by nawet włoszek nie spadł z jej głowy. Tato ją kochał. Był najlepszym człowiekiem pod słońcem.

- Twój tatuś lubił posuwać małe dziewczynki. Najpierw ciebie, potem Annę. Cały czas miałem to przed oczami.

Pochylał się nad nią, lekko kręciło mu się w głowie. Przez okna nad zlewem wpadało słońce. W rozgrzanym powietrzu wisiała ciężka jaśminowa woń jej perfum. Uchylone szklane drzwi tuż za kuchnią wychodziły na zamkniętą werandę wyłożoną postarzanym drogim drewnem. Na środku stał stół przykryty koronkowym obrusem. Na werandzie przycupnął długowłose szary

kot; spłoszony kulił się, strosząc futro. Głos w radiu brzęczał coś o materiałach ściąganych z sieci - przypominało to buczenie pszczoł w ulu, głos, który potrafi uśpić.

Jude poszukał wzrokiem radia. Chciał je walnąć łyżką od opon, uciszyć. Ujrzał stojące obok zdjęcie i zapomniał o wszystkim. Z oprawionej w srebrną ramkę fotki osiem na dziesięć uśmiechał się Craddock. Miał na sobie czarny garnitur, srebrne guziki wielkości dolarówek błyszczały jasno. Jedną dłoń trzymał na fedorze, jakby miał uchylić jej w pozdrowieniu, drugą na ramieniu dziewczynki, córki Jessiki, tak bardzo podobnej do Anny. Na zdjęciu jej spalona słońcem twarz miała obojętny, całkowicie pozbawiony uczuć, nieprzenikniony wyraz kogoś, kto czeka, by wysiąść z powolnej windy. Tym jeszcze bardziej przypominała Annę, Annę w szczytowej fazie depresji. Jude'em wstrząsnęło to podobieństwo.

Jessica wiła się na podłodze, próbowała uciec. Znów złapał ją za bluzkę, odleciał kolejny guzik, teraz bluzka zwisała z ramion otwarta do pasa. Jude otarł spocone czoło. Jeszcze nie skończył mówić.

- Anna nigdy nie powiedziała otwarcie, że była molestowana w dzieciństwie, ale tak bardzo starała się unikać wszelkich pytań, że było to praktycznie oczywiste. A potem, w swym ostatnim liście napisała, że zmęczyło ją utrzymywanie pewnych spraw w tajemnicy, nie może już dłużej. Z pozoru brzmiało to jak słowa samobójczyni. Potrzebowałam trochę czasu, by się domyślić, co naprawdę chciała przez to powiedzieć. Pragnęła zrzucić z siebie ten ciężar. Opowiedzieć, jak ojczym wprowadzał ją w trans, by móc z nią robić, czego tylko zapragnie. Był w tym dobry - potrafił sprawić, że na jakiś czas zapomniata, ale nie zdołał całkowicie wymazać wspomnień, które powracały przy każdym kryzysie emocjonalnym. Przypuszczam, że w końcu jako nastolatka zorientowała się, zrozumiała, co jej robił. Przez wiele lat uciekała przed tym. Uciekała przed nim. Tyle że ja wsadziłem ją do pociągu i odesłałem z powrotem. Znów musiała stawić mu czoło. I wtedy przekonała się, jaki jest stary, bliski śmierci i może uznała, że już nie musi przed nim uciekać.

Zagroziła, że powie, co jej zrobił. Mam rację? Oznajmiła, że powie wszystkim, zawiadomi policję. Dlatego ją zabił. Raz jeszcze wprowadził ją w trans i podciął jej żyły w wannie. Napieprzył jej w głowie, wsadził do wanny, rozchlastał żyły i patrzył, jak się wykrwawia. Siedział tam i patrzył...

- Przestań o nim mówić! - Głos Jessiki wzniósł się wysoko, ochrypliwy, piskliwy. - Tamten ostatni wieczór był straszny. Napłuła na niego, próbowała go zabić, chciała zepchnąć go ze schodów, biednego słabego starca. Groziła, że odbierze nam Reese. Mówiła, że użyje twoich pieniędzy i prawników i pośle tatusia do więzienia.

- Zrobił tylko to, co musiał, tak? - odparł Jude. - Praktycznie działał w samoobronie?

Na twarzy Jessiki pojawił się wyraz, który zniknął tak szybko, że Jude nie wiedział, czy go sobie nie wyobraził. Przez sekundę kąciki jej ust zdawały się wykrzywiać w nieprzyzwoitym, porozumiewawczym, odrażającym uśmiechu. Wyprostowała plecy. Kiedy znów się odezwała, mówiła przekonującym, przymilnym tonem.

- Moja siostra była chora. Pogubiła się, od dawna miała skłonności samobójcze. Podcięła sobie żyły w wannie. Wszyscy wiedzieli, że w końcu tak zrobi, i nikt nie może twierdzić, że było inaczej.

- Anna twierdzi, że było inaczej - odparł Jude i dostrzegł zmieszanie na twarzy Jessiki. - Ostatnio rozmawiałem z różnymi nieboszczykami. Bo wiesz, to nigdy nie miało sensu. Jeśli chciałaś wysłać ducha, żeby mnie prześladował, to czemu nie ją? Skoro jej śmierć to moja wina, po co posłałaś tatusia? Ale twój ojczym nie ścigał mnie z powodu tego, co zrobiłem, tylko z powodu tego, co sam zrobił.

- Za kogo ty się w ogóle masz? Twierdzisz, że tatuś molestował dzieci? Ile lat ma ta twoja kurewka? Trzydzieści mniej od ciebie, czterdzieści?

- Uważaj! - Jude zacisnął palce na łyżce do opon.

- Mój ojciec zasłużył na wszystko, czego od nas wymagał. - Jessica mówiła dalej, jakby nie mogła już przestać. - Zawsze to

rozumiała. Moja córka też to rozumiała. Lecz Anna udawała, że to straszne, nieprzyzwoite, traktowała go jak gwałciciela. A przecież nie zrobił Reese niczego, co by jej się nie podobało. Anna zepsułaby ostatnie dni tatusia na tym świecie tylko po to, by zyskać sobie twoje względy, przypodobać ci się. Sam widzisz, do czego prowadzi zwracanie ludzi przeciw ich rodzinom, wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

- O mój Boże - mruknęła Marybeth. - Co ona mówi? To najbardziej popierdolona rozmowa, jaką w życiu słyszałam.

Jude wepchnął kolano między nogi Jessiki i zranioną lewą ręką przycisnął ją do ziemi.

- Dosyć! Jeszcze raz usłyszę, na co zasłużył sobie wasz ojczym i jak bardzo kochał was wszystkie, to się zrzygam. Jak mam się go pozbyć? Powiedz mi, jak go odesłać, a wyjdziemy stąd i więcej nas nie zobaczysz. - Już w chwili, gdy wymawiał te słowa, nie wiedział, czy faktycznie by tak zrobił.

- Co się stało z garniturem? - spytała Jessica.

- Co to ma, kurwa, za znaczenie?

- Zniszczyłeś go, prawda? Kupiłeś garnitur i go zniszczyłeś, więc teraz już się nie pozbędziesz ducha. Każda transakcja jest ostateczna, żadnych zwrotów, zwłaszcza jeśli towar został uszkodzony. To koniec. Nie żyjesz. I ta twoja dziwka też już nie żyje. On nie odejdzie, póki oboje nie wylądujecie w ziemi.

Jude pochylił się, przyłożył jej łyżkę do gardła i nacisnął. Zaczęła się dławić.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - rzekł. - Lepiej niech istnieje jakiś sposób, albo... Puszczaj mnie!

Próbowała rozpiąć mu pasek. Wzdrygnął się na jej dotyk i cofnął łyżkę, a ona zaczęła się śmiać.

- No dalej, już i tak ściągnąłeś mi bluzkę. Nie miałaś nigdy ochoty móc powiedzieć, że posuwałeś obie siostry? Założę się, że twoja panienka chętnie popatrzy.

- Nie dotykaj mnie!

- Sam siebie posłuchaj. Wielki twardziel, wielka gwiazda rocka. Boisz się mnie, boisz się mojego ojczyma, boisz się samego siebie. I dobrze. Powinieneś się bać, bo umrzesz z własnej ręki.

Widzę na twoich oczach znaki śmierci. - Zerknęła na Marybeth.
- Na twoich także, skarbie. Twój chłopak cię zabije, a potem zabije siebie. Chciałabym móc to zobaczyć. Chciałabym widzieć, jak to robi. Mam nadzieję, że cię potnie. Mam nadzieję, że potnie twoją kurewską gębę...

Znów naparł łyżką do opon na gardło Jessiki. Naciskał z całym siłą. Jessica wybałuszyła oczy, język wysunął jej się z ust; próbowała podeprzeć się na łokciach. Pchnął ją gwałtownie, tak że uderzyła głową o podłogę.

- Jude! - odezwała się Marybeth. - Jude, nie!

Zwolnił nacisk, pozwalając jej odetchnąć - i Jessica krzyknęła. Po raz pierwszy krzyknęła. Znów ją pchnął i uciszył.

- Garaż - rzekł do Marybeth.

- Jude...

- Zamknij drzwi od garażu. Cała pierdolona ulica ją usłyszy.

Jessica próbowała podrapać mu twarz, miał jednak dłuższe ręce od niej, więc odchylił się od wygiętych szponiasto palców i ponownie rąbnął jej głową o ziemię.

- Jeszcze raz krzykniesz, a zatłukę cię na śmierć. Zaraz zdejmę ci to z gardła i lepiej zacznij mówić. Lepiej mi powiedz, jak się go pozbyć. A gdybyś porozmawiała z nim bezpośrednio? Z pomocą tabliczki ouija czy czegoś takiego? Mogłabyś sama go odwołać?

Zwolnił nacisk, a ona krzyknęła po raz drugi - przeciągle, przeszywająco. Jej głos załamał się w szaleńczym chichocie. Jude rąbnął ją pięścią w spłot słoneczny i umilkła.

- Jude - powtórzyła Marybeth. Stała teraz za jego plecami. Poszła zamknąć drzwi od garażu, ale już wróciła.

- Później.

- Jude!

- Co? - obrócił się i spojrzał na nią gniewnie.

W jednej ręce Marybeth trzymała błyszczącą, kanciastą, kolorową torebkę Jessiki Price. Podsunęła mu ją. Tyle że to nie była torebka, lecz pudełko na drugie śniadanie ozdobione błyszczącym zdjęciem Hillary Duff.

Oszołomiony, wciąż wpatrywał się w Marybeth i pudełko, nie pojmując, dlaczego mu je pokazuje, jakie to ma znaczenie - gdy

Bon zaczęła ujadać głośno, z głębi piersi. Kiedy Jude odwrócił głowę, żeby sprawdzić, na co szczeka, usłyszał ostry stalowy szczęk, niemożliwy do pomylenia z niczym innym. Ktoś odbezpieczał broń.

Córka Jessiki Price weszła do środka przez przesuwane szklane drzwi werandy. Jude nie miał pojęcia, skąd wzięła rewolwer, olbrzymiego kalibra .45 z rączką wykładaną kością słoniową i długą lufą, tak ciężkiego, że ledwie była w stanie go unieść. Patrzyła uważnie spod grzywki, nad jej górną wargą perliły się krople potu. Kiedy się odezwała, usłyszał głos Anny, choć bardziej zaszkokał go dźwięczący w nim spokój.

- Odejdź od mojej matki - poleciła.

38

Mężczyzna w radiu powiedział:

- Jaki jest najważniejszy produkt eksportowy Florydy? Za pewne sądzicie, że pomarańcze, ale jeśli tak, mylicie się.

Przez chwilę w kuchni słychać było tylko jego. Marybeth znów przytrzymała Angusa za obrozę. Nie było to łatwe zadanie. Pies z całych sił szarpał się do przodu i musiała wbijać pięty w podłogę, by go utrzymać. A potem Angus zaczął warczeć, nisko, złowieszczo, z wyraźną groźbą w głosie. Bon znów zaczęła głośno szczekać, raz po raz.

Marybeth odezwała się pierwsza.

- Nie musisz tego używać, już idziemy. Chodź, Jude, wynośmy się stąd. Zabierzmy psy i chodźmy.

- Uważaj na nich, Reese! - krzyknęła Jessica. - Przyszli tu, żeby nas zabić!

Jude spojrzął w oczy Marybeth, machnął głową w stronę drzwi garażu.

- Znikaj stąd - polecił. Wstał, coś strzyknęło mu w kolanie - stare stawy - i oparł dłoń na blacie, by nie stracić równowagi. Potem spojrzął dziewczynce prosto w oczy, ponad łufą czterdziestki celującej w twarz.

- Chcę tylko zabrać psa - powiedział. - Więcej nie sprawimy wam kłopotu. Bon, chodź tutaj.

Bon szczekała bez wytchnienia, stojąc pomiędzy Judem a Reese. Jude postąpił krok naprzód, chcąc złapać ją za obrozę.

- Nie pozwól mu się zbliżyć! - wrzasnęła Jessica. - Spróbujcie ci zabrać broń!

- Cofnij się - poleciała dziewczynka.
- Reese - rzekł, zwracając się do niej po imieniu, by ją uspokoić, nawiązać nić zaufania. On także wiedział to i owo o sztuce perswazji. - Odłożę to. - Uniósł łyżkę, demonstrując ją i kładąc na blacie. - No już. Teraz ty masz rewolwer, a ja jestem bezbrony. Chcę tylko zabrać psa.

- Chodźmy, Jude - odezwała się Marybeth. - Bonnie pójdzie za nami. Po prostu chodźmy stąd.

Stała już w garażu, zaglądając do środka przez drzwi. Angus zaszczekał po raz pierwszy i dźwięk ten odbił się echem od betonowej posadzki i wysokiego sufitu.

- Bon, do mnie! - rzucił Jude, lecz suka całkowicie go zignorowała. Skoczyła kawałek w stronę Reese.

Dziewczynka się zdrygnęła. Zaskoczona obróciła broń, celując w psa, po czym natychmiast powróciła do Jude'a.

Jude postąpił kolejny krok w stronę Bon. Już niemal sięgał jej obroży.

- Odejdź od niej! - wrzasnęła Jessica i kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Jessica czołgała się po podłodze, dźwignęła się z ziemi i rzuciła na niego. W jej ręce coś błysnęło. Jude tuż przed twarzą zobaczył ostry jak sztylet odłamek porcelany, kawałek stłuczonego talerza. Próbowała dźgnąć go w oko, ale odwrócił głowę i trafiła w policzek.

Łokciem uderzył ją w szczękę. Wyciągnął z twarzy odłamek talerza i odrzucił. Drugą ręką wymacał na blacie łyżkę do opon, zamachnął się i rąbnął Jessikę z boku w szyję. Oczy o mało nie wypadły jej z orbit.

- Nie, Jude, nie! - krzyknęła Marybeth.

Odrócił się na pięcie i pochylił. Przez moment widział dziewczynkę wpatrującą się w niego wielkimi okrągłymi oczami, a potem armata w jej dłoniach wypaliła. Huk był ogłuszający. Stojący na blacie wazon pełen białych kamyczków, w które wetknięto kilka sztucznych orchidei, eksplodował. W powietrzu zaroilo się od odłamków szkła i kamieni.

Dziewczynka zachwiała się i poleciała do tyłu, potknęła się na podwiniętej wykładzinie. Bon skoczyła na nią, lecz Reese wypro-

stowała się i w chwili gdy pies uderzył - dość mocno, by zbić ją z nóg - rewolwer znów wypalił.

Pocisk trafił Bon nisko, w brzuch i obrócił ją w powietrzu. Su-ka wywinęła bezwładne salto i uderzyła o szafki pod zlewem. Wywróciła oczy, otworzyła pysk - pies z czarnego dymu wyprysnął spomiędzy jej szczęk niczym dżin z dzióbka arabskiej lampy i przebiegł obok dziewczynki na werandę.

Przycupnięta na stole kotka zobaczyła go i zasyczała najeżona. Śmignęła w prawo, pies z czarnego dymu wskoczył lekko na stół. Cienista Bon żartobliwie kłapnęła szczękami, próbując złapać koci ogon, a potem pomknęła za kotką. Duch psa zeskoczył na podłogę, przebiegł przez promień słońca i zniknął.

Jude wpatrywał się w miejsce, w którym rozpląnął się niesamowity cienisty pies, przez moment zbyt oszołomiony, by cokolwiek zrobić. Mógł jedynie odczuwać zachwyt i poruszenie tak głębokie, że przypominało wstrząs elektryczny. Doznał zaszczytu, widząc coś pięknego i wiecznego.

A potem spojrzął na puste, martwe ciało Bon. W jej brzuchu ziała upiorna rana, krwawa paszcza, z której wylewał się niebieski kłęb wnętrzości. Długa różowa wstęga języka zwisała z otwartego pyska. Nie wydawało się możliwe, by jeden strzał do tego stopnia mógł ją rozerwać, że wyglądała jak wypatroszona. Krew była wszędzie - na ścianach, szafkach, na nim, rozlewała się po podłodze ciemną kałużą.

Jude popatrzył z niedowierzaniem na dziewczynkę. Zastanawiał się, czy widziała przebiegającego obok psa z czarnego dymu. Miał nawet ochotę zapytać, lecz zabrakło mu słów. Reese opierała się na łokciach, jedną ręką celując do niego z kolta.

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Nagle w ciszy zabrzmiał monotony głos z radia.

- Dzikie konie w parku Yosemite padają z głodu po miesiącach suszy. Eksperci obawiają się, że wiele z nich zginie, jeśli nie podejmie się szybkich działań. Twoja matka umrze, jeśli go nie zastrzelisz. Ty także umrzesz.

Reese nie pokazała po sobie, że słyszy te słowa. Może faktycznie nie słyszała, przynajmniej nie świadomie. Jude zerknął

w stronę odbiornika. Na zdjęciu obok Craddock wciąż stał z ręką na ramieniu Reese, teraz jednak jego oczy przesłaniały znaki śmierci.

- Nie pozwól mu się zbliżyć. Przyszedł tu zabić was obie - oznajmił głos w radiu. - Zastrzel go, Reese. Zastrzel.

Musiał uciszyć radio; powinien był wcześniej posłuchać impulsu nakazującego je rozwalić. Odwrócił się w stronę blatu - nieco zbyt szybko, jedną stopą pojechał naprzód, ślizgając się we krwi. Podeszwa rozdierająco zapiszczała na podłodze. Zachwiał się i postawił chwiejny krok w stronę Reese. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu. Uniósł prawą rękę w geście, który miał ją uspokoić, pokazać, że nie ma złych zamiarów, i w ostatniej sekundzie uświadomił sobie, że wciąż trzyma w niej łyżkę do opon i że dziewczynka z pewnością zinterpretuje to jako wstęp do ataku.

Nacisnęła spust, kula z ogłuszającym brzękiem trafiła w łyżkę do opon, rykoszetowała i oderwała mu palec wskazujący. Jude zbryzgany krwawym pyłem popatrzył na swoją rękę z niedowierzaniem. Ręka łapiąca akordy. Wypuścił łyżkę do opon. Z brzękiem upadła na podłogę.

Marybeth wołała go, lecz jej głos dobiegał z tak daleka, że równie dobrze mogła być na ulicy. Ledwie ją słyszał poprzez skowyt w uszach. Niebezpiecznie zakręciło mu się w głowie, poczuł, że musi usiąść. Ale nie usiadł. Położył lewą dłoń na kuchennym blacie i powoli się cofał w stronę Marybeth i garażu.

W kuchni śmierdziało prochem i rozgrzanym metalem. Jude podniósł wysoko prawą rękę. Kikut palca nie krwawił aż tak bardzo - krew zmoczyła mu dłoń, ściekając po wewnętrznej stronie ręki, ale kapłała powoli i to go zaskoczyło. Ból też okazał się do zniesienia. Ręka ciążyła mu nieprzyjemnie, napięcie zbierało się w kikucie, w ogóle nie czuł zranionej twarzy. Zerknął na podłogę i przekonał się, że zostawia za sobą szlak wielkich kropel krwi i czerwonych odcisków podeszew.

Miał wrażenie, że wzrok jednocześnie wyostrzył mu się i zniekształcił, jakby na głowie miał kuliste akwarium. Jessica Price klęczała, przyciskając ręce do gardła. Twarz miała czerwoną i opuchniętą, jak po ostrej akcji alergicznej. O mało nie wybuch-

nał śmiechem. Kto nie ma alergii na rurkę uderzającą w szyję? Potem pomyślał, że w ciągu zaledwie trzech dni zdołał okaleczyć obie dłonie, i z trudem zwalczył niemal konwulsyjną ochotę do śmiechu. Będzie musiał nauczyć się grać na gitarze stopami.

Reese patrzyła na niego poprzez snujący się w kuchni brudny dym, oczy miała wielkie i przerażone, dostrzegł w nich jednak także cień skruchy, przeprosin. Obok na podłodze leżał rewolwer. Jude pomachał jej zabandażowaną lewą dłonią, choć sam nie miał pewności, co właściwie chciał wyrazić tym gestem. Może próbował ją zapewnić, że nic mu się nie stało. Niepokoiło go, jak bardzo zbladła. Może już nigdy nie otrząśnie się z tego wszystkiego, a przecież nic tu nie było jej winą.

A potem Marybeth chwyciła go za rękę. Byli w garażu. Nie, wyszli już z garażu na oślepiające słońce, a Angus wspiął się na tylne łapy, opierając przednie o pierś Jude'a, który o mało się nie wyrócił.

- Zejdz z niego! - krzyknęła Marybeth, lecz jej głos nadal zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.

Jude naprawdę pragnął usiąść - tu, na podjeździe, gdzie mógłby nadstawić twarz do słońca.

- Nie rób tego. - Marybeth go szarpnęła, gdy zaczął osuwać się na ziemię. - Nie. Chodź do samochodu.

Zachwiał się i poleciał ku niej. Zarzucił rękę na jej ramiona i zataczając się, ruszyli po spadzistym podjeździe. Para naćpanych nastolatków na balu maturalnym, próbująca tańczyć do wtóru Stairway to Heaven. Tym razem roześmiał się w głos. Marybeth była przerażona.

- Jude, musisz mi pomóc. Nie mogę cię nieść. Jeśli upadniesz, nie damy rady wstać.

Napięcie w jej głosie poruszyło nim, zapragnął spisać się lepiej. Odetchnął głęboko, próbując się uspokoić, wbił wzrok w czubki martensów, skupiając się na przesuwaniu ich naprzód. Czuł się trochę jak pijak próbujący przejść po trampolinie. Ziemia zdawała się uginać i kołysać, niebo przechyliło się niebezpiecznie.

- Do szpitala... - zaczęła Marybeth.

- Nie. Wiesz dlaczego.
- Muszę...
- Nie musisz. Powstrzymam krwawienie. - Kto jej odpowiadał? Brzmiało to jak jego własny, zaskakująco rozsądny głos.

Jude uniósł wzrok, ujrzał mustanga. Świat wirował wokół niego jak w kalejdoskopie - zbyt jaskrawe zielone trawniki, grządka z kwiatami, kredowobiała przerażona twarz Marybeth. Odechnął głęboko słodkim, dodającym otuchy zapachem jej włosów, a potem wzdrygnął się, czując smród prochu i martwego psa.

Okrzyżyli samochód. Marybeth wepchnęła go na fotel pasażera, potem pospieszyła wokół maski mustanga, złapała Angusa za obrozę i zaczęła go ciągnąć do drzwi.

Próbowała je otworzyć, gdy furgonetka Craddocka wypadła z rykiem z garażu. Opony piszczały na betonie, w powietrze wzleciał tłusty kurz. Craddock siedział za kierownicą. Furgonetka skręciła z podjazdu, przejechała przez trawnik, z trzaskiem rozwalila palikowe ogrodzenie. Wypadła na chodnik i dalej na drogę.

Marybeth puściła Angusa i rzuciła się na maskę samochodu tuż przedtem, nim furgonetka wbiła się w bok mustanga. Siła zderzenia cisnęła Jude'a na drzwi. Mustang się obrócił z taką siłą, że Marybeth zleciała z maski. Furgonetka uderzyła w ich wóz z osobiwie plastikowym hukiem, któremu towarzyszył przeszywający skowyt bólu.

Na drogę posypało się stłuczone szkło. Jude uniósł głowę i ujrzał stojący obok mustanga wiśniowy kabriolet Jessiki McDermott Price. Furgonetka zniknęła. W ogóle jej tam nie było. Białe jajo poduszki powietrznej eksplodowało z kierownicy. Jessica siedziała bez ruchu, ściskając głowę w dłoniach.

Powinien coś czuć - nagłacy pośpiech, strach - ale ogarnęła go tępa senność. Na moment ogluchł. Przełknął kilka razy, by przeczyścić uszy.

Sprawdził, co z Marybeth. Właśnie siadała na chodniku. Nie było powodów do zmartwienia, nic jej się nie stało. Wydawała się równie oszołomiona jak on, podbródek miała zadrapany, włosy

w oczach. Jude obejrzał się na kabriolet. Okno od strony kierowcy było opuszczone albo wypadło; wisiąca z niego bezwładna ręka Jessiki. Poza tym w ogóle jej nie widział.

Gdzieś ktoś zaczął krzyczeć. Dziewczynka wzywała matkę.

Do prawego oka Jude'a kapnął pot, a może krew. Odruchowo uniósł prawą dłoń, by je wytrzeć, i przesunął po czole kikutem palca. Zupełnie jakby położył rękę na rozżarzonym grillu. Eksplozja bólu ogarnęła ramię i sięgnęła w głąb piersi, gdzie przerodziła się w coś innego - krótki oddech, lodowate ukłucia za mostkiem... uczucie jednocześnie przerażające i dziwnie fascynujące.

Marybeth okrążyła chwiejnie mustanga i ze zgrzytem pogiętego metalu otworzyła drzwi od strony kierowcy. Stała tam, trzymając w ramionach coś, co wyglądało jak olbrzymi czarny worek. Z worka coś kapało. Nie - to nie był worek, tylko Angus. Marybeth odchyliła fotel kierowcy i nim wsiadła, wepchnęła psa na tył.

Gdy włączyła silnik, Jude odwrócił głowę. Rozpaczliwie chciał sprawdzić, co z jego psem, lecz jednocześnie okropnie tego nie chciał. Angus uniósł łeb, patrząc na niego mokrymi, szklistymi, przekrwionymi oczami. Zaskomlił cicho. Tylne łapy miał zmiażdżone, z futra sterczał odłamek kości.

Judas powiódł wzrokiem od Angusa do Marybeth, rejestrując jej zadrapaną szczękę, ponuro zaciśnięte usta. Opatrunek okrywający upiornie pomarszczoną prawą dłoń całkiem przesiąkł.

- Spójrz tylko na naszą trójkę - powiedział. - Nieźle wyglądamy, co? - Zakasłał. Mrowienie w piersi ustępowało, ale bardzo wolno.

- Znajdę szpital.
- Żadnych szpitali. Jedź na autostradę.
- Bez pomocy możesz umrzeć.
- Jeśli trafimy do szpitala, umrę na pewno. I ty także. Craddock z łatwością nas wykończy. Póki Angus żyje, mamy szansę.
- Co Angus może...
- Craddock nie boi się tego psa, tylko psa wewnątrz niego.
- O czym ty mówisz, Jude? Nie rozumiem.

- Ruszaj. Mogę powstrzymać krwawienie palca. To tylko jeden palec. Wyjedź na drogę, na zachód. - Uniósł prawą rękę ponad głowę, by powstrzymać krwawienie. Powoli zaczynał myśleć, ale nie musiał się zastanawiać, dokąd jechać. W grę wchodziło tylko jedno miejsce.

- Kurwa, a co jest na zachodzie? - spytała Marybeth.

- Luizjana - odparł. - Dom.

39

Apteczka, która towarzyszyła im od Nowego Jorku, leżała na podłodze z tyłu. Została w niej jedna niewielka rolka bandaża i przeciwbólowy motrin w błyszczących, trudnych do rozdarcia saszetkach. Najpierw zażył mortin, rozdzierając saszetki zębami i przetykając bez popijania - w sumie sześć, 1200 miligramów. Nie wystarczyło, ręka nadal przypominała bryłę rozgrzanego żelaza leżącą na kowadle, powoli, metodycznie okładaną przez kogoś młotem.

Jednocześnie ból odganiał chmury zasnuwające mu umysł, był niczym kotwica dla świadomości, więź łącząca go z prawdziwym światem: autostrada, przepływającymi obok zielonymi drogowskazami, buczeniem klimatyzacji.

Jude nie był pewien, jak długo jeszcze zdoła myśleć rozsądnie. Chciał skorzystać z tego czasu, by jak najwięcej wyjaśnić. Mówił niepewnie przez zaciśnięte zęby, czyniąc długie pauzy. W tym samym czasie owijał rękę kolejnymi warstwami bandaża.

- Farma mojego ojca leży tuż za granicą Luizjany, w Moore's Corner. Dotrzemy tam za niecałe trzy godziny. Przez trzy godziny się nie wykrwawię. On jest chory, rzadko odzyskuje przytomność. Mieszka tam moja stara ciotka, dyplomowana pielęgniarka. Opiekuje się nim, a ja płacę jej pensję. Ma morfinę, by łagodzić jego ból. A u ojca są psy. To chyba - ja pierdołę, o matko, kurwa - dwa psy, owczarki takie jak moje, dzikie bestie.

Kiedy skończył z bandażem, spiął go ciasno zaciskami. Zzuł buty, pomagając sobie palcami u stóp. Naciągnął skarpetkę na prawą dłoń, drugą skarpetkę obwiązał wokół przegubu i zacisnął

tak mocno, by spowolniła, lecz nie odcięła krążenia. Przez chwilę przyglądał się skarpetkowej kukielce własnej dłoni. Czy zdoła nauczyć się łapać akordy bez palca wskazującego? Mógł zastoso-
wować ślizgi albo przerzucić się z powrotem na lewą rękę, jak przed wieloma laty. Na tę myśl znów wybuchnął śmiechem.

- Przestań - warknęła Marybeth.

Zacisnął zęby, zmusił się, by przestać. Sam słyszał w swym śmiechu histerię.

- Ta twoja starsza ciocia nie wezwie glin? Nie będzie chciała wezwać ci lekarza?

- Ale tego nie zrobi.

- Czemu nie?

- Bo jej nie pozwolimy.

Po tych słowach Marybeth długo milczała. Jechała gładko, automatycznie, wymijając samochody lewym pasem i powracając na prawy po każdym manewrze. Cały czas utrzymywała prędkość 120 kilometrów na godzinę. Ostrożnie trzymała kierownicę białą, pomarszczoną, chorą lewą dłonią, w ogóle nie dotykała jej prawą, zakażoną.

- Jak uważasz? - spytała w końcu. - Jak to się skończy?
Jude nie miał dla niej odpowiedzi. Zamiast niego odpowiedział Angus, skomląc cicho, żałośnie.

40

Próbował obserwować drogę z tyłu, wypatrywać policji albo furgonetki Craddocka, lecz wczesnym popołudniem oparł głowę o boczne okienko i na moment przymknął oczy. Opony toczyły się po drodze z hipnotycznym dźwiękiem, monotonnym tum-tum-tum. Klimatyzacja, która nigdy wcześniej nie hałasowała, teraz wydawała z siebie zgrzytliwe dźwięki. One także miały w sobie coś hipnotyzującego: miarowy rytm, w jakim wentylatory wibrowały gwałtownie, potem cichły, wibrowały i cichły.

Poświęcił wiele miesięcy na odbudowę mustanga, a Jessica McDermott Price w jednej sekundzie zamieniła wóz z powrotem w kupę złomu. Wyrządziła mu takie krzywdy, o jakich zwykle słyszy się tylko w piosenkach country - zniszczyła samochód, zabiła psa i raniła drugiego, przegnała go z domu i zamieniła w uciekiniera. To niemal zabawne. Kto by pomyślał, że utrata palca i pół litra krwi tak dobrze działa na poczucie humoru.

Nie. To nie było zabawne. Musiał pamiętać, by znów się nie roześmiać. Nie chciał przerazić Marybeth. Nie chciał, by myślała, że zaczyna wariować.

- Zupełnie zwariowałaś - powiedziała Jessica Price. - Nigdzie nie pójdziesz. Musisz się uspokoić. Dam ci coś na uspokojenie i porozmawiamy.

Słyszac jej głos, Jude uniósł powieki.

Siedział w wiklinowym fotelu przy ścianie pogrążonego w półmroku korytarza, na piętrze domu Jessiki Price. Nie widział piętra, nie zapuścił się aż tak daleko, lecz i tak natychmiast zorientował się, gdzie jest teraz. Świadczyły o tym zdjęcia, duże,

oprawione w ramki fotografie wiszące na ścianach wykładanych ciemnymi panelami z drewna. Jedno z nich, lekko rozmyte, zrobiono w szkole. Przedstawiało Reese w wieku około ośmiu lat. Pozowała przed niebieską kotarą i uśmiechała się szeroko, demonstrując aparat na zębach. Uszy miała odstające. Słodki łobuziak.

Drugi portret był starszy, lekko wyblakły. Przedstawiał prostego jak świeca, barczystego kapitana o pociągłej twarzy, błękitnych oczach i dużych ustach o wąskich wargach, który bardziej niż trochę przypominał Charltona Hestona. Mina Craddocka na tym zdjęciu wydawała się odległa i arogancka jednocześnie. Padnij i zrób dwadzieścia pompek.

W głębi korytarza, po lewej stronie, Jude ujrzał szerokie schody kończące się w holu. Anna wspinała się po nich, dotarła już do połowy. Tuż za nią dreptała Jessica. Anna była zarumieniona, stanowczo zbyt chuda - kości łokci i kolan sterczały ostro pod skórą, ubranie wisiało na niej luźno. Dawna gotka zniknęła: zero makijażu, czarnego lakieru do paznokci, kolczyków w uszach czy nosie. Miała na sobie białą tunikę, wyblakłe różowe szorty gimnastyczne i rozwiązane tenisówki. Jej włosy sprawiały wrażenie nieczesanych od paru tygodni. Powinna wyglądać okropnie, wychudzona i zaniedbana, ale nie. Była równie piękna jak owego lata, które spędzili w stodole, remontując mustanga, z kręcącymi się wokół psami.

Na jej widok Jude poczuł niemal obezwładniającą falę emocji: wstrząs, żal i podziw. Uczucia te przepełniły go nieznośnie, aż do granic. Całkiem możliwe, że było ich więcej, niż potrafiłby pomieścić w sobie w rzeczywistości - tutejszy świat wykrzywił się na granicy wzroku, rozmazywał i zniekształcał. Korytarz wyglądał jak rodem z Alicji w Krainie Czarów, zbyt mały z jednej strony, z drzwiczkami, przez które mógłby przecisnąć się jedynie kot, i zbyt duży z drugiej. Portret Craddocka rósł i rósł, aż w końcu dorównał rozmiarem oryginałowi. Głosy kobiet na schodach stały się niższe, rozwlekłe, niemal niezrozumiałe. Zupełnie jakby słuchał płyty zwalniającej po gwałtownym wyłączeniu adaptera.

Miał właśnie zawołać Annę, pragnął podejść do niej - kiedy jednak świat zaczął się odkształcać, wcisnął się głębiej w fotel. Serce mocno mu waliło. Po chwili wzrok się przejaśnił, korytarz wyprostował, głosy Anny i Jessiki znów były wyraźne. Jude pojął, że otaczająca go wizja jest bardzo krucha i nie może w żaden sposób jej zakłócać. Musiał milczeć, siedzieć bez ruchu, nie podejmować żadnych działań, jak najmniej czuć; jedynie patrzeć.

Anna zaciskała dłonie w drobne, kościste piąstki. Z nieskrywaną złością wspinała się na schody, tak że jej siostra musiała podbiegać, by dotrzymać jej kroku. Chwyciła się poręczy, żeby nie upaść.

- Zaczekaj! Stój! - Jessica odzyskała równowagę i rzuciła się naprzód, łapiąc Annę za rękaw. - To histeria!

- Nieprawda! Nie dotykaj mnie! - odparła Anna jednym tchem.

Odwróciła się do starszej siostry, która w jasnej jedwabnej spódnicy i jedwabnej bluzce barwy czarnej kawy stała sztywno dwa stopnie niżej. Łydki Jessiki napięły się, na szyi wystąpiły ściegna. Wykrzywiający twarz grymas sprawił, że w tym momencie wyglądała staro - nie jak czterdziestolatka, lecz jak kobieta dobrze po pięćdziesiątce. Bała się. Jej blada twarz poszarzała, zwłaszcza na skroniach, kąciki ust wygięły się, podkreślając rozchodzące się z nich zmarszczki.

- Owszem, wpadłaś w histerię. Wyobrażasz sobie coś straszniejszego, to jedna z twoich paskudnych fantazji. Nie wiesz, co jest prawdziwe, a co nie. Nie możesz nigdzie pójść w takim stanie.

- Te zdjęcia też sobie wymyśliłam? - Anna trzymała w ręce kopertę. Wyjęła z niej polaroidy, rozłożyła w wachlarz, pokazując Jessice, po czym cisnęła w nią. - To twoja córka! Ma jedenaście lat!

Jessica Price wzdrygnęła się, unikając lecących ku niej fotek. Zdjęcia posypały się na schody wokół jej stóp. Jude zauważył, że Anna wciąż trzyma jedno z nich. Wsunęła je z powrotem do koperty.

- Wiem, co jest prawdziwe - oznajmiła Anna. - Może po raz pierwszy w życiu.

- Tatusiu! - jęknęła Jessica.

- Wyjeżdżam - ciągnęła Anna. - Kiedy następnym razem mnie zobaczysz, przyjadę z jego prawnikami. Po Reese.

- Myślisz, że on ci pomoże? - wyszeptwała Jessica.

On? Jude potrzebował chwili, by pojąć, że mówiły o nim. Zawsędziła go prawa ręka, opuchnięta i rozpalona, jakby pogryzły ją mrówki.

- Jasne że tak.

- Tatusiu! - powtórzyła Jessica, tym razem głośniej.

Po prawej ręce Jude'a w głębi ciemnego korytarza otworzyły się drzwi. Zerknął tam, spodziewając się ujrzeć Craddocka, ale nie - Reese wystawiła głowę poza framugę, jeszcze dziecko. Reese o złotych włosach Anny. Długi kosmyk opadał jej na oczy zogromniałe ze strachu. Jude'a ogarnęło współczucie.

- Wszystko wyjdzie na jaw - oznajmiła Anna. - I cieszę się. Chcę o tym opowiedzieć. Mam nadzieję, że trafi do więzienia.

- Tatusiu!!! - wrzasnęła Jessica.

I wtedy drzwi naprzeciwko pokoju Reese się otworzyły i wyłoniła się z nich wysoka, chuda, kanciasta postać. Craddock był tylko czarną sylwetką wśród cieni, pozbawioną szczegółów prócz okularów w rogowej oprawie, które nosił od czasu do czasu. W ich soczewkach odbijało się i skupiało światło, dlatego lśniły w mroku słabym jasnorożowym blaskiem. Za jego plecami w pokoju brzęczał klimatyzator, miarowo, cyklicznie, dziwnie znajomo.

- Co to za hałas? - spytał Craddock ochryłym, ociekającym słodyczą tonem.

- Anna wyjeżdża - powiedziała Jessica. - Wraca do Nowego Jorku, do Judasa Coyne'a, i mówi, że ściągnie jego prawników...

Anna spojrzała w głąb korytarza, w stronę ojca. Jude'a nie widziała. Jej policzki płonęły ciemną czerwienią, wysoko na kościach policzkowych odcinały się dwie białe plamy. Cała się trzęsła.

- ...jego prawników i policję, i powie wszystkim o tobie i o Reese.

- Reese jest tutaj, Jessie - odparł Craddock. - Uspokój się. Spokojnie.

- I jeszcze... znalazła pewne zdjęcia - dodała niezręcznie Jessica, po raz pierwszy zerkając na córkę.

- Czyżby? - W głosie Craddocka dźwięczał niewzruszony spokój. - Anno, skarbie, przykro mi, że tak się nakreśliłaś. Ale to nie pora, by się denerwować. Jest późno, córeczko. Już prawie zmierzcha. Usiądźmy. Porozmawiamy o wszystkim, co cię trapi. Sprawdźmy, czy zdołam cię uspokoić. Jeśli tylko dasz mi szansę, na pewno się uda.

Wyglądało na to, że Anna ma nagle kłopoty z głosem. W jej błyszczących oczach pojawił się strach.

- Trzymaj go z dala ode mnie, Jesse - powiedziała. - Albo Bóg mi świadkiem, zabiję go.

- Nie może wyjechać - powiedziała Jessica do Craddocka. - Jeszcze nie.

Jeszcze nie? Jude zastanawiał się, co to może znaczyć. Czy Jessica sądziła, że jest jeszcze coś, o czym muszą porozmawiać? Według niego wyglądało, że rozmowa dobiegła końca.

Craddock spojrzął z ukosa na Reese.

- Wracaj do swojego pokoju. - Wyciągnął rękę, jakby chciał ją pogłaskać po głowie.

- Nie dotykaj jej! - krzyknęła Anna.

Ręka Craddocka zamarła, zawisała w powietrzu tuż nad głową Reese - a potem się cofnęła.

I wtedy coś się zmieniło. W mroku korytarza Jude niezbyt dobrze widział Craddocka, ale wydało mu się, że dostrzega subtelną zmianę języka ciała, kąta ramion, przechylenia głowy czy może rozstawienia stóp. Nagle skojarzył mu się z człowiekiem zamierzającym złapać jadowitego węża.

Craddock nie odrywał wzroku od Anny.

- Zmykaj stąd, skarbie - rzekł w końcu, nadal zwracając się do Reese. - Dorośli muszą porozmawiać. Już zmierzcha, czas, by do rośli porozmawiali bez przeszkadzających im małych dziewczynek.

Reese obejrzała się na Annę i matkę. Anna spojrzała jej w oczy i niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

- Zmykaj, Reese - powiedziała. - Dorośli muszą porozmawiać.

Dziewczynka zamknęła się w swoim pokoju. Chwilę później dobiegł stamtąd stłumiony łomot muzyki, kanonada bębnow i ogłuszający jak pociąg wypadający z torów skowyt gitary, a po nim dzieci wrzeszczące radośnie ochryplym chórem. Była to dziecięca wersja Put You in Yer Place, ostatniego numeru Jude'a, który trafił na listy przebojów.

Craddock wzdrygnął się, zaciskając pięści.

- Ten człowiek - wyszeptał.

I kiedy ruszył w stronę Anny i Jessiki, zdarzyło się coś dziwnego. Podest na szczycie schodów oświetlało gasnące słońce przenikające przez wielkie frontowe okno. Kiedy Craddock zbliżał się do pasierbic, światło padło mu na twarz, odsłaniając najdrobniejsze detale: mocne kości policzkowe, głębokie zmarszczki wokół ust. Lecz szkła okularów pociemniały, zakrywając oczy kręgami czerni.

- Odkąd wróciłaś do nas od tego człowieka, nie jesteś już taka sama. Nie umiem stwierdzić, co w ciebie wstąpiło. Anno, kochanie, już wcześniej miewałaś gorsze okresy - nikt nie wie o tym lepiej ode mnie - ale wygląda to, jakby ten Coyne pogłębił twoje smutki tak bardzo, że nie słyszysz już mojego głosu, gdy próbuję do ciebie mówić. Boli mnie, kiedy widzę, jaka jesteś nieszczęśliwa i pogubiona.

- Nie jestem pogubiona i nie jestem twoim kochaniem. I mówię ci, jeżeli się zbliżysz, pożałujesz.

- Dziesięć minut, tatusiu - powiedziała Jessica.

Craddock machnął na nią ręką w niecierpliwym, uciszającym geście. Anna zerknęła na siostrę i z powrotem skupiła wzrok na Craddocku.

- Oboje się mylicie. Jeśli sądzicie, że zdołacie zatrzymać mnie tu siłą, to oboje się mylicie.

- Nikt nie będzie cię zmuszał do czegoś, czego nie chcesz. - Craddock minął Jude'a. Twarz miał pomarszczoną, bardzo bladą, od białej skóry wyraźnie odcinały się piegi. Idąc, powłóczył nogami, był przygarbiony; Jude domyślał się, że to trwałe zniekształcenie kręgosłupa. Lepiej wyglądał jako duch. - Myślisz, że Coyne ci pomoże? - ciągnął dalej Craddock. - Wyrzucił cię i chy-

ba nie odpowiada już nawet na twoje listy. Wcześniej cię nie wsparł. Czemu miałby to zrobić teraz?

- Nie wiedział jak. Sama nie wiedziałam. Teraz już wiem. Opowiem mu, co zrobiłeś. Powiem mu, że twoje miejsce jest w więzieniu. I wiesz co? Sam wezwie prawników, żeby cię tam posłać. - Spojrzała na Jessikę. - Ją też. Chyba że wcześniej zamkną ją w wariatkowie. Dla mnie to bez różnicy, byle tylko trzymali ją jak najdalej od Reese.

- Tatusiu! - krzyknęła Jessica, lecz Craddock znowu ją ucizył gestem.

- Myślisz, że w ogóle zechce cię widzieć? Że otworzy drzwi, kiedy zapukasz? Pewnie znalazł już sobie inną. Na tym świecie roi się od ładnych panienek gotowych zadrzeć spódniczkę przed gwiazdą rocka. W końcu nie masz niczego, co mogłabyś mu dać, a czego nie znalazłby gdzie indziej, bez niepotrzebnych uczuciowych komplikacji.

Anna wykrzywiła się boleśnie. Lekko oklapła, jak biegacz zdyszany i obolały po zawodach.

- Nieważne, czy jest z kimś innym. To mój przyjaciel - oznajmiła słabo.

- Nie uwierzy ci, nikt ci nie uwierzy, bo to nieprawda, kochanie, ani jedno słowo. - Craddock postąpił krok w jej stronę. - Znów ci się miesza, Anno.

- Zgadza się - dodała z zapalem Jessica.

- Nawet zdjęcia nie są tym, za co je uważasz. Mogę wszystko wyjaśnić, jeśli tylko mi pozwolisz. Mogę ci pomóc, jeżeli...

Podszedł za blisko. Anna doskoczyła, jedną ręką zerwała mu okulary i zgniotła. Drugą dłoń, wciąż ściskającą kopertę, oparła mu na piersi i pchnęła. Zachwiał się z krzykiem, upadł - nie na schody; Anna w żaden sposób nie próbowała go zepchnąć, nieważne, co twierdziła Jessica.

Craddock wylądował na chudym tyłku z łoskotem, który wstrząsnął całym korytarzem i przekrzywił portret na ścianie. Zaczął się podnosić, lecz Anna oparła mu stopę na ramieniu i pchnęła tak, że z powrotem wylądował na plecach. Cała się trzęsła.

Jessica wrzasnęła, dwoma skokami pokonała ostatnie stopnie, wyminęła Annę i uknęła u boku ojczyrna.

Jude podniósł się z krzesła. Nie mógł już dłużej siedzieć bez ruchu. Spodziewał się, że świat znów zacznie falować, i tak się stało - rozciągnął się absurdalnie niczym obraz odbity w bańce mydlanej. Zadzwońiło mu w uszach, miał wrażenie, że głowa znalazła się daleko od stóp - o kilometry. Gdy postawił pierwszy krok, poczuł się dziwnie lekki, jak nurek wędrujący po dnie oceanu. Zmierzając w głąb korytarza, siłą woli nakazał otaczającej go przestrzeni przybrać właściwy kształt i wymiary. Posłuchała. A zatem jego wola coś jednak znaczyła. Jeśli zachowa ostrożność, będzie mógł się poruszać w mydlanej bańce otaczającego go świata, nie niszcząc jej przy tym.

Bolały go ręce, obie, nie tylko prawa. Miał wrażenie, że napuchły do rozmiarów rękawic bokserskich. Ból nadchodził miarowymi rytmicznymi falami, w rytm jego pulsu, tum-tum-tum, w rytm szumu opon na asfalcie, i pulsowanie to mieszało się z brzęczeniem i hałasem klimatyzacji w pokoju Craddocka, tworząc osobliwie kojący chór bezsensownych dźwięków tła.

Rozpaczliwie chciał powiedzieć Annie, żeby uciekała, lecz miał przeczucie, że nie zdoła się przebić do rozgrywającej się przed nim sceny, nie niszcząc miękkiej materii snu. A poza tym przeszłość to przeszłość. Nie mógł zmienić tego, co się wkrótce stanie, tak jak nie zdołał ocalić siostry Bammy, Ruth, wołając jej imię. Nic nie można zmienić, ale można dać świadectwo.

Zastanawiał się, czemu Anna w ogóle poszła na górę. Pewnie chciała spakować parę rzeczy przed wyjazdem. Nie bała się ojca ani Jessiki, nie sądziła, że wciąż mają nad nią jakąś władzę - piękny, wzruszający, śmiertelnie groźny pokaz pewności siebie.

- Mówiłam, żebyś się nie zbliżał.

- Robisz to dla niego? - Do tej pory Craddock mówił tonem dżentelmena z Południa, teraz z jego głosu zniknęła uprzejmość. - To część wariackiego planu, który ma ci pozwolić go odzyskać? Myślisz, że zdobędziesz jego współczucie? Wrócisz do niego na kolanach, z żalną historyjką o tym, jak tatuś cię skrzywdził i że to ci zniszczyło życie? Założę się, że marzysz o chwili, gdy bę-

dziesz się chwalić, coś tu nagadała i jak mnie popchnęłaś, jak potraktowałaś starca, który opiekował się tobą, kiedy dostawałaś świra. Myślisz, że byłby z ciebie dumy, gdyby stał tutaj teraz i patrzył, jak mnie atakujesz?

- Nie - odparła Anna. - Myślę, że byłby dumny, gdyby zobaczył to. - Podeszła i splunęła mu w twarz.

Craddock wzdrygnął się, wydał z siebie zduszony krzyk, jakby ktoś prysnął mu w oko żrącym płynem. Jessica zaczęła się podnosić, rozcapierzając palce, lecz Anna uderzyła ją w ramię i popchnęła z powrotem na ziemię obok ojczyma.

Stała nad nimi rozdygotana, lecz nie tak wściekła, jak chwilę wcześniej. Jude sięgnął z wahaniem do jej ramienia, położył na nim obandażowaną lewą dłoń i ścisnął lekko. W końcu odważył się jej dotknąć. Anna niczego nie zauważyła. Przez moment rzeczywistość zafalowała, lecz Jude skupił się na dźwiękach tła, nakazując otoczeniu powrócić do normalności, zasłuchany w muzykę chwili: tum-tum-tum, brzęk i szumy.

- Brawo, Florydo - powiedział, zanim zdołał się powstrzymać. Świat się nie skończył.

Anna lekceważąco pokręciła głową. Kiedy się odezwała, w jej głosie znać było znużenie.

- I pomyśleć, że się ciebie bałam.

Odwróciła się, wysliznęła spod ręki Jude'a, poszła do pokoju na końcu korytarza i zamknęła za sobą drzwi.

Jude usłyszał cichy plusk. Spojrzał w dół. Przez skarpetę okrywającą jego prawą rękę przesiąkła krew i kapłała na podłogę. Srebrne guziki marynarki w stylu Johnny'ego Casha błysnęły w ostatnim łososiowym świetle dnia. Wcześniej nie zauważył, że ma na sobie garnitur nieboszczyka. Naprawdę pasował idealnie. Jude nawet przez moment nie zastanawiał się, jak to możliwe, że widzi rozgrywającą się przed nim scenę, lecz teraz znalazł odpowiedź na nie zadane pytanie. Kupił garnitur nieboszczyka i samego nieboszczyka - duch należał do niego, podobnie jak jego przeszłość. Teraz ta chwila także do niego należała.

Z pokoju Anny słychać było zgrzyt otwieranych i zamykanych szuflad, trzaśnięcie drzwi szafy. Jessica przykucnęła obok ojczyma.

- Zmierch - wyszeptała. - Wreszcie zmierch.

Craddock przytaknął. Pod lewym okiem miał zadrapanie, widocznie Anna zahaczyła o skórę paznokciem. Obok nosa spływała kropla krwi. Stał ją wierzchem dłoni, pozostawiając na policzku czerwoną smugę.

Jude obejrzał się w stronę wielkiego okna w holu. Niebo było ciemnoniebieskie i wciąż ciemniało, na horyzoncie za czubkami drzew i szczytami dachów ulicy jaśniała linia ciemnej czerwieni, w miejscu gdzie właśnie zniknęło słońce.

- Co zrobiłaś? - Craddock przemawiał cicho, niewiele głośniej od szeptu. Wciąż kipiał wściekłością.

- Parę razy pozwoliła mi się zahipnotyzować. To miało jej pomóc spać. Pozostawiłam sugestię.

W pokoju Anny na krótko zapadła cisza, a potem Jude usłyszał wyraźny brzęk szkła, butelki trącej się szklanek, a po nim cichy bulgot.

- Jaką sugestię? - spytał Craddock.

- Powiedziałam jej, że zmierch to doskonała pora na drinka, że to nagroda za kolejny przeżyty dzień. Trzyma butelkę w górnej szufladzie.

W pokoju Anny zaległa przerażająca cisza.

- I w czym to niby pomoże?

- W dzinie rozpuściłam fenobarbital - wyjaśniła Jessica. - Dzięki niemu sypia jak kamień.

Coś z brzękiem upadło na drewnianą podłogę w sypialni Anny. Szklanka.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął Craddock. - Wiedziałem, że coś masz.

- Tatusiu, musisz kazać jej zapomnieć. O zdjęciach, o tym, czego się dowiedziała. Musisz sprawić, że wszystko zniknie.

- Nie mogę. Od bardzo dawna nie mogłem tego zrobić. Kiedy była młodsza... bardziej mi ufała. Może ty...

Jessica pokręciła głową.

- Nie mogę wprowadzić jej w głęboki trans. Nie pozwoli mi, próbowałam. Gdy ostatnim razem ją zahipnotyzowałam, żeby pomóc zwalczyć bezsenność, próbowałam wypytać ją o Judasa

Coyne'a, o to, co napisała mu w listach, czy kiedykolwiek wspominała mu o... o tobie. Ale kiedy schodziłam na tematy osobiste, pytałam o coś, czego nie chciała mi powiedzieć, zaczynała śpiewać jedną z jego piosenek. Zupełnie jakby mnie do siebie nie dopuszczala. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

- To sprawka Coyne'a. - Craddock gniewnie wykrzywił usta, odsłonił zęby. - On ją zniszczył. Zniszczył. Zwrócił przeciwko nam. Wykorzystał ją, jak tylko chciał, zburzył cały jej świat, a potem odesłał do nas, żeby zburzyła i nasz. Równie dobrze mógł nam przysłać bombę w liście.

- To co zrobimy? Musi istnieć jakiś sposób, żeby ją powstrzymać. Nie może opuścić tego domu. Sam słyszałeś. Odbierze mi Reese, odbierze mi ciebie. Aresztują nas i nigdy już się nie zobaczymy, chyba że w sądzie.

Craddock oddychał powoli, z jego twarzy zniknęły wszelkie oznaki uczucia, pozostała jedynie tępa, ponura wrogość.

Co do jednego masz rację, mała. Nie może opuścić tego domu.

Trzeba było chwili, by znaczenie tych słów dotarło do Jessiki. Spojrzała pytająco.

- Tak, tatusiu?

- Wszyscy wiedzą, jak jest nieszczęśliwa. I wszyscy wiedzą, co ją czeka. Że któregoś dnia podetnie sobie żyły w wannie.

Jessica zaczęła kręcić głową. Spróbowała wstać, ale Craddock złapał ją za ręce i pociągnął z powrotem w dół, na kolana.

- Dżin i prochy też pasują. Mnóstwo ludzi wypija parę drinków i łyka pigułki, nim to zrobi. Nim się zabije. W ten sposób uciszą strachy i łagodzą ból.

Jessica nadal rozpaczliwie kręciła głową. Oczy miała przerażone, ślepe. Oddychała krótko, urywanie, bliska hiperwentylacji.

Craddock mówił spokojnie, cicho:

- Przestań w tej chwili. Chcesz, żeby Anna odebrała ci Reese? Chcesz spędzić dziesięć lat na państwowym chlebie? - Przyciągnął ją bliżej, tak że byli teraz twarzą w twarz. W końcu Jessica skupiła na nim spojrzenie, głowa przestała jej kołysać się na boki. - To nie nasza wina. To wina Coyne'a, to on zapędził nas

w ten róg. Słyszysz? To on przysłał nam obcą kobietę, która chce nas zniszczyć. Nie wiem, co się stało z naszą Anną. Anna, z którą dorastałaś, nie żyje, Coyne tego dopilnował. Uważam, że ją zabił. Równie dobrze sam mógł jej podciąć żyły. I odpowie za to. Nauczę go, co to znaczy wtrącać się w sprawy rodziny. A teraz cicho. Oddychaj, słuchaj mojego głosu. Przejdziemy przez to razem. Pomogę ci przez to przejść, tak jak pomagałem we wszystkich trudnych chwilach twojego życia. Musisz mi zaufać. Odetchnij głęboko. I jeszcze raz. Lepiej?

Jej szaroniebieskie oczy błyszczały jak w transie. Oddech świszczał w ustach, powolny, przeciągły.

- Dasz radę to zrobić - powiedział Craddock. - Wiem, że dasz radę, dla Reese. Zrobisz wszystko, co trzeba.

- Spróbuję - odparła Jessica. - Ale musisz mi powiedzieć. Musisz powiedzieć, co mam zrobić. Nie jestem w stanie myśleć.

- Nie szkodzi, mogę myśleć za nas oboje. A ty nie musisz nic robić, jedynie podnieść się i przygotować ciepłą kąpiel.

- Tak. Oczywiście.

Zaczęła wstawać, lecz Craddock przytrzymał ją jeszcze na moment.

- A kiedy skończysz - rzekł - pobiegnij na dół i przynieś mi stare wahadełko. Będę potrzebował czegoś do przecięcia żył.

Puścił ją. Jessica podniosła się tak szybko, że straciła równowagę i musiała przytrzymać się ściany. Odwróciła się jak w transie, otworzyła drzwi po lewej stronie i weszła do wyłożonej białymi kafelkami łazienki.

Craddock pozostał na ziemi, dopóki z łazienki nie dobiegł go szum wody. Wówczas dźwignął się ciężko i stanął tuż obok Jude'a.

- Ty stary chuju - powiedział Jude.

Mydlany świat zadrżał i zafalował. Jude zacisnął zęby, nakazując mu powrót do dawnych kształtów.

Craddock znowu odsłonił zęby w paskudnym grymasie. Powoli ruszył do pokoju Anny, przygarbiony, chwiejąc się lekko - jakby przewracając go, coś mu odebrała. Pchnięciem otworzył drzwi. Jude podążył tuż za nim.

Pokój Anny miał dwa okna, ale oba wychodziły na tyły domu, na wschód. Panowała tu już noc, pomieszczenie zasnuły błękitne cienie. Anna siedziała na łóżku, obok pospiesznie zapakowanego plecaka, z boku którego wystawał rękaw czerwonego swetra. U jej stóp leżała pusta szklanka. Anna miała twarz pustą, szklistymi oczami wpatrywała się w jakiś niewiarygodnie odległy punkt. W jednej dłoni trzymała kremową kopertę z tkwiącym w środku zdjęciem - dowód. Na jej widok Jude'owi zrobiło się słabo.

Usiadł na łóżku obok niej. Materac zaskrzypiał pod jego ciężarem, lecz Anna ani Craddock tego nie zauważyli. Położył lewą dłoń na prawej ręce Anny. Rana pośrodku dłoni znów krwawiła, okręcona luźnym, przemoczonym bandażem. Prawej ręki, zbyt ciężkiej i zbyt bolesnej, nie mógł nawet podnieść.

Craddock pochylił się nad pasierbicą, spojrzął z namysłem w jej twarz.

- Anno, słyszysz mnie? Słyszysz mój głos?

Zamrugła.

- Co? Mówiłeś coś, tatusiu? Słuchałam Jude'a. W radiu. To moja ulubiona piosenka.

- Ten człowiek! - Craddock niemal wypluł te słowa. Chwycił rożek koperty i wyrwał ją Annie.

A potem wyprostował się, odwrócił do okna i zaciągnął roletę.

- Kocham cię, Florydo - powiedział Jude. Sypialnia wokół niego napęczniała jak bańka mydlana gotowa pęknąć, a potem znów oklapła.

- Kocham cię, Jude - odparła cicho Anna.

Craddock drgnął. Obejrzał się z namysłem.

- Wkrótce będziecie razem, ty i on - oznajmił. - Tego przecież chciałaś i to dostaniesz. Tatuś wszystkiego dopilnuje. Tatuś was połączy.

- Niech cię szlag - rzucił Jude i tym razem, kiedy pokój zaczął rosnać i rozciągać się, nie potrafił skupić się na tum-tum-tum, przywrócić świata do właściwych kształtów. Ściany wydęły się i oklapły niczym pranie wiszące na sznurze i poruszane wiatrem.

Powietrze w pokoju było ciepłe i ciężkie, pachniało spalinami i psem. Jude usłyszał za plecami ciche skomlenie. Obejrzał się i ujrzał Angusa leżącego na łóżku w miejscu, gdzie chwilę wcześniej spoczywał plecak Anny. Pies oddychał ciężko, oczy miał żółte i zaropiałe, z wykręconej nogi sterczał ostry odłamek czerwonej kości.

Jude spojrzął na Annę... lecz teraz obok niego na łóżku siedziała Marybeth. Miała brudną, zaciętą twarz.

Craddock zaciągnął roletę i pokój jeszcze bardziej pociemniał. Jude wyjrzał przez drugie okno, zobaczył zieleń na poboczu autostrady międzystanowej, palmy, śmieci pośród chaszczy, a potem zieloną tablicę z napisem ZJAZD 9. Jego dłonie pulsowały, tum-tum-tum. Klimatyzacja mruczała, buczała, szumiała. Po raz pierwszy zastanowił się, jakim cudem wciąż słyszy klimatyzator Craddocka. Pokój starego pozostał przecież po drugiej stronie korytarza. Coś zaczęło tykać miarowo jak metronom. Kierunkowskaz.

Craddock podszedł do drugiego okna, zasłaniając widok na autostradę. Spuścił także tę roletę, pogrążając pokój Anny w zupełnej ciemności.

Jude spojrzął na Marybeth, która prowadziła jedną ręką, zaciskając szczęki. Mała lampka mrugała bezustannie na desce rozdzielczej. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, choć nie wiedział co. Może...

41

Co robisz? - własny głos zabrzmiał mu obco w uszach. Marybeth skręcała właśnie mustangiem w stronę zjazdu. - To nie tutaj.

- Od pięciu minut próbowałam cię obudzić. Myślałam, że wpadłeś w śpiączkę czy coś. Tu jest szpital.

- Jedź dalej. Już się obudziłem.

W ostatniej chwili zjechała z powrotem na autostradę. Ktoś z tyłu zatrąbił z irytacją.

- Jak się trzymasz, Angus? - Jude odwrócił się do psa.

Wsunął rękę między siedzenia i dotknął przedniej łapy Angusa. Pies polizał go po palcach.

- Dobry piesek - wyszeptał Jude. - Dobry piesek.

W końcu przekręcił się i usiadł z powrotem. Skarpetkowa pacynka na jego prawej dłoni miała czerwoną twarz. Bardzo potrzebował czegoś, co złagodziłoby ból, i pomyślał, że może znajdzie to w radiu: Skynyrd albo w ostateczności The Black Crows. Nacisnął włącznik i szybko kręcił gałką, przeskakując od głośniego szumu do dopplerowskich, pulsujących, szyfrowanych transmisji wojskowych, a potem do Hanka Williamsa III czy może po prostu Hanka Williamsa, Jude nie potrafił stwierdzić, bo sygnał był tak słaby, a potem...

Potem tuner wyłapał idealnie wyraźną transmisję.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że masz w sobie tyle pary, chłopcze. - Głos Craddocka, serdeczny i bliski, dobiegał z wbudowanych w drzwi głośników. - Nie potrafisz się poddać. W zwykłych okolicznościach bardzo byś tym u mnie zaplusował, ale oczywiście okoliczności nie są zwykłe. Rozumiesz chyba? - Za-

śmiał się. - Ja sam też lubię przejażdżki przy otwartym oknie; ot, ruszyć w drogę, nieważne dokąd, każdy cel się nada. Ludzie zwykle myślą, że nie znają znaczenia słowa poddać się, ale to nieprawda. Kiedy uśpiś ich mocno, wprowadzisz w głęboki trans, bardzo głęboki, może wzmocniony porządnymi prochami, a potem powiesz, że płoną żywcem, zaczną wrzeszczeć, błagając o wodę, póki nie stracą głosu. Zrobią wszystko, byleby to powstrzymać. Wszystko co zechcesz. Taka jest ludzka natura. Lecz z niektórymi - najczęściej z dziećmi i z wariatami - nie da się dogadać, nawet kiedy są w transie. Anna, niech ją Bóg błogosławi, była i dzieckiem, i wariatką. Próbowałem sprawić, by zapomniała o wszystkim, przez co czuła się tak źle. Była dobrą dziewczyną. Cierpiałem, patrząc, jak się zadrecza - także z twojego powodu. Ale nie byłem w stanie oczyścić jej umysłu, choć w ten sposób oszczędziłbym jej bólu. Niektórzy wolą cierpieć. Nic dziwnego, że cię lubiła, bo jesteś taki sam. Chciałem załatwić cię szybko, ale ty musiałeś wszystko przeciągnąć. A teraz zaczęłeś się zastanawiać dlaczego, zaczęłeś zadawać pytania. Wiesz, że kiedy ten pies na tylnym siedzeniu zdechnie, ty także przestaniesz oddychać. I nie będzie łatwo, choć mogło być. Przez trzy dni żyłeś jak pies, a teraz zdechniesz jak pies. Tak samo jak ta tania kurewka obok...

Marybeth zgasiła radio, które natychmiast włączyło się z powrotem.

- ...myślisz, że możesz zwrócić przeciwko mnie moją dziewczynkę i nie odpowiedzieć za...

Jude uniósł nogę i rąbnął obcasem martensa w deskę rozdzielczą. Odpowiedział mu trzask pękającego plastiku. Głos Craddocka natychmiast zniknął w nagłym, ogłuszającym, basowym ryku. Jude jeszcze raz kopnął radio, rozwalając je ostatecznie. Umilkło.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że nieboszczyk nie wrócił po to, by gadać? - spytał Jude. - Cofam to. Ostatnio mam wrażenie, że wrócił tylko po to.

Marybeth nie odpowiedziała. Pół godziny później Jude odezwał się ponownie, mówiąc jej, żeby skrzyła przy następnym zjeździe.

Jechali dwupasmową drogą stanową. Półtropikalny południowy las napierał na pobocza, pochylał się nad szosą. Minęli kino dla zmotoryzowanych, zamknięte, odkąd Jude pamiętał. Olbrzymi ekran górował nad drogą, przez wydarte w nim dziury widać było niebo. Wieczorny seans: kolumna brudnego dymu. Minęli motel New South, od dawna zamknięty - dżungla wdzierwała się do środka przez zabite deskami okna. Przemknęli obok stacji benzynowej, pierwszego otwartego miejsca, jakie widzieli w okolicy. Dwóch spalonych na brąz grubasów siedziało na dworze. Nie uśmiechnęli się, nie pomachali, w ogóle jakby nie dostrzegli przejeżdżającego samochodu. Tyle że jeden pochylił się naprzód i splunął w piach.

Jude kazał jej skrócić w lewo z szosy i podążyli na niskie wzgórza. Słońce świeciło dziwnie czerwono jak przed nocną burzą. Jude pod powiekami widział ten sam kolor, barwę migreny. Choć od zmierzchu dzieliło ich jeszcze sporo czasu, wydawał się bardzo bliski. Ciężkie chmury na zachodzie obniżały się groźnie. Wiatr chłostał czubki palm, potrząsał brodami hiszpańskiego mchu zwieszającymi się z niskich dębowych gałęzi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Jude.

Kiedy Marybeth skręciła w długi podjazd wiodący do domu, wiatr uderzył z większą siłą, ciskając na przednią szybę falę grubych gęstych kropel. Uderzyły z nagłym wściekłym bębnieniem. Jude czekał na kolejne, ale nie spadły.

Dom stał na szczycie niskiego pagórka. Jude nie był tu od ponad trzech dziesięcioleci i aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego dom w stanie Nowy Jork przypomina ten z dzieciństwa. Zupełnie jakby przeskoczył dziesięć lat w przyszłość, powrócił do Nowego Jorku i ujrzał swą farmę, zapomnianą i popadającą w ruinę. Wielkie rozsypujące się domostwo miało mysioszare ściany i dach z czarnych dachówek, z których wiele przekrzywiło się bądź odpadło. Gdy się zbliżyli, Jude zobaczył, jak wiatr zrywa jedną i unosi w niebo. Z boku stał opuszczony kurnik, jego siatkowe drzwi otworzyły się, a potem trzasnęły z łoskotem przypominającym wystrzał. W oknie na parterze brakowało szyby, wiatr szeleścił płachtą półprzezroczystej folii przybitej do framugi.

Droga wiodąca do domu kończyła się pętlą. Marybeth zatoczyła koło, odwracając mustanga tak, by parkował przodem w stronę, z której przybyli. Wyłączyła silnik. Oboje patrzyli przed siebie, gdy na końcu podjazdu zapłonęły reflektory furgonetki.

- O Boże! - jęknęła Marybeth. Wypadła z mustanga, okrążając go z przodu.

Zdawało się, że jasna furgonetka zawahała się przez moment, a potem zaczęła się toczyć w górę zbocza, zbliżając się do nich.

Marybeth szarpnięciem otworzyła jego drzwi. Jude o mało nie wypadł. Pociągnęła go za rękę.

- Wstawaj! Uciekaj do domu.

- Angus...

Pies leżał z łbem na przednich łapach. Patrzył na Jude'a ze znużeniem mokrymi oczami w krwawych obwódkach.

- On nie żyje.

- Nie - zaprotestował Jude pewien, że Marybeth się myli. - Jak się trzymasz, chłopie?

Angus patrzył na niego żałośnie. Do wozu wpadł powiew wiatru. Pusty papierowy kubek przeturlał się po podłodze z cichym dźwiękiem. Powiew rozgarniał psu sierść. Angus nie zareagował.

Niemożliwe, by tak po prostu umarł bez żadnej fanfary - Jude był pewien, że zaledwie parę minut wcześniej jeszcze żył. Stał na piasku obok mustanga, przekonany, że jeżeli zaczeka jeszcze chwilkę, Angus się poruszy, przeciągnie przednie łapy i uniesie głowę. A potem Marybeth znów ciągnęła go za rękę, a on nie miał dość sił, by stawić opór. Musiał pójść za nią.

Na schodach osunął się, upadł na kolana. Sam nie wiedział dlaczego. Ręką obejmował ramiona Marybeth, ona podtrzymywała go w pasie. Teraz jęknęła przez zaciśnięte usta, z trudem dźwigając go z ziemi. Za sobą usłyszał furgonetkę zatrzymującą się przed pętlą. Pod kołami zazgrzytał żwir.

- Hej, chłopcze! - zawołał Craddock przez otwarte boczne okno.

Jude i Marybeth obejrzeni się za siebie. Furgonetka z włączonym silnikiem stała obok mustanga. Za kierownicą siedział

Craddock w sztywnym, świątecznym czarnym garniturze ze srebrnymi guzikami, lewą rękę wystawił przez okno. Krzywizna szyby sprawiała, że trudno było dostrzec jego twarz.

- To twój dom, synu? - Craddock roześmiał się. - Jak mogłeś stąd wyjechać i nie umrzeć z żalu? - Znów się zaśmiał.

Z wystawionej za okno dłoni wyleciała brzytwa w kształcie półksiężyca. Zakołysała się na lśniącem łańcuszku.

- Poderżniesz jej gardło. A ona ucieszy się, kiedy to zrobisz, bo wreszcie będzie mieć to z głowy. Powinieneś być trzymać się z dala od moich dziewczynek.

Jude przekreślił gałkę, Marybeth ramieniem pchnęła drzwi i wpadli do pograżonego w mroku przedpokoju. Zatrzasnęła drzwi kopniakiem. Jude po raz ostatni obejrzał się, wyglądając przez okno. Furgonetka zniknęła, mustang stał sam na podjeździe. Marybeth znów go pociągnęła za sobą.

Ruszyli w głąb korytarza, podtrzymując się nawzajem. Biodrem trąciła boczny stolik, który runął z hukiem. Stojący na nim telefon poleciał na podłogę, słuchawka odturlała się na bok.

Korytarz kończył się drzwiami prowadzącymi do kuchni, gdzie paliło się światło - jedyne światło w całym domu. Z zewnątrz widzieli ciemne okna, a gdy znaleźli się w środku, powitały ich cienie w korytarzu i nieprzenikniony mrok czekający u szczytu schodów.

W wejściu do kuchni pojawiła się stara kobieta w pastelowej bluzce w kwiatki. Miała kręcone siwe włosy. Jej okulary powiększały błękitne zdumione oczy do niemal komicznych rozmiarów. Jude natychmiast poznał Arlene Wade, choć nie potrafił stwierdzić, ile minęło czasu, odkąd widział ją po raz ostatni. Wtedy też wyglądała tak jak teraz - chuda, wiecznie zdziwiona, stara.

- Co tu się dzieje?! - zawołała, zaciskając prawą rękę na wiszącym na szyi krzyżyku. Gdy dotarli do drzwi, cofnęła się, wpuszczając ich do środka. - Mój Boże, Justin! Na Jezusa i wszystkich świętych, co ci się stało?

Kuchnia była żółta - żółte linoleum, blaty z żółtych kafelków, zasłony w żółto-białą kratkę, talerze w żółte kwiatki ustawione na suszarce obok zlewu. I na ten widok Jude usłyszał w głowie

piosenkę, wielki przebój Coldplay sprzed paru lat. Ten o tym, że wszystko jest żółte.

Z zewnątrz dom wyglądał na zaniedbany, więc Jude ze zdumieniem rozglądał się po wypełnionej żywymi kolorami, dobrze utrzymanej kuchni. Za czasów jego dzieciństwa nie była taka przytulna. Tutaj matka spędzała większość czasu, oglądając w stuporze przedpołudniowe programy telewizyjne i jednocześnie obierając ziemniaki czy płucząc fasolkę. Jej nieustanne odrętwienie, emocjonalne wyczerpanie pozbawiało kuchnię wszelkiego koloru, sprawiało, że odruchowo zniżało się głos do szeptu. Było to prywatne, nieszczęśliwe miejsce - trudno wyobrazić sobie, by ktoś mógł przez nie przebiec, tak jak nie do pomyslenia byłoby hałasowanie w domu pogrzebowym.

Lecz matka od trzydziestu lat nie żyła. Teraz kuchnia należała do Arlene Wade. Od ponad roku mieszkała w tym domu i najprawdopodobniej większość czasu spędzała właśnie tutaj. Tu była sobą, rozmawiała przez telefon z przyjaciółmi, piekła ciasta dla krewnych, a jednocześnie opiekowała się umierającym. Jej osobowość ogrzała to pomieszczenie. Teraz stało się odrobinę zbyt przytulne. Jude'owi zrobiło się słabo od panującego tu dusznego ciepła. Marybeth odwróciła go twarzą do kuchennego stołu. Nagle poczuł kościstą rękę zaciskającą się na prawym ramieniu. Arlene złapała go za biceps. Jude'a zaskoczyła niespodziewana siła jej palców.

- Masz na ręce skarpetkę - zauważyła.
- Stracił palec - wyjaśniła Marybeth.
- W takim razie co tu robicie? Powinnaś była zawieźć go do szpitala.

Jude osunął się na krzesło. O dziwo, nawet siedząc, czuł się jak w ruchu; ściany kuchni przesuwały się powoli, krzesło płynęło naprzód niczym wagonik w parku rozrywki. Marybeth usiadła obok niego, trąciła go kolanami. Cała dygotała, jej twarz błyszczała od potu, włosy nastroszyły się dziko, splątane i poskręcane. Kosmyki lepiły się do skroni, policzków i karku.

- Gdzie pani psy? - spytała.

Arlene zaczęła rozplątywać skarpetkę na dłoni Jude'a, patrząc w dół przez powiększające szkła okularów. Jeśli nawet zdzi-

wiło ją to pytanie, nie okazała tego. Była zbyt zajęta czekającą ją pracą.

- Mój pies jest tam. - Skinęła głową w stronę kąta. - Jak widzicie, cały czas mnie pilnuje. Jest bardzo groźny, lepiej mu się nie narażać.

Jude i Marybeth jednocześnie spojrzeli w kąt. W wiklinowym koszyku na poduszce leżał gruby, stary rottweiler. Koszyk był za ciasny i różowy, bezwłosy zadek wystawał poza krawędź. Pies podniósł łeb, przyjrzał im się zaropiałymi przekrwionymi oczami, po czym znów opuścił pysk i westchnął cicho.

- Pies ugryzł cię w rękę? - spytała Arlene.

- Co się stało z owczarkami? - odpowiedział pytaniem Jude.

- Ojciec nie jest już w stanie się nimi opiekować, więc oddałam Clintona i RATHERA Jefferym. - Zsunęła skarpetkę z jego dłoni i syknęła ostro, widząc bandaż. Był przesiąknięty krwią. - Wy-myśliłeś sobie może jakiś kretyński wyścig z ojcem, żeby sprawdzić, który z was umrze pierwszy? - Położyła jego rękę na stole, nie odwijając opatrunku, i zerknęła na zabandażowaną lewą dłoń. - W tej też czegoś ci brakuje?

- Nie, tę tylko zdrowo rozcharatałem.

- Wezwę kaaa-retkę - oznajmiła Arlene. Całe życie mieszkała na Południu i wymówiła to słowo, charakterystycznie przeciągając sylaby.

Sięgnęła do wiszącego na ścianie telefonu. Ze słuchawki dobiegło rytmiczne buczenie. Oderwała ją od ucha i odwiesiła.

- Zrzuciliście słuchawkę w holu - stwierdziła i zniknęła za drzwiami.

Jude uniósł dłoń - na stole pozostał mokry czerwony odcisk ręki - i położył słabo z powrotem.

- Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać - powiedziała Marybeth.

- Nie mieliśmy dokąd pojechać.

Odwróciła głowę, przyglądając się tłustemu rottweilerowi Arlene.

- Powiedz, że on nam pomoże.

- Dobra. On nam pomoże.

- Mówisz poważnie?

- Nie.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Przepraszam - rzekł Jude. - Mogłem nie dopowiedzieć paru rzeczy co do psów. Nie każdy pies się nada. Musi należeć do mnie. Wiesz, jak to każda czarownica ma czarnego kota? Bon i Angus byli dla mnie czymś takim. Nie da się ich zastąpić.

- Kiedy się połapałeś?

- Cztery dni temu.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Miałem nadzieję, że wykrwawię się na śmierć, nim Angus padnie. Wtedy nic by ci nie groziło. Duch musiałby zostawić cię w spokoju, jego zadanie dobiegłoby końca. Gdybym myślał jaśniej, nie bandażowałbym rany.

- Uważasz, że gdybyś umarł, wszystko byłoby w porządku? Myślisz, że byłoby w porządku, gdybyś dał mu to, czego chce? Niech cię szlag! Uważasz, że dotarłam aż tutaj, żeby patrzeć, jak się zabijasz? Niech cię szlag!

Arlene wróciła. Marszczyła brwi z namysłem.

- Coś jest nie tak, w telefonie nie ma sygnału. Kiedy podnoszę słuchawkę, słyszę tylko miejscową rozgłośnię, jakiś program dla rolników. Gość gada i gada o tym, jak patroszyć zwierzęta. Może wiatr zerwał linię.

- Mam komórkę... - zaczęła Marybeth.

- Ja też - przerwała jej Arlene - ale w tej okolicy nie mają zasięgu. Połóżmy Justina i zobaczę, co uda mi się zrobić z jego ręką. Potem pojedę do sąsiadów i od nich zadzwonię.

Bez ostrzeżenia chwyciła Marybeth za przegub i uniosła jej zabandażowaną dłoń. Opatrunek był sztywny i brązowy od zaschniętej krwi.

- Coście wyprawiali, do diabła?

- To zakażenie.

Arlene wypuściła zabandażowaną rękę i przyjrzała się drugiej, upiornie białej, pokrytej pomarszczoną skórą.

- Nigdy nie widziałam podobnego zakażenia. Coś jeszcze prócz obu dłoni?

- Nie.

Dotknęła czoła Mary Beth.

- Masz gorączkę. Mój Boże, oboje chorzy. Możesz odpocząć w moim pokoju, skarbie. Położę Justina obok ojca. Dwa tygodnie temu wstawiłam tam dodatkowe łóżko, żebym mogła się zdrzemnąć i wciąż mieć na niego oko. No chodź, wielkoludzie, to tylko kawałeczek. Wstawaj.

- Jeśli chcesz mnie stąd ruszyć, przyprowadź taczki - odparł Jude.

- W pokoju twojego taty mam morfinę.

- Dobra. - Jude oparł lewą dłoń o stół i z trudem dźwignął się z krzesła.

Marybeth zerwała się i złapała go za łokieć.

- Ty zostań tutaj - poleciła Arlene. Skinieniem głowy wskazała rottweilera i widoczne za nim drzwi prowadzące do pokoju, w którym kiedyś mieściła się szwalnia, teraz przerobionego na niewielką sypialnię. - Idź się położyć. Dam sobie radę.

- Wszystko w porządku - dodał Jude, zwracając się do Marybeth. - Arlene mi pomoże.

- Co zrobimy z Craddockiem? - spytała Marybeth.

Stała tuż przy nim. Jude pochylił się, wsunął jej twarz we włosy i ucałował czubek głowy.

- Nie wiem - rzekł. - Strasznie żałuję, że jesteś tu ze mną. Dlaczego nie odeszłaś? Dlaczego ode mnie nie odeszłaś, kiedy miałaś szansę? Dlaczego musiałaś być tak cholernie uparta?

- Żyłam z tobą przez dziewięć miesięcy - odparła, po czym wspięła się na palce, zarzuciła mu ramiona na szyję i odnalazła jego usta. - Widać zaraziłam się od ciebie.

Przez chwilę stali objęci, kołyszac się w przód i w tył.

42

Kiedy Jude wypuścił Marybeth z objęć, Arlene poprowadziła go naprzód. Spodziewał się, że wróci do przedpokoju i po schodach wdrapią się do głównej sypialni; zakładał, że tam leży jego ojciec. Omylił się - wyszli na tylny korytarz prowadzący do starej sypialni Jude'a.

Oczywiście ojciec leżał teraz na parterze. Jude jak przez mgłę przypomniał sobie, że podczas jednej z ich rzadkich rozmów telefonicznych Arlene wspominała, że przeniosła Martina na dół do dawnego pokoju Jude'a, bo łatwiej jej się nim opiekować, jeśli nie musi tam i powrotem łązić po schodach.

Po raz ostatni obejrzał się na Marybeth. Stała w drzwiach sypialni Arlene, odprowadzała go wzrokiem, jej zmęczone oczy błyszczały gorączkowo. Nie podobała mu się myśl, że musiał zostawić Marybeth daleko w mrocznym, rozpadającym się labiryncie domu ojca. Obawa, że nigdy się już nie odnajdą, nie wydawała się wcale przesadzona.

Korytarz wiodący do pokoju był wąski i krzywy, ściany pochylały się wyraźnie. Minęli zabite gwoździami siatkowe drzwi, z siatką zardzewiałą i wygiętą na zewnątrz, wychodzące na błotnisty chlewik, w którym siedziały trzy świny. Zwierzęta przyjrzały się Jude'owi i Arlene, ich ryje miały błogi, mądry wyraz.

- Po co trzymacie świny? - zdziwił się Jude. - Kto się nimi zajmuje?

- A jak myślisz?

- Czemu ich nie sprzedałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Twój ojciec hodował świnie przez całe życie. Słyszysz je ze swojego łóżka. Chyba pomyślałam, że to mu pomoże nie zapomnieć, kim jest. Kim był. - Spojrzała Jude'owi prosto w oczy.

- Uważasz, że to głupie?

- Nie - odparł.

Popchnęła drzwi starej sypialni Jude'a i w twarz uderzyło ich dławiące ciepło, tak mocno pachnące mentolem, że do oczu napłynęły mu łzy.

- Przytrzymaj się - powiedziała Arlene. - Muszę zabrać szycie.

Zostawiła go opartego o framugę i podreptała do wąskiego łóżka pod ścianą. Jude spojrzął na stojące dalej identyczne łóżko. Leżał tam jego ojciec.

Zmrużone oczy Martina Cowzynskiego ukazywały fragmenty gałki ocznej. Usta miał szeroko otwarte, ręce, wychudzone szpony, oplatały pierś. Na końcach palców wyrastały krzywe, żółte, ostre paznokcie. Zawsze był chudy i żyłasty, teraz jednak, jak ocenił na oko Jude, pozostało mu może z pięćdziesiąt kilo. Policzki wyglądały jak zapadnięte jaskinie, zupełnie jakby już nie żył, choć wciąż świszczaco oddychał. Na brodzie miał pasma białej piany - Arlene go goliła, przeszkodzili jej swoim przyjazdem. Na stoliku stała miseczka z ręcznie wyrobioną pianą, w której tkwił pędzel o drewnianym trzonku.

Jude od trzydziestu czterech lat nie widział ojca i na jego widok - wychudzonego, upiornego, zagubionego we własnym samotnym śnie o śmierci - zareagował atakiem mdłości. W jakiś sposób fakt, że Martin wciąż oddychał, jeszcze wszystko pogarszał. Łatwiej byłoby patrzeć na niego w takim stanie, gdyby nie żył. Jude nienawidził go od tak dawna, że nie był przygotowany na jakiegokolwiek inne uczucia. Na litość. Zgrozę. Zgroza ma korzenie we współczuciu, zrozumieniu, jak to jest, do tego stopnia cierpieć. Jude nie sądził, że mógłby darzyć współczuciem ani zrozumieć tego umierającego człowieka.

- Czy on mnie widzi? - spytał.

- Wątpię. Od kilku dni nie reaguje na nic. Oczywiście od miesiący nie mówi, lecz jeszcze niedawno czasami się krzywił albo

dawał znać, kiedy czegoś chciał. Lubił, gdy go goliłam, więc wciąż robię to co dzień. Lubił gorącą wodę na twarzy. Może nadal to lubi, nie wiem. - Zawahała się, zapatrzona w wychudzoną postać na łóżku. - Przykro mi, że tak umiera, ale jeszcze gorzej jest utrzymywać człowieka przy życiu po przekroczeniu pewnej granicy. Tak uważam. Nadchodzi czas, gdy umarli mają prawo przyjść po swoich. Jude przytaknął.

- Umarli przychodzą po swoich.

- O tak.

Arlene trzymała w rękach przybory do szycia, które zdjęła z drugiego łóżka. Kiedyś należały do jego matki - naparstki, igły i nici upchnięte w dużej bombonierce w kształcie serca, które dostawała od ojca. Arlene nałożyła wieczko i postawiła pudełko na podłodze. Jude czujnie mu się przyglądał, lecz wyglądało zwyczajnie.

Wróciła do niego i doprowadziła go za łokieć do pustego łóżka. Obok był stolik z przykręconą lampą na mechanicznym ramieniu. Arlene przechyliła ją, zardzewiała sprężyna rozciągnęła się z cichym zgrzytem - i lampa się włączyła. Zamknął oczy, oślepiiony nagłym blaskiem.

- Obejrzyjmy tę rękę.

Podsunęła do łóżka niski stółek i zaczęła rozwijać szczypcami nasiąknięty krwią bandaż. Gdy zdjęła ze skóry ostatnią warstwę, poczuł w dłoni lodowate mrowienie, a potem, co nieprawdopodobne, odstrzelony palec - którego przecież nie było - zaczął piec, jakby łąziły po nim kęsające gniewnie mrówki.

Arlene wbiła igłę w ranę, wstrzykując coś. Jude kłął głośno. A potem dłoń i przegub załała fala przejmującego, błogosławnego zimna. Chłód rozchodził się w żyłach, zamieniając go w człowieka z lodu.

Wokół pociemniało, a potem znów pojaśniało. Leżał na wznak. Nie pamiętał, kiedy się położył. Czuł za to wyraźnie, jak coś ciągnie go za prawą dłoń.

- Zaraz rzygnę - rzekł, kiedy uświadomił sobie, że Arlene robi coś z kikutem palca, zaciska ranę, wbija w nią haczyki, czy może zszywa.

Walczył z mdłościami, póki obok policzka nie postawiła mu gumowej nerki. Wówczas odwrócił głowę i zwymiotował.

Kiedy Arlene skończyła, położyła mu prawą dłoń na piersi. Owinięta wieloma warstwami bandaża była trzy razy większa niż przedtem, rozmiarów niedużej poduszki. Jude'owi kręciło się w głowie, w skroniach pulsowała krew. Arlene znów zaświeciła mu lampą prosto w oczy i schyliła się, by obejrzeć ranę na policzku. Znalazła szeroki plaster barwy skóry i starannie nalepiła mu na twarz.

- Nieźle przeciekałeś - oznajmiła. - Wiesz, na jakim paliwie jedziesz? Dopilnuję, by kaaa-retka przywozła co trzeba.

- Sprawdź, co u Marybeth. Proszę.

- Właśnie zamierałam.

Przed wyjściem zgasiła lampę. Ulżyło mu, gdy znów znalazł się w ciemności. Zamknął oczy i kiedy znowu je otworzył, nie wiedział, czy minęła minuta, czy godzina. W domu ojca zalegała spokojna cisza, bezruch. Nie słyszał nic prócz nagłych powiewów wiatru, poskrzypywania drzewa, bębnienia deszczu o okna. Zastanawiał się, czy Arlene pojechała po kaaa-retkę. Zastanawiał się, czy Marybeth śpi. Zastanawiał się, czy Craddock jest w domu i siedzi pod drzwiami. Odwrócił głowę i zobaczył, że ojciec patrzy na niego. Oddzielał ich od siebie metr podłogi.

Martin Cowzynsky usta miał wciąż otwarte, nieliczne zęby tkwiące w gnijących dziąsłach pokrywały brązowe nikotynowe plamy.

- Ciebie tu nie ma - wychrypiał.

- Zdawało mi się, że nie możesz już mówić - odparł Jude.

Jego ojciec zamrugał powoli, zupełnie jakby go nie usłyszał.

- Kiedy się obudzę, znikniesz. - W jego głosie zabrzmiała tęskna nuta. Zaczął słabo kasłać, rozbryzgując drobinki śliny. Jego pierś zapadła się jeszcze głębiej, zupełnie jakby z każdym bolesnym charknięciem wypływał z siebie wnętrzości, małał.

- Tu się mylisz, staruszkule - oznajmił Jude. - To ty jesteś moim koszmarnym snem, nie odwrotnie.

Martin jeszcze przez kilka chwil wpatrywał się w niego z wyrazem ogłupiałego zachwyty, a potem znowu spojrzął w sufit. Jude obserwował go czujnie. Stary leżał na wojskowej pryczy, świszczący oddech ulatywał mu z gardła, na twarzy pozostały zaschnięte resztki kremu do golenia.

Powieki z wolna mu opadły. Po jakimś czasie Jude'owi też.

43

Nie był pewien, co go obudziło, lecz uniósł głowę i ujrzał Arlene stojącą w nogach łóżka. Miała na sobie jaskrawoczerwoną pelerynę przeciwdeszczową z naciągniętym na głowę kapturem, na plastiku połyskiwały krople wody. Jej stara koścista twarz przybrała pusty, niemal nieludzki wyraz. Jude z początku go nie rozpoznał - potrzebował chwili, by zinterpretować go jako strach.

- Wsiadł prąd - oznajmiła.
- Naprawdę?
- Wyszłam na dwór, a kiedy wróciłam, nie było prądu.
- Mhm.

- Na podjeździe stoi furgonetka. Po prostu tam czeka, taka bezbarwna, nie widzę, kto siedzi w środku. Ruszyłam w jej stronę, sprawdzić, czy to ktoś, kto mógłby podjechać gdzieś i wezwać pogotowie, ale się wystraszyłam. Wystraszyłam się tego, kto tam siedzi, i wróciłam.

- Lepiej się do niej nie zbliżaj.

Arlene ciągnęła dalej, zupełnie jakby Jude się nie odezwał.

- Kiedy wróciłam, nie było prądu, a w telefonie wciąż gadało to samo zwariowane radio. Jakieś religijne bzdury na temat drogi chwały. W pokoju frontowym grał telewizor. Wiem, że to nie możliwe, bo nie ma prądu, ale działał. Akurat był dziennik. Pokazywali w nim materiał o tobie. O nas wszystkich. O tym, że wszyscy nie żyjemy. Widziałam zdjęcie farmy i tak dalej, przykrywali moje ciało workiem. Nie podali nazwiska, ale widziałam moją rękę i bransoletkę, i wszędzie roilo się od policji. Drzwi za-

klejono żółtą taśmą, a Dennis Woltering mówił, że zabiłeś nas wszystkich.

- To kłamstwo. Nic takiego się nie stanie.

- W końcu nie mogłam już tego znieść. Wyłączyłam telewizor, ale natychmiast włączył się ponownie. Znow go zgasiłam i wyrwałam wtyczkę ze ściany. Dopiero to pomogło. - Przez chwilę milczała. - Muszę iść, Justinie. Od sąsiadów zadzwonię po kaaaretkę. Muszę iść... tylko że boję się wyminąć tę furgonetkę. Kto nią jeździ?

- Nikt, kogo chciałybyś poznać. Weź mojego mustanga. Kluczyki są w stacyjce.

- Nie, dziękuję. Widziałam, co leży z tyłu.

- Och... no tak...

- Pojadę własnym wozem.

- Tylko nie tykaj tej furgonetki. Jeśli będzie trzeba, przejedź przez trawnik, staranuj ogrodzenie. Zrób wszystko, byle trzymać się od niej jak najdalej. Patrzyłaś, co z Marybeth?

Arlene przytaknęła.

- Jak ona się czuje?

- Śpi. Biedne dziecko.

- Święte słowa.

- Do widzenia, Justinie.

- Uważaj na siebie.

- Zabieram ze sobą psa.

- Jasne.

Ruszyła w stronę drzwi. A potem przystanąła.

- Kiedy miałeś siedem lat, z twoim wujkiem Pete'em zabraliśmy cię do Disney Worldu. Pamiętasz?

- Obawiam się, że nie.

- Przez całe życie ani razu nie widziałam, jak się uśmiechasz, póki nie wsiadłeś na słonia na karuzeli. Ucieszyłam się wtedy. Gdy zobaczyłam twój uśmiech, poczułam, że może jednak masz jakąś szansę na szczęście. Przykro mi, że tak się to wszystko ułożyło. Jesteś taki biedny, nosisz czarne ciuchy śpiewasz straszne rzeczy. Tak mi cię żal. Gdzie się podział tamten chłopiec? Ten, który uśmiechał się, siedząc na słoniu?

- Umarł z głodu. Ja jestem jego duchem.

Uniosła rękę w pożegnalnym geście, odwróciła się i zniknęła.

Jude nastuchiwał. Wśród szumu wiatru, szmeru deszczu gdzieś w dali trzasnęły siatkowe drzwi. Albo Arlene wyszła, albo załomotały drzwi zrujnowanego kurnika.

Nie czuł bólu, tylko nieprzyjemne gorąco promieniujące z policzka w miejscu, gdzie zraniła go Jessica Price. Oddychał powoli, miarowo; wbijał wzrok w drzwi, czekając, aż pojawi się Craddock. Nie odrywał od nich oczu, póki nie usłyszał cichego postukiwania po prawej stronie.

Duże żółte pudełko w kształcie serca stało na podłodze, wewnątrz coś się tłukło. A potem pudełko podskoczyło, przesunęło się kilka centymetrów po podłodze i znów podskoczyło. Coś raz jeszcze uderzyło od spodu w pokrywkę, która z boku uchyliła się lekko.

Z wnętrza pudełka wyśliznęły się cztery chude palce. Kolejne stuknięcie. Pokrywka ustąpiła i zaczęła się unosić. Craddock wynurzył się z pudełka niczym z wyciętej na kształt serca dziury w podłodze. Wciąż miał na głowie pokrywkę, idiotyczny kapelusz. Zdjął ją, odrzucił na bok, a potem jednym szybkim ruchem, zdumiewająco atletycznym jak u człowieka nie tylko starego, ale i martwego, podciągnął się aż do pasa. Oparł kolano o podłogę, wyszedł do końca i wstał. Kanty na nogawkach czarnych spodni wciąż pozostały idealne.

Zamknięte w chlewiku świnie zaczęły wrzeszczeć. Craddock wsunął długą rękę do bezdennego pudełka, pomacał, znalazł fedorę i wsadził ją sobie na głowę. Czarne krechy tańczyły mu przed oczami. Odwrócił się i uśmiechnął.

- Co tak późno? - spytał Jude.

44

Nie, droga dobiegła końca - oznajmił duch. Jego wargi się poruszały, lecz nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, głos brzmiał tylko w uszach Jude'a. Srebrne guziki czarnej marynarki błyszczwały w ciemności.

- Tak - odparł Jude. - Kiedyś zabawa musi się skończyć.

- Wciąż gotów do walki. Pięknie, pięknie. - Craddock położył wychudzoną rękę na dłoni Martina i wsunął ją pod kołdrę, sięgając wyżej. Martin miał oczy zamknięte, lecz z otwartych ust wciąż dolatywał oddech, świszczący, pneumatyczny. - Tyle kilometrów za nami, a ty wciąż śpiewasz tę samą piosenkę.

Przesunął dłonią po piersi Martina; zdawało się, że robi to zupełnie od niechcenia. Ani razu nie spojrzął na starca walczącego w łóżku o każdy oddech.

- Nigdy nie podobała mi się twoja muzyka. Anna puszczała ją tak głośno, że normalnemu człowiekowi uszy krwawiły. Wiesz, że istnieje droga między tym miejscem a piekłem? Sam nią jechałem. Wiele razy. I powiem ci coś. Na tej drodze jest tylko jedna stacja radiowa i puszcza ją w niej wyłącznie twoją muzykę. Pewnie diabeł w ten sposób chce ukarać grzeszników. - Roześmiał się.

- Zostaw dziewczynę.

- O nie, będzie siedzieć między nami, gdy ruszymy nocną drogą. Dotarła już tak daleko, nie możemy jej teraz zostawić.

- Mówię ci, że Marybeth nie ma z tym nic wspólnego.

- Nic mi nie mówisz, synu. To ja ci mówię. Udusisz ją, a ja będę patrzył. Powiedz to. Powiedz, jak będzie.

Jude pomyślał nie, ale jego usta powiedziały:

- Uduszę ją. Ty będziesz patrzeć.
- Teraz śpiewasz moją melodię.

Jude pomyślał o piosence, którą napisał poprzedniego dnia w motelu w Wirginii. O tym, jak jego palce wiedziały, gdzie leżą właściwe akordy, o uczuciu spokoju, które go ogarnęło, gdy zagrał. Poczucie porządku, panowania nad wszystkim, oderwania od reszty świata, od której oddzielała go niewidzialna ściana dźwięków. Co powiedziała Bammy? Umarli wygrywają, kiedy przestajesz śpiewać. A w jego wizji Jessica Price wspominała, że pogrążona w transie Anna śpiewała, nie pozwalając siostrze zmusić jej do robienia rzeczy, których nie chciała robić, zagłuszając głosy, których nie chciała słuchać.

- Wstań - polecił duch. - Przestań się lenić, masz do załatwienia sprawę w drugim pokoju. Dziewczyna czeka.

Ale Jude go nie słuchał. Całkowicie skoncentrował się na dźwięczącej w głowie muzyce. Słyszał ją brzmiać jak nagrana z zespołem, cichy brzęk talerzy i szmer werbla, głębokie, powolne pulsowanie basu. Duch mówił do niego, lecz Jude odkrył, że kiedy skupia myśli na nowej piosence, potrafi niemal zupełnie go ignorować.

Pomyślał o radiu w mustangu, starym, które wymontował i zastąpił XM i odtwarzaczem DVD-Audio. Oryginalne radio nie odbierało UKF, miało szklaną tarczę połyskującą niesamowitą zielenią i rozświetlającą kabinę wozu niczym wewnątrz akwarium. W wyobraźni Jude słyszał w tym starym radiu swoją piosenkę, słyszał własny głos ponad wibrującymi, zwielokrotnionymi dźwiękami gitary. To wszystko puszczała jedna stacja. Głos Craddocka nadawała inna, pogrzebana pod nią, odległa stacja. Wielu spikerów nawoływało, by słuchacze oddali się w pieczę Jezusowi. Kiepski odbiór sprawiał, że docierały do niego jedynie oderwane słowa, reszta ginęła pośród szumów.

Duch kazał mu wstać. Dopiero po chwili Jude uświadomił sobie, że tego nie zrobił.

- Powiedziałem: podnieś się.

Jude zaczął się poruszać - i zamarł. W myślach odchylił oparcie fotela kierowcy, wystawił stopy przez okno. Słuchał piosenki

z radia i świerszczy cykających w ciepłym letnim mroku. Sam także nucił, co uświadomił sobie dopiero po chwili. Trochę fałszował, lecz dawało się rozpoznać nową piosenkę.

- Słyszysz, co do ciebie mówię, synu?

Jude zrozumiał, co duch mówi, po ruchu warg, bo żadnego słowa nie słyszał.

- Nie - odparł.

Craddock uniósł górną wargę w gniewnym grymasie. Jedną dłoń wciąż trzymał na ojcu Jude'a - przesunął ją z piersi na szyję. Wiatr z rykiem uderzał o dom, krople deszczu bębniły o szyby. A potem wichura ustała i w nagłej ciszy Martin Cowzynsky zaczął.

Jude na chwilę zapomniał o ojcu - jego myśli bez reszty zajmowała zapętłona muzyka wyimaginowanego numeru - lecz ów jęk przyciągnął jego wzrok. Martin miał otwarte oczy, wytrzeszczone, przerażone.

- To posłaniec. Posłaniec śmierci - odezwał się słabo, bezdźwięcznie.

Duch zdawał się patrzeć na Jude'a, czarne krechy migotały mu przed oczami. Poruszył wargami, przez moment jego głos zabrzmiał wyraźnie, stłumiony, lecz słyszalny pośród piosenki Jude'a.

- Może ty jesteś w stanie mnie wyciszyć - oznajmił. - Ale on nie.

Craddock pochylał się nad ojcem Jude'a i położył dłonie na jego twarzy, po jednej na policzku. Świszczący oddech zaczął się rwać. Umierający zatrzepotał powiekami. Nieboszczyk pochylał się i przysunął wargi do jego ust.

Martin zaczął napierać ca poduszki, wbijać stopy w łóżko i pchać, jakby próbował wcisnąć się głębiej w materac, byle dalej od Craddocka. Po raz ostatni odetchnął rozpaczliwie - i wessał ducha w siebie. Stało się to w jednej chwili i przypominało magiczną sztuczkę, kiedy iluzjonista przeciąga przez garść apaszkę, która znika. Craddock zmiął się jak kłęb folii wysany w rurę odkurzacza. Ostatnie w gardle umierającego starca zniknęły wyglansowane czarne półbuty. Szyja Martina przez moment zdawa-

ła się rozciągać, wyrzyszać - jak wąż, który pożarł chomika - i zaraz znowu przybrała dawny kształt.

Ojciec Jude'a zaczął się dławić, zakasłał, znów się dusił. Uniósł biodra, wyginając plecy. Jude nie mógł powstrzymać skojarzenia z orgazmem. Martinowi oczy wychodziły z orbit, koniuzek języka poruszał się szybko między zębami.

- Wypluj go, tato! - krzyknął Jude.

Ojciec go nie słyszał. Z powrotem zapadł się w łóżko, po czym znów wierzgnął, jakby próbował zrzucić kogoś, kto na nim siedzi. Wydał z siebie zduszony jęk. Pośrodku czoła wystąpiła mu niebieska żyła, wygiął wargi ponad resztką zębów w grymasie podobnym psiemu.

I znów opadł na materac. Rozluźnił palce, dotąd zaciśnięte na kołdrze. Oczy miał szkarłatnoczerwone - ich naczynka popękały, zabarwiając białka na czerwono. Wpatrywał się ślepo w sufit, na zębach miał krew.

Jude obserwował go przez moment, nasłuchując oddechu. Słyszał dom osiadający na wietrze, deszcz tłukący o dach.

Z wielkim wysiłkiem usiadł i postawił stopy na podłodze. Nie wątpił, że ojciec nie żyje. Człowiek, który zmiażdżył mu dłoń w drzwiach od piwnicy i przyłożył gwintówkę do piersi jego matki, który rządził farmą żelazną ręką, pasem i atakami wściekłości, człowiek, którego wiele razy miał ochotę własnoręcznie zabić, nie żył. Lecz obecność przy jego śmierci coś Jude'a kosztowała. Bolał go brzuch, jakby dopiero co znów zwymiotował, jakby coś wydobyto z niego siłą, przegnano z ciała, coś, z czym nie chciał się rozstawać. Może gniew.

- Tato? - spytał, wiedząc, że odpowiedzi się nie doczeka.

Wstał z łóżka i zachwiał się, zakręciło mu się w głowie. Szurając nogami jak starzec, postąpił krok naprzód i oparł o stolik lewą zabandażowaną rękę. Miał wrażenie, że lada moment nogi odmówią mu posłuszeństwa.

- Tato? - powtórzył.

Ojciec obrócił głowę i skupił na nim spojrzenie czerwonych, strasznych, fascynujących oczu.

- Justin - wyszeptał z wysiłkiem. Uśmiechnął się i ów

uśmiech wyglądał upiornie na jego pomarszczonej, wychudzonej twarzy. - Nic mi nie jest. Absolutnie nic. Podejdz bliżej. Chodź i obejmij mnie.

Jude cofnął się chwiejnie. Na moment zabrakło mu powietrza.

- Nie jesteś moim ojcem - rzekł.

Po skroni ojca spływała krwawa łza, kreśląc łamaną czerwoną linię wzdłuż kości. W wizji śmierci Anny, która nawiedziła Jude'a, z oka Craddocka spływały identyczne krwawe łzy.

Ojciec usiadł, sięgnął ręką ponad miską z mydlinami, zacisnął dłoń na swej starej brzytwie o ręczce z orzecha. Jude nie wiedział nawet, że tam leży, nie zauważył jej ukrytej za białą porcelanową miską. Znów się cofnął, uderzył nogami o krawędź pryczy i usiadł ciężko na materacu.

I wtedy jego ojciec wstał. Kołdra zsunęła się z niego. Poruszał się szybciej, niż Jude oczekiwał, jak jaszczurka na moment zastygająca w miejscu, po czym rzucająca się naprzód, niemal zbyt szybko, by dostrzegło to oko. Był w poplamionych białych bokserkach, poza tym nagi. Jego piersi zamieniły się w małe, rozedrgane, skórzaste woreczki porośnięte kręconymi śnieżnobiałymi włosami. Ruszył naprzód, postawił stopę na pudełku w kształcie serca i rozdeptał je.

- Chodź tu, synu - powiedział głosem Craddocka. - Tatuś cię nauczy, jak się golić.

Strzepnął ręką i brzytwa wyskoczyła z rączki, zabłyśła niczym lustro, w którym Jude przez moment ujrzał swą własną zdumioną twarz. Martin rzucił się na niego, tnąc brzytwą, lecz Jude podciął mu nogi i uskoczył na bok z energią, o którą się nie podejrzewał. Poczul, jak brzytwa przecina koszulę i ukryty pod nią biceps. Ciało nie stawiało najmniejszego oporu. Przeturlał się przez zardzewiały stalowy pręt w stopach łóżka i runął na podłogę.

W pokoju zapanowała cisza przerywana jedynie urywanymi oddechami i skowytem wiatru pod dachem. Ojciec przepełził na koniec łóżka i skoczył - zręcznie jak na człowieka, który przeszedł liczne wylewy i od trzech miesięcy nie opuszczał łóżka. Jude czołgał się już w tył, w stronę drzwi.

Zdążył pokonać połowę korytarza, docierając do siatkowych drzwi wychodzących na chlewik. Świnie tłoczyły się przy nich, przepychając się, kwicząc w podnieceniu. Na moment go zdekoncentrowały i kiedy się obejrzał, Martin stał nad nim.

I zaraz ojciec runął na niego. Odchylił rękę, by ciąć brzytwą twarz Jude'a. Jude zapomniał się i uderzył go w podbródek zabandażowaną prawą dłonią, dość mocno, by głowa starca poleciała w tył. Krzyknął; rozżarzona do białości klinga bólu przeszła mu zranioną dłoń i wbiła się w przedramię. Przypominało to ładunek prądu przepływający po kości, porażająco mocny.

Cios rzucił ojca na siatkowe drzwi. Martin uderzył o nie z ogłuszającym łoskotem, metalicznym brzękiem. Przeleciał przez dolną część siatki. Za drzwiami nie było schodów, więc runął pół metra w dół i zniknął Jude'owi z oczu, uderzając o ziemię z głuchym tąpnięciem. Spłoszone świnie umknęły.

Świat zafalował, pociemniał, o mało nie zniknął. Jude zaczął walczyć o odzyskanie świadomości jak człowiek wciągnięty głęboko pod wodę i prący ku powierzchni, nim zabraknie mu tchu.

Świat znów pojaśniał, kropelka światła napęczniała i rozlała się wokół. Przed oczami ujrzał rozmazane, szare, widmowe kształty, stopniowo nabierające ostrości. W korytarzu było pusto, gdzieś obok chrząkały świnie. Na twarzy czuł zimny pot.

Chwilę odpoczął, czekając, aż przestanie mu dzwonić w uszach. Dzwonić w kościach. Zaczął odpychać się piętami od podłogi aż pod ścianę. Potem wsparty o nią, dźwignął się do pozycji siedzącej. Znów odpoczął.

W końcu zdołał podnieść się na nogi. Wyjrzał przez strzaskane siatkowe drzwi, lecz nie zobaczył ojca. Musiał leżeć tuż przy murze.

Jude zakołysał się i osunął. Chwyił framugę, by nie wpaść do chlewika. Nogi trzęsły mu się jak galareta. Pochylił się, sprawdzając, czy Martin leży na ziemi ze skrzyżowanym karkiem, i w tym momencie ojciec sięgnął przez siatkę, próbując złapać go za nogę.

Jude krzyknął, kopnął rękę Martina i instynktownie odskooczył. A potem, niczym człowiek tracący równowagę na zamarz-

niętej kałuży, idiotycznie wymachując rękami, poleciał w głąb korytarza do kuchni, gdzie znów upadł na ziemię.

Martin dźwignął się w górę, przepchnął przez rozdartą siatkę, zaczął pełznąć w stronę Jude'a. Dotarł do niego na czworakach. Jego ręka uniosła się i opadła, a wraz z nią migocząca srebrzysta iskra. Jude osłonił się lewym przedramieniem i brzytwa rozcięła je aż do kości. W powietrze bryznęła krew. Jeszcze więcej krwi.

Lewą dłoń miał zabandażowaną, ale palce wolne - sterczały spomiędzy zwojów gazy jak z mitenki. Ojciec ponownie uniosł brzytwę, by uderzyć, lecz nim zdążył opuścić rękę, Jude wbił palce w jego błyszczące czerwone oczy. Starzec krzyknął. Odwrócił głowę, próbując uciec przed ręką syna. Brzytwa przemknęła ponad twarzą Jude'a, nie dotykając skóry. Jude odpychał głowę ojca w tył, coraz dalej, odsłaniając chude gardło, zastanawiając się, czy zdoła pchnąć dość mocno, by skrócić skurwielowi kark.

Właśnie osiągnął granicę, gdy zobaczył nóż kuchenny wbijający się z boku w szyję ojca.

Marybeth stała trzy metry dalej przy kuchennym blacie, obok magnetycznego paska na ścianie, na którym wisiały noże. Jej oddech przypominał szlochanie. Ojciec Jude'a odwrócił ku niej głowę. We krwi wypływającej wokół noża widać było bąbelki powietrza. Martin sięgnął ręką po nóż, zacisnął słabo palce wokół rękojeści, a potem wydał z siebie głośny dźwięk, grzechoczący świst, jakby dziecko potrzasało kamieniem w papierowej torebce, i upadł na bok.

Marybeth zerwała z paska kolejny nóż o szerokiej klindze, i jeszcze jeden. Pierwszy chwyciła za koniuszek ostrza i cisnęła w plecy Martina. Nóż trafił z głuchym łupnięciem jak w dojrzały melon. Tym razem Martin nie zareagował, jedynie głośno chwycił powietrze. Marybeth ruszyła ku niemu, unosząc przed sobą ostatni nóż.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł ją Jude. - On się nie położy i nie umrze.

Ale ona go nie słyszała.

Chlasnęła Martina nożem przez twarz. Ostrze wbiło się niedaleko jednego kącika ust i wyłoniło tuż za drugim, poszerzając mu uśmiech w szeroką krwawą szramę.

W chwili gdy uderzyła, on także zaatakował, prawą ręką, tą trzymającą brzytwę. Ostrze pozostawiło czerwoną linię w poprzek jej uda nad prawym kolaniem.

Już upadała, kiedy Martin zerwał się z podłogi i z rykiem trafił ją głową w brzuch, odrzucając na blat. Wbiła ostatni nóż w jego ramię aż po rękojeść. Równie dobrze mogła uderzyć pięścią w pień drzewa.

Zaczęła osuwać się na ziemię. Ojciec Jude'a był tuż nad nią, z rany od wbitego w gardło noża wciąż wypływała spieniona krew. Ponownie ciął brzytwą.

Marybeth złapała się za szyję. Spomiędzy palców tryskała krew. W białym ciele ział krzywy czarny uśmiech.

Upadła na bok, uderzając głową o posadzkę. Patrzyła poza Martina, na Jude'a. Jej policzek leżał w szkarłatnej gęstniejącej kałuży krwi.

Ojciec Jude'a wolną ręką wciąż obejmował rękojeść wbitego w szyję noża, obmacując go, oceniając, ale nawet nie próbując wyjąć. Wyglądał jak poduszka na szpilki - nóż w ramieniu, nóż w plecach, lecz interesował go tylko ten w szyi, pozostałych w ogóle nie zauważał. Zaczął pełznąć chwiejnie, oddalając się od Marybeth i od Jude'a. Pierwsze nie wytrzymały ręce - głowa mu opadła na ziemię, brodą rąbnął o posadzkę mocno, aż kłapnął zębami. Próbował się podnieść i prawie mu się udało, jednak przeturlał się na bok, jeszcze dalej od Jude'a. Niewielka ulga. Jude nie będzie musiał patrzeć mu w twarz, gdy ojciec umrze. Znowu.

Marybeth próbowała coś powiedzieć. Przesunęła językiem po wargach. Wzrokiem błagała Jude'a, by się zbliżył. Jej źrenice zmalały do dwóch czarnych kropek.

Zaczął wlec się po podłodze na łokciach. Ona tymczasem już szeptała, trudno ją było usłyszeć, bo ojciec znów dławił się i zachłystywał, tłukąc głośno piętami o podłogę, wstrząsany konwulsjami.

- On jeszcze... nie... skończył - powiedziała Marybeth. - Znowu... przyjdzie. Nigdy nie... przestanie.

Jude rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby przyczynić do rany na jej gardle. Był już tak blisko, że zanurzył dłonie

w otaczającej ją kałuży krwi. Wypatrzył ścierkę do naczyń wiszącą na uchwycie piekarnika, ściągnął ją.

Marybeth patrzyła mu prosto w twarz, lecz Jude miał wrażenie, że go nie widzi, że przenika przez niego wzrokiem, spoglądając w nieokreśloną dal.

- Słyszę... Annę. Słyszę, jak... woła. Musimy... zrobić... drzwi. Musimy ją... wpuścić. Zrób nam drzwi. Zrób drzwi..', a ja je... otworzę.

- Przestań mówić. - Uniósł jej dłonie i przycisnął do szyi zrolowaną ścierkę. Tyle krwi.

Marybeth złapała go za przegub.

- Nie mogę ich... otworzyć... kiedy będę po... drugiej... stronie. To musi być teraz. Ja już nie żyję. Anna nie żyje. Nie możesz... nas ocalić - powiedziała. - Pozwól... nam... ocalić... ciebie.

Z drugiej strony kuchni dobiegł gwałtowny kaszel. Ojciec się dławił. Jude wiedział czym.

Objął dłońmi twarz Marybeth, zimną pod palcami. Obiecał sobie, że się nią zaopiekuje. A oto leżała tu z poderżniętym gardłem i mówiła, że ona zaopiekuje się nim. Walczyła o każdy oddech, dygocząc bezradnie.

- Zrób to, Jude - powiedziała. - Zrób to.

Podniósł jej ręce i położył na ścierce do naczyń, tak by przyciskały ją do rozciętej krtani. Potem odwrócił się i zaczął pełznąć we krwi na skraj kałuży. Znowu bezwiednie nucił swoją piosenkę, nową piosenkę, melodię przypominającą hymn z Południa, ludowy lament. Jak ma zrobić drzwi dla umarłych? Czy wystarczy je narysować? Czym? Ujrzał pozostawione na linoleum czerwone odciski dłoni. Zanurzył palec we krwi Marybeth i nakreślił linię na podłodze.

Gdy ocenił, że jest dość długa, zaczął rysować kolejną, pod kątem prostym do pierwszej. Krew na jego palcu wysychała szybko; powoli odwrócił się z powrotem do Marybeth i szerokiej, migoczącej kałuży krwi.

Ujrzał Craddocka wynurzającego się z otwartych szeroko ust ojca. Twarz miał wykrzywioną z wysiłku, jedną ręką oparł się na czole Martina, drugą na jego ramieniu. W pasie jego ciało było

ściśnięte w grubą linę - Jude'owi znów skojarzyło się z kłębem zgniecionej i skreconej folii - wypełniającą usta Martina i sięgającą daleko w głąb rozciągniętego gardła. Craddock wcisnął się w niego jak lis do nory, lecz wynurzał się niczym ktoś zapadnięty do pasa w bagnie.

- Umrzesz - mówił duch. - Ta suka umrze, ty umrzesz, wszyscy razem pojedziemy nocną drogą. Chcesz śpiewać, la la la, nauczę cię śpiewać, nauczę cię.

Jude zanurzył dłoń we krwi Marybeth i znów się odwrócił. W jego głowie nie pozostała żadna myśl, był jak maszyna pełnąca bezrozumnie naprzód. Znów zaczął rysować. Skończył górę drzwi, obrócił się i rozpoczął trzecią linię, zmierzając z powrotem w stronę Marybeth. Linia była krzywa, w niektórych miejscach gruba, w innych ledwie widoczna.

Dół drzwi stanowiła kałuża. Gdy do niej dotarł, spojrzał na Marybeth. Twarz miała bladą i pustą. Jej koszulka z przodu całkowicie nasiąkła krwią. Przez moment bał się, że już za późno, że nie żyje, ale zauważył, że poruszyła oczami. Obserwowała go.

Craddock zaczął krzyczeć. Zdołał już niemal się uwolnić, pozostała tylko noga. Próbował wstać, lecz stopą ugrzązł gdzieś w brzuchu Martina. W ręce trzymał ostrze o kształcie półksiężyca, z którego zwieszał się błyszczący łańcuszek.

Jude ponownie odwrócił się do niego plecami i spojrzał na nierówne krwawe drzwi. Wpatrywał się tępo w krzywy czerwony prostokąt, pusty kształt obejmujący jedynie kilka szkarłatnych odcisków dłoni. Jeszcze nie były gotowe i próbował wymyślić, czego im brakuje. Nagle przyszło mu do głowy, że nie będą to drzwi, póki nie znajdzie się sposób, by je otworzyć. Poczłogał się naprzód i namalował kółko. Gałkę.

Padł na niego cień Craddocka. Duchy rzucają cienie? - zastanowił się Jude. Był zmęczony. Ciężko mu się myślało. Klęcząc na drzwiach, poczuł, jak coś uderza w nie z drugiej strony. Zupełnie jakby wiatr wciąż napierający na dom gwałtownymi miarowymi falami próbował się przedostać przez linoleum.

Wzdłuż prawej krawędzi drzwi pojawiła się świetlista linia, jaskrawy rozbłysk oślepiającej bieli. Coś ponownie uderzyło w nie

od spodu. Rąbnięto trzeci raz; każdemu uderzeniu towarzyszył głuchy łoskot wstrząsający całym domem, sprawiający, że talerze na plastikowej suszarce obok zlewu kołysały się z brzękiem. Jude poczuł, że ręka ugina mu się w łokciu, i uznał, że nie ma powodu dalej stać na czworakach, a poza tym wymagało to zbyt wiele wysiłku. Upadł na bok i sturlał się z drzwi na plecy.

Craddock stał nad Marybeth w czarnym garniturze nieboszczyka. Kołnierzyk z jednej strony miał przekrzywiony. Nie zbliżał się, zamarł w miejscu, przyglądając się nieufnie drzwiom u stóp, jakby kryła się pod nimi tajemna kłapa, pułapka, na którą o mało nie nadepnął.

- Co to jest? Coś ty zrobił?

Gdy Jude znów się odezwał, jego głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka jak u brzuchomówcy.

- Umarli przychodzą po swoich, Craddock. Wcześniej czy później przychodzą po swoich.

Niekształtne drzwi wydęły się i opadły. Znów się uniosły, zupełnie jakby oddychały. Wzdłuż górnej krawędzi rozbłysła linia światła, tak jasna, że nie dało się na nią patrzeć. Skręciła i pomknęła w dół.

Wiatr skowyczał jeszcze głośniejsze, wysoko, rozdzierająco. Po chwili Jude uświadomił sobie, że to nie wiatr na zewnątrz, lecz huragan zawodzący wokół krawędzi narysowanych krwią drzwi. Powietrze nie wpadało do środka, lecz było wysane przez owe oślepiająco białe linie. Strzeliło mu w uszach, jak w zbyt szybko lądującym samolocie. Gazety zaszeleściły, a potem wzleciały z kuchennego stołu i zaczęły wirować w górę. Po powierzchni wielkiej kałuży krwi wokół nieruchomej bladej twarzy Marybeth przebiegły delikatne zmarszczki.

Kiedy Jude nie patrzył, dziewczyna przekręciła się na bok i wyciągnęła rękę. Teraz jej dłoń spoczywała na czerwonym kręgu symbolizującym gałkę.

Gdzieś w dali zaszczekał pies.

W następnej chwili drzwi namalowane na linoleum się otwierały. Marybeth powinna przez nie przelecieć - połową ciała leżała na nich - ale tak się nie stało. Unosiła się w powietrzu, jakby le-

żała na tafli przejrzystego szkła. Pośrodku podłogi otwart się nierówny prostokąt, pułapka zalana niesamowitym światłem, oślepiającą jasnością.

W owym intensywnym świetle całe pomieszczenie wyglądało jak negatyw - surowe biele, płaskie niewiarygodne cienie. Marybeth była czarną niewyraźną postacią zawieszoną na tafli światła. Stojący nad nią Craddock, osłaniający rękami twarz, wyglądał jak jedna z ofiar bomby atomowej w Hiroszynie, abstrakcyjny szkic człowieka naturalnej wielkości nakreślony na czarnej ścianie popiołem. Gazety wciąż szeleściły i wirowały nad kuchennym stołem. Poczerniały i przypominały stado wron.

Marybeth przekreśliła się na bok i uniosła głowę. To już nie była Marybeth, tylko Anna. W jej oczach lśniły srebrzyste promienie, twarz miała surową.

- Dlaczego? - spytała.

- Odejdź stąd! Wracaj! - syknął Craddock. Kręcił wahadłem na złotym łańcuszku, wygięte ostrze kreśliło w powietrzu kręgi srebrnego ognia.

A potem Anna stała już u podstawy świetlistych drzwi. Jude nie widział, jak wstaje. W jednej chwili leżała na ziemi, w następnej górowała nad nim. Może czas znów przeskoczył. Czas nie miał już znaczenia. Jude uniósł dłoń, by ochronić oczy przed rażącym blaskiem, lecz światło było wszędzie, nie dało się go zasłonić. Widział kości swej ręki i powlekającą je skórę barwy i czystości miodu. Jego rany - szrama na twarzy, kikut palca wskazującego - pulsowały bólem jednocześnie przejmującym i zachwycającym. Pomyślał, że zaraz zacznie krzyczeć ze strachu, radości, wstrząsu. Z krańcowego uniesienia.

- Dlaczego? - spytała znowu Anna, zbliżając się do Craddocka. Chlasnął w jej stronę łańcuszkiem i zakrzywiona brzytwa na końcu pozostawiła na jej twarzy szeroką ranę od kącika prawego oka przez nos aż do ust. Z rany trysnęły nowe promienie światła. W miejscach, w których padły na niego, Craddock zaczął dymić. Anna sięgnęła ku niemu. - Dlaczego?

Craddock wrzasnął, gdy go objęła, wrzasnął i znów ciął, tym razem przez piersi, otwierając kolejną szramę w wieczności. Jego

twarz zalał potok wszechobecnego światła, światła wypalającego rysy, unicestwiającego wszystko, na co padło. Craddock zawodził głośno, przeraźliwie.

- Dlaczego? - spytała Anna i dotknęła ustami jego ust. Z drzwi za jej plecami wyskoczyły czarne psy, psy Jude'a, olbrzymie psy z dymu, z cienia, zbrojne w atramentowe kły.

Craddock McDermott szamotał się, próbując ją odepchnąć, ale ona leciała do tyłu wraz z nim, w stronę drzwi, a psy biegały wokół jego stóp i biegnąc, rozciągały się i wydłużały niczym motki włóczki, zamieniały w długie pasma ciemności, które go spowijały, wspinały się po nogach, oplatały wokół pasa i przywiązywały do martwej dziewczyny. Kiedy zanurzył się w światłość po drugiej stronie, Jude ujrzał, jak tył głowy Craddocka odpada. Ze środka wystrzelił snop białego światła tak intensywny, że aż błękitny na krawędziach. Trafił w sufit, wypalając tynk, który zakipiwał i zaczął dymić.

Oboje przelecieli przez otwarte drzwi i zniknęli.

45

Gazety, wirujące nad kuchennym stołem, opadły z lekkim szelstem na stos, niemal w tym samym miejscu, z którego wzleciały. Nastąpiła cisza. Jude uświadomił sobie, że słyszy cichy pomruk, niskie, melodyjne pulsowanie. A nawet nie tyle je słyszał, ile odczuwał w kościach. Pomruk wznosił się i opadał, znów wznosił w nieludzkiej muzyce - nieludzkiej, lecz nie nieprzyjemnej. Przyminało to muzykę opon na asfalcie. Wibrowało od niej powietrze. Wydawała się niemal właściwością światła wlewającego się przez krzywy prostokąt w podłodze. Jude zamrugał oślepiony, zastanawiając się, gdzie się podziała Marybeth. Umarli przychodzą po swoich, pomyślał i zadrżał.

Nie, jeszcze chwilę temu, gdy otwierała drzwi, wciąż żyła. Nie pogodził się z myślą, że po prostu odeszła, że na ziemi nie pozostał po niej ślad. Zaczął pełznąć; teraz był jedynym ruchomym elementem w pomieszczeniu. Spokój panujący w tym miejscu po wszystkim, co się stało, wydawał się bardziej niewiarygodny niż dziura między światami. Ból. Bolały go ręce, bolała twarz, w piersi czuł mrowienie, gorące i lodowate ukłucia. Przeląkł się nawet, czy to nie zawał serca. Poza ciągłym, otaczającym go ze wszystkich stron pomrukiem nie słyszał nic prócz własnych rozpaczliwych oddechów i szurania dłoni drapiących podłogę. Raz jeden usłyszał, jak wymawia imię Marybeth.

Im bardziej zbliżał się do światła, tym trudniej było mu w nie patrzeć. Zamknął oczy - i odkrył, że wciąż widzi otaczającą go kuchnię, jak przez jasną zasłonę ze srebrnego jedwabiu. Światło

przenikało przez powieki, nerwy u korzeni gałek ocznych pulsowały miarowo w rytm nieustannego pomruku.

Nie mógł znieść tego światła. Obrócił głowę, pełznąc dalej, i przez to nie zorientował się, kiedy dotarł do krawędzi otwartych drzwi. Nagle nie znalazł oparcia dla rąk. Marybeth - a może Anna? - wisiała zawieszona nad otwartymi drzwiami jak na tafli szkła, lecz on runął w głąb niczym skazaniec w zapadnię pod szubienicą. Nie miał nawet czasu krzyknąć, nim zanurzył się w światło.

46

Uczucie spadania - brak ciężenia, nieprzyjemny ucisk w żołądku i w cebulkach włosów - nie do końca jeszcze mija, gdy Jude uświadamia sobie, że światło nie jest już tak mocne. Unosi dłoń, by osłonić oczy, mruga w żółtych promieniach słońca. Ocenia, że jest wczesne popołudnie. Znowu siedzi w mustangu, w fotelu pasażera. Anna prowadzi, nucąc do siebie. Silnik warczy cicho, spokojnie - mustang dobrze się spisuje, wygląda, jakby właśnie wyjechał ze sklepu w 1965 roku.

Przejeżdżają dwa kilometry w milczeniu, aż w końcu Jude rozpoznaje drogę: autostrada stanowa 22.

- Dokąd jedziemy? - pyta.

Anna wygina plecy, przeciągając się, obie ręce trzyma na kierownicy.

- Nie wiem, myślałam, że po prostu jedziemy. A dokąd chcesz?

- To nie ma znaczenia. Może na przystań Chinchuba?

- Co tam jest?

- Nic. Zwyczajne miejsce, w którym można posiedzieć, posłuchać radia i pooglądać widoki. Jak to brzmi?

- Niebiańsko. Musimy być w niebie.

Gdy to mówi, Jude czuje nagły ból w lewej skroni. Żałuje, że to powiedziała. Nie są w niebie na pewno.

Przez jakiś czas toczą się po splekany wyblakłym asfalcie dwupasmówki. Wreszcie widzi zbliżający się zjazd w prawo, pokazuje go ręką i Marybeth bez słowa skręca mustangiem. Droga nie jest wyasfaltowana, drzewa rosną blisko po obu stronach, pochyla-

ją się nad nią, tworząc zielony tunel. Rozedrgane cienie i słoneczne plamki tańczą na twarzy Marybeth, która z błogą miną swobodnie prowadzi potężny samochód, uszczęśliwiona perspektywą czekającego ją popołudnia i tym, że nie ma nic do roboty. Kiedy zamieniła się w Marybeth?

Zupełnie jakby wymówił to pytanie na głos, bo ona odwraca się i uśmiecha zawstydzona.

- Próbowałam cię ostrzec, prawda? Dwie dziewczyny za cenę jednej.

- Ostrzegłeś mnie.

- Wiem, na jakiej drodze jesteśmy - mówi Marybeth bez śladu południowego akcentu, który przez ostatnie dwa dni jej nie opuszczał.

- Mówiłem ci, to droga na przystań Chinchuba.

Odwraca głowę i obdarza go mądrym, wyrozumiałym, rozbawionym, lekko litościwym spojrzeniem. A potem, jakby się nie odezwał, znów zaczyna mówić:

- Do piekła. Po tym wszystkim, co o niej słyszałam, spodziewałam się czegoś gorszego. Nie jest wcale tak źle, nawet miło. Nocna droga. Spodziewałam się nocy. Może tylko dla niektórych panuje tu noc.

Jude krzywi się - kolejne ostre ułknięcie bólu wewnątrz czaszki. Chce myśleć, że jej się pomieszało, że się myli. Przecież nie tylko nie ma nocy, ale też trudno to nazwać drogą.

Pokonują dwie koleiny, wąskie ślady, między którymi rośnie szerokie pasmo trawy i polnych kwiatów. Rośliny smagają zderzak, wkręcają się w podwozie. Mijają wrak jasnej furgonetki. Spod otwartej maski wyrastają chaszczce. Jude nie zaszczycy jej więcej niż tylko przelotnym spojrzeniem.

Palmy i gęste krzewy rozstępują się tuż za następnym zakrętem, lecz Marybeth zwalnia i mustang ledwie toczy się naprzód. Przez chwilę wciąż pozostają w chłodnym cieniu drzew. Żwir przyjemnie chrzęści pod kołami. Jude zawsze uwielbiał ten dźwięk, wszyscy go uwielbiają. Poza pasmem łąki rozciąga się wielkie muliste jezioro Pontchartrain zmarszczone od wiatru; krawędzie fal połyskują niczym wypolerowana, świeżo wykuta stal. Niebo jaśnieje monotonna,

oślepiającą bielą. Nie da się w nie patrzeć, nawet by poszukać wzrokiem słońca. Jude odwraca głowę, mrużąc oczy. Osłania je dłonią. Ból w lewej skroni narasta, pulsując w rytm uderzeń serca.

- Cholera - mówi Jude. - To niebo.

- Niesamowite, prawda? - odpowiada Anna ustami Marybeth.

- Można sięgnąć wzrokiem bardzo daleko, spojrzeć w głąb wieczności.

- Ja nic nie widzę.

- Nie - mówi Anna, lecz za kierownicą wciąż siedzi Marybeth, jej wargi się poruszają. - Musisz chronić oczy, nie możesz tam patrzeć. Jeszcze nie. A my mamy problemy z oglądaniem twojego świata. Może zauważyłeś czarne linie przed naszymi oczami? To ciemne okulary żywych umarłych. - Znosi się śmiechem, zmysłowym, głośnym śmiechem Marybeth.

Samochód staje na skraju łąki. Szyby w oknach są spuszczone, do środka wpada wietrzyk pachnący rozgrzanym w słońcu lasem i niestrzyżoną trawą. Jude czuje też subtelną woń jeziora Pontchartrain, chłodny bagnisty odór.

Marybeth kładzie mu głowę na ramieniu, obejmuje ręką w pasie i mówi własnym głosem:

- Żałuję, że nie mogę z tobą wrócić.

Ogarnia go nagły chłód.

- Co to znaczy?

Patrzy mu czule w twarz.

- Hej. Prawie nam się udało. Czy nie byliśmy blisko?

- Przestań! Nigdzie nie pójdziesz. Zostajesz ze mną.

- No nie wiem. Jestem zmęczona. Droga powrotna jest bardzo długa i wątpię, bym dała radę. Przysięgłabym, że ten samochód wykorzystuje jakąś część mnie jako paliwo i prawie już mnie zabrakło.

- Przestań tak mówić.

- Czy nie mieliśmy posłuchać muzyki?

Jude otwiera schowek na rękawiczki, grzebie w środku w poszukiwaniu taśmy. To zbiór jego demo, prywatna kolekcja. Jego nowe piosenki. Chce, żeby Marybeth je usłyszała, chce, by wiedziała, że się nie poddał. Zaczyna się pierwszy numer, to Wypijmy

za zmarłych. Gitara dźwięczy i wznosi się w ludowym hymnie, w słodkich dźwiękach akustycznej pieśni gospel, pieśni żałobnej. Do diabła, boli go głowa, teraz już obie skronie, ból miarowo pulsuje w głębi czaszki. Niech szlag trafi to niebo i jego oślepiające światło.

Marybeth prostuje się. Nie, nie Marybeth, tylko Anna. Jej oczy przepelnia światło, przepelnia niebo.

- Cały świat jest zrobiony z muzyki. Wszyscy jesteśmy strunami liry. Dźwiemy. Śpiewamy razem. To było miłe. Wiatr na mojej twarzy. Kiedy śpiewasz, ja śpiewam z tobą, skarbie. Wiesz o tym, prawda?

- Przestań - mówi Jude. Anna siada wygodniej za kierownicą i wrzuca bieg. - Co robisz?

Marybeth wychyla się z tylnego siedzenia, sięga po jego rękę. W końcu się rozdzieliły - po raz pierwszy od kilku dni są dwiema odrębnymi osobami.

- Muszę odejść, Jude. - Wychyla się znad siedzenia i całuje go, usta ma zimne, drżące. - Tutaj wysiadasz.

- Wysiadamy - poprawia ją, a gdy Marybeth próbuje cofnąć rękę, on nie puszcza, ściska mocniej, aż w końcu czuje kości przesuważające się pod skórą. Całuje ją znowu i mówi jej prosto w usta. - Tutaj wysiadamy. Oboje.

Znów słyszy zgrzyt żwiru pod kołami, mustang toczy się naprzód pod otwartym niebem. Przednie siedzenie wypełnia błysk światła, jasność przesłaniająca cały świat. Jude ledwie widzi spod zmrużonych powiek. Ból rozkwitający wokół oczu jest oszałamiający, cudowny. Wciąż trzyma rękę Marybeth - ona nie może odejść, jeśli jej nie puści. A światło... o Boże, tyle światła, coś jest nie tak z magnetofonem, jego głos unosi się i opada, mruży zagłuszony głęboką, niską, pulsującą harmonią, tą samą obcą muzyką, którą słyszał, wpadając w drzwi między światłami. Chce powiedzieć coś Marybeth, chce jej powiedzieć, że żałuje, iż nie mógł dotrzymać obietnic - tych, które jej złożył, i tych, które złożył samemu sobie. Chce powiedzieć, jak ją kocha, jak bardzo kocha, ale nie może myśleć z tym światłem w oczach i pomrukiem w głowie. Jej ręka. Wciąż trzyma Marybeth za rękę. Ponownie ją ściska, i jeszcze raz, próbując w ten sposób

powiedzieć jej wszystko. A ona odpowiada uściskiem.

A poza światłem widzi Annę, widzi ją migoczącą i jaśniejącą jak świetlik. Anna odwraca się od kierownicy i uśmiecha, kładzie dłoń na rękach jego i Marybeth.

- Do diabła - mówi - ten kudłaty sukinsyn próbuje usiąść.

47

Jude zamrugał w jasnym, boleśnie białym świetle oftalmoskopu celującego w lewe oko. Usiłował się podnieść, lecz ktoś oparł mu dłoń na piersi, przyszpilając go do podłogi. Głośno chwycił powietrze, jak pstrąg wyciągnięty z jeziora Pontchartrain i rzucony na brzeg. Powiedział Annie, że mogliby wybrać się razem na ryby, tylko we dwoje. A może to była Marybeth? Sam już nie wiedział.

Oftalmoskop zniknął. Jude tępo patrzył w pokryty plamami grzyba kuchenny sufit. Szaleńcy czasem wywiercali sobie dziury w głowie, by wypuścić demony, zmniejszyć napór myśli, którego nie mogli już znieść. Doskonale rozumiał, co nimi kierowało. Każde uderzenie serca było jak nowy, potężny cios odczuwany w nerwach wokół oczu i skroniach, bolesny dowód życia.

Tuż nad nim pochylił się wieprz o zadartym różowym ryju. Uśmiechnął się obscenicznie.

- A niech mnie - powiedział. - Wiecie, kto to jest? To Judas Coyne.

- Możemy stąd przegonić te pierdzielone świnie? - spytał ktoś inny.

Świnia odepchnięta kopniakiem zakwicziała z oburzeniem i w polu widzenia Jude'a pojawił się mężczyzna o starannie przystrzyżonej bródce i miłych oczach.

- Panie Coyne? Proszę się nie ruszać. Stracił pan mnóstwo krwi. Zaraz przełożymy pana na wózek.

- Anna... - jęknął tylko.

W jasnoniebieskich oczach młodego mężczyzny przemknął wyraz bólu i czegoś jakby skruchy.

- Tak miała na imię?

Nie. Nie. Jude powiedział nie to, co powinien. To nie było jej imię, ale brakowało mu oddechu, by się poprawić. Nagle dotarło do niego, że pochylający się nad nim mężczyzna mówił o niej w czasie przeszłym.

Arlene Wade go wyręczyła.

- Wspominał, że nazywała się Marybeth.

Pochylała się nad nim z drugiej strony. Patrzyła na niego zza okularów komicznie powiększonymi oczami. Ona także mówiła o Marybeth w czasie przeszłym. Znow spróbował usiąść, lecz brodaty ratownik przytrzymał go stanowczo.

- Nie próbuj się podnosić, mój drogi - powiedziała Arlene.

W pobliżu coś brzęknęło metalicznie. Jude ponad własnymi stopami ujrzał ludzi wytaczających na korytarz wózek. Na metalowym wieszaku przymocowanym do ramy kołysała się kroplówka napęczniała krwią. Ze swego miejsca Jude nie widział, kto leży na wózku, dostrzegł jednak wiszącą rękę. Zakażenie, od którego dłoń Marybeth pomarszczyła się i zbielała, zniknęło bez śladu. Jej drobna, smukła dłoń dyndała bezwładnie w rytm poruszeń wózka. Jude'owi przypomniła się dziewczyna z obscenicznego filmu *snuff*, to, jak oklapła, jakby pozbawiona kości, gdy opuściło ją życie. Jeden z pchających wózek ratowników zerknął w bok i zobaczył, że Jude na nich patrzy. Sięgnął po rękę Marybeth, delikatnie ułożył wzdłuż jej boku. Pozostali wypchnęli wózek na korytarz i zniknęli. Rozmawiali między sobą - cicho, gorączkowo.

- Marybeth? - zdołał wykrztusić Jude najślabszym z szeptów, ledwie szmerem na bolesnym wydechu.

- Musi jechać - oznajmiła Arlene. - Po ciebie przyjedzie druga kaaa-retka, Justinie.

- Jechać? - spytał Jude. Naprawdę nie rozumiał.

- Tutaj nie mogą już jej pomóc, to wszystko. Czas ją zabrać. - Arlene poklepała go po ręce. - Kaaa-retka czeka.

ŻYCIE

48

Przez następne czterdzieści osiem godzin Jude spał, budził się tylko na chwilę.

Kiedy raz się ocknął, ujrzał swoją prawniczkę, Nan Shreve, stojącą w drzwiach separatu i rozmawiającą z Jacksonem Browne'em. Jude spotkał go wiele lat wcześniej na ceremonii rozdania nagród Grammy. Wymknął się w połowie uroczystości do kibla. Kiedy się odlewał, zerknął przypadkiem w bok i ujrzał Jacksona Browne'a sikającego do sąsiedniego pisuaru. Pozdrowili się tylko skinieniem głowy, nawet nie powiedzieli cześć, dlatego Jude nie potrafił pojąć, co Jackson robi teraz w Luizjanie. Może grał koncert w Nowym Orleanie, usłyszał o tym, że Jude o mało nie zginął, i postanowił go odwiedzić. Może wkrótce zjawi się u niego cała procesja rockandrollowych luminarzy, powtarzających, żeby się trzymał. Jackson Browne był ubrany bardzo konserwatywnie - niebieska bluza, krawat. Do pasa, obok rewolweru w kaburze, miał przypiętą złotą odznakę.

Jude pozwolił powiekom opaść. Po jakimś czasie znów się obudził. Obok łóżka czekał kolejny gwiazdor rocka. Dizzy miał twarz nadal wyniszczoną przez AIDS, oczy ukryte za czarnymi krechami. Podał mu rękę, Jude ją uściśnął.

- Musiałem przyjść, stary. Ty też przy mnie byłeś - rzekł Dizzy.
- Cieszę się, że cię widzę - odparł Jude. - Tęskniłem za tobą.
- Słucham? - spytała stojąca po drugiej stronie łóżka pielęgniarka. Jude zerknął w bok; dopiero teraz się zorientował, że ona tam jest. Kiedy z powrotem odwrócił się do Dizzy'ego, odkrył, że dłoń ma pustą.

- Z kim rozmawiasz? - spytała pielęgniarka.
- Ze starym przyjacielem. Nie widziałem go, odkąd umarł. Pociągnęła nosem.

- Musimy zmniejszyć ci dawkę morfiny, skarbie.

Później Angus przeszedł przez pokój i zniknął pod łóżkiem. Jude go zawołał, lecz Angus nie wyszedł. Tłukł ogonem o podłogę, spokojnie, miarowo, w rytm bicia serca Jude'a.

Jude nie był pewien, kogo sławnego bądź nieżywego powinien teraz się spodziewać, więc zdumiał się, gdy stwierdził, że jest sam. Leżał na trzecim, może czwartym piętrze szpitala na przedmieściach Slidell. Za oknami rozciągało się jezioro Pontchartrain, niebieskie w słońcu. Brzeg porastał gęsty las żurawi portowych, stary zardzewiały tankowiec z wysiłkiem płynął na wschód. Po raz pierwszy Jude uświadomił sobie, że czuje zapach jeziora, słabą słońą woń wody. Rozpłakał się.

Gdy zdołał się opanować, wezwał pielęgniarkę. Zamiast niej zjawił się chudy jak szkielet, czarnoskóry lekarz o smutnych, przekrwionych oczach i ogolonej głowie. Łagodnym, ochryplym głosem zaczął wyjaśniać Jude'owi, w jakim jest stanie.

- Czy ktoś dzwonił do Bammy? - przerwał mu Jude.

- Kto to?

- Babcia Marybeth. Jeśli nikt do niej nie dzwonił, chciałbym sam jej powiedzieć.

- Jeżeli poda nam pan jej nazwisko i numer telefonu albo adres, poproszę pielęgniarkę, żeby zadzwoniła.

- Wolałbym ja.

- Wiele pan przeszedł. Myślę, że biorąc pod uwagę pański stan emocjonalny, mógłby ją pan zaniepokoić.

- Jej wnuczka, najukochańsza osoba na świecie, umarła. Myśli pan, że jeśli wieść tę przekaże Bammy ktoś obcy, mniej ją zaniepokoi?

- Dlatego właśnie wolelibyśmy załatwić to sami - odparł lekarz.

- To coś, czego nie chcemy przekazywać jej rodzinie. W pierwszej rozmowie z krewnymi wolimy skupić się na pozytywach.

W tym momencie Jude zrozumiał, że nadal jest chory. Cała ta rozmowa miała w sobie coś surrealistycznego, kojarzącego się

z gorączką. Pokręcił głową i zaczął się śmiać. Potem zauważył, że znów płacze, wytarł twarz drżącymi rękami.

- Na jakich pozytywach? - spytał.

- Wieści mogły być gorsze - wyjaśnił lekarz. - Przynajmniej jej stan jest już stabilny. Serce zatrzymało się tylko na parę minut, ludzie dłużej bywali martwi. Doszło jedynie do minimalnych...

Jude nie usłyszał już reszty.

49

Po chwili znalazł się na korytarzu - wysoki mężczyzna, metr dziewięćdziesiąt, sto dziesięć kilo wagi, pięćdziesiąt cztery lata, z gęstą, nastroszoną i potarganą czarną brodą i spodniami od szpitalnej piżamy rozpiętymi z tyłu, odsłaniającymi póldupki. Lekarz dreptał obok niego, zewsząd zbiegały się pielęgniarki, próbujące zawrócić go do pokoju. Ale on szedł dalej. W ręce wciąż tkwiła mu igła kroplówki, stojak toczył się za nim na kółkach. Jude myślał zupełnie jasno. Całkowicie oprzytomniał, ręce go nie bolały, oddychał spokojnie. Idąc naprzód, wykrzykiwał jej imię. Miał zaskakująco mocny głos.

- Panie Coyne - mówił lekarz. - Panie Coyne, ona nie czuje się jeszcze dość dobrze... Pan nie czuje się dość dobrze.

Bon przebiegła obok Jude'a i skręciła w prawo w najbliższy korytarz. Przyspieszył kroku, dotarł do zakrętu i zdążył ujrzeć, jak suka przemyka przez podwójne drzwi siedem metrów dalej. Drzwi zatrzasnęły się za nią na pneumatycznych zawiasach. Nad nimi płonął napis INTENSYWNA TERAPIA.

Niski przysadzisty ochroniarz zagroził mu drogę, lecz Jude wyminął go i gość musiał podbiec, by dotrzymać mu kroku. Jude pchnął drzwi i wszedł na oddział. Bon zniknęła właśnie w ciemnym pokoju po lewej.

Ruszył za nią. Suka zniknęła, a Marybeth leżała w jedynym łóżku. Jej gardło przecinały czarne szwy, w nozdrzu tkwił przewód tlenowy. W mroku wokół pogodnie popiskiwały maszyny. Gdy Jude wszedł, wymawiając jej imię, uniosła opuchnięte powieki. Twarz miała posiniaczoną, była wychudzona. Serce mu się

ścisnęło z przejmującą czułością. A potem siedział obok niej na skraju materaca i obejmował ją. Skórę miała cienką jak papier, kości lekkie. Przytulił twarz do jej zranionej szyi, do włosów, wciągając głęboko powietrze. Szukał jej zapachu, dowodu, że ona naprawdę żyje.

Uniosła rękę, przesunęła po plecach Jude'a. Gdy pocałował jej zimne wargi, zadrżały.

- Myślałem, że już po tobie. Myślałem, że umarłaś - powiedział Jude. - Znow siedziliśmy w mustangu, z Anną, i myślałem, że umarłaś.

- A co mi tam - wyszeptała Marybeth słabo. - Wysiadłam. Mam dosyć jazdy samochodem. Jude, myślisz, że moglibyśmy wrócić do domu samolotem?

50

Nie spał, lecz myślał, że powinien, gdy drzwi otwały się cicho. Przekreślił się na bok, ciekaw, który to umarły rockowy idol bądź zwierzęcy duch składa mu wizytę. Ujrzał Nan Shreve, w jasnobrązowej spódnicy i żakiecie, i w samych pończochach. W jednej dłoni trzymała szpilki, przemykając szybko na palcach. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

- Zakradłam się - oznajmiła, marszcząc nos i mrugając porozumiewawczo. - Nie powinnam jeszcze tu przychodzić.

Nan była szczupła, niska, czubkiem głowy ledwie sięgała Jude'owi do piersi. Nieprzystosowana społecznie, nie umiała się uśmiechać - jej uśmiech był sztywnym, bolesnym grymasem, wcale nie wyrażał pewności siebie, optymizmu, ciepła, radości. Miała czterdzieści sześć lat, męża i dwoje dzieci. Od niemal dziesięciu lat zajmowała się sprawami Jude'a. Przyjaźnili się znacznie dłużej, od czasu gdy miała dwadzieścia lat. Wtedy także nie umiała się uśmiechać i w tamtych czasach nawet nie próbowała. Wówczas była gniewna, napięta jak struna, a on nie nazywał jej Nan.

- Cześć, Tennessee - rzucił. - Czemu nie powinnaś tu przychodzić?

Podchodziła do łóżka, lecz słysząc to, zawahała się. Nie zamierzał nazwać jej Tennessee, po prostu mu się wymknęło. Był zmęczony. Jej powieki zatrzepotały, przez moment uśmiech wydał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż zwykle. Potem otrząsnęła się i znów ruszyła ku niemu, usiadła na krześle obok.

- Umówiłam się w holu z Quinnem - stwierdziła, wbijając stopy w szpilki. - To detektyw, który ma ustalić, co się stało. Tyle

że się spóźnia. Po drodze na autostradzie minęłam straszny wrak, chyba dostrzegłam jego samochód stojący na poboczu. Musiał się zatrzymać, żeby pomóc stanowym.

- O co mnie oskarżają?

- A dlaczego mieliby cię o cokolwiek oskarżać? Twój ojciec cię zaatakował. Zaatakował was oboje. Masz szczęście, że nie zginęłaś. Jude, on chce tylko, żebyś złożył zeznanie. Opowiedz mu, co się stało w domu twojego ojca. Powiedz prawdę. - Spojrzała mu w oczy, a potem zaczęła mówić bardzo powoli, jak matka przekazująca dziecku proste, lecz ważne instrukcje. - Twój ojciec stracił kontakt z rzeczywistością. To się zdarza. Mają nawet na to nazwę, starczy szła. Zaatakował ciebie i Marybeth Kimball, a ona go zabiła, ratując wam życie. To wszystko, co Quinn chce usłyszeć. Dokładnie to, co się stało. - Stopniowo ich rozmowa przestawała być przyjacielska i swobodna. Sztuczny uśmiech zniknął i Jude znów widział przed sobą Tennessee, nieugiętą Tennessee o zimnych oczach.

Skinął głową.

- Quinn zapewne będzie też miał parę pytań na temat wypadku, w którym straciłeś palec - ciągnęła. - W którym zginął pies. Ten pies w twoim wozie.

- Nie rozumiem - odparł Jude. - Nie chce ze mną porozmawiać o tym, co się stało na Florydzie?

Jej rzęsy zatrzepotały. Przez moment patrzyła na niego z nieskrywanym zdumieniem, a potem jej twarz znów zlodowaciała.

- Czy coś się stało na Florydzie? Coś, o czym powinnam wiedzieć, Jude?

A zatem policja z Florydy go nie szukała. To nie miało sensu. Zaatakował kobietę i dziecko, został postrzelony, uczestniczył w wypadku - gdyby jednak ścigano go na Florydzie, Nan już by o tym wiedziała. Planowałyby, jak go z tego wypłatać.

- Przyjechałeś na Południe, żeby przed śmiercią zobaczyć się z ojcem - podjęła. - Tuż przed tym, nim dotarłeś na farmę, miałeś wypadek. Wyprowadzałeś psa na pobocze i ktoś na was najechał. Niesamowity splot wydarzeń, ale tak właśnie było. Nic innego nie ma sensu.

Drzwi się otwarty i do pokoju zajrzał Jackson Browne. Na szyi miał czerwone znamię, którego wcześniej Jude nie zauważył, szkarłatną plamę mniej więcej w kształcie trójpalczastej dłoni. A gdy się odezwał, w jego głosie zadźwięczał komiczny, cajuński akcent.

- Panie Coyne, wciąż jest pan z nami? - Wodził wzrokiem od Jude'a do Nan Shreve i z powrotem. - Pańska firma płytowa będzie zawiedziona. Zdaje się, że zaczęli już planować pożegnalny album. - Wybuchnął śmiechem, który przerodził się w atak kaszlu. Otarł z oczu łzy. - Pani Shreve, nie widziałem pani w holu - powiedział jowialnie, lecz w połączeniu ze spojrzeniem pełnych namysłu zmrużonych oczu zabrzmiało to niemal oskarżycielsko. - Podobnie pielęgniarka na recepcji. Mówi, że pani nie widziała.

- Pomachałam jej po drodze - wyjaśniła Nan.

- Proszę wejść - rzekł Jude. - Nan mówiła, że chciałby pan ze mną porozmawiać.

- Powiniennem pana aresztować - oznajmił detektyw Quinn.

Serce Jude'owi zabiło szybciej, lecz kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał spokojnie i lekko.

- Za co?

- Za trzy ostatnie płyty - wyjaśnił Quinn. - Mam dwie córki, cały czas puszczają je i puszczają na cały regulator. W domu ściany się trzęsą, naczynia grzechoczą, a ja mam ochotę uciec się do przemocy domowej. Rozumie pan? I to wobec moich cudownych córek, którym w normalnych okolicznościach nigdy w życiu nie zrobiłbym krzywdy. - Westchnął, otarł krawatem czoło i podszedł do stóp łóżka. Poczęstował Jude'a owocową gumą do żucia. Gdy Jude odmówił, Quinn wsunął gumę do ust. - Ale człowiek i tak je kocha, choć czasami wydaje się to wariactwem.

- Fakt - przytaknął Jude.

- Mam tylko, kilka pytań. - Quinn z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął notes. - Zaczniemy od wydarzeń poprzedzających pański przyjazd do ojca. Miał pan wypadek, prawda? Paskudny dzień dla pana i pańskiej przyjaciółki. A potem zaatakował was pański ojciec. Oczywiście, biorąc pod uwagę pana wygląd i jego stan, pewnie myślał, że jest pan... no nie wiem,

mordercą, który przyszedł okraść farmę, złym duchem. Nadal jednak nie pojmuję, dlaczego po wypadku, w którym stracił pan palec, nie pojechał pan do szpitala,

- No cóż... Byliśmy niedaleko od domu taty i wiedziałem, że zastanę tam ciotkę. Jest dyplomowaną pielęgniarką.

- Naprawdę? Proszę mi opowiedzieć o samochodzie, który pana potrącił.

- Furgonetka - odparł Jude. - Pikap.

Zerknął na Nan, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową, obserwując go czujnie. Jude odetchnął głęboko i zaczął kłamać.

51

Wychodząc, Nan zawahała się w drzwiach i obejrzała na Jude'a. Jej twarz znów wykrzywił uśmiech, ów wymuszony, sztuczny grymas, na którego widok robiło mu się smutno.

- Ona jest naprawdę piękna, Jude - powiedziała. - I cię kocha. Widać to po tym, jak o tobie mówi. Rozmawiałam z nią. Tylko przez chwilę, ale... od razu widać. Georgia, tak?

Patrzyła na niego nieśmiało, z bólem i czułością jednocześnie. Zadała to pytanie, jakby nie była pewna, czy naprawdę chce poznać odpowiedź.

- Marybeth - odparł stanowczo Jude. - Nazywa się Marybeth.

52

Dwa tygodnie później w Nowym Jorku wzięli udział w pożegnaniu Danny'ego. Marybeth owinęła szyję czarnym szalem pasującym do czarnych koronkowych rękawiczek. Popołudnie było wietrzne i zimne, lecz i tak na uroczystości zjawilo się sporo ludzi. Wyglądało na to, że przyjechał każdy, z kim Danny kiedykolwiek gawędził, plotkował czy gadał przez telefon, naprawdę mnóstwo ludzi, i wszyscy zostali do późna, nawet kiedy zaczęło padać.

53

Wiosną Jude nagrał płytę, oszczędną, niemal akustyczną. Śpiewał o umarłych. Śpiewał o nocnych drogach. Partie gitarowe zagrali inni muzycy. On sam potrafił utrzymać rytm, ale nic poza tym. Musiał wrócić do łapania akordów lewą ręką, jak przed wielu laty, i nie szło mu najlepiej.

Nowa płyta sprzedawała się całkiem dobrze. Nie pojechał w trasę. Wszczepiono mu potrójne bypassy.

Marybeth uczyła tańca w studiu fitness w High Plains. Jej zajęcia były bardzo popularne.

54

Marybeth znalazła na miejscowym cmentarzysku samochodowym wrak dodge'a chargera i kupiła go za trzysta dolarów. Przez całe następne lato zlany potem, nagi do pasa Jude harował na podwórku, odnawiając wóz. Wracał do domu późnym wieczorem, cały opalony prócz błyszczącej srebrzystej blizny pośrodku piersi. Marybeth zawsze czekała tuż za drzwiami ze szklanką domowej lemoniady. Czasami całowali się, czując smak oleju i zimnego soku. Bardzo lubiła te pocałunki.

55

Pewnego popołudnia pod koniec sierpnia Jude, spocony i spieczony od słońca, zajął do domu i zastał na sekretarce wiadomość. Nan mówiła, że ma dla niego pewne informacje i czy mógłby oddzwonić, kiedy tylko zechce. Uznał, że najlepiej zrobić to od razu, więc wybrał numer jej biura. Usiadł na skraju starego biurka Danny'ego, czekając, aż recepcjonistka go połączy.

- Obawiam się, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia na temat George'a Rugera - oświadczyła Nan bez żadnych wstępów. - Chciałeś wiedzieć, czy jego nazwisko pojawia się w jakimkolwiek dochodzeniu kryminalnym w ciągu ostatniego roku. Odpowiedź najwyraźniej brzmi nie. Może gdybym miała więcej informacji, wiedziała, czemu cię interesuje...

- Nie, nie przejmuj się tym - odparł Jude.

A zatem Ruger nie poskarżył się władzom. Nic dziwnego. Gdyby zamierzał wnieść sprawę do sądu albo wystąpić o aresztowanie Jude'a, już by o tym wiedzieli. Jude nie przypuszczał, aby Nan cokolwiek znalazła. Ruger nie mógł powiedzieć, co Jude mu zrobił, nie ryzykując ujawnienia prawdy - że sypiał z Marybeth, gdy dopiero zaczynała liceum. Jak Jude pamiętał, Ruger był ważną figurą w miejscowej polityce. Trudno skutecznie zorganizować zbiórkę pieniędzy po tym, jak oskarżą cię o gwałt na nieletniej.

- Jeśli chodzi o Jessikę Price, miałam nieco więcej szczęścia.

- Naprawdę? - mruknął Jude. Na sam dźwięk jej nazwiska ścisnęło go w żołądku.

Gdy Nan znów zaczęła mówić, w jej głosie dzwięczał fałszywie swobodny ton, nieco zbyt sztuczny, by kogokolwiek zwieść.

- Price jest podejrzana o molestowanie seksualne i narażenie życia dziecka. Jej własnej córki, wyobrażasz sobie? Najwyraźniej policja zjawiła się u niej, kiedy ktoś powiadomił ich o wypadku. Price tuż przed domem wjechała z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w czyjś samochód. Kiedy zjawiła się policja, znaleźli ją nieprzytomną za kółkiem. W domu była córka z rewolwerem i martwym psem na podłodze.

Nan zawiesiła głos, czekając, aż Jude skomentuje. On jednak nie miał nic do powiedzenia.

- Ten, w kogo uderzyła Price, uciekł. Nigdy go nie znaleziono.

- Price im nie powiedziała? Jaka jest jej wersja?

- Żadna. Widzisz, policjanci uspokoili małą i odebrali jej broń.

Kiedy poszli schować rewolwer, w pudełku pod aksamitną wyściółką znaleźli kopertę ze zdjęciami. Straszными, kryminalnymi zdjęciami. Wygląda na to, iż są w stanie ustalić, że zrobiła je matka. Jessica Price grozi do dziesięciu lat więzienia. Jej córka ma zaledwie trzynaście lat. Słyszałeś kiedyś coś potworniejszego?

- Nie - odparł Jude.

- A uwierzyłbyś, że to wszystko - wypadek samochodowy Jessiki Price, martwy pies, zdjęcia - zdarzyło się tego samego dnia, kiedy w Luizjanie zginął twój tato?

I znów Jude nie odpowiedział. Tak było bezpieczniej.

- Za radą adwokata - podjęła Nan - w chwili aresztowania Jessica Price powołała się na prawo do milczenia. W sumie to ma sens. Przy okazji to także niezwykle szczęśliwy traf dla osoby, która jeszcze tam była. No wiesz... z psem.

Jude przyciskał słuchawkę do ucha. Nan milczała tak długo, że zaczął się już zastanawiać, czy przypadkiem ich nie rozłączyło.

- To wszystko? - spytał w końcu, tylko po to by sprawdzić, czy Nan nadal tam jest.

- Jeszcze jedno - odparła całkowicie obojętnym tonem. - Cieśła pracujący przy tej samej ulicy twierdzi, że rankiem tego dnia widział podejrzaną parę w czarnym samochodzie. Mówi, że kierowca wyglądał jak sobowtór wokalisty Metalliki.

Jude nie zdołał powstrzymać śmiechu.

56

W drugi weekend listopada sprzed kościoła w Georgii czerwoną gliniastą drogą odjechał dodge charger. Przywiązane do tylnego zderzaka puszki brzęczały głośno. Bammy wsunęła palce do ust i pożegnała nowożeńców nieprzystojnymi gwizdami.

57

Pierwszej jesieni polecili na Fidzi, następnej odwiedzili Grecję. W październiku następnego roku byli na Hawajach, dziesięć godzin dziennie leżeli na czarnej piaszczystej plaży. Kolejny wyjazd, do Neapolu, okazał się jeszcze lepszy. Wyjechali na weekend, zostali cały miesiąc.

W piątą rocznicę zostali w domu. Jude kupił szczeniaki i nie chciał się z nimi rozstawać. Pewnego dnia, zimnego i wilgotnego, wyprowadził psy i poszedł po pocztę. Gdy wydłubywał koperty ze skrzynki tuż za frontową bramą, szosą przejechała jasna półciężarówka, obryzgując go zimnym wodnym pyłem. Odwrócił głowę i ujrzał Annę patrzącą na niego z drugiej strony drogi. Poczł ostre klucie w piersi. Szybko ustąpiło. Stał bez ruchu, dysząc ciężko.

Dziewczyna odgarnęła z oczu jasny kosmyk włosów i przekonała się, że jest niższa, mocniej zbudowana niż Anna i ma najwyższej osiemnaście lat. Pomachała ręką z wahaniem. Gestem polecił jej podejść.

- Cześć, panie Coyne - powiedziała.

- Reese, zgadza się? - odparł.

Miała mokre włosy. Była w dzinsowej kurtce ociekającej wodą. Szczeniaki skoczyły na nią, a ona odsunęła się ze śmiechem.

- Jimmy, Robert, spokój! - rzucił Jude. - Przepraszam. Nieokrzesana z nich parka i nie zdążyłem jeszcze nauczyć ich dobrych manier. Wejdiesz? - Trzęsła się lekko. - Zupełnie przemo-kłaś. Pochorujesz się na śmierć.

- Śmierć to choroba? - spytała Reese.

- Jasne - odparł Jude. - Strasznie wredna infekcja. Wcześniej czy później każdy ją łapie.

Poprowadził ją do domu, do ciemnej kuchni. Pytał właśnie, jak tu dotarła, gdy Marybeth z góry zapytała, kto przyszedł.

- Reese Price - odparł Jude. - Z Testament na Florydzie. Córka Jessiki Price.

Przez chwilę na górze panowała cisza, a potem Marybeth zbiegła ze schodów i zatrzymała się na ostatnich stopniach. Jude pstryknął włącznik światła.

Marybeth i Reese przyglądały się sobie bez słowa. Marybeth była spokojna, oczy miała nieprzeniknione. Reese wodziła wzrokiem pomiędzy twarzą Marybeth a jej szyją ze srebrnobiałym półksiężycem blizny wokół gardła. Wysunęła ręce z rękawów kurtki i skuliła się. Ściekająca z niej woda utworzyła na podłodze kałużę.

- Jezu Chryste, Jude, przynieś jej ręcznik - powiedziała Marybeth.

Jude wziął ręcznik z łazienki na dole. Kiedy wrócił z nim do kuchni, czajnik stał już na kuchence, a Reese siedziała przy wyspie, opowiadając Marybeth o rosyjskich studentach z wymiany, którzy podwieźli ją z Nowego Jorku i opisywali swoją wizytę w „Entire Steak Buildink”.

Marybeth zrobiła jej kakao oraz tosta z serem i pomidorem. Jude siedział z Reese przy blacie. Marybeth, odprężona, z siostrzaną sympatią śmiała się z anegdot Reese, zupełnie jakby podejmowanie u siebie dziewczyny, która odstrzeliła kawałek dłoni jej męża, było najnaturalniejsze pod słońcem.

Rozmawiały głównie kobiety. Reese jechała do Buffalo, gdzie zamierzała spotkać się z przyjaciółmi i obejrzeć koncerty 50 Centa i Eminema. Potem wybierała się do Niagary. Jeden z jej przyjaciół wpłacił zaliczkę za starą barcę, zamierzali mieszkać na niej w dziesiątkę. Barka wymagała sporo pracy; zaplanowali, że ją odnowią i sprzedadzą. Reese odpowiadała za malowanie. Miała świetny pomysł na malowidło, którym zamierzała ozdobić burzę. Przygotowała już szkice. Wyciągnęła z plecaka szkiecownik i pokazała im swoje prace. Jej ilustracje, choć niewprawne, przyciąga-

ły wzrok: przedstawiały nagie kobiety, bezokich starców i gitary ułożone w skomplikowane, splatające się wzory. Jeśli nie zdołają sprzedać barki, zorganizują tam jakiś biznes, pizzerię albo salon tatuażu. Reese świetnie się znała na tatuażach, ćwiczyła nawet na sobie. Podniosła koszulkę, demonstrując jasnego smukłego węża pożerającego własny ogon, oplecionego wokół pępka.

Jude przerwał jej, pytając, jak chce się dostać do Buffalo. Odparta, że na Penn Station zabrakło jej pieniędzy, więc uznała, że resztę przejedzie stopem.

- Wiesz, że to pięćset kilometrów? - spytał.

Spojrzała na niego wielkimi oczami i powoli pokręciła głową.

- Na mapie ten stan nie wydaje się taki cholernie wielki. Na pewno pięćset?

Marybeth zabrała pusty talerz i odstawiła do zlewu.

- Chciałabyś do kogoś zadzwonić? Do kogoś z rodziny? Możesz skorzystać z telefonu.

- Nie, psze pani.

Marybeth uśmiechnęła się lekko. Jude zastanawiał się, czy ktokolwiek kiedykolwiek zwrócił się do niej psze pani.

- A matka? - spytała.

- Siedzi w więzieniu. Mam nadzieję, że nigdy nie wyjdzie. - Reese wbiła wzrok w kubek z kakao, zaczęła się bawić długim kosmykiem jasnych włosów, okręcając go raz po raz wokół palca. Jude z tysiąc razy widział, jak Anna robi to samo. - Nie chcę nawet o niej myśleć. Wolę udawać, że umarła. Nikomu nie życzyłabym takiej matki, jest chodzącym przekleństwem. Gdybym uznała, że kiedyś ja też będę taką matką, od razu kazałabym się wysterylizować.

Kiedy skończyła kakao, Jude włożył kurtkę przeciwdeszczową i zaproponował Reese, że podrzuci ją na dworzec autobusowy. Przez jakiś czas jechali bez słowa z wyłączonym radiem. W samochodzie słychać było tylko deszcz bębniący o szyby i szum wycieraczek. Reese odchyliła oparcie i zamknęła oczy. Wcześniej zdjęła kurtkę i przykryła się nią jak kocem. Sądził, że śpi.

Lecz po jakimś czasie się odezwała:

- Naprawdę zależało panu na ciotce Annie, mam rację?

Przytaknął. Wycieraczki uniosły się i opadły, zip-zap, zip-zap.

- Moja mama była straszna - powiedziała Reese. - Oddałabym lewą rękę, żeby zapomnieć, co robiła. Czasami myślę, że ciotka Anna dowiedziała się, co robiła mama... mama i dziadek, i dlatego się zabiła. Bo nie mogła już dłużej żyć z tą wiedzą, ale też nie mogła z nikim się nią podzielić. Wiem, że była bardzo nie szczęśliwa. Może ją też spotkało coś złego, kiedy była mała. Coś takiego, co spotkało mnie. - Teraz patrzyła wprost na niego.

A zatem Reese nie wiedziała o wszystkim, co zrobiła jej matka. Jude uznał to za dowód, że czasem jednak ten świat ma litość dla człowieka.

- Bardzo przepraszam za to, że do pana strzeliłam - dodała. - Naprawdę. Czasami miewam sny o ciotce Annie. Jedziemy gdzieś razem, ma superowy stary wóz, taki jak ten, tylko czarny. Nie jest już smutna. Jeździmy wiejskimi drogami, słucha w radiu pa na muzyki. Powiedziała mi, że nie przyszedł pan do nas, żeby mnie skrzywdzić. Że przyszedł pan to zakończyć. Sprawić, by matka odpowiedziała za to, na co pozwalała. I chciałam przeprosić. Mam nadzieję, że jest pan szczęśliwy.

Przytaknął, ale nie odpowiedział. Nie ufał własnemu głosowi.

Razem weszli na dworzec. Jude zostawił ją na porysowanej drewnianej ławce, podszedł do kasy i kupił bilet do Buffalo. Poprosił, by kasjerka schowała go do koperty. Wsunął tam dwieście dolarów zawinięte w kawałek papieru, na którym zapisał swój numer telefonu i prośbę, by zadzwoniła w razie kłopotów. Kiedy do niej wrócił, wsadził kopertę do kieszeni z boku plecaka. Nie oddał jej Reese, by nie otworzyła jej od razu i nie próbowała zwrócić mu pieniędzy.

Razem z nim wyszła na ulicę. Deszcz padał jeszcze mocniej. Zapadał zmierzch. Jude chciał się pożegnać uściskiem dłoni, a Reese wspięła się na palce i ucałowała go w zmarznięty, mokry policzek. Do tej pory myślał o niej jak o młodej kobiecie, lecz ów pocałunek był bezmyślnym pocałunkiem dziecka, i jeszcze bardziej nie spodobała mu się myśl o tym, że miałyby podróżować sama setki kilometrów bez żadnej opieki.

- Uważaj na siebie - powiedzieli w dokładnie tym samym

momencie, idealnym chórem, a potem wybuchnęli śmiechem. Jude uściśnął jej rękę i pokiwał głową, nie miał jednak do powiedzenia nic więcej prócz pożegnania.

Kiedy wrócił do domu, była już ciemna noc. Marybeth wyciągnęła z lodówki dwie butelki piwa i zaczęła grzebać w szufladzie, szukając otwieracza.

- Żałuję, że nie mogłem czegoś dla niej zrobić - powiedział Jude.

- Jest trochę młoda - odparła Marybeth. - Nawet jak na ciebie. Lepiej trzymaj rozporek zapięty.

- Co ty wygadujesz! Nie to miałem na myśli.

Marybeth ze śmiechem rzuciła mu w twarz ścierką do naczyń.

- Wytrzyj się. Kiedy jesteś mokry, wyglądasz jak żalosny włóczęga.

Wytarł ścierką włosy. Marybeth otworzyła piwo i postawiła przed nim. Przekonawszy się, że wciąż jest nadąsany, znów wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój, Jude. Gdyby nie to, że od czasu do czasu ci dopiekam, nie pozostałby w twoim życiu żaden ogień. - Stała po drugiej stronie blatu, przyglądając mu się z cierpkim, czułym rozbawieniem. - Dajesz jej bilet autobusowy do Buffalo i... ile dokładnie?

- Dwieście dolarów.

- No widzisz, coś dla niej zrobiłeś. Nic więcej nie mogłeś.

Jude trzymał w dłoni piwo, ale nie pił. Był zmęczony, wciąż przemoczony i zmarznięty. Drogą przejechała wielka ciężarówka, przemknęła zimnym tunelem nocy i zniknęła. Słyszał szczełaki zamknięte w psiarni, ujadające radośnie.

- Mam nadzieję, że jej się uda - powiedział.

- Dotrzeć do Buffalo? Nie widzę, czemu nie - odparła Marybeth.

- Tak - mruknął Jude, choć wcale nie był pewien, czy dokładnie to miał na myśli.

Podziękowania w kształcie serca

U nieście zapalniczki do wtóru ostatniej ckliwej rockowej ballady i pozwólcie mi wyśpiewać słowa podziękii dla ludzi, którzy bardzo pomogli mi sprowadzić na ten świat Pudełko w kształcie serca. Dziękuję serdecznie mojemu agentowi, Michaelowi Choate, który ostrożnie, dyskretnie, z niezwykłym rozsądkiem steruje moją zawodową nawią. Wiele zawdzięczam Jennifer Brehl - ciężko pracowała, redagując moją powieść, przeprowadzała mnie przez ostatnią wersję, a przede wszystkim w ogóle zaryzykowała wydanie Pudełka w kształcie serca. Maureen Sugden świetnie się spisała, robiąc korektę. Podziękowania należą się także Lisie Gallagher, Juliette Shapland, Kate Nintzel, Annie Marii Alessi, Lynn Grady, Richowi Aąuanowi, Lorie Young, Kim Lewis, Seale'owi Ballengerowi i wszystkim ludziom od Williama Morrowa, którzy zajęli się tą książką.

Jestem niezmiernie zobowiązany Andy'emu i Carri za ich entuzjazm i przyjaźń oraz Shane'owi, nie tylko mojemu *compadre*, ale też fantastycznemu, niezwykle pomysłowemu administratorowi mojej strony sieciowej, joehillfiction.com. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny moim rodzicom i rodzeństwu za ich czas, myśli, wsparcie i miłość.

Przede wszystkim jednak dziękuję Leonorze i chłopcom. Leanora poświęciła sam nie wiem ile godzin, czytając niezliczoną ilość razy ten rękopis w jego kolejnych formach i postaciach, rozmawiając ze mną o Judzie, Marybeth i duchach. Ujmijmy to

inaczej: przeczytała milion stron i cały czas była super. Dzięki, Leanoro, bardzo się cieszę, że mam w Tobie najlepszą przyjaciółkę.

To wszystko. Dzięki, że przyszliście na mój koncert. Dobranoc, Shreveport!